

SWIATOWY BESTSELLER PO RAZ PIERWSZY W POLSCE

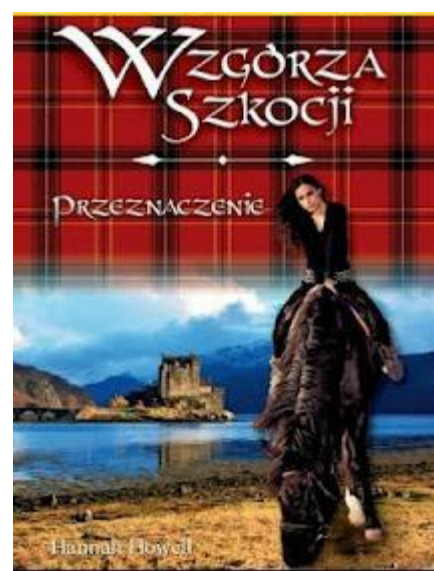
WZGÓRZA Szkocji

PRZEZNACZENIE



Harriet Evans

Fakt



Howell Hannah

Wzgórza Szkocji 01

Przeznaczenie

"Wzgórza Szkocji" to saga o wojnie klanów, konfliktach zobowiązań i zakazanej miłości. Akcja serii rozgrywa się w średniowiecznej Szkocji, a bohaterami są członkowie rodu Murrayów.

"Przeznaczenie" opowiada historię prawego i silnego rycerza, sir Balfoura Murraya. Spotyka on na swej drodze Maldie Kirkcaldy, tajemniczą piękność, której życiem kieruje pragnienie zemsty. Maldie staje przed trudnym wyborem - nie może zdradzić sir Balfourowi swej tożsamości, a jednocześnie nie jest w stanie uwolnić się od namiętności, jaką budzi w niej mężczyzna.

Rozdział 1

Szkocja, wiosna 1430 roku

- Zabrali Erica.

Balfour Murray, dziedzic Donncoill, spojrział znad gęstej potrawki z dziczyzny, którą się właśnie delektował, i zmarszczył czoło na widok swojego sierżanta. Mocno umięśniony James był brudny, zmęczony i blady od troski. Niełatwo było wyprowadzić z równowagi spokojnego Jamesa i Balfour poczuł, że kurczą mu się wnętrzności, co skutecznie odebrało mu apetyt.

- Co rozumiesz, przez „zabrali”? - zapytał, przepłukując usta sporym łykiem mocnego czerwonego wina.

James z mułem przełknął ślinę i przestąpił z nogi na nogę, szurając po świeżym sitowiu rozrzuconym na podłodze wielkiej sali.

- Zabrali chłopca — wyznał z mieszaniną wstydu i ostrożności, spoglądając na wysokiego, ciemnego dziedzica Donncoill. - Byliśmy na łowach, kiedy otoczyło nas z tuzin ludzi. Colin i Thomas padli,

niech Bóg przyjmie ich odważne dusze, bo w dwójnasób kazali zapłacić za swe głowy. Powiedziałem Ericowi, żeby uciekał, bo na linii ataku powstała wyrwa. Przejechaliśmy przez nią razem, ale jego koń się potknął. Zanim mogłem mu pomóc, złapali go i odjechali. Nie interesowali się mną, więc przygnałem tutaj.

- Kto zabrał chłopca? - zażądał wyjaśnień Balfour, po czym posłał młodego paza, by znalazł jego brata Nigela.

- To byli ludzie Beatona.

Balfour nie był zdziwiony, że Sir William Beaton z Dubhlinna po raz kolejny przysparza mu kłopotów. Był on przez wiele lat solą w oku Murrayów. To, że porwał Erica, było jednak zaskoczeniem. Chłopiec był owocem krótkiego romansu między dziedzicem Donncoill a jedną z nieżyjących już żon Beatona. Beaton porzucił niemowlę na zboczach wzgórza, żeby umarło. Czysty przypadek sprowadził

na tę samą ścieżkę Jamesa, który wracał z polowania. Malutki Erie został zawinięty w tkaninę z barwami Beatonów, co szybko pozwoliło ojcu Balfoura odkryć, kim jest niemowlę.

To, że Beaton porzucił bezbronne dziecko i wystawił je na śmierć, przepełniło wszystkich Murrayów grozą, ale to, że ktoś próbował tak bezdusznie zamordować jednego z nich, napełniło ich serca gniewem. Beatonowie zawsze stawali im na drodze, ale teraz stali się wrogami. Balfour wiedział, że nienawiść ich ojca do Beatonów jest głęboko zakorzeniona, a po nagłej i podejrzanej śmierci kobiety, którą kochał, stała się jeszcze większa. Krwawa i sroga była wendeta Beatonów, która nastąpiła po tych wydarzeniach.

Po śmierci ojca Balfour miał nadzieję na rozejm. Teraz stało się jednak jasne, że dziedzic Dubhlinna nie dba o pokój.

- Dlaczego Beaton mógłby chcieć porwać Erica? - Balfour naprężył się nagle, ściskając swój ciężki srebrny kielich tak mocno, że dekoracyjne żłobienia wcięły się w spód jego dłoni. - Myślisz, że chce zamordować chłopca? Ze chce dokończyć to, co zaczął tyle lat temu?

- Nie - odparł James po krótkim namyśle. - Jeśli Beaton chciałby go zabić, posłałby swoje psy, żeby to zrobiły, a nie porywałyby go. Wszystko było zaplanowane. To nie był przypadek, ścieżki Beatonów i Murrayów nie krzyżują się zbyt często. Ci ludzie czekali na nas i obserwowali nasze ruchy. Chcieli Erica.

- Wnioskuje z tego, że staliśmy się niebezpiecznie beztroscy, jeśli chodzi o straż, ale nic więcej nie rozumiem. Ach, Nigel — mruknął Balfour, kiedy jego młodszy brat wszedł do wielkiej sali. - Jak dobrze, że znalazłeś się tak szybko.

- Człowiek, którego do mnie posłałeś, mamrotał coś o tym, że zabrali Erica? - Nigel rozparł się na ławie obok Balfoura i nalał sobie wina.

Balfour zastanawiał się, jak Nigel mógł zachowywać taki spokój, gdy nagle zauważył, że jego brat

ściska swój puchar podobnie jak on, tak mocno, że kłykcie jego palców zrobiły się białe. Bursztynowe oczy Nigela pociemniały, aż stały się prawie brązowe. Balfour wątpił, by miał kiedykolwiek przestać się dziwić temu, jak dobrze jego brat potrafi kontrolować silne emocje. Związłe zrelacjonował mu to, co sam wiedział, i czekał niecierpliwie, aż Nigel przestanie sączyć wino i przemówi.

- Beaton potrzebuje syna — powiedział w końcu Nigel, a chłód w jego głosie był

jedyną oznaką wściekłości, jaka go ogarnęła.

- Odepchnął Erica całe lata temu - zaprotestował Balfour, dając jednocześnie Jamesowi znak, by zbliżył się i usiadł z nimi.

- Tak, miał lata na spłodzenie syna, ale mu się nie udało. Szkocja jest pełna córek Beatona, którymi obdarzyły go żony, kochanki, dziwki, a nawet przypadkowe wieśniaczki, które miały to nieszczęście, by znaleźć się w jego zasięgu.

James pokiwał wolno głową i przeczesał palcami czarne, siwiejące włosy.

- A ja słyszałem, że nie czuje się zbyt dobrze.

- Stary już puka do bram nieba - powiedział Nigel, cedząc słowa. — Jego krewni, wrogowie i najbliżsi sąsiedzi zacieśniają wokół niego krąg. Nie wybrał nikogo na dziedzica. Obawia się, że jak to zrobi, to przyspieszy tylko swoją śmierć. Wilki ujadają u jego bram, a on desperacko je odpiera.

- Kiedy wydał na Erica wyrok śmierci, tam na wzgórzu, jasno dał do zrozumienia światu i jego matce, że nie wierzy, by dziecko było jego - powiedział Balfour.

— Erie jest bardziej podobny do matki niż do Murrayów. Beaton mógłby go uznać.

Nawet znajdą się tacy, co mu uwierzą. Nikt nie zaprzeczy, bo chłopak został

zrodzony z prawowitego związku. Wystarczy opowiadka o ślepej zazdrości, by wyjaśnić fakt, że nasz ojciec go przygarnął, i usprawiedliwić żądania Beatona. Ten człowiek jest strasznym furiatem i wszyscy to wiedzą. Mogą zadawać sobie pytanie, czy Erie urodził się z jego nasienia, ale nikt nie wątpi, że Beaton raz doprowadzony do wściekłości może dzieciaka zabić, nawet swojego.

Balfour zaklął i przejechał swoimi długimi palcami po gęstych kasztanowych włosach.

— A więc ten łajdak zamierza postawić młodego Erica między siebie a swoich wrogów.

— Nie mam na to żadnych dowodów, ale tak, tak właśnie myślę.

— Kiedy złożę do kupy wszystko, co wiem o tym człowieku, to, co ostatnio zasłyszałem, i to, co myślę, to wszystko brzmi aż nadto prawdopodobnie. Erie jest za młody, żeby porzucić go w gnieździe os. Dopóki Beaton żyje i strach każe jego ludziom zachowywać wobec niego lojalność, chłopiec będzie bezpieczny, ale w chwili, gdy Beaton umrze lub kiedy dolegliwości go osłabiają i nikt nie

będzie się go więcej bał, to nie sądzę, żeby Erie pożył długo.

— Pewnie nawet nie tak długo, żeby zobaczyć pogrzeb tego łajdaka. Nie możemy tam chłopaka zostawić. Jest Murrayem.

— Nie miałem zamiaru zostawić go z Beatonami, chociaż ma takie samo prawo do tego, co zostanie po starym, jak każdy inny. Zastanawiałem się, ile mamy czasu, żeby go uwolnić z tego śmiertelnego uścisku.

— Może dni, może miesiące, może nawet lata.

— A może tylko kilka godzin - powiedział Balfour, uśmiechając się ponuro, kiedy Nigel wzdrygnął się, zdradzając im, że sam tak właśnie pomyślał.

— Musimy jechać do Dubhlinna tak szybko, jak to możliwe - powiedział James.

— Tak, wygląda na to, że musimy - zgodził się Balfour.

Zaklął i pociągnął kilka głębokich łyków wina, żeby się uspokoić. Będzie kolejna bitwa, wielu dobrych mężów straci życie. Kobiety pogrążą się w żałobie, a dzieci zostaną sierotami. Balfour tego nienawidził. Nie bał się bitewnego zgiełku. W

obronie domu, Kościoła i króla był pierwszym, który chwycił za broń. Trapił go ciągły przelew krwi powodowany przez feudałów. Wielu Murrayów poległo, ponieważ jego ojciec pokochał i wziął za nałożnicę żonę innego dziedzica. Teraz będą ginąć, próbując uratować owoc tego cudzołóżnego związku. Mimo że Balfour kochał swego brata i czuł, że chłopiec zasługuje na ratunek, była to jedynie kolejna odsłona długiej waśni, która nigdy nie powinna się była zacząć.

— Ruszymy do Dubhlinna rankiem, z pierwszymi promieniami słońca —

powiedział Balfour. - Przygotuj ludzi, James.

- Wygramy, Balfourze, i sprowadzimy małego Erica z powrotem - powiedział Nigel, jak tylko James wyszedł z wielkiej sali.

Balfour badał twarz brata i zastanawiał się, czy naprawdę czuł optymizm, któremu dawał wyraz. Pod wieloma względami Nigel był taki sam jak on, ale pod wieloma -

zagadkowy. Nigel miał jaśniejszą duszę, tak jak jaśniejsze było jego ciało. Balfour nie dziwił się nigdy powodzeniu, jakie jego brat miał wśród kobiet, ponieważ jego język był słodki, a natura pełna uroku, którego jemu samemu brakowało. Nigel miał

też dar - był piekielnie przystojny. Balfour przyglądał się często w lustrze i zastanawiał się, jak człowiek może być tak ciemny, od kasztanowych włosów po ciemne brązowe oczy i ogorzałą cerę. Nieraz musiał przetykać gorzki smak zazdrości, jaką czuł z powodu wyglądu brata, zwłaszcza kiedy kobiety wzdychały nad gęstymi rudawymi włosami Nigela, jego bursztynowymi oczami i złotą skórą.

Teraz, tak jak to było wiele razy w przeszłości, Balfour uległ pozytywnej wizji nadchodzącej bitwy roztoczonej przez Nigela. Sam jednak był przekonany, że idą na śmierć i równie łatwo mogą stać się przyczyną śmierci Erica. Balfour postanowił

jednak, że spróbuje przyjąć pozycję gdzieś pomiędzy.

- Jeśli Bóg jest z nami, to wygramy - powiedział w końcu.

- Ocalenie takiego słodkiego chłopca jak Erie przed takim draniem jak Beaton powinno przechylić szale boskiej łaski na naszą stronę. - Nigel uśmiechnął się krzywo. — Jeśli jednak Bóg miałby rzeczywiście na to wzgląd, to zdławiłby tę zmiję wiele lat temu.

— Może doszedł do wniosku, że Beaton zasługuje na boleśniejszą i powolniejszą śmierć, która go teraz czeka.

— Zobaczysz, ten człowiek zginie w samotności.

— Wszystko, co powiedziałaś o planach Beatona, ma sens, ale ten człowiek musi być zupełnie szalony, jeśli myśli, że mu się to uda. Pewnie, może przekonać innych, że Erie jest jego synem, a w najlepszym wypadku zmusi ich do tego, by nie pytali o to otwarcie. We wszystkich swoich planach nie wziął jednak pod uwagę naszego brata. Chłopak może być drobny i z natury dobrotliwy, ale nie brak mu siły i sprytu.

Plan Beatona może się udać, tylko jeśli Erie odegra swoją rolę. Jak tylko więzy poluzują się odrobinę i Beaton straci czujność, chłopak pryśnie z tego obłąkanego domostwa.

- To prawda, ale istnieje wiele sposobów, żeby upilnować takiego chłopca. - Nigel westchnął i potarł brodę, próbując odzyskać kontrolę nad emocjami. — Obaj wiemy, że są różne sposoby, by zmącić czyjś umysł. Dorośli, silni mężczyźni, zahartowani w bojach rycerze bywali zmuszani do przyznania się do zbrodni, których nigdy nie popełnili. Zeznania, które potem kosztowały ich życie, wyciągano z ich ust siłą, a później skazywano na śmierć, która nie była ani szybka, ani honorowa. Tak, Erie ma mocnego ducha i cięty dowcip, ale nadal jest tylko małym chłopcem i nikim więcej.

— I jest sam — mruknął Balfour, walcząc z pokusą, by bez zwłoki ruszyć do Dubhlinna, z mieczem w rękę, z głośnym okrzykiem na ustach, domagając się głowy Beatona w białej na pal. - Jedźmy o poranku, wygramy lub nie, ale przynajmniej chłopak będzie wiedział, że nie jest sam, że jego rodzina o niego walczy.

Świt przyszedł spowity w chłodną szarą mgłę. Balfour stał na zatłoczonym dziedzińcu Donncoill i badawczym wzrokiem przyglądał się swoim ludziom, zmagając się z ponurą myślą, że niektórzy z nich nie wrócą z bitwy. Nawet jeśli nie wszyscy w Donncoill kochali Erica, to honor wymagał, by uwolnili go z rąk nieprzyjaciela. Balfour chciał, by istniał jakiś bezkrwawy sposób, by tego dokonać.

— Chodź, bracie - mruknął Nigel, podprowadzając do Balfoura jego konia. —

Musimy wyglądać tak, jakbyśmy łaknęli krwi Beatona i jakby w naszych sercach nie było cienia wątpliwości w zwycięstwo.

Balfour poklepał swojego bitewnego rumaka po muskularnej szyi.

— Wiem o tym i kiedy dosiądziemy koni, nie zobaczysz we mnie wahania.

Modliłem się tylko, by zapanował w końcu czas pokoju, czas gojenia ran, nabierania siły i czas pracy na ziemi. W tej ziemi drzemie bogactwo, ale nigdy nie mamy czasu, by je zebrać. Zanedbujemy ją, by zмагаć się w bitwie, albo nieprzyjaciele niszczą, cokolwiek zbudujemy, i musimy zaczynać wszystko od początku. Jestem pełen głębokiego smutku.

— Rozumiem, o czym mówisz, bo i mnie nachodziły podobne myśli. Tym razem jednak walczymy o życie Erica, a może nawet o jego duszę. Myśl tylko o tym.

— Będę. To aż nadto, by rozbudzić w mężach chęć walki i poprowadzić ich do bitwy. — Wsiadł na konia, przytrzymując go na tyle tylko, by Nigel mógł dosiąść swego, i zaczął wyprowadzać ludzi z dziedzińca.

W drodze zrobił tak, jak zasugerował mu Nigel. Myślał tylko o swoim młodym, słodkim bracie. Wkrótce był już żądny spotkania z Beatonem i jego ludźmi.

Nadszedł też najwyższy czas, by położyć kres zbrodniom tego człowieka i zakończyć jego życie.

Nigel spadł z konia. Jedna strzała sterczała z jego piersi, druga /, prawej nogi.

Balfour ryknął. Z jego ust padło przekleństwo, a obawa i wściekłość wzmocniły jego głęboki głos. Zsiadł z konia i utorował sobie drogę przez osaczoną przez wrogów armię, aż dotarł do Nigela. Nie dbał o to, jak bardzo wystawia się na grad strzał spadających na nich z murów I hiblinna. Gdy przykucnął przy bracie, zobaczył, że Nigel wciąż oddycha.

- Módl się - powiedział Balfour, dając znak swoim ludziom, żeby podnieśli Nigela.

- Nie, nie możemy się poddać z mojego powodu — zaprotestował Nigel, kiedy wynoszono go w bezpieczniejsze miejsce. — Nie możemy pozwolić draniowi wygrać.

Balfour wydał rozkaz, by przygotowano nosze dla Nigela, a potem spojrzał na brata.

- On wygrał tę bitwę, a my wystawiliśmy się na jego atak na tym przeklętym polu.

Wiedział, że przyjdziemy po Erica, i był na to przygotowany.

- Chwyć bladego pazia i odciągnął go od innych chłopców stojących przy koniach.

- Wezwij do odwrotu, chłopcze. Opuścimy to miejsce, bo inaczej nas tu wszystkich pochowają.

Nigel zaklął siarczyście, kiedy chłopiec oddalił się w stronę oddziałów.

- Niech oczy tego łotra zgniją w jego twarzy.

- Porażka to gorzki trunek - powiedział Balfour, klękając przy Nigelu.

— Nie możemy jednak wygrać tej bitwy. Możemy tu tylko zginąć, a w ten sposób nie pomożemy Ericowi. Dubhlinn jest mocniejszy, niż pamiętałem czy nawet sobie wyobrażałem. Musimy uciekać, wylizać się z ran i zastanowić nad innym sposobem uwolnienia brata ze szponów Beatona. - Wy dwaj! — krzyknął, wskazując na dwóch starszych paziów. - Chodźcie i przytrzymajcie Nigela, kiedy będę wyjmować strzały z jego ciała.

Chłopcy stanęli po bokach Nigela, a Balfour zabrał się do pracy. Kiedy wyciągał

pierwszą strzałę, Nigel krzyknął i zemdlał. Balfour wiedział, że to nie uchroni brata przed bólem. Działał jednak tak szybko, jak tylko odwaga mu pozwalała. Po chwili usunął drugą strzałę. Podarł własną koszulę na bandaże, którymi opatrzył rany, krzywiąc się na widok krwi. Kiedy załadował Nigela na nosze, ludzie byli już w pełnym odwrocie. Nie tracił więcej czasu, by do nich dołączyć.

Odwrót był ciężki, ścisnęło go w żołądku, ale musiał pogodzić się z sytuacją. Kiedy rano dotarł do otwartej przestrzeni otaczającej Dubhlinn, wiedział już, że się pomylił. Jego ludzie ruszyli do ataku, zanim mógł ich powstrzymać. Obrona Beatona szybko okazała się silniejsza i zaczęła siać śmiertelne spustoszenie. Balfour smucił się, ale jednocześnie był wściekły z powodu śmierci i ran, jakie odnieśli jego ludzie, zanim zdołał wyciągnąć ich z tej rzezi. Miał tylko nadzieję, że za to szaleństwo nie zapłacił zbyt wysokiej ceny. Kiedy maszerowali z powrotem do Donncoill, wybrani ludzie strzegli tyłów, a Balfour w myślach prosił Boga, by pomógł mu opracować taki plan uwolnienia Erica, by nie zostało rozlane więcej krwi lub przynajmniej nie tak dużo, ile wsiąkło w pola Dubhlinna tego feralnego dnia. Spoglądając na odzyskującego przytomność Nigela, miał też nadzieję, że próba uwolnienia jednego brata nie będzie go kosztowała utratę drugiego.

Mroźące krew w żyłach odgłosy bitwy zmąciły spokój i przyjemność, jaką budził

ten wyjątkowo ciepły wiosenny poranek.

Kirkcaldy zakłęta i zawahała się, czy iść dalej w stronę Dubhlinna. Jej nieprzerwany dotąd marsz zaczął się u grobu matki trzy miesiące wcześniej. Jak tylko spowite całunem ciało zostało opuszczone do grobu, przysięgła, że dziedzic Dubhlinna słono zapłaci za całe zło, które im wyrządził. Przygotowała się na wszystko, na złą pogodę, brak schronienia i posiłku, ale nie przyszło jej do głowy, że w dotarciu do celu przeszkodzi jej bitwa.

Maldie usiadła na skraju gościńca porytego głębokimi koleinami i rzuciła gniewne spojrzenie w stronę Dubhlinna. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie podejść bliżej miasta. Byłoby dobrze wiedzieć, który z sąsiednich klanów próbuje zniszczyć potęgę Beatonów. Odrzuciła jednak tę kuszącą myśl. Niebezpiecznie było podchodzić zbyt blisko bitwy, zwłaszcza kiedy nie było się znanym żadnej ze stron.

Nawet ci, którzy szli w ślad za braćmi z klanu, znani przyjacielom, jak i wrogom, ryzykowali życie, podchodząc zbyt blisko bitwy. Zawsze istniało ryzyko, że spotka się z wrogami Beatona, pomyślała. Wszystko, co musiała zrobić, to przekonać przeciwników Beatona o tym, że jest ich sprzymierzeńcem, przydatnym i dobrym.

Rysując coś bezmyślnie patykiem na drodze, Maldie potrząsnęła głową i zaśmiała się z własnej głupoty.

— Jasne, a wtedy każdy dzielny, pasowany rycerz w tym kraju z radością ogłosi Maldie Kirkcaldy swoją towarzyszką broni.

Rozejrzawszy się szybko wokoło i upewniwszy się, że jest sama, Maldie zatopiła dłonie w swoich gęstych, niesfornych włosach i przeklęła. Była szczupła i drobna, a jednak udało jej się przetrwać samotnie, wędrując po ziemiach, których nie znała.

Byłoby szaleństwem wyzbyć się ostrożności, która utrzymywała ją przy życiu, zwłaszcza teraz, kiedy była tak blisko wypełnienia swojej przysięgi. Nigdy przedtem nie spędziła tyle czasu zupełnie sama, jedynie w towarzystwie swoich mściwych myśli, i doszła do wniosku, że jej umysł jest zmacony. Maldie zdawała sobie sprawę, że będzie musiała być teraz ostrożniejsza niż dotąd. Polec teraz, kiedy była tak blisko zemsty, o którą błagała ją matka, byłoby gorzką porażką.

Odgłosy bitwy powoli słabły i Maldie zaczęła się zbierać do drogi. Instynkt podpowiadał jej, że bitwa dobiegała końca. Droga, na której się znalazła, nosiła ewidentne znaki niedawnego przejścia żołnierzy. Armia wkrótce będzie wracać tą samą trasą, krocząc dumnie w glorii zwycięstwa lub zgięta pod ciężarem porażki.

Każda z tych sytuacji mogła nieść ze sobą zagrożenie. Maldie strzepnęła kurz ze swojej łatanej spódnicy, mimo że wracała w kryjące zarośla i targane wiatrem drzewa porastające pobocze drogi. Nie było to najlepsze schronienie, ale musiało jej wystarczyć. Jeśli armia powracająca tą drogą będzie zwycięska, to nie będzie dopatrywać się możliwych zagrożeń,

jeśli zaś przegrana, to będzie raczej obserwowała tyły. W obu przypadkach będzie bezpieczna, jeśli zachowa się cicho.

Kiedy przykucnęła w zaroślach i popatrzyła w dół drogi, przez kilka chwil wydawało jej się, że jednak się pomyliła i nikt nie będzie tędy szedł. Wtedy usłyszała słabe, ale charakterystyczne dźwięczenie końskich uprzęży. Zastygła w oczekiwaniu, zastanawiając się gorączkowo, co powinna zrobić. Mimo że dumna część jej duszy podpowiadała, że poradzi sobie sama, to jednak wiedziała, że jeden albo dwóch sojuszników mogłoby się jej przydać. Jeśli nie zyska niczego innego, to przynajmniej wygodniejsze miejsce do czekania na odpowiedni moment, kiedy będzie mogła wykorzystać całą wiedzę, którą zdobyła przez ostatnie trzy miesiące.

Zdołała właśnie przekonać siebie samą, że wrogowie Beatona są jej przyjaciółmi, że może tylko zyskać, zbliżając się do nich, kiedy zobaczyła pierwszych rycerzy i jej pewność osłabła. Już z daleka widać było, że wojska, które wracały spod Dubhlinna, poniosły klęskę. Jeśli armia wyćwiczonych, odzianych w zbroję i wyposażonych w broń rycerzy nie zdołała pokonać Beatona, jaką ona mogła mieć nadzieję? Maldie szybko odsunęła od siebie tę ponurą wątpliwość, choć nie było to łatwe, gdy patrzyło się na rycerzy idących ciężkim krokiem w jej stronę. Jeśli Beaton był w stanie pokonać ich siłą i umiejętnością, to do czego mogli się jej przydać? Gdy podeszli bliżej dostrzegła na ich twarzach ból, smutek i znużenie. Wiedziała, że musi podjąć ostateczną decyzję.

Nawet jeden pokonany sprzymierzeniec jest lepszy niż żaden, pomyślała i podniosła się z wolna. Jeśli nie mają nic więcej, to może wiedzą coś, co pomoże jej osiągnąć to, czego pragnęła - śmierć Beaton. Oczywiście, przy założeniu, że wcześniej jej nie zabiją. Modłać się żarliwie, by nie spotkała jej rychła śmierć, Maldie wyszła na drogę.

Rozdział 2

Maldie modliła się, żeby ten wysoki, ciemny rycerz, który ostrożnie się przed nią zatrzymał, nie słyszał, jak szybko i mocno bije jej serce. Mężczyzna nie zrobił

żadnego wrogiego ruchu w jej kierunku, a ona usiłowała rozproszyć swoje obawy.

W pierwszej chwili, kiedy wyszła z gęstego leśnego schronienia, by stanąć przed strudzoną, pokonaną armią, możliwość zdobycia sprzymierzeńców czyniła ten szalony ruch wartym ryzyka. Teraz, kiedy znalazła się twarzą w twarz z wojami, widząc nieprzyjemny wyraz ich twarzy, błoto i krew na ich ubraniach i ciałach, nie była już tego taka pewna. Co więcej, nie była wcale pewna, czy potrafi wyjaśnić swoją tam obecność, sama, na drodze do Dublina, i czy wolno jej od razu wyjawiać mroczne plany zemsty. Ci mężczyźni byli wojownikami, a ona nie obmyślała planów bitwy, tylko skrytobójstwa.

— Możesz mi wyjaśnić, co słaba kobieta robi tu sama na drodze? - zapytał ją Balfour, otrząsając się spod uroku jej przepastnych, zielonych oczu.

— Może chciałam się z bliska przyjrzeć temu, jak srodze pokonał was stary Beaton, panie - odparła Maldie, zastanawiając się, co w tym barczystym rycerzu o ciemnych oczach skłaniało ją do takiej impertynencji.

— Tak, ten łajdak wygrał bitwę - głęboki głos Balfoura był chropowaty i zimny z wściekłości. - Jesteś jedną z tych hien, które tylko patrzą, by zabrać kości zmarłych?

Jeśli tak, to lepiej zejść nam z drogi, a potem idź prosto przed siebie.

Postanowiła zignorować tę obrazę, bo sama była sobie winna.

— Jestem Maldie Kirkcaldy z Dundee.

— Jesteś daleko od domu, kobieto. Co cię sprowadza do tego przeklętego miejsca?

— Szukam kilkorga z moich krewnych.

— Kogo? Mogę znać ich rodziny i pomóc ci ich odszukać.

— Jesteście łaskawi, panie, ale nie sądzę, byście mogli mi pomóc. Moi krewni nie mogą znać ludzi tak wysoko urodzonych jak wy, panie. - Zanim Balfour mógł

zażądać więcej wyjaśnień, jej uwagę przykuł mężczyzna leżący na noszach. - Wasz towarzysz, panie, wygląda na poważnie ранego, może mogłabym pomóc? —

Zbliżyła się do ranego, ignorując to, że wielki rycerz zastygł bez ruchu, jakby starając się ją powstrzymać. - Nie będą to czcze przechwałki, kiedy powiem, że mam dar uzdrawiania.

Pewność, z jaką wypowiadała słowa, kazała Balfourowi ustąpić, ale po chwili mężczyzna skrzywił się gniewnie. Nie spodobało mu się, że z taką łatwością uległ

kobiecy słowom. Nie było to mądre, by tak szybko zawierzyć nieznajomej. Bez wątpienia była piękna - od niesfornych włosów po drobne obute stopy — ale surowo przestrzegał samego siebie, by nie dać się zbyt łatwo zwieść ładnej buzi. Stał po drugiej stronie noszy Nigela i obserwował uważnie, jak ta drobna kobieta podkasuje spódnice i klęka przy jego bracie.

- Jestem Sir Balfour Murray, pan na Donncoill, a ten człowiek to mój brat, Nigel —

powiedział, przykucając, by lepiej obserwować każdy ruch jej bladych, delikatnych dłoni. Rękę trzymał na rękojeści schowanego w pochwie miecza. - Został pokonany, kiedy nasi wrogowie użyli podstępny i oszustwa, by zwabić nas w pułapkę.

Maldie obejrzała rany Nigela. Wiedziała już, co powinna zrobić, i przeklinała w duchu brak odpowiednich medykamentów. Po chwili rzekła: — Zawsze mnie zadziwia, kiedy mężczyźni myślą, że ich wrogowie będą honorowo przestrzegać wojennych zasad. Gdybyście postępowali odrobinę ostrożniej, to może nie ginęlibyście w tak wielkiej liczbie. - Skrzywiła się z obrzydzeniem na widok brudnych szmat, którymi opatrzone były rany, i usunęła je. - Nie jest rozsądne wierzyć, że człowiek pasowany na rycerza, będzie zachowywał się równie honorowo, jak nakazywałaby mu to jego pozycja.

Balfour zmarszczył czoło na dźwięk jej miękkiego, głębokiego, ale i pełnego lekceważenia głosu. Był to tylko cichy dźwięk, ale niósł ze sobą olbrzymie emocje -

złość, gorycz i zupełny brak szacunku. Chociaż jej prosty czarny płaszcz wskazywałby na niskie urodzenie, to nie okazywała żadnych względów komuś, kto stał ponad nią, ani też, jak sądził Balfour, nikomu innemu wśród szlachetnie urodzonych.

Przyglądał jej się badawczo, kiedy przemywała rany Nigela i opatrywała je, by powstrzymać krwawienie. Nigelowi wyraźnie ulżyło. Balfour uznał, że jej deklaracje nie były bezpodstawne, faktycznie potrafiła uzdrawiać. Wyglądało to tak, jakby wystarczył jej dotyk, żeby zmniejszyć cierpienie chorego. Kędy zobaczył, jak delikatnie odgarnia włosy z czoła Nigela, zaczął się zastanawiać, jak by to było, gdyby jej smukłe palce dotykały jego skóry. Zaniepokoiło go, że jego ciało tężeje od tych myśli. Wzdrygnął się i odepchnął je od siebie, a z nimi niewczesne pobudzenie.

Trzeba będzie sporo wyjaśnić, przyznał niechętnie, przyglądając się całej postaci.

Była drobna, a jej płaszcz był stary, znoszony, ale ponętnie dopasowany do szczupłej, kształtnej figury. Miała sterczące, pełne piersi, wąską talię i kusząco zaokrąglone biodra. Jak na tak niewysoką kobietę miała wyjątkowo długie nogi, szczupłe i pięknie wyrzeźbione, o stopach tak małych, że przypominały stopy dziecka. Jej niesfornie kruczoczarne włosy przytrzymane były czarnym rzemieniem.

Grube loki okalały twarz, muskając blade policzki. Przepastne, zielone oczy były tak duże, że dominowały w drobnej

twaryczce w kształcie serca. Długie, gęste rzęsy podkreślały te śliczne oczy, a delikatnie zaokrąglone ciemne brwi idealnie je zwieńczyły. Miała mały, zadarty nosek. Pod pełnymi, kuszącymi ustami znajdowała się ładna bródka. Balfour zastanawiał się, jak to możliwe, że ta kobieta wygląda tak młodo i delikatnie, a jednocześnie tak zmysłowo.

Pragnę jej, pomyślał z mieszaniną zdziwienia i rozbawienia. Bawiło go, że pragnął

kogoś tak drobnego, zarozumiałego i zaniedbanego. Zdziwienie z kolei budził fakt, jak szybko i mocno zaczął jej pożądać - szybciej i mocniej niż jakiegokolwiek kobiety przed nią. Głód, jaki w nim drzemał, był tak głęboki i silny, że ptawie go przeraził.

Takie pożądanie mogło sprawić, że człowiek zaczynał zachowywać się niemądrze.

Próbował oczyścić myśli i zająć się tylko zdrowiem Nigela.

- Mój brat już wygląda lepiej - powiedział.

- Miłe to słowa, ale świadczą o tym, że niewiele wiecie o uzdrawianiu, panie -

odpowiedziała Maldie, przysiadając na piętach. Otarła ręce o spódnicę i wtedy napotkała ciemne spojrzenie Balfoura. - Nie zrobiłam nic więcej ponad przemycie ran z krwi i brudu i nałożenie czystych bandaży. Nie mam nic, żeby należycie opatrzyć jego rany.

- Czego ci trzeba? - Jego oczy rozszerzały się, w miarę jak recytowała długą listę rzeczy, z których wiele nie było mu w ogóle znanych. - Nie zabieramy czegoś takiego na bitwę.

- Może powinniście. W końcu to właśnie podczas bitew was, głupców, to spotyka.

- Nie jest niczym głupim próba uwolnienia młodszego brata ze szponów człowieka takiego jak Beaton. - Jednym ruchem ręki uciszył ją, kiedy otworzyła usta. -

Zmarnowałem tu zbyt dużo czasu. Nie mogę mieć pewności, że psy Beatona wróciły do swoich legowisk. Równie dobrze mogą jeszcze ujadać. Musimy znaleźć schronienie dla Nigela i zająć się nim.

Maldie wstała i otrzepała ubranie.

- Tak, lepiej się pospieszcie.

- Tak dobrze ci poszło, nawet bez tego, czego potrzebowałeś. Ciekaw jestem, jakich cudów możesz dokonać, mając to wszystko pod ręką.

- Co macie na myśli, panie?

- Pojedziesz z nami do Donncoill.

- Mam być waszym więźniem, panie?

- Nie, moim gościem.

Otworzyła usta, by dać mu twardą i szorstką odmowę, ale potem zacisnęła je i przełknęła ostre słowa. Nie był to dobry czas na sprzeciw i upór. Z trudem przypominała sobie korzyści, jakie mogą płynąć z połączenia jej losu z losem Balfoura. Był w stanie wojny z Beatonem i mimo że przegrał dzisiaj bitwę, to nadal miał ludzi i broń, która pozwoliłaby mu na wyrzą-

dzenie trwałej i bolesnej szkody dziedzicowi z Dubhlinna. Miałaby też zapewnione schronienie i pożywienie na czas przygotowywania zemsty.

Były też pewne trudności, pomyślała. Beaton wyrządził Balfourowi jakąś poważną krzywdę. Jeśli Balfour odkryje jej pochodzenie, Maldie może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Mogą ją też czekać kłopoty, jeśli nazbyt wcześnie odkryje cel swojej podróży do Dubhlinna. Jeśli z nim pojedzie, będzie musiała go oszukiwać, a wszystkie zmysły i instynkt podpowiadały jej, że Sir Balfour Murray niełatwo wybacza zdradę. Jej plan zdobycia sojusznika był daleko mniej niż łatwy.

Kiedy tak mu się przyglądała, pojawiła się jej w głowie jeszcze jedna możliwa komplikacja. Rozpoznała ten błysk w ciemnych oczach. Widziała go zbyt często.

Pragnął jej. Martwiło ją, że zdarzy się coś, co nie miało miejsca nigdy wcześniej - że odpowie na to pragnienie. Pożądanie tego ciemnego rycerza nie wzbudzało w niej złości, niesmaku i pogardy jak to, które widziała u innych mężczyzn.

Niepokoilo ją też to, że była go ciekawa. Niewątpliwie był przystojny, ale widziała innych, równie przystojnych. W jego ciele była siła, którą każda kobieta musiała docenić. Przyjemnie było patrzeć na jego twarz, z wysokimi kośćmi policzkowymi, długim, prostym nosem i mocną szczęką. Jego ciemnobrązowe włosy sięgające ramion były gęste i faliste, a gdy padały na nie promienie słońca, mieniły się czerwono i złoto. Jej zainteresowanie wzbudziły jednak głównie oczy. Były koloru miękkiego, głębokiego brązu, otoczone niezwykle gęstymi, czarnymi rzęsami, poniżej delikatnie zarysowanych łuków brwiowych. Odrobinę zmieszana jego niewzruszonym spojrzeniem, opuściła wzrok i szybko zdała sobie sprawę, że niebezpiecznie było na niego patrzeć. Miał piękne usta. Dolna warga była nieznacznie pełniejsza od górnej. Mogła sobie aż nadto łatwo wyobrazić, jak się go całuje.

Pospiesznie odwróciła się od niego i podniosła z ziemi swój mały tobołek.

- To bardzo uprzejme z waszej strony, że oferujecie mi schronienie, ale wiosna jest już późna i zostało kilka krótkich miesięcy dobrej pogody. Nie mogę teraz przerwać podróży. Muszę znaleźć moich krewnych, jeśli nie chcę szukać schronienia przed zimową zamięcią.

- Jeśli opieka nad Nigelem się przedłuży, znajdziesz schronienie w Donncoill. —

Złapał ją za ramię i pociągnął w stronę swojego konia. — Nigel bardzo potrzebuje twoich

umiejętności.

- W takim razie to nie zaproszenie, ale rozkaz.

Balfour objął ją wpół i posadził na siodle, myśląc przelotnie, że przydałoby się jej kilka sowitych posiłków, bo ważyła niewiele więcej niż dziecko.

- Jeśli postarasz się myśleć o tym jak o zaproszeniu, twój pobyt w Donncoill będzie o wiele przyjemniejszy.

- Czyżby? Nie jestem pewna, czy potrafię sobie wmówić aż tak wielkie kłamstwo.

- Spróbuj.

Uśmiechnął się do niej i poczuła, jak jej oddech przyspiesza. Jego uśmiech był

szczerzy i ujmujący. Nie było w nim podstępu ani arogancji, nie był to nieuczciwy grymas, tylko zapowiedź przyjemności, do jakiej ją zapraszał. Nie tylko jego wygląd mógł stanowić dla niej zagrożenie, ale on sam. Zaczynała myśleć, że Sir Balfour Murray miał w sobie wiele dobrych cech, o które od dawna nie podejrzewała żadnego z mężczyzn. Maldie wiedziała, że będzie jej trudno zachować swoje tajemnice.

Uśmiechnęła się słabo.

- Jak sobie życzycie, mój panie. A kiedy wasz brat wyzdrowieje, czy wolno mi będzie odejść?

- Oczywiście - odpowiedział, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego te słowa przysły mu z takim trudem.

- W takim razie lepiej ruszajmy, panie, bo dzień szybko odchodzi, a waszemu bratu wieczorny chłód nie robi dobrze.

Balfour kiwnął głową, dał ludziom znak, by wznowili marsz, a sam ustawił się obok noszy Nigela.

Zauważył, że drobna Maldie bez problemu prowadzi jego bitewnego konia, mimo przytroczonych do niego noszy. Co więcej, koń zdawał się zadowolony, że ma na silnym grzbiecie tę drobną osóbkę. Uszy położył po sobie i chciwie łapał słowa, które do niego szeptała.

- Ta kobieta umie się też obchodzić ze zwierzętami - powiedział Balfour, spoglądając w dół na brata.

- A tak, z końmi i z mężczyznami - mruknął Nigel.

- Dlaczego ona cię tak niepokoi? Przecież ulżyła ci w bólu. Widzę to po twojej twarzy.

- Zmniejszyła ból, to pewne, że na tym się zna. Jest też ładna. Drobna kobietka z najpiękniejszymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałem. Jednak nadal nie wiemy, kim ona jest. Z pewnością ma swoje tajemnice, Balfourze, jestem o tym przekonany.

- A dlaczego powinna nam wszystko o sobie powiedzieć? Wie o nas niewiele więcej niż my o niej. Jest po prostu ostrożna.

- Mam nadzieję, że to tylko przeczucie, a ona wykazuje zwykłą nieufność wobec obcych. Niebezpieczne to czasy i nie wolno zbyt szybko ufać ani też ulegać urokom pięknej buzi. Jeden fałszywy krok może kosztować młodego Erica życie.

Balfour skrzywił się, patrząc na plecy Maldie. Nigel miał rację. Nie był to dobry czas, żeby zaprzętać sobie myśli piękną kobietą. Nie chciał pozwolić jej odejść, ale przysiągł sobie, że będzie ostrożny. Jego rodzina dość się nacierpiała na skutek bezmyślnego pożądanego. Nie popełni błędów swojego ojca.

Maldie zobaczyła pierwszy raz Donncoill, kiedy minęli gęsty las. Zbudowano go na zboczu łagodnego wzgórza, po którym się pięli. Zamek wyglądał i bezpiecznie, i przerażająco. Ziemia wokół niego wyglądała na żyzną, zdolną obdarować Murrayów takim bogactwem, jakiego pozazdrościłoby im wielu Szkotów, ale nawet pobieżne spojrzenie mówiło jej, że potencjał tej ziemi nie jest w pełni wykorzystany.

Maldie mogła tylko podejrzewać, że ta bitwa była zaledwie jedną z wielu.

Konieczność ciągłej walki kradła ludziom czas, którego nie mogli poświęcić, by zebrać plony tej bogatej krainy. Zastanawiała się, czy mieszkańcy tych ziem kiedykolwiek zmadrzeją na tyle, by zrozumieć, co tracą poprzez swoje nieustanne waśnie i bitwy.

Pospiesznie odepchnęła od siebie te ponure myśli. Nie było sensu opłakiwać spraw, których nigdy nie zdoła zmienić. Zwróciła całą swoją uwagę na zamek, do którego zmierzali. Donncoill, zbudowany za wysokimi kamiennymi murami, nie nosił

śladów zaniedbań, które widać było na okolicznych ziemiach. Widać było, że posiadłość rozbudowywano i wzmacniano. Po prawej stronie starej wieży biegło skrzydło prowadzące do drugiej węższej wartowni. Inne skrzydło rozbudowane na lewo od starej struktury prowadziło do czegoś, co ewidentnie było kolejną wieżą.

Matka często umiała jej czas opowieściami o wielkich zamkach Francji i Anglii.

Maldie zaczynała myśleć, że Sir Balfour Murray widział takie miejsca albo przynajmniej słyszał te same opowieści. Ten zamek, ukryty za grubymi murami, będzie mógł się wkrótce równać każdemu, o którym z takim podziwem opowiadała jej matka.

- Prace postępują bardzo wolno - powiedział Balfour i ściągnął lejce.

Maldie modliła się, by nie zauważył, jak bardzo była speszona zarówno jego nagłym pojawieniem się u jej boku, jak i jego bliskością. Cedząc słowa, powiedziała: - Może powinniście, panie, częściej chować miecz do pochwy.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł spocząć, ale obawiam się, że Beaton nie podziela moich nadziei na pokój.

- Mówicie o pokoju, a maszerujecie na bitwę. Jestem pewna, że Beaton nie zapraszał was do siebie.

- Owszem, zaprosił. Gdyby wysłał posłańca, nie zrobiłby tego wyraźniej. Porwał mojego młodszego brata Erica, wysłał swoje kundle na moje ziemie, gdy chłopak był na polowaniu.

- Tak więc mógł się spodziewać, że zawitacie u jego wrót.

Balfour pokiwał głową, zażenowany tym, co teraz otwarcie pojmował jako swoją głupotę.

- Tak, spodziewał się. Wiedziałem, że nasz atak był pomyłką, już w chwili, kiedy wyszliśmy na otwarte pole przed murami jego twierdzy.

Wtedy zawołałem do niego, by wyszedł i ze mną porozmawiał, żebyśmy spróbowali rozwiązać sprawę bez rozlewu krwi. Zwiódł mnie, dając mi do zrozumienia, że tak się stanie i, ach, co za głupiec ze mnie, podszedłem bliżej. To była pułapka. Ale zwabił mnie tam, żeby zabijać bez wysiłku i żeby moi ludzie stracili czujność.

Prawie się udało. Jego strzały miały za krótki zasięg, ale moi ludzie okazali się mądrzejsi ode mnie. Nie uwierzyli w obietnicę pokoju złożoną przez Beatona.

- Więc zostaliście tam, żeby on mógł was ścinać, jak kłosa w czasie żniw.

- Niczego nie rozumiesz, kobieto. - Balfour przez chwilę zastanawiał się, dlaczego traci czas i wyjaśnia jej swoje postępowanie i przebieg bitwy, ale zdał sobie sprawę, że po prostu lubi do niej mówić. Podejrzywał również, że próbuje wytłumaczyć całą tę gorzką porażkę samemu sobie. — Moi rycerze byli rozwścieczeni tym podłym oszustwem i pragnęli krwawej zemsty. Są tak samo znużeni tą nieustanną wojną jak ja, ale wpadli w sidła własnej wściekłości. Wystarczył moment, by zdać sobie sprawę, że dzień był dla nas stracony, ale ludzie nie chcieli odpuścić, a żądza krwi i zapamiętanie w bitwie łatwo tę zaciekłość tłumaczy. Kiedy Nigel padł, opamiętali się na tyle, żeby usłuchać mojego wezwania do odwrotu.

- A Beaton nadal przetrzymuje waszego brata... - Maldie wbrew sobie zaczynała współczuć Balfourowi. Nie chciała się przejmować jego troskami i zmartwieniami.

Miała dość własnych.

- Tak, ale przynajmniej mały Erie wie, że Murrayowie będą o niego walczyć.

- A dlaczego miałby myśleć inaczej? Przecież to wasz brat.

Balfour skrzywił się i zawahał, ale doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby, by robić z tego tajemnicę.

- Erie jest tylko w połowie moim bratem. Mój ojciec miał romans z jedną z żon Beatona i ten odkrył ich związek. Kiedy Erie się urodził, Beaton porzucił dzieciaka na zboczu wzgórza. Jeden z naszych ludzi go znalazł. Nie było trudno zorientować się, kim było dziecko i dlaczego je porzucono.

- I tak zaczęła się wojna.

- Tak, właśnie tak, a śmierć mojego ojca jej nie zakończyła. Beaton postanowił teraz uznać Erica za syna, bo sam nie był w stanie żadnego spłodzić. Chce wykorzystać chłopaka jako tarczę między sobą a tymi, którzy ostrzą sobie zęby na to, co po nim zostanie. Musimy uratować Erica, zanim choroba osłabi Beatona na tyle, że nie będzie mógł bronić się przed wilkami lub zanim pozbawi go życia.

- Beaton umiera?

Maldie przygryzła policzek, zanim łzy zasnuły jej oczy. Nie musiała patrzeć w zwężone oczy Balfoura, żeby wiedzieć, że jej reakcja na te wieści była podejrzana.

Jej głos był zbyt ostry, zbyt pełen emocji. Myśl, że wiek i choroba Beatona mogą pozbawić ją szansy na zemstę, przepełniła ją wściekłością. Jeśli Beatem umrze, ona nie będzie mogła wypełnić obietnicy, jaką dała matce. Maldie zdawała sobie sprawę, że wszystko to słychać było w jej głosie.

Modliła się, żeby mogła zagadać palącą ciekawość Sir Murraya.

- Tak mi właśnie powiedziano - potwierdził Balfour, przyglądając się jej z bliska, zaskoczony nagłym rumieńcem na jej twarzy i tym, że równie nagle oznaki pobudzenia zniknęły.

- Wybaczcie, panie - powiedziała Maldie - ale przez chwilę jedyne, o czym mogłam myśleć, to to, że podnosicie swój miecz na starego umierającego człowieka. Później przypomniał mi się wasz brat.

- Nie wierzysz zbyt w męski honor, prawda?

- Nie, nigdy nie dano mi powodów, żeby wierzyć w takie rzeczy. — Wpatrywała się w ogromne, nabijane żelazem wrota Donnoill, które otworzyły się przed nimi. - W

tak zaczęj siedzibie musi być jakaś uzdrowicielka i nie potrzebujecie już moich umiejętności, panie. - Spojrzała na Balfoura, który posłał jej przelotne spojrzenie.

- Była tu kiedyś kobieta, która miała wielkie umiejętności, ale minęły już dwa lata, jak umarła. Ta, którą próbowała wyszkolić, nie ma ani sprytu, ani zdolności. Na wszystkie choroby stosuje pijawki. Mam wrażenie, że jej brak troski przyspieszył

śmierć mojego ojca.

- Pijawki... — mruknęła Maldie i potrząsnęła głową. - Mają pewne zastosowania, ale zbyt często źle się ich używa. Wasz brat krwawił już wystarczająco długo, żeby wszystkie trucizny opuściły jego ciało.

- Też tak uważam.

- Jednak nie chciałabym urazić tej kobiety.

- Nie zrobisz tego. Ona nie lubi tej pracy, robi to, ponieważ nikt inny nie może ani nie chce, no i daje jej to pewien prestiż. Mogę z łatwością znaleźć jej inne zajęcie, które zapewni jej taki sam szacunek i pozycję wśród innych kobiet.

Maldie pokiwała głową, ale skupiła się zaraz na tym, co działo się na dziedzińcu, na który właśnie wkraczali. Był pełen ludzi, ale niewiele osób zwracało na nią uwagę.

Przeszywające krzyki rozpacz rozpoczęły się chwilę później, a ona chciałaby móc zamknąć na nie uszy. Już jako małe dziecko potrafiła wyczuć emocje innych i smutek tych, którzy stracili ukochaną osobę w bitwie. Teraz ból tych ludzi dławił ją i ścisnął jej wnętrzności. Kolejny raz żałowała, że matka nie nauczyła jej osłaniać się przed tym natłokiem emocji, ale zaraz skarciła się za to, że jest tak niewdzięcznym dzieckiem. Przynajmniej potrafiła wykorzystać swój dziwny dar, by od czasu do czasu zarobić kilka tak potrzebnych monet. Spróbowała się uspokoić, wzięła kilka głębokich wdechów i oczyściła serce i umysł z bombardujących ją myśli innych ludzi.

- Źle się czujesz? - spytał Balfour, pomagając jej zejść z konia, zmartwiony tym, że tak nagle zbladła i że jej skóra zrosiła się potem.

- Nie, jestem tylko zmęczona - odpowiedziała i szybko skupiła się na Nigelu. -

Trzeba go będzie położyć do łóżka. Podróż na noszach była wystarczająco trudna.

Słońce już zachodzi, robi się chłodno.

- Myślę, że i tobie należy się odpoczynek.

Potrząsnęła głową, ruszając za mężczyznami, którzy nieśli Nigela w stronę domostwa.

- Wszystko będzie dobrze. To przez tę jazdę na koniu. To świetny rumak, który potrzebuje tylko dobrego słowa i daje się prowadzić, ale nie przywykłam do jazdy.

Niech się pan nie martwi, Sir Murray, jestem wystarczająco zdrowa, żeby zająć się pana bratem i przywrócić mu siły do boju.

Balfour uśmiechnął się, patrząc, jak podąża za jego bratem do domu. Przez chwilę wyglądała na tak przejętą żalobą kobiet płaczących na dziedzińcu, że była bliska omdlenia. Po chwili jednak, choć nadal blada i drżąca, dumnie kroczyła w stronę wejścia. Nigel miał rację. Ta dziewczyna kryła w sobie tajemnicę. W okamgnieniu potrafiła przejść od współczucia do pogardy. I jeszcze ta dziwna reakcja na wieść, że Beaton jest umierający. Jej oczekiwania co do jego reakcji okazały się jednak niesłuszne. Nadal pożądał Maldie Kirkcaldy bardziej niż powinien, bardziej, niż wskazywałby na to zdrowy rozsądek, ale teraz był już ostrożny. Kiedy życie Erica wisiało na włosku, nie mógł sobie pozwolić na to, żeby uczucia pozbawiły go mą-

drości. Maldie Kirkcaldy miała pewnie jeden lub dwa sekrety i nawet jeśli chciał

zaspokoić pożądanie, jakie do niej czuł, to zamierzał dowiedzieć się dokładnie, jakie to tajemnice.

Rozdział 3

Strudzona Maldie wydała cichy jęk, gdy podnosiła się znad łóżka Nigela.

Pospiesznie spojrziała na chorego i z ulgą spostrzegła, że mężczyzna nadal śpi spokojnie, że nie jęknęła na tyle głośno, żeby go obudzić. Przez trzy długie noce i dni doglądała go, gdy zmagał się z gorączką, pozwalając sobie tylko na krótkie chwile wytchnienia, kiedy Balfour zajmował jej miejsce przy łóżku chorego.

Gorączka w końcu ustąpiła, ale Maldie nadal wahała się, czy może zejść z posterunku.

Podeszła do małego stolika obok wykuszu w ścianie, który służył za okno, i nalała sobie puchar cydru. Ciężko było jej samej opiekować się Nigelem, ale wystarczyło jedno spojrzenie na uzdrowicielkę z Donncoill, Grizel, żeby wiedzieć, że nie powinno się dopuścić tej kobiety na milę do łóżka Nigela Murraya. Grizel była brudna i cierpiała na jakąś chorobę, która pokryła jej skórę okropnymi krostami.

Maldie wyczuwała w niej głębokie nieszczęście i gorycz. Grizel nie tylko nie lubiła być uzdrowicielką, ale też nie lubiła nikogo i niczego. Z takim podejściem nie mogła zajmować się chorymi. Nigdy nie zostanie uzdrowicielką, niezależnie od tego, ile wiedzy zdobędzie, ponieważ nie czuje potrzeby, by kogoś uleczyć czy mu pomóc, nie ma w sobie żadnego współczucia dla kogoś, kto cierpi. Maldie wiedziała, że będzie musiała powiedzieć o tym Balfourowi, zanim opuści Donncoill. Może uda jej się znaleźć kogoś z sercem i umiejętnościami większymi niż te, które posiadała Grizel, kogoś, kto będzie mógł zająć jej miejsce. Ale żeby to jednak zrobić, będzie musiała wyjść z tej komnaty.

Skrzywiła się, dopiła cydr i napełniła powtórnie swój srebrny puchar. Teraz, kiedy mogła już opuścić komnatę, zwlekała. Oznaczało to, że musiałyby skonfrontować się z Balfourem bez Nigela i jego ran w roli tarczy. Maldie wiedziała, że nigdy nie uchybiła swoim obowiązkom przy łóżku chorego, ale zdawała sobie sprawę, że chowała się za jego chorobą za każdym razem, gdy Balfour próbował się do niej zbliżyć.

To tchórzostwo irytowało ją i jednocześnie niepokoiło. Balfour nie próbował jej dotknąć. Jedyne, co go sprowadzało do tej komnaty, to prawdziwa i głęboka troska o brata. Mimo to czuła, że za każdym razem, gdy na nią patrzył, jej krew płynęła szybciej, a zmysły budziły się do życia. Mimo wyczerpania trudno jej było odpocząć, tak bardzo była świadoma jego bliskiej obecności. Nieważne, ile razy powtarzała sobie, że to tylko próżność, nadal czuła jego pożądanie. Przy każdym, najbardziej ulotnym spojrzeniu, najwytworniejszym geście czuła jego zainteresowanie, a jej ciało na nie odpowiadało. Zbytne zbliżenie się do Balfoura mogło okazać się niebezpieczne.

Musiałyby walczyć nie tylko z pragnieniem, ale też z pożądaniem i rozkoszą, jakie pod jego wpływem rozlewały się po całym jej ciele. Maldie zastanawiała się, czy nie powinna była zostać w tych zaroślach na skraju drogi.

— Zaczynam myśleć, że popełniłam wielki błąd — mruknęła pod nosem, wpatrując się w swój kielich.

- Nie sądzę, mój brat wygląda znacznie lepiej - zza pleców doszedł ją głęboki, mocny głos Balfoura.

Maldie pisnęła i z trudem utrzymała kielich, który o mało nie wypadł jej z ręki.

Zaskoczyło ją tak nagłe pojawienie się mężczyzny.

— Pozbawiliście mnie, panie, dziesięciu lat z mojego biednego, krótkiego życia.

Balfour uśmiechnął się. Jej zmieszanie budziło w nim rozbawienie i śmiałość. Na początku zastanawiał się, czy ona się go przypadkiem nie boi, ale szybko odrzucił tę myśl. To nie strach zobaczył w jej pięknych oczach, ale odbicie własnego pożądania. Chciał się dowiedzieć, czy ta niepewność brała się z dziewiczej awersji do takiego pożądania czy z jego mocy, z silnej potrzeby poddania się mu. Ta wiedza ułatwiłaby mu podjęcie następnego kroku. Zaraz potem Balfour zaśmiał się z siebie w duchu. Wiedza, co ona o tym myśli, miała niewielkie znaczenie dla jego planów, no, może poza tym, że pozwoliłaby mu działać szybciej. Pragnął Maldie Kirkcaldy i zamierzał ją mieć.

- Podejdz, nie jestem taki straszny - powiedział miękko, poddając się nie-pohamowanej potrzebie, by pogłaskać ją po gęstych, kręconych włosach.

Mimo że jego dotyk był delikatny i trwał zaledwie chwilę, Maldie była świadoma jego mocy. Stojąc tak blisko, mogła nieomal poczuć zapach pożądania. Jego ciepło wnikało głęboko w jej ciało, rozgrzewając krew, domagając się odpowiedzi. Czowała jego namiętne myśli. Nie musiała z nim rozmawiać. Uwodziły ją równie mocno, co najczulsze pieszczoty. Zadrzała i odsunęła się. Biorąc duży łyk cydru, spojrzała ukradkiem w jego kierunku i skrzywiła się do siebie. Wyraz delikatnego rozbawienia na jego twarzy mówił jej, że odebrał jej zachowanie dokładnie tak, jak powinien, jako wyraz tchórzliwej ucieczki.

— Nie boję się was, panie, ale czuję się nieswojo w tej sytuacji. — Postawiła na stole pusty kielich, zadowolona, że jej ruchy były teraz pewne. Wewnątrz trzęsła się jednak nadal jak grząska ziemia pod naporem galopujących koni. — Uczono mnie, że kobieta powinna unikać przebywania w pomieszczeniu sam na sam z ledwo co poznanym mężczyzną.

- W takim razie mam proste rozwiązanie tego problemu — powiedział.

- Ach tak? Wychodzicie, panie?

— Nie, musisz lepiej mnie poznać. — Uśmiechnął się słodko w odpowiedzi na jej zniesmaczone spojrzenie. — To nie będzie aż tak bolesne. Nie możesz się tu ukrywać cały czas.

- To prawda. Zostanę, dopóki wasz brat nie poczuje się lepiej, a potem ruszę w drogę.

- Mogą minąć miesiące, zanim Nigel wyzdrowieje, ale nie potrzebna mu już nieprzerwana opieka od świtu do świtu. Musisz cieszyć się wiosną.

Maldie przyjrzała mu się z bliska, jej oczy zwężyły się, a podejrzenia rosły.

- Mogę dojrzeć piękno wiosny przez to maleńkie okno. - Ten człowiek z nią flirtował, była tego pewna.

- To prawda, ale to nie to samo, co spacerować wśród tego piękna i oddychać nim -

szeptął. — Wiosnę trzeba poczuć na własnej skórze. — Przesunął dłonią po jej szczupłym ramieniu, ignorując sposób, w jaki uwolniła się spod jego dotyku. -

Musisz pozwolić słodkim, wiosennym podmuchom, by potargały twoje włosy. —

Delikatnie przesunął palcami między jej lokami. Odsunęła się i popatrzyła mu prosto w oczy. — I musisz pozwolić, by to ciepłe, słodkie powietrze złagodziło całą złość i ponury nastrój.

Wsparła ręce na biodrach i przechyliła na bok głowę, na wpół zła, na wpół

rozbawiona.

- Jeśli czujecie, panie, że mój nastrój się psuje, to dlatego, że nie gram w tę grę zbyt dobrze.

Balfour miał nadzieję, że wyraz niewinności, jaki przybrał, był przekonujący, ale jej spojrzenie powiedziało mu, że jej nie nabierze.

- O jakiej grze mówisz? Nie gram w żadną.

- Jesteście kiepskim kłamcą, panie. Flirtujecie ze mną, drażnicie mnie, uwodzicie.

- Może jednak źle mnie osądzasz.

- Z pewnością nie, znam tę grę bardzo dobrze. - Sama myśl o subtelnych, mniej subtelnych, a nawet brutalnych sposobach, jakimi mężczyźni próbowali ją zwabić do swoich łóżek, złościła Maldie. - Próbowano jej na mnie już wielokrotnie.

- Bez skutku? - Balfour był nie tylko zdziwiony tym, jak bardzo pragnął, by była nietknięta, ale też zaniepokoiło go to. Jej niewinność nie powinna go obchodzić, ale było wręcz odwrotnie. Znaczyła dla niego bardzo dużo.

Maldie zamilkła. Nie mogła uwierzyć, że tak bardzo brakowało mu manier, że mógł

zadać takie pytanie. Na początku była obrażona i wściekła. Wielu mężczyzn uważało, że kiedy dziewczyna biedna, to nie ma zasad moralnych, i było zdziwionych, gdy okazywało się inaczej. Nie sądziła, że i Bal-foura cechuje to obraźliwe podejście.

Wzięła głęboki wdech. Ostatnia rzecz, którą chciałaby odkryć, to, że Sir Balfour Murray, jak wielu mężczyzn przed nim, myślał, że skoro jest uboga, to jest dziwką.

Jednak z jakichś powodów pragnęła wiedzieć, dlaczego zadał jej tak niestosowne pytanie.

Na początku trudno jej było przedrzeć się przez jego požądanie i jej ślepą, natychmiastową na nie odpowiedź. Zmusiła się, by spojrzeć głębiej, i poczuła ulgę.

W jego sercu nie było pogardy. Była pewna, że nie miał zamiaru jej obrazić ani też nie miał jej za kogoś, kogo by taka zniewaga nie dotknęła. Zaskoczyło ją, że to pytanie wzięło się z gniewu, obawy, niechcianej ciekawości. Takie uczucia kłębiły się w Balfourze. Sprawiał wrażenie, jakby gdzieś w głębi zależało mu na jej odpowiedzi, jakby okrutnie chciał usłyszeć *tak*, a ona zupełnie nie rozumiała dlaczego.

— Oczywiście, że im się nie udało - odpowiedziała, a gniew sprawiał, że jej głos miał ostry wydźwięk. - Jak dobrze wiecie, panie, nie mam majątku ani wygod, z jakich korzystaliście całe życie. Wychowałam się w surowym i twardym świecie. O

tak, mężczyźni myślą, że jak się jest biedną dziewczyną, to z ochotą zrobi się wszystko dla kilku pensów, uprzyjemniając życie tym, którzy uważają się za lepszych od ciebie. - Ucieszyło ją, że drgnął lekko, co znaczyło, że rozumiał

przyganę. - Nauczyłam się jednak raczej, jak z tym walczyć, a nie jak słodko się uśmiechać i grać dziwkę.

— Nie miałem zamiaru cię obrazić - powiedział.

— Może nie, ale zrobiliście to, panie.

Wziął jej rękę w swoje, zignorował to, że zeszywniała, i pocałował ją w wierzch dłoni.

— W takim razie szczerze proszę o wybaczenie.

— Gdyby te przeprosiny były szczerze, to nie próbowałibyście mnie, panie, teraz nagabywać.

— Ależ tak — uśmiechnął się szeroko i mrugnął do niej. — Tego akurat próbowałbym nadal.

Maldie z trudem złapała oddech, kiedy nagle pociągnął ją ku sobie i wziął w ramiona.

— Dopiero co przeprosiliście mnie za obrazę, panie, a teraz znów zamierzacie ją powtórzyć?

— Nie, ale mam zamiar cię pocałować.

Balfour wiedział, że przekracza wszelkie granice, które jako człowiek honoru nauczony był respektować. Maldie mogła mieć szeroką wiedzę, ale była niewinna, co ją w oczywisty sposób wiele kosztowało. Powinien traktować ją z szacunkiem.

Zamiast tego miał zamiar skraść jej pocałunek, jeśli tylko nie będzie protestować zbyt głośno. To był niewątpliwie błąd, nie chodziło bowiem o to, że próbował

uwieść kogoś tak wymykającego się pułapkom, jak Maldie Kirkcaldy, ale zdał sobie sprawę, że był zbyt słaby, by zapomnieć o pokusie. Była blisko, była piękna i umierał z pragnienia, by ją pocałować. Czuł to od pierwszego momentu, kiedy na nią spojrział. Miał tylko nadzieję, że nie zapłaci zbyt wysokiej ceny za swoją niecierpliwą żądzę.

— Posuwacie się za daleko, panie - powiedziała, odpychając go.

Maldie przeklinała się w duchu. Chciała, by w jej głosie brzmiała wściekłość, chciała mówić tonem zdecydowanym, ostrym i surowym. Zamiast tego jej głos był

słaby, niepewny i odrobinę zachrypnięty. Nawet dla niej samej jej słowa brzmiały niewiarygodnie, podobnie jak próba odepchnięcia go. Instykt podpowiadał jej, że każdy szczerzy gest oporu będzie respektowany, ale wiedziała też, że nie potrafi zebrać w sobie dość siły, by okazać jakikolwiek. Wcale nie chciała odpierać dłońmi jego ciała, przeciwnie. Chciała gładzić jego szeroką klatkę po miękkim wełnianym kaftanie, jaki nosił, chciała poczuć siłę, jaka drzemie pod nim. Była zniesmaczona własną słabością, ale niechętnie przyznawała, że chce, by ją pocałował. Sama chciała oddać mu ten pocałunek.

Trzymał ją mocno. Obejmując ramieniem jej kibić, ujął jej małą brodę między kciuk a palec wskazujący i łagodnie, ale zdecydowanie obrócił jej twarz ku sobie. Maldie była spięta, ale nawet ona nie była pewna, ile w tym napięciu było oporu, a ile oczekiwania. Podjęła ostatnią próbę przymuszenia się do zachowania, które uważała za stosowne, i poległa na całej linii.

Zamiast powtarzać w myślach zdecydowane „nie”, jedyne, o czym mogła myśleć, to jak ciepłe i brązowe były jego oczy, jak długie i gęste jego rzęsy i jak kusząco wycięte jego usta.

W chwili, kiedy zbliżył się do jej warg, Maldie wiedziała, że straciła wszelką szansę na ucieczkę. Jego usta były miękkie, ciepłe i słodkie. Wiedziała, że smak jego pocałunku mógł uwięzić ją w jego ramionach mocniej niż jakikolwiek żelazny łańcuch. Przynaglił jej usta językiem, a ona otworzyła się na niego i zadrżała. Czuła, że otwierając usta, otwierała się także na wszystko, co Balfour czuł, i zdała sobie sprawę, że jej obawy były usprawiedliwione. Nie tylko zniewalała ją moc własnego pożądania, ale też jego pragnienie. Jedno podsycalo drugie. Nawet kiedy jej namiętność rosła, jego żądza zdawała się ją wypełniać, wzmacniając wszystko, co czuła. Ptagnienie przewyciężyło w niej strach.

Kiedy oderwał od niej usta, chwyciła go mocno i wyszeptwała protest. Zaczął ją całować, a ona wzdychała z przyjemności. Kiedy pokrywał jej szyję pocałunkami, odchyliła do tyłu głowę, pozwalając mu na nieograniczony dostęp do siebie. Jego ciepłe wargi dotknęły pulsującej żyły na jej szyi, a ona westchnęła ciężko, czując, jak ciepło natychmiast rozchodzi się po jej ciele. Przesunął dłońmi po jej plecach, delikatnie złapał ją za pośladki i przycisnął do siebie. Maldie usłyszała swój miękki jęk, kiedy poczuła jego męskość. Instyktownie otarła się o niego, delektując się swoim uczuciem, które było echem jego dreszczy. Oboje oddychali ciężko, jakby przebiegli mile. Wiedziała, że ten pocałunek zaprowadził ich poza granice rozsądku i jasnego myślenia.

— Jesteś taka słodka — powiedział Balfour, zaznaczając pocałunkami delikatne linie kości policzkowych. Jego głos był chropowaty i niski.

Przeklął w duchu nieodpowiedniość tych słów. To, co Maldie z nim robiła, zasługiwało na większe pochwały i poezję, która kruszyłaby skały. Nawet gdyby jednak posiadał takie umiejętności, to teraz zamilkł, bo znów zaczął ją całować.

Wątpił, by w tej chwili stać go było na więcej. Jej smak, zapach i dotyk jej drżącego ciała, które było tak blisko, pozbawiły go spójnego myślenia. Teraz chciał tylko jednego - ukryć się głęboko w niej.

- Maldie - wyszeptał, delikatnie nakierowując ją w stronę łóżka. - Kochana Maldie.

Jesteś taka gorąca, ty też.

- Tak - za każdym razem, kiedy odsuwał się, ona pospiesznie ruszała za nim, desperacko szukając jego ciepła. - Myślę, że to czary.

— Czary, które spętały nas oboje.

Uderzyli o łóżko i Nigel jęknął. Maldie poczuła, że całe ciepło opuszcza ją z zaskakującą prędkością. Uwolnwszy się z objęć zszokowanego Balfou-ra, zachwiała się i popatrzyła z przerażeniem na śpiącego Nigela.

Pierwsza trzeźwa myśl Maldie była krótkim dziękczynieniem za to, że Nigel się nie obudził, że niczego nie widział. Potem ogarnął ją gniew, chociaż nie była do końca pewna, czy bardziej była zła na Balfoura za to, że prawie zdołał ją uwieść, czy na siebie, że mu na to pozwoliła. Odeszła kilka kroków, nie pozwalając Balfourowi złapać się za ramię, gdy chciał ją przy sobie przytrzymać. Chodziła szybko przed masywnym kamiennym kominkiem, znajdującym się po drugiej stronie łóżka, a potem odwróciła się, by spojrzeć na Balfoura. Na jego twarzy nie było śladów skruchy i to ją rozdrażniło.

— Dlaczego wciąż tu jesteście, panie? - wypaliła, odrzucając do tyłu splecione włosy, szybkim pełnym złości gestem.

Balfour oparł się o jedną z wysokich, grubych kolumn znajdujących się w nogach łóżka i przyglądał się jej uważnie. Walczył ze sobą, by nie zwracać uwagi na jej pełne i wilgotne usta, nadal noszące ślady jego pocałunków, i na rumieńce pokrywające jej policzki. Dzisiaj nie było już powrotu do jej ramion. Wyraz jej twarzy powiedział mu jasno, że jej myśli mu nie sprzyjały. Miał tylko jedną szansę, by powstrzymać ją od skierowania tego gniewu na niego. Mógł jej pokazać i nakłonić do zaakceptowania faktu, że przez tę krótką chwilę, kiedy znajdowała się w jego ramionach, była czułą i chętną partnerką. To prawda, że skradł jej pocałunek, ale prawdą było również, że wszystko, co zdarzyło się później, stało się za jej pełną i namiętną zgodą.

- Jeszcze chwilę temu byłem mile widziany — odpowiedział, celowo zachowując przyjazny i spokojny ton.

Mimo wszelkich wysiłków Maldie oblała się rumieńcem. Wiedziała, że odnosił się do tego, jak chętnie przyjmowała jego pocałunki, i nie mogła temu zaprzeczyć. Uznała jednak, że to niestosowne, że wypominał jej brak moralnej siły. Nigdy nie dowiedziałyby się, jak jest słaba, gdyby nie wymusił

na niej tego pierwszego pocałunku. Zanim jego usta dotknęły jej warg, mogła tylko podejrzewać, że nie zdoła się oprzeć sile ani jego, ani swojej namiętności. Teraz wiedziała, że nie potrafi, i nie była mu wcale wdzięczna za to, że pokazywał jej tę gorzką prawdę.

- Teraz już nie — zachnęła się cicho. Nawet ona sama słyszała w swoim głosie nadąsanie. - Jak widzicie, panie, mam tu sporo pracy.

- Ach tak? Nigel śpi. Musisz mu w tym towarzyszyć? Chodź, powiedz, co naprawdę myślisz. Chcesz, żebym sobie poszedł, ponieważ sprawiłem, że poczułaś tę samą namiętność co ja? Podzieliłaś ze mną to ciepło i chcesz, żebym trzymał się daleko, bo mogłabyś je znów poczuć?

— Co za arogancja! Oszukaliście mnie. Powiedziałam „nie” na pierwszy pocałunek i zignorowaliście mój sprzeciw. Jak wszyscy mężczyźni, uznaliście, że czegoś chcecie, więc sięgnęliście i wzięliście to sobie.

— Tak, biorę na siebie winę za pierwszy pocałunek — wyprostował się, podszedł do drzwi i otwierając je, spojrzął za siebie. — Ale ty dałaś mi następny, nieprzymuszona, z pasją równie mocną jak moja. Pewnie będziesz temu usilnie zaprzeczać, jak tylko opuszczę tę komnatę, ale myślę, że masz za dużo rozsądku, żeby uwierzyć, w takie kłamstwo. Pragnęłaś mnie, Maldie Kirkcaldy, równie gorliwie jak ja ciebie. Wiesz o tym dobrze, oboje o tym wiemy.

Kiedy drzwi zamknęły się za Balfourem, Maldie zaczęła rozglądać się za czymś ciężkim, żeby rzucić w dębowe wierzeje. Zanim znalazła coś odpowiedniego, zdała sobie sprawę, że byłby to niepotrzebny gest, gdyż mężczyzna odszedł już zdecydowanie za daleko, żeby cokolwiek usłyszeć. Zachnęła się i przysiadła na grubej owczej skórze rozłożonej przed kominkiem. Chciała go z miejsca uśmiercić zimnymi słowami, ciętym językiem, który by go zawstydził, tak że wymknąłby się z komnaty jak zbity pies, ale wiedziała, że jej się to nie udało. Powiedział wszystko, co zamierzał, i wyszedł, a ona nie zdobyła się na żadną obronę.

Martwiło ją i jednocześnie irytowało to, że się nie mylił. Mogła na niego narzekać, że nie zachował się zgodnie z dobrymi obyczajami, że jest próżny i arogancki, ale to nie zmieniało faktu, że miał rację. Czula to samo pożądanie co on, dzieliła z nim ten żar. Ich pragnienia były takie same. Głód siebie nawzajem doskwierał im na równi.

Namiętność oślepiła ją i pozbawiła rozsądku w podobnym stopniu co jego. Nie mogła go obwiniać za to, co się stało lub się prawie stało. Do tej pory pogardzała namiętnością, odrzucała każdego mężczyznę, który okazał jej zainteresowanie.

Łatwość, z jaką odtrącała pożądanie, sprawiała, że stała się zarozumiała. Wydawało jej się, że jest wystarczająco silna, by nie powtórzyć szaleństwa, jakie po-pełniła jej matka. Balfour zmiotł tę pewność, pokazał jej jednym pocałunkiem, że może być równie głupia i słaba co większość naiwnych kobiet. Nie tylko czuła do niego niechęć za obnażenie tej słabości, ale też wiedziała, że będzie teraz obawiać się zbliżyć do niego. Nie przybyła do Donncoill, żeby zostać nałożnicą dziedzica.

Do momentu, kiedy Nigel przestanie potrzebować jej opieki w dojściu do zdrowia, ona będzie

musiała podjąć decyzję, czy zostanie i będzie walczyć przeciw Beatonowi z Murrayami czy też uniknie pokus, na jakie wystawiało ją towarzystwo Balfoura. Maldie doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli zostanie, to czeka ją ciężka walka o niewinność. Czuła podskórnie, że stawką w tej walce może być jej serce. Wkrótce będzie musiała zdecydować, jak wysoką cenę jest w stanie zapłacić za pomoc w zabiciu Beatona.

Balfour westchnął. Patrzył na swoje pola i przyglądał się wiosennym pracom bez zainteresowania. Zachowywał się jak nieszczęśliwie zakochana dziewczyna i był

tym zniesmaczony. Nie mógł przestać myśleć o Maldie, o tym, jak wspaniale smakowała, jak idealnie pasowała do jego ramion. Minęła zaledwie godzina, odkąd jej nie widział, a już pragnął ją zobaczyć, wziąć w ramiona. Nie opuszczała go jednak jedyna rozsądna myśl, że byłby to wielki błąd. Maldie nadal była zła, potrzebowała czasu, żeby przemyśleć to, co się między nimi wydarzyło.

Namiętność, jaką w nim wzbudziła swoimi pełnymi, miękkimi ustami i drobnym ciałem, była pełna rozkoszy i uderzała do głowy. Wprowadzała również chaos. Coś tak potężnego przeszkadzało w jasnym myśleniu, a teraz, kiedy życie Erica wisiało na włosku, trzeźwa głowa była bezwzględnie konieczna.

— Czy Nigelowi się pogorszyło? — James podszedł do niego i oparł się o mur.

— Nie, śpi. Gorączka już chyba nie wróci.

— Tak słyszałem, ale miałeś tak mroczny wyraz twarzy, że obawiałem się, że te dobre wieści mogą okazać się nieprawdziwe.

— Ani Nigel, ani jego zdrowie mnie nie niepokoją, ale jego drobna opiekunka - tak.

— Urodziwa z niej kobieta — powiedział James, przyglądając się uważnie Balfourowi, który zaśmiał się, usłyszawszy jego słowa.

— Zbyt urodziwa. Zbyt słodka. Zbyt kusząca.

— I zbyt łatwo dostępna.

Balfour spojrzał na Jamesa i pokiwał głową.

— Tak. Potrzebowaliśmy uzdolnionej uzdrowicielki dla Nigela i proszę, oto ona.

Błogosławieństwo czy pułapka? Czasem, gdy człowiek jest w wielkiej potrzebie, Bóg śle mu cudowną pomoc, ale nie mogę dać wiary, że to nam się właśnie przytrafiło. Zbyt dużo bym ryzykował.

— Może powinieneś ją po prostu odesłać.

- Powinienem. Sama powiedziała, że odejdzie, jak tylko Nigel nie będzie jej potrzebować. Rozum mówi mi, że tak będzie najlepiej, ale wszystko inne spiskuje, by ją tu zatrzymać. Czuję, że nie

wyciągnąłem żadnej lekcji z głupstw, które popełnił mój ojciec. Pragnę tej kobiety i nie potrafię o niczym innym myśleć.

— Nie, nie tylko o tym, ponieważ wiesz, że ona ma swoje tajemnice. Widzisz, że musisz odpowiedzieć na wiele pytań.

- Tak - Balfour skrzywił się. - Ale kiedy jestem obok niej, odpowiedzi mnie nie interesują.

— W takim razie ja się tym zajmę.

Balfour zawahał się zaledwie przez moment, zanim przytaknął.

- Moja duma każe mi powiedzieć, że sam mogę się tym zająć, jednak mam słabość do tej kobiety. Nie mogę sobie ufać. Dobrze, sprawdź, czy uda ci się czegoś dowiedzieć. Pojawiła się, gdy jej potrzebowaliśmy, ale też w momencie, gdy toczyliśmy wojnę. Może się okazać cudownym aniołem miłosierdzia, ale też zmiłą wpuszczoną do naszego obozu przez wroga. Maldie Kirk-caldy kryje zbyt wiele tajemnic. Muszę się dowiedzieć jakich. Niech ci to nie zabierze zbyt dużo czasu, przyjacielu. Muszę przyznać, że ta drobna, zielonooka kobieta sprawia, że krew w żyłach szybciej mi płynie, a umysł traci ostrość. Najlepiej, jeśli uda ci się dowiedzieć prawdy jak najszybciej, choć jestem nią zbyt oczarowany, by uwierzyć w jakąkolwiek złą wiadomość.

Rozdział 4

- Dobrze się mną zajęłaś - powiedział Nigel, kiedy Maldie pomagała mu podnieść się do pozycji siedzącej i ostrożnie podpierała go z tyłu poduszkami. — Umarłbym, gdybyś nie przyszła mi z pomocą.

Dziewczyna skrzywiła się w duchu, czując, jak ramię Nigela obejmuje ją w talii.

Minęło pięć dni, odkąd gorączka ustąpiła i każdego dnia okazywał jej coraz większe i coraz bardziej niepokojące zainteresowanie. Kiedy odzyskał moc w ręce, zaczął jej dotykać. Były to subtelne i nieubliżające gesty, które łatwo było usprawiedliwić, z wyjątkiem tego, że stawały się coraz częstsze. W jego bursztynowych oczach było też stanowczo za dużo ciepła, kiedy na nią spoglądał.

Kiedy zgrabnie uniknęła jego dotyku i wzięła tacę z jedzeniem, którą przyniosła służąca, pomyślała, że ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje, to kolejny Murray próbujący zwabić ją do łóżka. Nigel był słodszy i bardziej szarmancki w zachowaniu od Balfoura i Maldie była odrobinę zirytowana faktem, że młodszy brat nie budził w niej żadnego zainteresowania. Ponadto traktował ją jak mężczyzna traktuje damę.

Jego maniery przekraczały w tym względzie daleko te, którymi wykazywał się Balfour. Nigel był też niesłychanie przystojnym mężczyzną, jednak na niej nie robiło to żadnego wrażenia.

- Myślę, że będę potrzebował twojej łaskawej pomocy w zjedzeniu tej potrawy —

powiedział cicho, kiedy postawiła tacę na jego kolanach.

Siadając na skraju łóżka, spojrzała na niego podejrzliwie, po czym zaczęła go karmić gęstą jagnięcą potrawką. Złożył na jej kolanie nieruchomą dłoń, ale ona nie poczuła w niej żadnej słabości. Prawdopodobnie mógł sam sobie poradzić, ale zdecydowała, że pozwoli mu zagrać w tę grę. Nadal cierpiał, jego siły zostały mocno nadwyrężone odniesionymi ranami i gorączką. Może obawiał się utraty energii, którą odzyskał dzięki odpoczynkowi, a może bał się, że nie jest jeszcze na tyle silny, by jeść samemu, i jego niezdarność byłaby krępująca. Jako że nadal był

nieszkodliwy, uważała za bezcelowe sprzeciwianie się tym zabiegom.

- Dlaczego szukasz tu swoich krewnych? - spytał Nigel, kiedy Maldie kroić mu chleb na kawałki. - Klan Kirkcaldych ma swoje posiadłości daleko stąd.

- Tak, to prawda. Nie zgubiłam się, panie, jeśli tak myślicie - odpowiedziała. — Nie mam zamiaru się tam wybierać.

- Dlaczego? — Zakrztusił się, kiedy dość zdecydowanym ruchem włożyła mu spory kawałek chleba do ust. — To rozsądne pytanie - zaprotestował, uśmiechając się słabo, gdy dostrzegł wyraz poirytowania na jej twarzy.

— Może. Kirkcaldy nie chcą mnie znać. Nie robię tajemnicy z tego, że jestem biedna i miałam ciężkie życie.

— Myślę, że jak wielu członków tego klanu.

— Tak. Jednak ja jestem dzieckiem z nieprawego łoża. — Oczy Nigela rozszerzyły się, ale nie zobaczyła w nich pogardy ani niesmaku, zaledwie ciekawość i cień współczucia. - Moja matka była najstarszą córką dziedzica z rodu Kirkcaldych. Dała się uwieść, a mężczyzna, który ją wykradł z domu, był już żonaty. Kiedy okazało się, że spodziewa się dziecka, zostawił ją, a ona zbyt się wstydziła, by wrócić do domu.

Maldie uznała, że bezpieczniej wyjawić tylko tyle. Ukryła nazwisko mężczyzny i fakt, że pozostał z jej matką do momentu, kiedy urodziła córkę, a nie syna, którego tak pragnął. Ujawnienie tożsamości ojca mogło jej przysporzyć więcej kłopotów, niż dałaby radę unieść, a nawet mogłoby wystawić jej życie na niebezpieczeństwo.

Mówienie zaś o tym, że jej ojciec pragnął syna, wywołałoby zbyt wiele niebezpiecznych pytań.

— Może źle oceniasz Kirkcaldych. - Nigel ujął kielich z winem w obydwie dłonie. -

Może wcale nie dbają o to, że jesteś nieślubnym dzieckiem. Obawy twojej matki, że odwrócą się od niej, mogły brać się z poczucia winy i wstydu. Powinnaś wrócić do domu i pomówić z nią.

— Nie mogę. Ona nie żyje.

— Przykro mi z powodu twojej straty. Szukasz więc krewnych swojego ojca? To pytanie wprowadziło Maldie w zakłopotanie. Wstała gwałtownie.

— Nie. Ten łajdak nigdy się mną nie interesował. Ja nim również. Skończyliście, panie?

Pokiwał głową, a ona zabrała od niego tacę, stawiając ją z powrotem na stoliku pod oknem. Było już jasne, że nie zaspokoi ciekawości Nigela tymi kilkoma odpowiedziami. Niezależnie od tego, jak ostrożnie odpowiadała, każda odpowiedź

rodziła kolejne pytania. Sposób, w jaki ją obserwował, mówił Maldie, że jej reakcja na pytanie o ojca tylko zaostrzyła jego apetyt na dalsze informacje. Nie będzie jej łatwo utrzymać tajemnicę bez budzenia podejrzeń. Jeśli zdecyduje się zostać w Donncoill, żeby odegrać choćby niewielką rolę w walce przeciwko Beatonowi, będzie musiała wykonać jakąś historyjkę, dotyczącą jej przeszłości, coś dopracowanego i pełnego szczegółów, dzięki którym będzie mogła odpowiedzieć na stawiane jej pytania. Maldie nie była pewna, czy będzie w stanie wymyślić tak skomplikowane kłamstwo i jeszcze dobrze je opowiedzieć.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Zdziwiła się, jaką ulgę przyniósł jej widok Balfoura. Od momentu, kiedy się pocałowali, robiła wszystko, co w jej mocy, by trzymać się od niego z daleka. Znikała mu z oczu, kiedy tylko wchodził do komnaty chorego. Nawet drobne uprzejmości, jakie czynili względem siebie, mijając się choćby w drzwiach, budziły w niej niepokój.

Spojrzenie jego ciemnych oczu mówiło jej, że on zdaje sobie sprawę z tego, że przed nim ucieka. Maldie czuła też, że nie zamierza jej na to dłużej pozwalać. Mimo to próbowała przemknąć obok niego, wzdychając z rezygnacją, kiedy w końcu złapał

ją za ramię.

- Zamierzałam zostawić was, panie, sam na sam z bratem - powiedziała, odwracając twarz w stronę Balfoura. Podjęła słabą próbę uwolnienia się z jego uścisku, ale poddała się natychmiast, kiedy poczuła, że jego dłoń zaciska się wokół jej ręki.

- Cóż, nie chciałbym zranić delikatnych uczuć Nigela - Balfour obdarzył brata szerokim uśmiechem, zanim znów spojrzał na Maldie - ale przyszedłem tu, żeby cię zabrać.

- Dlaczego?

- Tym razem wyjdiesz na zewnątrz i posmakujesz trochę wiosny.

- Posmakowałam jej, idąc tu z Dundee.

- Pogoda nie była wtedy jeszcze taka ładna. Niebo jest teraz błękitne, a i słońce mocniej przygrzewa.

- Pan Nigel może czegoś potrzebować.

- Tak - zgodził się Nigel pospiesznie, co wywołało grymas na twarzy Balfoura. - Nie wydaje mi się, że powinienem zostawać sam.

- Nie zostaniesz sam — powiedział Balfour, przyglądając się uważnie Nigelowi i wyprowadził Maldie z komnaty. - Stara Caitlin już do ciebie idzie - zaśmiał się, kiedy Nigel zaklął. — Nie może

się wprost doczekać, żeby spędzić kilka godzin ze swoim malutkim, kochanym dzieckiem.

- O co w tym wszystkim chodzi, panie? - zażądała wyjaśnień Maldie, kiedy Balfour zamknął drzwi i zaczął prowadzić ją wzdłuż korytarza.

- Stara Caitlin była piastunką Nigela, jego mleczną matką - odpowiedział Balfour. -

Nadal widzi w nim małego chłopca, nie mężczyznę, i tak go traktuje. Dlaczego zgodziłaś się nagle pójść ze mną po tym, jak od tylu dni mnie unikasz?

Maldie zastanawiała się przez moment, czy nie powiedzieć prawdy, że Nigel ją uwodził. Dokonała po prostu wyboru między dwoma braćmi, z których każdy próbował ją zwabić do łóżka. Miała nadzieję, że uda jej się zatrzymać zaloty Nigela, zanim dojdzie do prawdziwej konfrontacji. Zgoda na wyjście z Balfourem, który nie czynił tajemnicy z tego, czego od niej chciał, mogła być jednym ze sposobów, by to zrobić. Odsunęła jednak od siebie zamiar powiedzenia Balfourowi czegokolwiek.

Ściągnęła na siebie wystarczająco dużo kłopotów przez sam fakt, że została w Donncoill, nie musiała nastawiać jednego brata przeciwko drugiemu ani, co gorsza, budzić w nich chęci do próżnego konkurowania o jej względy.

- Nie uciekałam przed wami, panie — zaprotestowała, starając się, by jej głos był wyniosły.

- Ależ tak. Czmychałaś przecie mną jak maleńka, nieśmiała myszka wypłoszona od ziarna.

- Uważacie się za ważniejszego, niż jesteście, panie.

- Jak szukający schronienia króliczek, ścigany przez myśliwskie psy.

- Wychodziłam, żebyście mogli bez przeszkód porozmawiać z bratem.

- Uchodziłaś raczej jak łania na dźwięk myśliwskiego rogu.

- Jeszcze chwila i skończą się wam zwierzęta. Balfour zdławił śmiech.

- Skradałaś się w cieniu jak zbity pies.

- Chwileczkę. - Maldie zatrzymała się, kiedy wyszli z budynku, opierając się o jego ramię wystarczająco mocno, by go zatrzymać i zmusić, by na nią popatrzył. - I co się stało z tym uchodzącym, kryjącym się i szukającym schronienia stworzeniem?

- Nie podoba ci się słowo „skradać się”, prawda?

- Nie boję się was, Sir Balfourze Murray. Wziął ją pod ramię i zaczął iść dalej.

- Nie? Więc uciekasz przede mną, ponieważ nie jestem tak przystojny jak Nigel?

Potknęła się, a on obserwował ją uważnie, czekając na odpowiedź. Od chwili, kiedy Nigel otworzył oczy po uwolnieniu się od gorączki, Balfour wiedział, że brat nie traktuje już Maldie jak potencjalnej groźby. Błysk, jaki czasem udało mu się złapać w oczach Nigela, nie należał do człowieka, który próbuje rozwikłać zagadkę ani udaremnić zdradę. Nigel pragnął Maldie i Balfour zaczynał myśleć, że brat pożąda jej równie mocno jak on sam. Od momentu, kiedy dojrzał ten blask w jego spojrzeniu, walczył z potrzebą, by usunąć Maldie z zasięgu Nigela i ukryć ją tak, jak zachłanne dziecko chowa przed innymi ulubioną zabawkę. Odkąd osiągnął wiek, w którym zaczął interesować się kobietami, Balfour widział, że większość z nich woli Nigela, który był pełen uroku, miał jasną twarz, pogodną naturę i odznaczał się godną pozazdroszczenia elokwencją. Kobiety zawsze wzdychały na jego widok, wychwalały jego giętki język, urok i manieri. Pewna dama powiedziała nawet Balfourowi, że umiejętności, jakimi Nigel popisał się przed nią w sypialni, daleko przewyższały jego zdolności. To była stara zazdrość. Balfour myślał, że już ją przewyciężył, dopóki nie zobaczył, jak Nigel słodko uśmiecha się do Maldie.

Walczył ze sobą, nie chciał się odzywać, chciał uciszyć swoje obawy i tylko obserwować tych dwoje. Nie dostrzegł żadnego znaku, który wskazywałby, że Maldie ugięła się pod urokiem jego brata, ale chciał, by wyznała na głos swoją obojętność wobec Nigela.

- Nie wydaje mi się, żeby w Szkocji było wielu równie przystojnych mężczyzn co Nigel - odparła Maldie, patrząc ukradkiem na Balfoura, ciekawa grymasu, który szybko przebiegł przez jego twarz. Wyglądało to tak, jakby go w jakiś sposób zraniła. — Może nie na całym świecie, ale wasz brat jest naprawdę przystojnym mężczyzną.

- Kobiety zawsze do niego wzdychały - Balfour zaklął w duchu. Był pewien, że zabrzmiał głupio.

Maldie pokiwała głową.

- Spodziewam się, że nie musiał nigdy starać się o względy żadnej kobiety ani zbyt długo, ani zbyt usilnie.

- A jak bardzo musiałby się starać o twoje?

Wypowiedział to pytanie prawie szeptem i Maldie znów stanęła, by mu się przyjrzeć. Był zazdrosny. Skarciła się za próżność, ale nie zmieniła zdania.

Dostrzegł zainteresowanie Nigela i pomyślał sobie, że ona, jak wiele kobiet przed nią, szybko ulegnie ładnej twarzy, słodkiemu uśmiechowi i gładkim słówkom. Jego zazdrość schlebiała jej, ale niewypowiedziane oskarżenie obrażało ją. Potem zdała sobie sprawę, że Balfour zmagał się ze starą zazdrością, taką, która jemu samemu się nie podobała i której nie chciał czuć. To była z pewnością zazdrość, którą przez lata podsycaly bezduszne kobiety. Mogłaby go pewnie odepchnąć, może nawet zabić jego pożądanie, gdyby tylko udała, że dała się uwieść Nigelowi, że nabrała się na urodę i giętki język jak inne. Ale ona nie potrafiła skorzystać z tej okazji. Nie tylko dlatego, że nie mogła nastawić jednego brata przeciwko drugiemu.

Powstrzymywało ją współczucie. Aż nadto dobrze wiedziała, jak cierpiał. Była biedna i była bękartem, często ją ignorowano i odrzucano.

- Naprawdę mocno musiałby się postarać - odrzekła i ruszyła do przodu.

- Tak? Widziałem, jak na ciebie patrzył.

- To niedobrze. Miałam nadzieję, że to minie, zanim ktokolwiek zauważy. Człowiek czuje wdzięczność wobec tego, kto mu ulżył w cierpieniu. I nie zapominajcie, panie, że byłam jedyną osobą, na którą patrzył przez ponad tydzień.

- Każdy mężczyzna patrzyłby na tę twarz z przyjemnością.

Poczuła na policzkach gorąco rumieńców i zachnęła się w duchu. Miękkie, poetyckie pochlebstwa Nigela sprawiały, że czuła się nieswojo, ale czasami się uśmiechała. Pełne nieśmiałości słowa Balfoura, mówiącego jej, że jest ładna, rozgrzewały i roztopiały jej wnętrze. Maldie obawiała się, że już poległa, że niepostrzeżenie Balfour wślizgnął się do jej serca. Podczas gdy ona zamartwiała się pożądaniami, które ich połączyło, i tym, jak je ugasić, jej serce zaakceptowało go po cichu jako mężczyznę, którego samo pragnęło. To znaczyło, że będzie musiała walczyć nie tylko ze swoimi żądzami, ale również to, że szanse na opuszczenie Donnoill są coraz mniejsze.

Maldie została nagle wyrwana z tych chmurnych myśli. Balfour zatrzymał się i obrócił ją ku sobie. Pospiesznie rozejrzała się dokoła i zaklęła w duchu. Zaprowadził

ją w odludne, osłonięte miejsce. Otaczały ich stosy kamieni i nieregularne mury wieży. Z dzikiego uśmiechu na jego twarzy wnosila, że od początku zamierzał ją tu przyprowadzić. Nie chciał zabrać jej na zewnątrz, żeby cieszyła się ciepłym wiosennym dniem, tylko przyprowadził ją tutaj, by móc skraść kolejny pocałunek.

To, co naprawdę martwiło Maldie, to fakt, że nie zrobiła nic, by udaremnić jego uwodzicielską grę. Powinna zadać mu ból, uwalniając się z jego ramion, tymczasem tkwiła nieruchomo w jego objęciach, myśląc z pewnym rozbawieniem, że był

przystojnym łajdakiem.

- Uknuliście przeciwko mnie spisek, panie - powiedziała, opierając rozpostarte dłonie o jego szerokie piersi, demonstrując słaby i pozorny opór.

- Oskarżasz mnie o oszustwo? - spytał przyjemnym głosem, w którym kryło się rozbawienie, i pocałował ją w czoło.

- A tak. Może zaprzeczycie? - Drżała ze źle skrywanej rozkoszy, kiedy całował zagłębienie za jej uchem.

- Nie był to żaden spisek ani oszustwo, droga Maldie, choć to rozważałem. - Zaśmiał się, kiedy wydała z siebie krótki, ostry okrzyk dezaprobaty. - Trzeba było wyjść z tej komnaty.

Kiedy tylko Maldie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, zamknął je pocałunkiem.

Słaby głos w jej głowie mówił, że igra z ogniem, ale z łatwością przyszło jej go zignorować. Ciepło, jakie rozchodziło się po jej ciele, stopiło cały zdrowy rozsądek i opór. Sprawiał, że czuła się dobrze i musiała przyznać ze smutkiem, że była za słaba, żeby mu odmówić.

Jego pocałunek stał się głębszy, a ona owinięła ręce wokół jego szyi i przywarła do niego. Dreszcz podniecenia, który przeszył jego ciało, udzielił się także jej.

Zdumiało ją, że jeden zwykły pocałunek może ich oboje tak rozpałić. Przemknęła jej przez głowę myśl, że zachowują się jak zwierzęta w rui, i to ochłodziło na chwilę jej pożądanie. Zanim jednak zdołała odzyskać nad sobą kontrolę, Balfour przeciągnął

dłonią po jej mostku i piersiach, zaczął muskać kciukiem jej sutek, aż stwardniał, naciskając boleśnie na znoszoną lnianą koszulę. Uczucia, jakie zalały jej ciało, zostawiły ją bez tchu, pozbawiając resztek zdrowego rozsądku.

Balfour obrócił ją powoli. Oparła się o ścianę niedokończzonej wieży. Wiedziała, że rozsznurowuje jej suknię, ale nie mogła zebrać w sobie dość siły, żeby go odepchnąć, a nawet prawie pomagała mu zsunąć stanik sukni, aż zwisał luźno na jej talii. Jego drżące palce muskały jej skórę, kiedy rozsznurowywał jej koszulę. Wyszepiała sprzeciw, ale on zacałował jej na w pół wyartykułowany protest. Maldie wiedziała, że brakuje jej siły, żeby go od siebie odepchnąć, że pozwala mu na taką swobodę, ponieważ jej skóra pragnęła tego dotyku.

Kiedy zsunął jej koszulę, rześkie popołudniowe powietrze owiało jej skórę, chłodząc ją. Balfour pocałował czułe miejsce między piersiami i ciepło wróciło do jej ciała. Maldie westchnęła z rozkoszy, zagłębiając palce w jego gęste włosy, podczas gdy on pokrywał pocałunkami jej piersi. Kiedy zamknął

stwardniały sutek jednej piersi w swoich ustach, ssąc i drażniąc go językiem, Maldie usłyszała czyjś jęk. Minęła chwila, zanim zdała sobie sprawę, że ten odgłos ślepej żądzysy wyszedł z jej własnego gardła. Potem poddała się już całkowicie pożądaniu, jakie wzbudzał w niej Balfour.

W końcu to słodki dźwięk dziecięcego śmiechu pozwolił Maldie odzyskać zmysły.

Nagle boleśnie zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje, że jest na w pół naga. Poczwała na skórze chłodne powietrze i na chwilę znów straciła oddech. Z jej gardła wydobyło się niewyartykułowane przekleństwo i zaczęła odpychać od siebie Balfoura tylko po to, by zdać sobie sprawę, że sam już uwalniał ją z objęcia. Kiedy walczyła z tasiemkami przy koszuli i sukni, starała się nie myśleć o tym, jak dobrze musiał wyczuć zmianę jej nastroju. Zmusiła się, żeby nie myśleć też i o tym, jak bliska była utraty niewinności, na dworze, pod murem, kilka kroków od tłoczego dziedzińca, i jak wielką złość czuła na siebie i na Balfoura.

Balfour oparł się o chłodne i wilgotne kamienie nieukończonego muru i obserwował, jak Maldie sznurowuje suknię. Nie pomogło mu to ostudzić gorącej krwi.

Poczuł dokładnie, kiedy otrząsnęła się z pożądania, i użył całej swojej woli, żeby pozwolić jej odejść. Świadomość, że postąpił słusznie, nie uśmierzała pragnienia trawiącego jego wnętrze. Nie

czuł, że postąpił szlachetnie, po prostu łaknął tej namiętności, którą mogli ze sobą dzielić. Wyraz gniewu, jaki zawitał na jej oblanej jeszcze rumieńcami twarzy, mówił mu, że może upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim będzie miał szansę, by znów zakosztować tej namiętności.

- Nie jestem lepsza od pierwszej lepszej bezrozumnej ulicznej dziwki - utyskiwała Maldie, na próżno próbując wprowadzić jakikolwiek ład w swoje splątane włosy.

- Nie, uliczna dziwka nie czuje nic — powiedział Balfour, opierając się o ścianę i splatając na piersi ręce, czym powstrzymywał się, by po nią nie sięgnąć. —

Leżałaby tu do końca i czekała, aż włożę jej w rękę monetę.

Powstrzymała się, by nie zadać pytania, skąd tyle wie o dziewczkach.

- Przynajmniej robi to z jakichś praktycznych powodów. Widać ja jestem gotowa rozłożyć nogi za jeden uśmiech. - Maldie poczuła do siebie niesmak. Była rozczarowana swoją słabością. — Nie jestem ani trochę lepsza od mojej biednej matki. Okazuje się, że z łatwością przychodzi mi powtórzyć jej szaleństwa.

- Tak jak mnie szaleństwa mojego ojca. Albo przynajmniej tak myślałem. Jednak nigdy wcześniej się tak nie zachowywałem, a ty?

- Oczywiście, że nie. — Maldie wiedziała, że powinna odejść, zanim Ballour powie cokolwiek więcej. Ten człowiek miał dar ujmowania w słowa prostych prawd, takich, którym nie sposób było zaprzeczyć.

— Cóż, mój ojciec spał z każdą dziewczką, która mu na to pozwoliła, w promieniu wielu mil i twierdził, że kochał połowę z nich. To cud, że w Donncoill nie roi się od jego bękartów. Nigdy nie musiałem walczyć ze sobą, by utrzymać w ryzach krew i myśli. A jakie szaleństwo popełniła twoja matka?

- Urodziła mnie.

- Nie nazwałbym tego szaleństwem - powiedział miękko.

- Ale tak było. Jestem bękartem człowieka, który nic nie robił sobie z małżeńskiej przysięgi. — Musiała mocno ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć nic więcej o swoim ojcu, zdziwiona, jak jego miękkie spojrzenie skłoniło ją do powiedzenia prawdy. - Sposób, w jaki ją potraktował i zostawił, kiedy okazało się, że spodziewa się dziecka, powinien uczynić moją matkę ostrożniejszą, ale tak się nie stało, przynajmniej nie na długo. A tak, nienawidziła go, ale to jej nie powstzymało przed myśleniem, że następny będzie inny. W pewnym sensie byli inni. Większość dawała jej przynajmniej jakiś prezent albo kilka monet. W pewnym momencie przestała o to dbać ani czuć cokolwiek, po prostu brała pieniądze.

— Nie wierzę, że mogłabyś kiedykolwiek stać się kimś takim. — Balfour zaklął w duchu, bo chociaż czuł współczucie wobec smutnego życia, jakie wiodła, to widział

też, jaką to jej dało siłę, żeby walczyć z namiętnością, która wybuchła między nimi.

— Jesteś zbyt silna.

— Moja matka była silną kobietą. - Mimo że mówiła pewnym tonem, to zdała sobie sprawę, że nie była już tego taka pewna. - Została upodlona przez mężczyznę, wykorzystana i porzucona, zwichrowana przez jego nieczułość, aż w końcu stała się równie bez serca jak on. Żaden mężczyzna mnie nie złamie. Nie uwierzę w żadne męskie kłamstwa ani nie będę przegraną w żadnej męskiej grze.

- Nie gram w żadną grę i nie kłamię. To, co nas rozпалиło, jest cudowne i wyjątkowe.

I myślę, że może być silniejsze od nas.

— Nie. To nic innego jak lekkomyślność. Nic więcej niż to, co zbliża do siebie leśne zwierzęta w okresie godowym. Nie pozwolę tej sile nad sobą zapanować.

Balfour westchnął i patrzył, jak odchodzi. Tak czy inaczej nie mógł powiedzieć nic, co mogłoby zmienić jej zdanie. Wierzył teraz, że połączyło ich znacznie więcej niż to, co jego nieodpowiedzialnego ojca kiedykolwiek łączyło z jakąś kobietą, wliczając w to jego matkę. To, co wybuchło między nim a Maldie, było dzikie i sięgało znacznie głębiej niż pożądanie. Nie był jednak pewny, czy było to fatum, jedna z tych rzadkich, ślepych namiętności, o których większość mężczyzn marzy, nigdy ich nie zasmakowawszy, czy pierwsze oznaki miłości. Nie wiedział również, czego właściwie chce od Maldie poza jej ciałem, nie mógł więc czynić jej żadnych obietnic.

Z łatwością wyczułaby jego niepewność, gdyby próbował z nią rozmawiać o tym, co do siebie czują. Mogłaby nawet pomyśleć, że ją oszukuje tylko po to, by dostać od niej to, czego pragnie. Trudno było uznać za prawdziwe słowa kogoś, kto nie wiedział, jaka jest prawda.

Kiedy z wolna ruszył w stronę domu, uznał, że są w impasie, zimnym impasie, który kosztować ich będzie wiele bezsennych nocy. Oboje bali się powtórzenia błędów swoich rodziców. Maldie, ulegając namiętności, straciłaby cnotę, jedyny posag, jaki posiada biedna dziewczyna. On zaś nie mógł, przynajmniej na razie, zaproponować jej nic więcej poza taką samą namiętnością. Wobec tego, że życie Erica pozostawało w niebezpieczeństwie i że czekała ich bitwa, nie był to czas, by mógł podejmować jakiegokolwiek zobowiązania wobec kobiety, zwłaszcza biednej sieroty, która skrywa zbyt dużo tajemnic. Balfour ponownie westchnął. Wyglądało na to, że Maldie była jedyną osobą, która mogła rozwiązać ich dylemat. To ona byłaby tą osobą, która zaryzykowałaby wszystko dla uczucia. Balfour chciał tylko mieć jeszcze kilka szans, żeby pokazać jej, czego odmówi sobie, jeśli go odttäci. Byłby jednak bardzo zdziwiony, gdyby Maldie dopuściła go do siebie bliżej niż na odległość strzału.

Rozdział 5

- Co robisz, głupcze?

Maldie nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła, gdy weszła do komnaty Nigela. Nie było jej zaledwie

godzinę, a już się okazało, że poluzowanie nadzoru nad chorym było błędem. W ciągu tygodnia, jaki minął od chwili, kiedy Balfourowi prawie udało się ją uwieść, powstrzymywała Nigela, by nie podejmował zbyt szybko prób chodzenia. Kiedy zobaczyła go opierającego się na niepewnie stojącej służącej i próbującego iść o własnych siłach, Maldie poczuła złość. Chociaż ryzyko, że jego rany znów się otworzą, było niewielkie, to z łatwością mógł zrobić z siebie inwalidę.

- Masz na imię Jennie, prawda? - spytała, zajmując miejsce bladej dziewczyny u boku drżącego, spoconego Nigela.

- Tak jest, proszę pani - Jennie skrzywiła się i w roztargnieniu zaczęła rozcierać sobie krzyż.

- Wiem, że ten głupiec potrafi być słodki i przymilny. — Odprowadzając go do łóżka, ignorowała pomruki Nigela i narzekania na zniewagi, jakimi go obsypała. -

Ale masz być głucha i ślepa na jego błagania i rozkazy, jeśli będzie chciał pomocy przy wstawaniu z łóżka.

- Ale proszę pani... - zawahała się Jennie, stojąc już przy drzwiach. Z szeroko otwartymi oczami dziewczyna przyglądała się niegroźnie patrzącemu Nigelowi.

- Jeśli boisz się sprzeciwić bratu swojego pana, to nie martw się o to, porozmawiam z panem Balfourem, a on na pewno powtórzy moje zalecenie. Ten głupiec nie może stanąć na swe wątle, patykowate nogi, dopóki ja tak nie powiem.

- Patykowate? — mruknął Nigel, kiedy Jennie wyszła z komnaty, a Maldie ułożyła go wygodnie na poduszkach.

- Chcecie być ułomni, panie? — spytał Maldie, opierając ręce na biodrach i spoglądając na mężczyznę.

- Nie, oczywiście, że nie, ale będę, jeśli nie odzyskam sił.

- Byliście poważnie ranni, straciliście wiele krwi i mieliście wysoką gorączkę nie dalej jak dwa tygodnie temu. Nie możecie oczekiwać, że ruszycie szybko w tany.

Całe ciało musi odzyskać utracone siły, odnowić krew, którą utraciliście. A to wymaga odpoczynku i jedzenia.

- Przynajmniej czuję się na tyle krzepki, by znów spróbować chodzić.

- Tak, to widać. Widać też, że jak tylko wstaniecie, to pociecie się i trzęsiecie jak człowiek chory na malarię. Wasze ciało mówi wam, że nie jesteście gotowi, żeby chodzić. Miejcie to na względzie albo ptzyjdzie wam słono zapłacić za nieposłuszeństwo.

Wstała, żeby nalać mu wina.

- To brzmi, jakbyś chciała mi powiedzieć, że moje ciało żyje własnym życiem i kieruje się własnymi

zasadami, innymi niż mój umysł.

- Bo tak jest. - Wręczyła mu kielich z winem, marszcząc czoło na widok tego, że musiał chwycić go obiema rękami, tak słabe były jego ramiona. — Macie chyba na tyle rozumu, żeby zobaczyć, co mówię wam teraz wasze ciało.

Nigel jęknął i chciał rzucić w nią kielichem, ale zabrakło mu siły na tak męczący gest. Mógł jedynie podać go jej jedną drżącą ręką.

- Jeśli będę musiał leżeć w łóżku jeszcze przez jakiś czas, to może i odzyskam siły, ale z pewnością oszaleję.

Maldie musiała się uśmiechnąć, odbierając od niego kielich. Wzięła miskę z wodą i ręcznik, żeby go umyć.

- Wiem, że leżenie w łóżku może przyprawić o szaleństwo, zwłaszcza kiedy umysł

jest sptawny, ale ciało zbyt słabe, by działać zgodnie z chęciami. Dlatego, mówię to jeszcze raz, musicie słuchać swojego ciała. Mogę to powtarzać ciągle. - Zaczęła delikatnie zmywać pot z jego czoła. — Wiem, że ludzie w to nie wierzą. Myślą, że gadam głupoty, kiedy mówię, że ciało przekazuje nam różne informacje, ale tak jest.

Kiedy wstaliście, panie, czy nie kręciło wam się w głowie, czy nie pociliście się od stóp do głów, czy nie trzęśliście jak osika? To właśnie, mój dzielny rycerzu, mówiło wasze ciało, najdobitniej jak potrafiło, żebyście wrócili do łóżka i odpoczywali.

- Byłoby miło, gdyby mój umysł dawał mi takie ostrzeżenie, zanim spuszczę stopy na podłogę - powiedział Nigel, uśmiechając się słabo.

- Prawda, ale umysł, to odrębna sprawa. Nie zawsze prowadzi nas w dobrym kierunku i nie zawsze mówi prawdę. Nieważne, jak mądrzy jesteśmy, często dajemy się zwieść. Myśleliście o rzeczach, które były nie tylko niebezpieczne i niemądre, ale co gorsza, zrobiliście je.

- Ach tak, i jeszcze ten przeklęty umysł nie jest na tyle uprzejmy, by pozwolić nam zapomnieć o tych błędach.

Śmiech uwiązał Maldie w gardle, kiedy zdała sobie sprawę, że ciało, które obmywała, nie było całkiem pozbawione siły, jak to sobie wyobrażała. Była taka część, która zdecydowanie nie miała trudności ze wstawaniem. Podejrzewała, że Nigel jej pragnie, ale widok solidnego dowodu, z przodu jego spodni, sprawił, że poczuła się zażenowana i zdenerwowana. Stała i patrzyła się, niepewna, co zrobić dalej. Właśnie straciła wszystkie szanse na to, by udawać, że niczego nie zauważyła.

- Co za ulga, wiedzieć, że nie straciłem męskości - powiedział Nigel, przeciągając słowa.

Ta odrobina impertynencji wystarczyła, żeby uwolnić Maldie od zmieszania, kiedy nagle ktoś wyszarpnął z jej ręki mokry ręcznik i znajomym głębokim głosem powiedział: — Nadszedł chyba czas, żeby kto inny przejął

obowiązki mycia mojego brata. - Balfour odciągnął Maldie od łóżka. - Jestem pewien, że panna Kirkcaldy znajdzie inne obowiązki.

- Ależ Balfourze, właśnie prowadziliśmy fascynującą dyskusję o tym, że trzeba słuchać tego, co mówi nam nasze ciało.

Maldie usłyszała, że Nigel jęknął z bólu, ale nie mogła dostrzec zza Balfoura dlaczego. Kusiło ją, by powiedzieć, żeby wyszedł, zirytowana tym, jak ją odsunął od łóżka i przejął jej obowiązki, jak również tym, że pozwalał sobie decydować, co powinna, a czego nie powinna robić. Wtedy mądrość przeważała nad dumą. Nigel dawał jej do zrozumienia, że jej pragnie, nie tylko spojrzeniem i delikatnym gestem.

Dla nich obojga będzie bez wątpienia najlepiej, jeśli Maldie przestanie się teraz zajmować jego osobistymi potrzebami. Kąpiel z łatwością mogła doprowadzić do konfrontacji, której wolałaby uniknąć.

- Pójdę przygotować mu posiłek — mruknęła, po czym cicho i pospiesznie opuściła komnatę.

Kiedy Maldie zamknęła za sobą drzwi, Balfour odłożył ręcznik i spojrzał na brata, z trudem panując nad gniewem z nieuzasadnionej zazdrości. Kiedy wszedł do komnaty i zobaczył Maldie myjącą Nigela, poczuł zwykły przyływ zazdrości.

Kiedy jednak dostrzegł widoczne podniecenie i pełen pożądania wyraz twarzy Nigela, musiał zebrać całą wolę, żeby nie wyrzucić Maldie za drzwi i nie zaprzepaścić jej pracy nad przywróceniem Nigela do zdrowia.

- Masz szorstki dotyk, bracie — powiedział Nigel, ostrożnie przyglądając się zagniewanemu Balfourowi.

- Może dlatego, że jestem oburzony tym, jak próbujesz uwieść biedną dziewczynę, która napracowała się, by utrzymać cię przy życiu - odparował Balfour, nalewając sobie wina i przeklinając w duchu gniew, nad którym nie panował.

- A dlaczego miałoby cię to tak obchodzić?

- Jest tylko biedną sierotą. Czy to nie ty ostrzegałeś mnie, bym nie dał się zwieść ładnej twarzyczce? Czy to nie ty mówiłeś, że ona ukrywa zbyt wiele tajemnic? —

Spojrzał Nigelowi prosto w twarz i poczuł dyskomfort, widząc pełną troski twarz brata; zorientował się, że odkrył przed nim zbyt dużo ze swoich uczuć.

Nigel pokiwał głową.

- Tak mówiłem i nadal tak uważam. Jednak teraz myślę, że te tajemnice nie mają nic wspólnego z nami, nie stanowią dla nas zagrożenia. Ona jest, jak mi przypomniałeś, biedną sierotą. Miała ciężkie życie i czuje się głęboko dotknięta wstydem, jakiego zaznała jej matka, i sposobem, w jaki jej ojciec odrzucił ją i matkę. Jej tajemnice dotyczą jej samej i jej przeszłości, wstydu,

upokorzeń, ran i zdrad, które jej zdaniem, i słusznie, w żaden sposób nas nie dotyczą.

— Być może. - Balfour sądził, że jeśli teraz zamilknie, to Nigel porzuci ten temat, ale nadzieja okazała się płonna.

— Wątpię, żeby chodziło ci o to, że uwodzę kobietę, której nie ufasz.

— Czasy są niespokojne, trzeba być ostrożnym. Nigel zignorował jego słowa.

— Myślę, że pragniesz jej dla siebie i uważasz, że chciałem ci ją ukraść.

— A ja myślę, że za długo leżałeś w łóżku i twój rozum stał się tak słaby jak ciało.

— Wcale nie, nie mylę się. Nie obrazisz mnie, kwestionując moje przekonania.

Chcesz jej. Zobaczyłem to, już kiedy znaleźliśmy ją tam, na drodze, ale wolałem o tym nie pamiętać. Zdecydowałem się ignorować wszystkie oznaki twojego pożądania. Jak bardzo jej pragniesz?

Balfour przez chwilę szczerze zastanawiał się, czy nie zaprzeczyć przypuszczeniom Nigela i czy nie wycofać się tchórzliwie z komnaty. Później jednak potrzęsnał

głową. Zyskałby tym tylko krótką zwłokę. Jego brat nie zostawi tej sprawy w spokoju, dopóki nie zaspokoi ciekawości. Szczera odpowiedź mogła teraz uciszyć Nigela. Ku swojemu obrzydzeniu zaczął się nawet zastanawiać, czy nie powinien zostawić Maldie w spokoju. Nienawidził wątpić w swoje umiejętności uwodzenia i zdobywania kobiet, zwłaszcza takich, które interesowały także Nigela. A do nich właśnie należała Maldie.

— Bardzo — odpowiedział w końcu. - Czasem myślę, że postradałem dla niej zmysły.

— O tak, te zielone oczy mogą zrobić z mężczyzną wszystko. Podobnie jak wielkie pożądanie.

— To więcej niż pożądanie — przyznał niechętnie Balfour.

— O ile więcej?

W wyrazie twarzy Nigela było coś dziwnego, coś niesprecyzowanego. Wyglądało, jakby bardzo starał się coś ukryć. Co, jeśli i on dał się uwieść tym oczom? Co, jeśli jego brat też żywił do Maldie uczucia, które sięgały głębiej niż zwykłe męskie pożądanie pięknej kobiety? Balfour uświadomił sobie, że nie chce tego wiedzieć, niezależnie od tego, jak bardzo było to samolubne. Nie chciał czuć się zobligowany do tego, by dać Nigelowi szansę w walce. Jeśli jego brata dotyczyło cokolwiek z tego, co wydarzyło się między Maldie a nim samym, to postanowił, że zajmie się tym później.

Mała zazdrosna część jego duszy mówiła mu, że ładnemu Nigelowi dobrze zrobi, jeśli nie zdobędzie jakiejś kobiety. Balfour przysiągł sobie, że zrobi wszystko, żeby zabić w sobie tego zgorzkniałego młodzieńca, który widział zbyt wiele kobiet odwracających się od niego i wybierających Nigela, młodzieńca, który nadal czuł o to żal. Nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko zakorzeniony był ten żal, dopóki Maldie nie wkroczyła w ich życie.

- Nie wiem - odparł cicho Balfour. - Jestem pewien tylko tego, że to więcej niż namiętność.

- A co ona czuje?

- Pragnie mnie. Tego jestem pewien. Walczy z tym pragnieniem, bo uważa, że to namiętność zniszczyła jej matkę i nie chce powtórzyć jej szaleństw. Właśnie kiedy zdałem sobie sprawę, że kieruje mną coś więcej niż pożądanie, przestałem się obawiać, że powtórzę błędy naszego ojca. - Wzruszył ramionami, niezadowolony z własnych wątpliwości. - Nie mogę powiedzieć nic więcej. To coś potężnego, ale również tajemniczego.

- W takim razie bierz ją, bracie. Jest twoja. Ustępuję ci pola. Z twoimi obawami, pragnieniami, niepewnością, jej namiętnością i strachem jest już i tak nazbyt tłoczno.

Zanim Balfour mógł spytać, co dokładnie Nigel miał na myśli, wróciła Maldie. Jej zaniepokojone spojrzenie, kiedy kładła tacę z jedzeniem na kolanach Nigela, kazało mu przez chwilę myśleć, że usłyszała ich rozmowę. Szybko jednak odrzucił tę obawę. Gdyby Maldie słyszała, co mówią, byłaby więcej niż zaniepokojona.

Balfour zdawał sobie sprawę, że każdemu słuchającemu z boku mogłoby się wydawać, że bezdusznie decydują, kto się z nią prześpi. Wątpił, by jego wyznanie o głębi uczuć do niej i jego wątpliwościach przysporzyło mu jej sympatii. Maldie była po prostu poirytowana jego interwencją i sposobem, w jaki za nią decydował.

- Czy wolno mi pomóc mu przy jedzeniu? — spytała Maldie, marszcząc czoło na widok jego uśmiechu.

Balfour zastanawiał się przez chwilę, dlaczego był tak niezmiernie zadowolony z tego, że nie tylko domyślił się, jaki Maldie ma nastrój, ale też zgadł jego przyczynę.

- Wydaje się, że Nigel czuje się wystarczająco dobrze, żeby zjeść samodzielnie.

- Byłby w stanie sam to zrobić, gdyby nie wstawał i nie miał zamiaru uciec z tej komnaty.

- Nie uciekałem - mruknął Nigel, szepcząc przekleństwa, kiedy Maldie musiała kroić dla niego chleb.

- A dlaczego nie powinien próbować chodzić? — spytał Balfour. W tym samym momencie zmarszczył czoło, bo zdał sobie sprawę, jak blady jest jego brat. - Od tygodnia, albo i dłużej, nie ma gorączki, a jego rany zabiłżyły się na tyle, że nie ma ryzyka, że się otworzą.

- To prawda, ale musi teraz odzyskać wszystkie siły, które utracił. Pierwsze kroki będzie musiał stawiać z największą uwagą, zwłaszcza że jedna z głębokich ran została mu zadana w nogę. Mogę sobie wyobrazić, co skłania go do takich nierozważnych kroków - dodała Maldie, obserwując uważnie Nigela, który pił właśnie cydr. - Człowiek, który leży w łóżku, wypoczywa i ma pełen brzuch, nie zawsze jest świadom swojej słabości i brakuje mu cierpliwości, by na siebie uważać. Jednak jeśli będzie forsował się zbyt szybko, to jego noga może pozostać na zawsze sztywna.

Poważny ton jej głosu świadczył, że mówiła prawdę. Balfour spojrzał na Nigela.

Jego ściśnięta, prawie posępna twarz mówiła, że wierzy w ostrzeżenia. Kiedy gorączka minęła, Balfour uważał brata za wyleczonego. Uważał, że potrzebny mu tylko odpoczynek i jedzenie. Zdał sobie sprawę, że był równie głupi co Nigel.

Widział też teraz wyraźnie, że jego brat wymaga wielkiej uwagi i troski.

- Jak idą przygotowania do uwolnienia Erica i pogrążenia Beatona? - spytał Nigel, kiedy Maldie zabtała tacę jedzeniem.

- Powoli. - Balfour oparł się o jedną z grubych, wysokich kolumn w nogach łóżka i skrzyżował ręce na piersiach.

- Niewiele wiemy o tym człowieku i o Dubhlinnie. Wysłałem kogoś do obozu wroga, ale nie ma jak przesyłać nam informacji. Nawet najprostsza rzecz mogłaby nam pomóc, ale nawet takiej nie mamy.

- Kiedy mówicie prosta, to macie na myśli na przykład to, kiedy otwierają i zamykają bramy? - spytała Maldie, nalewając sobie cydru do kieliszka.

- Tak, coś nawet tak drobnego.

- Cóż, otwierają je, kiedy słońce rozświetli horyzont, i zamykają o zmierzchu.

Maldie prawie skuliła się pod wzrokiem braci. Podejrzenie w ich oczach było uzasadnione. Kierując się chęcią pomocy w pokonaniu Beatona w każdy dostępny jej sposób, nie pomyślała nawet, jak taka informacja mogła zostać odebrana. Nie rozważyła też tego, że powinna mieć na podorędziu bardzo mądre wytłumaczenie faktu, że coś wie o ich wspólnym wrogu. Prawdę, czyli to, że dowiedziała się o Beatonie tego wszystkiego po to, by móc go łatwiej zabić, przyjęliby z nieufnością i całkiem możliwe, że z niesmakiem.

- Skąd to wiesz? - zażądał wyjaśnień Balfour.

- Szukałam moich krewnych wokół Dubhlinna.

- Jesteś krewną Beatona?

Sposób, w jaki Balfour zadał jej to pytanie, utwierdził Maldie w przekonaniu, że nigdy nie wyzna mu prawdy o swoim pochodzeniu.

- Nie, moi krewni są minstrelami. Szłam za nimi do Dubhlinna i tu spędziłam trochę czasu, próbując ustalić, gdzie udali się po opuszczeniu miasta. Beatonowie, którzy uprzejmie przyjęli mnie pod swój dach, to para starszuchów z wioski.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? Wiesz przecież, że walczymy przeciwko Beatonom.

- Nie jestem wojownikiem, panie. Nie przypuszczałam, że zainteresuje was to, co widziałam lub słyszałam. Nie było mnie tam również, kiedy wasz młodszy brat został porwany.

Balfour westchnął i przejechał ręką po włosach.

- Wybacz mi, panno Kirkcaldy. Nie miałem zamiaru cię obrazić ani oskarżyć. Z

każdym dniem, który Erie spędza w rękach tego człowieka, coraz bardziej niepokoję się o jego bezpieczeństwo i może nawet widzę zdradę tam, gdzie jej nie ma. Nawet teraz zastanawiałem się, skąd wiedział, gdzie i kiedy czekać, żeby porwać chłopca, i to zasiało podejrzliwość w moim sercu.

- Nie macie powodów, by przepraszać - powiedziała. — Prowadzicie wojnę, a ja jestem tu obca.

- Balfourze - Nigel odwrócił uwagę brata od Maldie - czy naprawdę uważasz, że ktoś nas zdradził? Że ktoś od nas pomógł Beatonowi ująć Erica?

- Tak. Zastanawiam się, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy —

odpowiedział Balfour.

Kiedy bracia dyskutowali o tym, kto mógł być potencjalnym zdrajcą i dlaczego, Maldie sprzątała komnatę. Była szczerze wdzięczna, że zainteresowanie Balfoura nią i tym, co wiedziała, zwróciło się teraz w stronę czegoś innego. Odezwała się za szybko i nie przemyślała swoich słów. Minstrele świetnie nadawali się na krewnych, niewielu z nich znało się po imieniu, a ich wędrowny tryb życia sprawiał, że część nie wiedziała, gdzie przebywa reszta. Jedyna rzecz, którą musiała zrobić, to wymyślić dla nich imiona. Istniała spora szansa, że Balfour nigdy jej o to nie zapyta, ale chciała być gotowa na taką ewentualność.

Wokół niej zaczynała się zacieśniać sieć kłamstw. To ją niepokoiło i przerażało.

Dawniej rzadko musiała kłamać. Wiedziała, że ma w tej dziedzinie pewne zdolności, ale nie czuła z tego powodu dumy. Nawet jeśli nie chciała tego przyznać, to okłamywanie Balfoura było dla niej szczególnie bolesne. Fakt, że przyjmował jej wyjaśnienia bez pytania, a nawet przeprosił za słuszne skądinąd podejrzenia co do niej, wywoływał w niej tylko jeszcze większy niesmak. Okłamywanie kogoś nie było niczym przyjemnym. Była przekonana, że oszukiwanie kogoś, kto przyjął ją pod swój dach i zaufał, stanowiło grzech, który na długo może splamić jej duszę.

Nagłe wejście Grizel wyrwało Maldie z mrocznych rozmyślań. Nie wiedziałyby nawet, że kobieta weszła do komnaty, gdyby nie to, że śmierdziała i znalazła się na drodze między nią a tacą, po którą została posłana. Kiedy Grizel otarła się o nią, Maldie musiała zacisnąć dłonie, żeby powstrzymać się od chęci otrzeptania się.

Czuła, jakby to lekkie, przelotne muśnięcie ubrudziło ją, jakby część brudu i smrodu tej kobiety przylgnęła do niej. Maldie zauważyła, że dopiero gdy zobaczyła Grizel i zdała sobie sprawę z jej obecności, ta przestała poruszać się tak cicho. Dwaj mężczyźni, rozmawiający wciąż o nadchodzących bitwach i możliwych zdradach, nadal byli całkiem nieświadomi jej obecności.

Grizel podniosła tacę, obróciła się w kierunku wyjścia, ale zanim wyszła, spojrzała w kierunku braci. Maldie zadrżała, zmrożona spojrzeniem, jakim kobieta popatrzyła na Balfoura i Nigela. Był to wzrok pełen absolutnej nienawiści, uczucia tak silnego, że na krótko dotknęło nawet Maldie,

pozostawiając kwaśny smak w jej ustach.

Próbowała sobie wmówić, że to głupie, że to może z powodu rozmowy o zdradzie, jaką prowadzili bracia, ale nie mogła w to uwierzyć. Mimo że nie знаła Murrayów zbyt dobrze, to nie przychodziło jej do głowy nic, co stanowiłoby źródło takiej nienawiści Grizel do nich. Nie mogła jednak zaprzeczyć temu spostrzeżeniu ani go zignorować. Maldie zaświtało, że może właśnie znalazła zdrajcę, którego szukali.

Zastanawiała się, czy potrafi im to pokazać.

- Wyglądasz na strudzonego, Nigelu - powiedział Balfour. — Odpoczywaj.

Rozmawiamy i rozmawiamy, ale nie znajdujemy żadnych odpowiedzi. Cieszę się, że przynajmniej podzielasz moje podejrzenia co do tego, że mamy zdrajcę w Dunnoill.

- Lepiej byłoby, gdybyśmy wiedzieli, kto nim jest - mruknął Nigel, opadając na poduszki.

- To Grizel - powiedziała Maldie, uznawszy, że prosta prawda będzie nie tylko najłatwiejsza, ale i dla odmiany przyjemna. Trudno jednak było jej nie zrobić obronnego kroku w tył, kiedy obydwaj mężczyźni spojrzeli na nią nagle.

- Co Grizel? — spytał Balfour. - Była tutaj? - skrzywił się nieznacznie.

- Na Boga, nie da się tego nie poczuć.

- Z pewnością, panie. Utrzymuję te komnaty w czystości. Łatwo poczuć taki smród, gdy się tu tetaz pojawił.

- Chcesz powiedzieć, że przedtem moje komnaty nie były utrzymywane w czystości? Krwawi mi serce, gdy to słyszę. — Nigel próbował żartować.

- Są dużo czystsze, niż były - odparła. - Nie mówiłam jednak o brudzie i smrodzie Grizel, ale o jej nienawiści. Jest tak wielka, że czuję nieomal jej gorycz. —

Uśmiechnęła się, widząc jednakowe zmieszanie na ich twarzach.

- Grizel szczerze was nienawidzi, obu.

Balfour potarł brodę i uważnie ważył jej słowa.

- Wiem, że ta kobieta ma zły charakter i z nikim nie ma tu dobrych stosunków, ani z mężczyznami, ani z kobietami, ani ze zwierzętami. Ale to jeszcze daleka droga do nienawiści. Co mi zresztą po tym, że nienawidzi mnie albo Nigela?

Maldie potrząsnęła głową.

- To znaczy, że jeśli człowiek wychował się otoczony wygodami i bogactwem, jest ślepy na

wartości, ale też zagrożenia, jakie niosą ze sobą ci, którzy mu służą. Obaj jesteście pewni, że ktoś pomagał Beatonowi w porwaniu waszego brata, ale nie przychodzi wam do głowy nikt, kto miałby ku temu powody.

Ja daję wam wystarczający powód — nienawiść. Uznaliście, że Grizel nie stanowi zagrożenia, a może powinniście się zastanowić, co mogło spowodować jej nienawiść... Tam właśnie może leżeć odpowiedź na wasze pytanie.

- Nasz ojciec przespał się z nią raz — Nigel wzdrygnął się, nadal urażony słowami Maldie. -
Dawniej, lata temu była pogodniejsza i czystsza.

- Czy wasz ojciec ją odrzucił? - spytała Maldie, walcząc ze sobą, by niechęć do takiego zachowania nie odmieniła jej zamiarów.

- Tak, kiedy zakochał się w matce Erica. Obawiam się, że wdzięki Grizel opuściły ją szybko i nawet kiedy jego nowa kochanka umarła, nasz ojciec nie pragnął już powrotu w ramiona Grizel.

- A więc Grizel była niegdyś kochanką dziedzica i była ładna. Potem została odsunięta na bok z powodu nowej kochanki. Obserwowała, jak dziecko tamtej kobiety rośnie i wychowywane jest jak pełnoprawny syn pana, a jednocześnie widziała, jak jej uroda gaśnie. Widzę tu nie tylko dobry powód, by nienawidzić Murrayów, ale też by chcieć skrzywdzić Erica.

- W każdym razie jest to wystarczający powód, by uważnie ją obserwować -

powiedział Balfour, idąc w stronę drzwi. - Zrobię to. Potrzebuję czegoś więcej niż słowa i podejrzenia, by nazwać Grizel zdrajczynią. Mieszka w Donncoill całe życie.

Jej krewni pomagali mi zdobyć i utrzymać tę ziemię — zamilkł, stając w otwartych drzwiach i westchnął. - Mimo że nie utrzymuje z nimi kontaktów ani oni z nią, to ma tu krewnych. Potrzebuję konkretnych dowodów jej zdrady. A teraz proszę, żebyś przygotowała się i przyszła do wielkiej sali zjeść ze mną.

- Ale pan Nigel...

- Przyślę Jannie, żeby o niego zadbała.

Wyszedł, zanim Maldie zaczęła protestować. Przez krótką chwilę zamie-tzała zignorować polecenie, ale potem westchnęła. Przyszedłby po nią i odprowadził na miejsce, była tego pewna. To będzie długa kolacja, pomyślała, szukając szczotki.

Potem zaczęła czesać włosy.

Rozdział 6

Balfour uśmiechnął się, widząc Maldie wchodzącą do wielkiej sali. Miała na sobie granatową suknię, znoszoną, starannie naprawianą w kilku miejscach i odrobinę za małą, ale dzięki temu podkreślającą jej drobne ciało w sposób, który szczerze doceniał. Jej gęste, niesforne loki ściągnięte

były do tyłu prostym skórzanym rzemieniem, kilka loków wymknęło się już po upięciu i swobodnie kołysało wokół

twarzy. Balfour wstał i wskazał jej miejsce po swojej prawej stronie.

— To za wysokie miejsce dla mnie - zaprotestowała, niepewnie zajmując miejsce, które jej zaproponował. - Powinnam usiąść poniżej solniczki. Nie mam ani tytułu, ani urodzenia.

— Uratowałaś życie Nigelowi - odpowiedział, siadając, i dał paziowi znak, by nalał jej wina. - To zasługuje na większe honory niż tytuł czy pełna sakiewka.

— On był ranny, a ja mogłam mu pomóc - wzruszyła ramionami. - Każdy by tak postąpił.

— Nie każdy. - Starał się nie patrzeć na ilość jedzenia, jaką nakładała na talerz.

Jasne było, że to nie brakowi apetytu zawdzięczała szczupłą sylwetkę. —

Zajmowałaś się nim z oddaniem i delikatnością, a dotąd nie poprosiłaś jeszcze o nic.

— Mam miękkie łóżko, dach nad głową i jedzenie. Taka zapłata mi wystarczy.

Nic na to nie odpowiedział. Przyglądał jej się przez chwilę. Bawił go widok tak drobnej osóбки spożywającej z takim zapamiętaniem, ale też czuł ból. W jej sposobie jedzenia dało się zauważyć pospieszłą zachłanność. To oczywiste, że wielokrotnie musiała się obywać bez jedzenia, i nie chciał nawet myśleć, jak często chodziła spać głodna. Zdał sobie sprawę, że rzadko zastanawiał się nad tym, jak ciężkie musiało być życie ludzi pozbawionych zaszczytów, z jakimi on się urodził.

Czasem czerpał poczucie dumy z tego, jak traktował poddanych w Donncoill, ale oprócz okazjonalnego rozdawania biednym ziemi nigdy nie próbował rozszerzyć tej szczodrości na innych. Zawstydzalo go, że z braku pomocnej dłoni tacy jak Maldie cierpieli. Wiedział, że jego nagła troska o biedotę zrodziła się z uczuć do Maldie, ale poprzysiągł sobie, że nie będzie więcej ślepy na pottzeby innych.

— Może chciałabyś nową suknię? - zapytał, ale skrzywił się w duchu, kiedy wolno podniosła na niego zwięzione ze złości oczy. Powinien rozważniej dobierać słowa.

Było jasne, że właśnie ją obraził.

— Jeśli moja suknia jest zbyt uboga dla was, panie, to mogę wrócić i jeść w swojej komnacie - powiedziała, odrobinę zdziwiona chłodem w swoim głosie. Jeśli to, co przed chwilą usłyszała, można było w ogóle uznać za obrazę, to małą, jednak samo podejrzenie, że Balfour mógł nie akceptować jej wyglądu, ukłuło ją w samo serce.

- To piękna suknia i ślicznie w niej wyglądasz - powiedział Balfour. - Wydaje mi się, że zbyt łatwo się obrażasz, moja pani, widzisz obrazę tam, gdzie jej nie ma. Moje słowa były nieostrożne. Myślę, że jesteś wystarczająco mądra, żebyś wiedziała, że skłamałbym, gdybym nazwał twoją suknię

najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziałem. Nie znam się na kobiecej modzie, ale widzę, że masz tylko dwie suknie, i to nie od wczoraj. Nie jest to powód do wstydu. Szukałem zwyczajnie sposobu, żeby cię nagrodzić, i pomyślałem, że możesz potrzebować albo chciałybyś mieć nową.

Maldie westchnęła i uśmiechnęła się krzywo.

- To prawda. Czasem sttoszę się jak mały jeź, słyszę, czego nie powiedziano, czuję pogardę w najbardziej niewinnych słowach. Dziękuję za tę miłą propozycję, ale muszę odmówić. Te suknie są stare i były często naprawiane, ale nie mogę przyjąć prezentów za coś, co zrobiłabym dla każdego. Bóg dał mi dar leczenia ludzi. Nie w porządku byłoby przyjmować zapłatę za wykonywanie takiej pracy.

Balfour uznał, że nie ma sensu naciskać w tej sprawie. Porozmawia z Uną, najlepszą szwaczką w Donncoill. Kobieta uszyje suknię dla Maldie i robi to w tajemnicy. On po prostu robi jej prezent. Maldie została wychowana jak dama i mimo swego ubóstwa przyjmie podarunek ze względu na grzeczność.

- Jak długo czaiłaś się w okolicach Dubhlinna? - spytał.

- Nie czaiłam się. Byłam tam nie dłużej niż dwa tygodnie — odrzekła, ignorując jego śmiech.

Maldie spodziewała się pytań, ale nie czuła się z nimi dobrze. Znow więcej kłamstw, pomyślała zdesperowana. Miał prawo użyć słowa „czaić się”. Dokładnie to robiła, korzystając z każdej możliwej okazji, żeby szpiegować Beatonów. Nadal mogłaby to robić, gdyby nie to, że zbyt wielu mężczyzn zaczęło się nią interesować. Ciągłe czuła się winna, że opuściła parę staruszków, z którymi się zaprzyjaźniła.

Wymknęła się ukradkiem, w ciemności nocy, bez słowa pożegnania ani wdzięczności.

Maldie poczuła nagle gniew. Zastanawiała się, czy jej zgorzkniała matka choć przez chwilę pomyślała, jakie grzechy i jakie ryzykowne oszustwa będzie musiała popełnić córka, żeby wypełnić przysięgę zemsty, do której ją przymuszono. Zaraz jednak zalało ją poczucie winy, przeklęła się za to, że po raz kolejny okazała się takim niewdzięcznym dzieckiem. Matka raz po raz upokarzała się tylko po to, by miały co jeść. A znalazła się w tej sytuacji przez okrucieństwo Beatona. Czy naprawdę oczekiwała zbyt dużo, kiedy chciała, by ten mężczyzna zapłacił za bezduszne potzucenie, by jej jedyne

dziecko wyegzekwowało dług? Cichy głos w jej głowie powiedział „tak”, ale Maldie odważnie go uciszyła.

- Stałaś się taka poważna - powiedział cicho Balfour, delikatnie dotykając zaciśniętej pięści Maldie.
- Miałaś jakieś nieprzyjemności w Dubhlinnie?

- Nie, ale zdałam sobie sprawę, że pomagając wam, mogłam narazić pewne stare małżeństwo, u którego znalazłam schronienie. — Rozpogodziła się szybko, smarując miodem kawałek chleba. - A potem przypomniałam sobie pewną starą kobietę, która narzekała na to, że Beaton nigdy nie czeka na

tych, którzy szukają schronienia wewnątrz murów. W chwili, kiedy pomyśli, że zbliża się jakieś niebezpieczeństwo, zamyka bramy, nie dbając o tych, którzy zostali na zewnątrz.

Mówiła, że zostawiłby tam własną matkę, gdyby ta nie była dość szybka, by zdążyć wejść. Mówiła też, że ludzie z wioski przestali już szukać schronienia za murami.

Chowają się i modlą o to, by ktokolwiek, kto przyjdzie po głowę Beatona, nie przyszedł polować też na nich.

- Nie musisz zaprzętać sobie nimi głowy. Nie zamierzam wymordować jego klanu i ludzi. Jedyne, czego pragnę, to przywieźć młodego Erica do domu i wyrównać rachunki z Beatonem. - Potrząsnął głową, wycierając chlebem talerz. - Może klan będzie żył lepiej i bardziej pokojowo bez tego głupca na czele.

Nie powiedział nic więcej, ale skupił się nagle na wycieraniu talerza nie-dojezonym kawałkiem chleba. Maldie zastanawiała się, co to za dziwny nastrój go dopadł. Wtedy zdała sobie sprawę, że on przygląda się skrycie czemuś w dalekim kącie sali. Ostrożnie spojrzała w tym samym kierunku i nie była zdziwiona, kiedy zobaczyła Grizel. Kobieta skradała się w cieniu wzdłuż rozwieszanej na ścianie tapiserii, aż doszła do wyeksponowanej tam zbroi i usiadła na skrzyni pod ścianą.

Wydawała się bardzo zajęta cerowaniem, ale nie trzeba było jej się długo przyglądać, żeby zobaczyć, że uważnie słucha wszystkiego, co mówią. Było to widać po sposobie, w jaki pochylała się w ich kierunku i jak na nich patrzyła. Maldie uznała, że Grizel nie jest szczególnie uzdolnionym szpiegiem. Może dotąd jej się udawało, bo nikt nie zwracał na nią uwagi. A może ta swoboda wynikała z poczucia sukcesu i dlatego przestała być ostrożna.

- Nie mogę uwierzyć, że przedtem tego nie widziałem - mruknął Balfour, pokazując, że myśli podobnie jak Maldie.

- Rzadko do tej pory ją dostrzegaliście, panie - powiedziała Maldie i po niezadowoleniu, jakie zagościło na jego twarzy, uznała, że jej słowa nie przyniosły mu ulgi. - I jak mówiliście, ona i jej rodzina byli z Murrayami od samego początku.

Byłaby ostatnią osobą, którą zaczęlibyście podejrzewać.

- Dlatego była takim dobrym wyborem. Powiniennem był się zorientować. Ona nas nienawidzi. Teraz widzę to jasno. Ma do tego powody. Mój ojciec źle ją potraktował, jak pewnie wiele innych kobiet.

- Nie, to nie jest wystarczający powód, by zdradzić swój klan i przodków. Można chcieć zranić tego, kto poniżył, ale nie wszystkich, w których płynie ta sama krew, a właśnie tak postąpiła, pomagając Beatonom. Coraz bardziej mi żal biednego Erica.

- Tak, nie jest pewnie łatwo być więźniem Beatonów.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałam się, jak bardzo Beaton musiał go nienawidzić, kiedy się urodził, że chciał go zabić. A teraz jest Grizel, która go nienawidzi równie mocno i wszystko jej jedno, czy będzie żywy czy martwy. Oboje działali pod wpływem gniewu i grzechów, z którymi biedny chłopak

nie miał nic wspólnego.

Trudno mu pewnie zrozumieć, że przez sam fakt swoich narodzin uczynił sobie dwóch silnych wrogów. A jeszcze teraz ten sam mężczyzna, który próbował go zabić, chce go usynowić. Wasz mały brat musi myśleć, że cały świat zwariował, albo gorzej, że to on sam oszalał.

Balfour skrzywił się i powoli przytaknął. Z trudem to przyznawał, ale dotąd nie poświęcał zbyt dużo uwagi temu, jak Erie się czuł. Troszczył się o to, jak go uwolnić, jak odsunąć od niebezpieczeństw, na jakie wystawiał go Beaton, i od trucizny, którą ten mężczyzna mógł sączyć w uszy chłopca. Jednak Maldie miała rację. Erie pewnie nie rozumiał tego wszystkiego i mógł uznać, że to z jego powodu pojawiły się kłopoty i nienawiść. Mimo że Beaton chciał obwołać tetaz Erica swoim synem, Balfour wątpił, czy osłabi to ludzką nienawiść. Erie był bardzo bystry, prawdopodobnie najbystrzejszy z nich wszystkich, mimo to musiał mieć chaos w głowie. Całe to zamieszanie, niemożność zrozumienia swojej sytuacji, wszystko to mogło zburzyć równowagę spokojnego zazwyczaj i dobrego chłopca.

- Tak, biedny Erie musi być blisko wyrwania sobie włosów z głowy - powiedział

Balfour i uśmiechnął się delikatnie na myśl o chłopcu. - Erie strasznie nie lubi, gdy czegoś nie rozumie. Jeśli Beaton nie powiedział mu zbyt dużo, przynajmniej nie tyle, by chłopak mógł się zorientować, o co chodzi, to jest gotów zamordować dziedzica gołymi rękami. To, co Beaton zrobił, zapewne nie ma dla chłopca sensu, jeśli zaś wyjaśniono mu powody i zgadzają się one z naszymi podejrzeniami, to Erie uzna je za bardzo nierozsądne. To go z pewnością zirytuje.

- Brzmi to tak, jakby chłopiec był bardzo mało tolerancyjny - powiedziała Maldie.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć. Chociaż pójdę o zakład, że Erie nie miał nigdy zbyt dużo cierpliwości do głupców.

- To akurat mogę zrozumieć.

- Erie jest mądrym chłopcem, czasem porażająco mądrym, ale rozumie też, że jego błyskotliwy, ostry dowcip jest bożym darem. Nigdy nie pogardza tymi, którzy nie zostali pobłogosławieni w ten sposób. Jednak jeśli uważa, że ktoś powinien coś wiedzieć, a nie wie lub kiedy zachowuje się głupio, podczas gdy rozum umożliwia mu zachowanie się inaczej, nie będzie miał dla takiego człowieka zrozumienia. Pewnie tego musi się jeszcze nauczyć. Myślę, że to jego jedyna wada. - Balfour uśmiechnął się krzywo. - Prawdę mówiąc, Erie jest miłszy, słodszy i ma większy dar wymowy od Nigela.

- A więc tu kryje się największe niebezpieczeństwo dla wszystkich szkockich kobiet.

Uśmiechnęła się, kiedy on się zaśmiał i pokiwał głową na znak zgody. Było jasne, że Balfour bardzo kochał swojego przyrodniego brata i był z niego dumny. Ujęło ją to, bo wiele jej to o nim powiedziało. Niestety, wzbudziło też zazdrość w jej sercu. Erie był bękartem, a mimo to był kochany przez rodzinę swojego ojca. Było to coś, czego nigdy nie zaznała. Nie miała ojca. Nie miała rodziny. Tylko matkę i czasem czuła, że i ona o nią nie dba, a raczej, że jest zła, iż przyszła na świat.

Maldie szybko odepchnęła od siebie złe myśli. Były zbyt bolesne. Wiedziała, że w głębi serca ma rację, ale nie chciała się nimi zajmować, żeby nie zaprawiły jej życia goryczą.

— Jesteś smutna, mała Maldie - powiedział miękkim głosem Balfour, kładąc delikatnie swoją dłoń na jej zaciśniętej piąstce. - Nie obawiaj się. Wygramy tę bitwę i przyprowadzimy małego Erica do domu, do Donncoill.

— Tak, z pewnością.

Zabrała się do skończenia kolacji. Balfour zaczął mówić o pokonaniu Beatona i delikatnie wyciągał z niej informacje. Maldie powiedziała mu wszystko, czego się dowiedziała, ale odpowiadała ostrożnie. Musiała pozwolić mu myśleć, że nie zdaje sobie sprawy z wagi informacji, jakie mu przekazuje, że to tylko dzięki jego umiejętnościom wszystkie te przydatne wiadomości wychodzą na jaw. Czerpała pewną przyjemność z tego, że pomaga powalić Beatona, że przybliży jego śmierć.

Jednak przyjemność ta zatruta była przez oszustwa, do których musiała się uciekać, by udzielić tej pomocy.

Kiedy Balfour dał znak Jamesowi, by ten do nich dołączył, Maldie skrzywiła się w duchu. Człowiek ten obserwował ją często i uważnie. Sposób, w jaki jego oczy były na niej skupione, kiedy odpowiadała na pytania Balfoura, sprawiał, że zaczęła się czuć nieswojo. James nie był tak ufny jak jego pan. Im bardziej ją obserwował, tym bardziej nieczytelny był dla niej wyraz jego twarzy i tym bardziej się denerwowała.

Jeśli jej nie ufał, z łatwością mógł wzbudzić podejrzenia w Balfourze. Do chwili, gdy nie powie całej prawdy, czego zrobić nie może, będzie mogła zostać uznana za szpiega, za kogoś, kto pracuje dla Beatona, a nie przeciwko niemu. Każda taka myśl przyprawiała ją o drżenie, zarówno z niesmaku, jak i z obawy.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną, Maldie - powiedział Balfour i wziął ją za rękę. —

Chodź, odprowadzę cię do twojej sypialni.

Miała na końcu języka zdanie, że doskonale poradzi sobie sama, ale szybko zdławiła w sobie tę odpowiedź. Rozpoczęłoby to dyskusję bez końca, a ona nagle miała ochotę zejść z oczu Jamesowi, który patrzył na nią z wytażną nieufnością. Jeśli da mu trochę czasu, jego podejrzenia ustąpią, taką miała przynajmniej nadzieję.

Pozwoliła Balfourowi wyprowadzić się z wielkiej sali.

Nagle poczuła się uwięziona w pułapce, w ślepych zaułku, otoczona ze wszystkich stron. Nie było takiego miejsca w Donncoill, gdzie mogłaby się całkiem skryć przed czujnym wzrokiem Jamesa. Balfour był coraz częściej przy niej, mącąc jej umysł i serce namiętnościami, których żadne z nich nie było w stanie opanować. Jedyne miejsce, gdzie mogła się skryć przed Balfourem i Jamesem, to małe łóżko w rogu sypialni Nigela, w którym spała od ptzyjazdu do Donncoill. Kolejne miejsce, gdzie mogła być obserwowana przez Murraya. Nie było szansy na ucieczkę. To czyniło ukrywanie

tajemnic bardzo trudnym i męczącym zadaniem.

Balfour zatrzymał się przed drzwiami komnaty na przeciwko sypialni Nigela, otworzył drzwi i przyglądał się uważnie dziewczynie. Maldie była w dziwnym nastroju. Śmiała się i była rozmowna, a za chwilę zagubiona w myślach, które sądząc po jej chmurnym obliczu, nie były szczególnie miłe. Balfour nie był pewien, jak zareaguje na wieść, że została przeniesiona z komnaty Nigela.

Nigel nie potrzebował już ciągłej opieki Maldie, ale to nie był jedyny powód, dla którego Balfour dał dziewczynie własną komnatę. Bardziej chodziło o żywe zainteresowanie Nigela osobą Maldie. Miał nadzieję, że ona tego nie odkryje.

Mogłoby ją to obrazić.

- To nie jest moja komnata - powiedziała Maldie, próbując bezskutecznie oswobodzić się z mocnego uścisku Balfoura, który zacisnął rękę na jej ramieniu.

- Od teraz jest. - Pokierował ją do środka, zamknął drzwi i zaparł je sobą.

- Nigel nie powinien zostawać bez opieki. Może zrobić coś głupiego.

- Nie zostanie sam, ale też nie potrzebuje cię u swego boku przez całą dobę.

- W takim razie może nadeszła pora, żebym ruszyła w swoją drogę. Serce podskoczyło jej boleśnie na myśl, że może się z nią zgodzić. To wszystko nie miało sensu. Mimo że starała się kłamać tak mało, jak to tylko było możliwe, to półprawdy, jakie mówiła, stawały się tak skomplikowane, tak zagmatwane, że istniało prawdziwe niebezpieczeństwo, że się w nich pogubi.

Balfour jej pożądał, a jej brakowało sił i woli, by mu się dalej opierać. Nigel pożądał

jej i choć mogła z łatwością mu się oprzeć, to mogło to zrodzić konflikt między braćmi, a ją uwięzić między nimi. James jej nie ufał. Byłoby mądrze opuścić to miejsce, zanim wszystkie te komplikacje zacisną pętlę wokół jej szyi. Jednak stała tam, czekając, aż Balfour da jej powód, by

przedłużyła swój pobyt w Donncoill. Ku jej ogromnemu niesmakowi zdawała sobie sprawę, że nie musi to być powód ważny.

- Nie, powinnaś zostać. Nigel nadal potrzebuje twoich umiejętności - powiedział

Balfour, łapiąc ją za rękę. - Sama mówisz, że może zrobić jakieś głupstwo. Nadal leży w łóżku, słaby, i trzeba się nim zająć, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Dzięki twoim zdolnościom jest żywy. Potrzebuję ich teraz, żeby stanął na nogi, chodził

prosto i był silny jak dawniej.

Maldie nie opierała się, kiedy powoli brał ją w ramiona.

- Żeby był gotowy chwycić za miecz. Będę go potrzebował przy moim boku, kiedy ruszę przeciwko

Beatonom. Tak, musi być gotowy, by władać mieczem. - Odciągnął

jej gęste włosy do tyłu, za ramiona i pocałował w zagłębienie u nasady ucha. - Erie potrzebuje obu swych braci, obaj muszą walczyć o jego uwolnienie. - Delikatnie gryzł jedwabistą małżowinę jej ucha, zachwycony tym, jak delikatnie drżała w jego ramionach.

- Erie ma wielkie szczęście, los obdarzył go wspaniałą rodziną. Maldie owinęła ramiona wokół jego szyi i uniosła twarz. Była to niema, bezwstydną prośba o pocałunek, ale nie dbała o to. Jego dotyk sprawiał, że czuła niedosyt. Balfour mógł odepchnąć od niej wszystkie kłopotliwe myśli i wygnać z serca wszystkie obawy. Uwielbiała to, że dotyk jego ust sprawiał, że po jej ciele rozchodziło się ciepło, przyspieszał jej oddech, a ciało zaczynało drżeć. Maldie uśmiechnęła się w duchu, przyznając z prostotą, że lubiła jego smak. Westchnęła i zamknęła oczy, kiedy przeciągnął długimi palcami po jej wargach.

- Takie kochane, kuszące usta - wyszeptał Balfour. Jej usta były tak blisko jego ust, że czuła ciepło jego oddechu, jednak on zawahał się, czy ją pocałować. Maldie uchyliła powieki i obserwowała go spod opuszczonych rzęs. Widziała namiętność w jego ciemnych oczach, był w nich jednak jeszcze jakiś bezruch, który ją zdziwił.

Mimo starań nie mogła jasno wyczuć, co się z nim dzieje. Wyglądało to tak, jakby się na nią zamknął, jakby wznosił barierę, z powodów, których nie chciała do końca zrozumieć, a które ją niepokoiły. Czy Balfour zaczął podzielać podejrzenia Jamesa?

- Myślałam, że chcecie mnie pocałować, panie - powiedziała, z niechęcią przyjmując niepewność, jaką usłyszała w swoim głosie, niepewność, którą z łatwością mógł wyczuć.

- Chcę - odparł, trochę zdziwiony, że miał siłę oprzeć się tak jawnemu zaproszeniu.

- Ale wahacie się. Nie powiedziałam „nie”.

- Wiem o tym. Twoje „tak” jest niewypowiedziane, ale bardzo wyraźne. - Pieścił jej policzek palcami. - Prawdę mówiąc, twoje zaproszenie jest tak wyjątkową mieszanką niewinności i rozpusty, że z trudem mogę na nie odpowiedzieć.

- A jednak tego nie zrobiliście.

- Nie, bo nie pocałunku pragnę. Nawet nie tego, co nas połączyło tydzień temu w wieży. Nie mam już cierpliwości do tej gry. Nie mam. Wiem, powinienem szanować twoją niewinność, ale jestem słaby. Może jestem tak zachłanny i samolubny, że nie potrafię powiedzieć sobie „nie”.

- Nie rozumiem o czym mówicie, panie...

Ujął jej twarz w dłonie, prawie śmiejąc się z wyrazu jej twarzy. Te wielkie emocje przyprawiły ją o rumieńce, a oczom nadały pięknej aksamitnej zieleni. Wyglądała prześlicznie, na jej obliczu zachwyt mieszał się ze wstydem, poitytowaniem i podenerwowaniem, ale zza tego wszystkiego wyglądała namiętność.

- Próbuję ci powiedzieć, że jeśli pozwolisz mi się pocałować — musnął jej wargi, unosząc głowę — jeśli pozwolisz mi się dotknąć, to tym razem nie pozwolę ci uciec.

Nie będziesz się mogła wycorać, krzyknąć nagle „nie”, kiedy każdy centymetr twojego ciała będzie mi szeptał słodkie „tak”. Będę cię miał całą, Maldie, albo wcale.

- Czy to nie jest trochę nie w porządku?— wyszeptała.

- Tak, to możliwe, i również niezbyt honorowe. Ale kiedy trzymam cię w ramionach, mój głód pożera całą winę. Zatem co mi odpowiesz?

Maldie popatrzyła na niego. Wiedziała, że powinna być wściekła za to żądanie: wszystko albo nic. Rozumiała jednak, co go do tego skłoniło. Jeśli tęsknił i pragnął

jej choćby w części tak samo jak ona jego, kiedy rezygnowała z namiętności, którą w sobie nawzajem budzili, to dziwiła się, że w ogóle wytrzymał tak długo.

Zaglądając w jego ciemne oczy, widziała, że nie ma w nich już ani grama więcej cierpliwości. Nie chciała więcej. Chciała tylko marzyć o tym wszystkim, co mogli sobie dać. Chciała wiedzieć, jak to jest. Jeśli okaże się, że to pomyłka, to później zajmie się jej konsekwencjami.

- Tak - wyszeptała.

Rozdział 7

Maldie stała sztywna i niepewna, kiedy Balfour ostrożnie uwolnił ją i odwrócił się, żeby zamknąć drzwi na skobel. Napięty wyraz twarzy i pociemniałe, prawie czarne oczy mówiły jej, że usłyszał jej cichą zgodę. Wiedziała też, że jeśli tetaz zmieniałby zdanie, to mógłby jej nie usłyszeć. Słyszała, że namiętność potrafi zaślepić człowieka. Maldie czuła, że Balfour jest właśnie w mocy takiego uczucia. Nie przerażało jej to, że czuła to samo. Namiętność, myślała, kiedy odwracał się do niej, jest czymś zupełnie nieposkromionym. To właśnie ona pchała ją w ten niebezpieczny układ, jednocześnie ptzekonując ją, że nie powinna dbać o zagrożenie.

- Powiedz to jeszcze raz - zażądał Balfour, głębokim, ochryplym głosem, podnosząc ją i tuląc w ramionach. - Muszę usłyszeć to jeszcze raz.

- Tak - wyrzuciła z siebie, kiedy położył ją na szerokim, miękkim łóżku i rozciągnął

się nad jej ciałem. - Byłam pewna, że usłyszałeś mnie za pierwszym razem i dlatego zamknąłeś drzwi.

- Tak, usłyszałem, ale to jedno słodkie słowo zalało mnie takim szaleństwem, że uznałem, iż muszę usłyszeć je jeszcze raz. Bałem się, że mogłem usłyszeć tylko to, co chciałem, a nie to, co faktycznie powiedziałaś.

- Gdybym powiedziała „nie”, to nie stałabym tak spokojnie, przyglądając się, jak zamykasz drzwi.

Zaśmiał się niepewnie.

- Prawda, gdybym miał jeszcze choć trochę władzy, by myśleć trzeźwo, wiedziałbym o tym. Jesteś pewna?

- Moje ciało może być niewinne, mój męzny ciemny rycerzu, ale mam wiedzę w tej materii. Mieszkałam z matką w małej chacie, a kolejka mężczyzn nigdy się tam nie kończyła. - Zobaczyła, że współczucie łagodzi napięte pożądaniami rysy, i przytknęła palce do jego ust. - Nie, nie współczuj mi na głos. Biedna kobieta nie ma czasem innego wyboru, jeśli chce zdobyć jedzenie dla siebie i swojego potomstwa.

Może zresztą miała inny wybór, ale była wysoko urodzona i nie miała wielu umiejętności ani wiedzy. Czasem wydaje mi się, że większy wstyd powinni czuć ci, którzy zostawili ją bez pomocy i nigdy w żaden sposób nie uchronili przed upokorzeniem. Opowiadam o tym, żebyś wiedział, że mówię prawdę, kiedy twierdzę, że wiem, o co mnie prosisz, i wiem dokładnie, na co się zgadzam. - Oplotła ramiona wokół jego szyi i przyciągnęła jego usta do swoich. - Zdaje się, że nie prosiłeś mnie o zgodę, żeby mówić.

- Nie, ale chciałem powiedzieć jedną rzecz: błogosławię twoją matkę, że uchroniła cię przed swoim losem.

Maldie pozwoliła, żeby jego pocałunek uciszył każdą odpowiedź, do której mogłaby się poczuć zobligowana. Nie musiał znać całej obrzydliwej prawdy, że to nie matka ochroniła jej cnotę. Od chwili, kiedy stała się kobietą, mężczyźni próbowali skraść bądź kupić jej niewinność. Zdarzało się, że matka była tak zdesperowana, że gniewała się o to, iż z uporem odmawiała przyjęcia jakiegokolwiek propozycji. Były to bolesne wspomnienia i pragnęła, by Balfour ze swoją namiętnością wyparł je z jej głowy.

- Chciałbym umieć pieścić cię ładnymi słowami - powiedział, rozsznurowując jej suknię drżącymi dłońmi. - Byłoby cudownie móc ci szeptać miłosne wyznania, jak robią to minstrele.

- Niepotrzebne mi są poezja i pieśni - chwyciła go za rękę i wycisnęła pocałunek na jego dłoni. - Gdy zawiodą cię słowa, mów do mnie w ten sposób - pocałowała go w usta. - I w ten. Tb i to, jak się dzięki temu czuję, mnie tu przywiodło, nie piękne słowa.

Balfour jęknął i zaczął chciwie ją całować. Ściągnął skórzany rzemień z jej włosów i zanurzył rękę głęboko w jedwabistą gęstwinę. Jej czułe słowa wzbudziły w nim nieokiełznane pożądanie, były jasną, słodką afirmacją tego, że czuje to samo co on.

Modlił się w duchu, by udało mu się panować nad sobą i działać powoli, tak by mogła, mimo że był to jej pierwszy raz, zaznać pełnej rozkoszy.

Kiedy obsypywał jej szyję gorączkowymi pocałunkami, mruczała z rozkoszy. Jakaś mała jej część była świadoma tego, że on zdejmuje jej suknię, ale jej biodra uniosły się same, żeby mu to ułatwić. Zamknęła oczy, kiedy poczuła, że zsuwa jej ze stóp buty i zaczyna ściągać pończochy. Obawiała się, że jeśli zobaczy swoją nagość, to skromność każe jej się zawahać. Sposób, w jaki przeciągał dużymi,

odrobinę szorstkimi dłońmi po jej udach, pozbawiał ją tchu i sptawiał, że bez trudu myślała już tylko o nim i pożądaniu, jakie w niej rozpalał. Kiedy wrócił w jej ramiona, przyłgnęła do niego, ale jego pocałunki były zbyt krótkie, by zaspokoić jej żądzę.

Przeszywały ją dreszcze, kiedy rozsznurowywał jej koszulę, kiedy jego długie palce muskały jej skórę. Gdy wreszcie pocałował przestrzeń między jej piersiami, jęknęła i przywarła do jego ramion. Delikatnie oswobodził się z jej uścisku. Zsunął z niej koszulę i przez chwilę poczuła na skórze chłód. Kiedy jego palce ostrożnie przesuwają się po szczycie jej pantalonów, spojrzała na niego ostrożnie spod rzęs.

Patrzył na jej bieliznę, jakby nigdy dotąd nie widział czegoś takiego. Zaczęła podejrzewać, że chyba nie spotkał dotąd kobiety, która by ich używała.

- Dla ochrony - powiedziała, zdziwiona tym, jak zachrypnięty i niski stał się jej głos.

- Mądre. - Nie powiedział nic więcej i zaczął się rozbierać.

Bez dotyku jego rąk i ust jej napiętość osłabła na tyle, że Maldie zaczęła odczuwać swoją nagość, ale kiedy patrzyła, jak Balfour zdejmuje z siebie odzienie, zapomniała o wcześniejszym zmieszaniu. Musiała zacisnąć pięści, żeby powstrzymać się od sięgnięcia po niego. Jego skóra była ciemna i gładka, napięta na twardych mięśniach. Jego klatka była nieowłosiona, ale ciemne, kręcone włoski zaczynały się tuż poniżej pępka i okalały jego przyrodzenie. Miał długie, pięknie ukształtowane nogi, pokryte delikatnym, ciemnym owłosieniem. Widok jego nagiego ciała w stanie pełnego podniecenia nie wzbudził w niej odrazy. Rozbawiło ją, że nagle to, co dawniej przerażało ją i budziło jej niesmak, teraz stało się atrakcyjne. Napiętość to tajemnicza siła. Nie tylko sprawia, że można odrzucić całą wstrzeźliwość, ale może też zmienić rzeczy, które zawsze wydawały się brzydkie i przerażające, w coś, czego się pożąda i pragnie.

Dziwny uśmiech na twarzy Maldie sprawił, że Balfour poczuł się niepewnie, ale kiedy ich ciała znów się zetknęły, zadrzał z rozkoszy.

- Jestem naprawdę ciemny - mruknął, przesuwając dłonią po jej mostku i muskając przy tym jej piersi.

- A ja naprawdę chuda - odparła, a jej oddech stał się znów szybki. Jego dotyk przywrócił ciepło w jej ciele.

- Raczej smukła - wyszeptał przy jej skórze, pokrywając piersi pocałunkami. -

Zastanawiałem się, czemu się uśmiechałaś. Mężczyzna może się poczuć nieswojo, kiedy kobieta śmieje się na widok jego nagiego ciała.

Zaśmiała się delikatnie, a potem zdała sobie sprawę, że źle odczytał jej intencje, myślał, że rozbawił ją jego wygląd. Trudno było jej się skupić, kiedy po każdym pocałunku jej wnętrze ścisnęła przemożna żądza, ale powiedziała: - Śmiałam się ze swojej reakcji na widok twojego nagiego, chętnego ciała. Ten pobudzony narząd widziałam zawsze jako przerażającą i brzydką broń,

tymczasem widok twojego członka okazał się dla mnie bardzo miły. Pomyślałam, że namiętność nie tylko mąci umysł, ale i oczy. - Zaśmiał się, z ustami przy jej skórze, a ona poczuła jego ulgę i radość z jej akceptacji.

- Miły, tak? - Przesunął kciukiem po twardniejącym sutku.

- Tak, miły - odparła. Zdziwiona, że wciąż potrafi mówić sensownie.

- Nie boisz się?

- Nie, ani trochę.

- Utrata niewinności będzie bolesna, ale postaram się rozpalic twoją namiętność na tyle, żeby osłabić ból.

- Wiem, że to boli, ale za bardzo cię pragnę, żeby o to dbać. - Kiedy wolno wziął jej sutek głęboko w usta, drażniąc go językiem i delikatnie ssąc, jęknęła i zatopiła palce w jego bujnych włosach - Tak, to naptawdę wielkie pragnienie.

Ciało Maldie unosiło się bezwiednie pod jego czułościami. Próbowwała przycisnąć się do niego i stękała z niecierpliwości, kiedy tego unikał. Każde szatknięcie piersi wzniecało w niej coraz większą potrzebę owinięcia się nim, zbliżenia, ale on ciągle jej unikał. Delikatny chłód owiał ją, kiedy Balfour zdjął jej pantalone, ale szybko jej ciało na powrót objęła gorączka, kiedy zaczął obsypywać jej brzuch pocałunkami.

Kiedy jego ręka ześlizgnęła się po udzie i zaczęła pieścić jej części intymne, przez namiętność zaczęło przebijać zdenerwowanie. Nagle jęknęła i zaczęła się wycofywać, ale przytrzymał ją, aż jego dotyk rozpuścił cały opór. Maldie otworzyła się na niego i objęła go mocno, kiedy wrócił do całowania jej piersi.

Wkrótce była tak nabrzmiała żądzą, że nie było w niej żadnego słowa, którym mogłaby go jeszcze wezwać. Rozchylił jej nogi i opuścił na nią swoje ciało. Przeszył

ją dreszcz, który był echem jego jęku. Brakowało jej słów, by nazwać swoje potrzeby, ale jej ciało dokładnie wiedziało, czego mu potrzeba.

Kiedy wolno się połączyli, Maldie zamknęła oczy. Czowała, że Balfour na nią patrzy, ale nie chciała, by cokolwiek ją rozpraszało, by odciągało uwagę od tego, co przeżywa. Wiedziała, że wyraz tych ciemnych oczu przykuje jej uwagę na tyle, że mogłaby uronić niejedną szczegół z tego doświadczenia. Kiedy ich ciała stały się jednym, nagle zaczęła być świadoma wszystkiego, czego doświadczała. Jego namiętność, jego żądza i pełne napięcia oczekiwanie mieszały się z jej uczuciami i podwajały je. U niego było jakieś silne, głębokie uczucie, wyczuwała je również w sobie, ale nie od razu umiała je rozpoznać. Nie była też pewna, czy może w tym momencie ufać swojemu osądowi. Wtedy przedarł się przez jej dziewictwo i ostry, krótki ból wypatł wszystkie myśli z jej głowy. Usłyszała swój krzyk i Balfour zastygł.

Maldie czekała przez chwilę, aż znów zacznie się poruszać, aż zrobi coś więcej niż tylko złożenie

pocałunku na jej twarzy, a potem ostrożnie otworzyła oczy.

Przyglądał się jej intensywnie. Napięcie jego rysów, natężenie ciemnego spojrzenia, rumieniec na wysokich kościach policzkowych mówiły jej, że z trudem panuje nad pożądaniem, jednak nie zrobił nic. Przesunęła ręką po jego boku, aż do biodra.

Zadrżał i zamknął oczy, delikatnie przykładając swoje zwilżone potem czoło do jej czoła.

- Dlaczego zastygłeś? - spytała,, słysząc w swoim głosie ten sam strach, który przeszywał jej ciało.

- Chciałem poczekać, aż ból zelżeje - odpowiedział, patrząc jej w oczy. Z trudem złapał oddech, gdy zobaczył w jej oczach ogrom pożądania.

- Mój ból? - Owinęła udami jego biodra.

- Krzyknęłaś z bólu.

- I ten drobny hałas zdołał cię powstrzymać?

- Tak... - Jego oczy rozszerzyły się, kiedy jej twarz rozjaśnił powolny, namiętny uśmiech.

— W takim razie powiedz tej biednej, niewinnej małej, jaki dźwięk musi z siebie wydobyć, żebyś kontynuował.

Zaśmiał się niepewnie, dotykając jej ust.

— Drobny wyraz zadowolenia?

Maldie zgodziła się i sapnęła, kiedy zaczął się znów w niej poruszać. Przywarła do niego, obejmując go nogami i ramionami. Pocałował ją, a jego język naśladował

głębokie pchnięcia jego ciała. Ostatnia świadoma myśl, jaka przebiegła jej przez głowę, to, że Balfour nadal się kontroluje, ale nie zastanawiała się nad tym. Po chwili zagubiła się już w gęstwinie emocji. Coś w jej wnętrzu nabrzmiewało, rosło w niej napięcie tak ogromne i przerażające, że w końcu pękło. Usłyszała swój krzyk, mimo że w tym samym momencie próbowała sprawić, by Balfour wszedł jeszcze głębiej. Wtedy zaczął się w niej poruszać gwałtowniej, co tylko wzmogło uczucia, które zalewały jej ciało. Krzyknęła ponownie, odważnie i dziko, kiedy chwycił ją za biodra i zatopił się w niej głęboko, jęcząc jej imię. Maldie przycisnęła twarz do jego mocnej szyi, drżąc z rozkoszy i czując, że zalewa jej wnętrze swoim nasieniem.

Przez długi czas trzymała go mocno, próbując zatrzymać uczucia, jakimi jego miłość wypełniła jej ciało. Smakowała jego obecność w swoich ramionach, delikatny dotyk jego dłoni, kiedy głaskał ją po bokach, a nawet to, jak ich ciała drżały. Kiedy zaczął się z niej wysuwać, jęknęła z żalu, miała wrażenie, że zabiera ze sobą całe ciepło. Zamknęła oczy i zakryła dłońmi twarz, kiedy wrócił do łóżka i obmywał ich ciała mokrym ręcznikiem. Gdy ponownie się położył i wziął ją w ramiona, znów miała jasny umysł, znów mogła myśleć, choć wcale nie wiedziała, czy chce.

Kiedy Maldie nic nie powiedziała, tylko skuliła się w jego objęciach i zmarszczyła czoło, Balfour zaczął się denerwować. Zaciągnął ją do łóżka, wykorzystał jej namiętność, żeby dostać to, na czym mu zależało, i to szybciej, niż mogła tego chcieć. Nie tylko namiętność nim kierowała. Żywe zainteresowanie, jakie Nigel wykazywał wobec niej, skłoniło go do desperackiej próby naznaczenia Maldie jako swojej. Nigdy nie mógł jej się do tego przyznać. Nie mógł też powiedzieć, że ten mniej niż honorowy plan obrócił się przeciwko niemu. Naznaczył ją, albo przynajmniej miał taką nadzieję, ale i ona bezwiednie i niewinnie zostawiła na nim swój ślad. Należał do niej. Całkowicie. Wiedział to od momentu, kiedy ich ciała się złączyły. Wszystkie uczucia, z którymi walczył, do których nie chciał się przyznać, okazały się prawdziwe. To było wielkie odkrycie, takie, nad którym ani nie chciał, ani nie miał czasu się teraz zastanawiać. Im dłużej Maldie milczała, tym większe miał przeświadczenie, że zgadła, co czuje. Już nieraz dowiodła, że doskonale potrafi odgadnąć, co czują inni. Błagał w duchu, żeby nie było tak i tym razem.

— Jak się miewasz? - spytał, obracając jej twarz do siebie.

Maldie patrzyła na niego i zastanawiała się, co by było, gdyby powiedziała mu dokładnie, o czym myśli. Kochała go. Wiedziała to od chwili, kiedy ich ciała złączyły się w jedno. Gdyby namiętność nie trzymała jej tak mocno w jego ramionach, pewnie uciekłyby z komnaty, może nawet opuściłaby Donncoill.

Balfour nie prosił o miłość, chciał namiętności. A przynajmniej ona tak myślała. Do tej pory udawało jej się wyzbyć wszelkich pragnień, potrzeb, a nawet uczuć. Balfour nie ponosił winy za to, że okazała się głupią kobietą, kimś, kto okłamywał sam siebie, nie potrafiąc stawić czoła prawdzie, aż do momentu, kiedy było za późno, żeby się wycofać.

- Wszystko dobrze — odparła. - Nie martwisz się już tym, że sprawiłeś mi ból, prawda?

- Nie, ale milczałaś tak długo. Tak długo, że zacząłem się obawiać, że coś cię martwi.

- Nie martwię się. Zastanawiałam się tylko. Nie brałam pod uwagę tego, jak bardzo ostateczna będzie moja decyzja. Nie jestem na tyle głupia, żeby sądzić, że jednej nocy oddam dziewictwo, a następnej dostanę drugie. Nic podobnego. Tyle tylko, że już nie mogę powiedzieć „nie”, prawda?

- Możesz krzyknąć „nie”, ile razy ci się podoba, ale to nie znaczy, że musisz teraz iść do łóżka z każdym mężczyzną. - Na samą myśl, że Maldie mogłaby być z innym, piersi Balfoura wypełniły się gniewem i zazdrością. Starał się jednak nie dawać wyrazu tym uczuciom. - Nigdy nie byłem zdania, że dziewictwo stanowi o honorze czy niewinności kobiety.

Jej oczy rozszerzyły się, nie tylko dlatego, że jego opinia ją zdziwiła, ale i dlatego, że usłyszała jakąś ostrość w tonie jego głosu. Nie wiedziała, co i dlaczego, ale coś z tego, co powiedziała, zezłościło go.

- Masz wielkie i hojne serce, Sir Balfourze Murray. Nie miałam na myśli tego, że muszę teraz podążać tą samą drogą co moja biedna matka, ale to, że zostałam twoją kochanką i nie da się tego odwrócić.

Balfour pomyślał, że się da, ale przemilczał te słowa. Wiedział, że wykorzysta każdą możliwość, żeby zatrzymać ją przy sobie. Maldie była za mądra, żeby szybko nie dostrzec błędów w swoim myśleniu, ale póki to nie nastąpi, on wzmocni swoją władzę nad nią.

- Żałujesz? - spytał, całując ją w ramię i gładząc po szczupłym karku.

- Powinam, ale chyba nie — bezwiednie przesunęła palcami po jego napiętym brzuchu, czerpiąc przyjemność z tego, jak drżał pod wpływem jej dotyku. Ten ewidentny znak, że podzielał jej słabość, był dla niej pocieszeniem. - Zawsze sobie przysięgałam, że nie popełnię błędów matki, jednak gdy teraz próbuję odnaleźć się w tej sytuacji, to nie mogę uwierzyć, że zrobiłam to samo. Może jednak przemawia przeze mnie próżność, bo nie chcę przyrzec się z bliska moim słabościom. Łatwiej jest mi uważać, że nie mam żadnych.

- To prawda, ale to słabość właśnie nas połączyła. Maldie uśmiechnęła się do niego.

- Czy dzięki temu powinnam się mniej przejmować? Balfour też się uśmiechnął i wzruszył

ramionami.

- Nie przychodzi mi do głowy nic innego, co mogłoby uspokoić twoją zasmuconą duszę. Jak już powiedziałem, bałem się powtórzyć złe decyzje ojca. Jednak i ja myślę, że to nie to samo. Oboje próbowaliśmy walczyć z tym, co między nami zapłonęło. Mój ojciec nigdy się nawet nie zawahał, gdy spodobała mu się jakaś kobieta.

Westchnęła i pokiwała głową z cichym współczuciem.

- Moja matka też się nigdy nie wahała. Nigdy, gdy w grę wchodziła namiętność lub pieniądze. Skoro chcemy się okłamywać, nazwijmy ten krótki czas czasem oporu.

- To nie był aż tak krótki czas. Na miłość boską, dla mnie to były całe wieki.

- Niewiele więcej niż dwa tygodnie. Nie jest to zbyt dowód na wytrwałość. Tak czy inaczej, możemy się pocieszać, ulżyć swoim obawom i wątpliwościom i zapewniać się, że nasi biedni rodzice, których błędów nie chcemy powielać, nie wytrzymałoby tak długo. Wiesz, co jest najsmutniejsze? To, że tak wyraźnie widzimy błędy tych, których powinniśmy szanować.

- Trudno pozostać ślepym na takie rzeczy, kiedy się dorasta. Człowiek dopiero z czasem staje się mądrzejszy i dostzega błędy. I nawet jeśli ich nie rozumie, to przynajmniej wybacza. Miłość, jaką żywiłem do ojca, nie osłabła, gdy poznałem jego słabości. Miał wiele zalet i mocnych stron. - Balfour zaczął się śmiać. - O, tak.

Gdyby nie był tak uzdolniony, to nigdy nie odkryłbym jego słabości do kobiet ani on sam by tego nie zrobił.

Maldie uważała, że to wzruszające, iż potrafi się śmiać z szaleństw ojca, mimo że rozumiał je tak dobrze. Chciałaby mieć równie swobodny stosunek do grzechów matki, a im była starsza, tym pewniejsza, że jej matka popełniła poważne błędy.

Wina, którą czuła, kiedy nawiedzały ją podobne myśli, głębokie poczucie nielojalności, które uderzało w nią w tych momentach wątpliwości, z czasem wyblakły, i to ją martwiło.

Maldie uznała, że nie chce już więcej myśleć o matce, to powodowało ból i przynosiło pytania, na które nie znała odpowiedzi. Uśmiechnęła się do Balfoura.

Mimo że jej ciało było obolałe po tym, jak wprowadził ją w świat namiętności, to był to dyskomfort, o którym mogła spokojnie zapomnieć. Namiętność, która połączyła ją z Balfourem, była pierwszą rzeczą, która potrafiła oczyścić jej głowę ze wszystkich smutnych myśli, a serce ze wszystkich uczuć poza miłością, jaką czuła dla niego. Na chwilę odsuwała nawet zimną i gorzką potrzebę rewanzu, która kierowała każdym jej krokiem przez ostatnie kilka miesięcy. Pewna, że nie trzeba wiele, by zachęcić go do ofiarowania jej kolejnej dawki oślepiającej rozkoszy, przesunęła ręką po jego

plecach i zaczęła pieścić jego pośladki, uśmiechając się szeroko. Poczwała jego dreszcze, a on instynktownie przysunął się do niej jeszcze bliżej.

- Nie można winić twego ojca za jego cechy - wymruczała, całując go w zagłębienie na szyi — ale jednak obdarzył cię wieloma z nich.

— Tak. — Balfour zamknął oczy i rozkoszował się tym, jak jej mała, miękka dłoń gładziła jego skórę. - Wiele kobiet wychwalało umiejętności miłosne Nigela.

Poczuła współczucie wobec tych wszystkich zniewag, jakich Balfour musiał zaznać od głupich kobiet zaślepionych urodą Nigela, ale szybko odepchnęła od siebie te myśli. Mimo że była dobrą uzdrowicielką, to pewnych ran nie umiała zaleczyć.

Tylko Balfour mógł wyzwolić się od tych duchów przeszłości i zobaczyć swoją wartość. Jedyne, co mogła zrobić, to dać mu do zrozumienia, słowem i gestem, że obchodzi ją tylko on, że tylko jego dotyk potrafi rozpalić w niej taki ogień. Uznała też, że nie będzie ani pobłażać, ani współczuć jego wątpliwościom, bo może się to jedynie rozszerzyć na inne aspekty ich życia.

— Cóż, nie będę chyba sprawdzać tej opinii — odrzekła słodko, przesuwając dłonią po jego udzie i wolno obejmując palcami jego pobudzonego członka. - Mam tu wszystko, czego chcę i potrzebuję. Wątpię, żebym mogła znaleźć coś słodsze i bardziej dzikiego. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, czybym chciała, obawiam się, że mogłabym tego nie przeżyć.

Jej intymne pieszczoty rozgrzały go tak bardzo, że nie mógł nawet mówić. Po chwili zdał sobie sprawę, że albo wyrzeknie się tej przyjemności, albo całkiem sttaci nad sobą kontrolę. Jęknął miękko, delikatnie odsunął jej rękę i odwrócił się tak, że znalazła się pod nim. Balfour wziął kilka wolnych, głębokich wdechów, żeby się uspokoić, a potem zastanowił się nad tym, co przed chwilą powiedziała. Wiedział, że się z nim droczy, ale sama myśl, że mogłaby zwrócić uwagę na Nigela, sprawiła, że poczuł wściekłość i przerażenie.

- Tak — powiedział, delikatnie odsuwając niesforne kosmyki włosów z jej twarzy. -

Mogłabyś nie przeżyć miłosnego spotkania z Nigelem, ale to nie śmiertelnej dawki namiętności powinnaś się obawiać.

Maldie patrzyła się na niego, zaskoczona twardym i chłodnym tonem jego głosu.

— Grozisz mi?

— Nie, ostrzegam cię — westchnął i dotknął czołem jej czoła. - Obawiam się, że mógłbym stracić rozum, a człowiek, który pozwoli, by gniew pozbawił go rozumu, może być niebezpieczny dla wszystkich wokoło.

- To prawda, ale odzyskałbyś go, zanim mógłbyś poważnie kogoś skrzywdzić.

- Wydajesz się tego bardzo pewna.

- Jestem tego pewna. - Sięgnęła ręką do jego policzka i zaczęła go gładzić. - Ale to bez znaczenia, ponieważ nigdy do tego nie dojdzie. Jesteś wielkim głupcem, Balfourze Murray, jeśli nie widzisz, że chcę tylko ciebie.

Jej słowa zapadły mu głęboko w serce, ale wiedział, że minie sporo czasu, zanim bezwarunkowo w nie uwierzy.

- Mówisz więc, że jesteś moja.

- Tak, twoja. Naznaczyłeś mnie, mój ciemnooki wojownika.

- To dobrze, bo ty również mnie naznaczyłaś - musnął jej wargi swoimi — chociaż wydaje mi się, że musimy to jeszcze potwierdzić. — Zawahał się i przyglądając jej się z bliska, spytał: - Boli cię coś?

Maldie owinęła ramiona wokół jego szyi i przywarła do niego ustami.

- Naznaczaj mnie, mój panie, śmiało.

Kiedy ją pocałował, poddała się całkowicie uczuciom, które w niej budził. Zbliżała się ostateczna konfrontacja z Beatonem, a wraz z nią trudne decyzje. Powie mu wreszcie prawdę? Zawalczy o więcej niż o namiętność? Będzie ją w ogóle chciał, kiedy dowie się, że jest córką Beatona? Na wszystkie te pytania nie знаła odpowiedzi i nie pozna ich, dopóki nie wyzna Balfourowi wszystkich swoich sekretów. Mimo że go kochała, nie mogła powiedzieć mu prawdy. Jeszcze nie teraz.

Dopóki Beaton nie zostanie pokonany, a ona nie uwolni się od przysięgi złożonej matce, będzie musiała ukrywać wszystkie swoje uczucia, będzie musiała pogodzić się, że namiętność to jedyne, co teraz może ofiarować Balfourowi. Kiedy zaczął

pokrywać jej piersi gorącymi pocałunkami, z dreszczem rozkoszy pomyślała jednak, że namiętność, którą mieli dzielić, była tak wspaniała, że na razie im wystarczy.

Rozdział 8

Maldie głośno ziewnęła. Rozejrzała się ukradkiem dookoła, zadowolona, że żaden z wartowników stojących wzdłuż murów Donncoill tego nie słyszał. Mogliby łatwo zgadnąć, dlaczego była taka zmęczona, a nie chciała czuć się zażenowana.

Uśmiechnęła się jednak na myśl o własnej głupocie. Ona i Balfour dzielili łożę od ponad tygodnia i mimo że była pewna, iż wszyscy w Donncoill o tym wiedzieli, nikt nie powiedział ani nie zrobił nic, żeby ją zawstydzić. Akceptowanie jej jako nałożnicy pana było całkowite i bezkrytyczne. Prawdę mówiąc, zaczynała myśleć, że wielu ludzi w Donncoill było zadowolonych, że ich pan miał kobietę. Niektórzy uważali pewnie, że dziedzic wkrótce się ożeni i doczeka następcy. Maldie szybko odrzuciła te myśli. To było kuszące marzenie i szybko mogłaby złapać się w pułapkę, a gdyby któregoś dnia została zmuszona do opuszczenia Donncoill i Balfoura, tylko zwiększyłoby to jej ból.

Spojrzała w dół na ludzi wchodzących i wychodzących przez grube bramy Donncoill. Zastanawiała się, czy ktokolwiek zauważyłby, gdyby wyslizgnęła się, żeby odpocząć, kiedy nagle coś przykuło jej uwagę. Pochylona postać, zawinięta w brązowy znoszony płaszcz, w pośpiechu oddalała się z Donncoill. Maldie nie widziała twarzy kobiety, ale wiedziała w duchu, że to Grizel. Wiedziała też, że kobieta ma zamiar zrobić coś, co pomoże Beatonowi. Właśnie kiedy rozmyślała, gdzie może znaleźć Balfoura, zanim wszelkie szanse na podążenie za kobietą zostaną stracone, stanął za nią i

objął ją ramionami.

- Szukałem cię - zamruczał, wychylając się, by pocałować ją w policzek.

- Wydaje mi się, że nawet wiem dlaczego - powiedziała, przeciągając słowa, kiedy poczuła jego podniecenie. - Jesteś nienasycony.

- To twoja wina. Budzisz w mężczyznach ogromne żądze.

- I ty mnie podniecasz. Wydaje mi się jednak, że musimy na razie zrezygnować z tej przyjemności. - Wskazała w kierunku owiniętej płaszczem postaci, uchodzącej wzdłuż drogi do wioski. - Myślę, że będziesz miał tyle samo radości, jeśli pójdziesz za nią.

Balfour zmarszczył brwi i wytężył wzrok, by przyjrzeć się postaci, którą mu pokazała.

- Za nią? Kto to jest? I dlaczego powinienem zwrócić na nią uwagę?

- To Grizel. Tak, zaufaj mi, wiem to z całą pewnością, choć nie widzisz jej twarzy.

To Grizel, która spieszy, by znów cię zdradzić.

Puścił Maldie i przechylił się przez mury, by lepiej się przyjrzeć.

- Masz jakieś wizje? Skąd możesz wiedzieć, kim jest ta okutana kobieta i co zamierza?

Maldie skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

- Nie wiem skąd. Po prostu. Każda kość w moim ciele mówi mi, że to Grizel i że spieszy się, żeby przesłać wiadomość Beatonowi. Proszę, jedź za nią. Jeśli mam rację, będziesz miał dowód, którego szukałeś, i będziesz mógł położyć koniec jej zdradzie. Jeśli się mylę, wrócisz i daję ci prawo nazywania mnie głupią.

- Posiadanie ptawa, by to zrobić, odbiera mi całą przyjemność - uśmiechnął się, gdy się zaśmiała, a potem ruszył w dół stromymi schodami. Była to jedna z niewielu dróg, którymi człowiek mógł dostać się na mury Donncoill. - Znajdę Jamesa i ruszymy za tą kobietą. Modlę się tylko, żeby nie pytał mnie, dlaczego nalegam, żeby ścigać tę zakapturzoną postać. Jego śmiech na wieść o tym, że twoje kości kazały mi to zrobić, ogłuszyłby mnie na zawsze.

Zaśmiała się cicho, ale kiedy znów zaczęła przyglądać się Grizel, spoważniała.

Trzeba zatrzymać tę kobietę. Trudno zgadnąć, ile się dowiedziała, zanim Maldie zwróciła na nią podejrzenia, i ile powiedziała już Beatonowi. Nawet teraz może się spieszyć, by przekazać ludziom Beatona coś, co może narazić życie Balfoura na niebezpieczeństwo. Myśl o tym sprawiła, że Maldie chciała sama ruszyć w pościg za Grizel. Ulżyło jej, kiedy zobaczyła Jamesa, Balfoura i dwóch innych mężczyzn wychodzących przez bramy Donncoill. Ruszyli za kobietą, starając się być jednocześnie szybcy i dyskretni. Maldie uznała, że dobrze wykonują swoje zadanie, i zaczęła schodzić z murów. Podczas gdy Balfour śledził szpiega, ona miała zamiar odrobinę się przespać.

- A teraz może mi w końcu powiesz, czemu ścigamy tę brudną, okutaną postać? -

zażądał wyjaśnień James, kiedy razem z Balfourem i dwoma kompanami skryli się w pasie drzew rosnących wzdłuż drogi.

- Myślę, że to ona pomagała Beatonowi - odpowiedział Balfour, dumny z tego, jak cicho poruszają się w zaroślach, bacznie przyglądając się śledzonej.

- "Wydawało mi się, że uznałeś, że zdrajcą jest ta stara, kąśliwa sowa, Grizel.

- Bo jest. — Balfour skrzywił się w duchu. James cały czas naciskał na niego, by powiedział, dlaczego śledzą tę tajemniczą kobietę. Był pewien, że już słyszy te salwy głośnego śmiechu. — To jest Grizel.

- Skąd, na miłość boską, możesz wiedzieć, że to ona? — James wyciągnął szyję, jakby to miało mu pomóc w dokładniejszym przyjrzeniu się zbiegowi, a potem pottząsnął głową. - Widziałeś, jak owijała się w tę szmatę?

- Nie. I zanim zadręczysz mnie na śmierć pytaniami, powiem ci, że to Maldie powiedziała mi, że to Grizel, i że zaraz udowodnimy tej kobiecie zdradę.

- Ach, panna Kirkcaldy posłała cię w pogoń za Grizel. Ta sama kobieta, która powiedziała ci, że Grizel cię nienawidzi i że nas szpieguje.

Balfour spojrział chmurnie na Jamesa, dotknięty jego prześmiewczym tonem.

- Odkąd dzięki Maldie przyjrzałem się bliżej Grizel i odkąd pomogła mi zobaczyć jej nienawiść i zrozumieć powody, dla których nas nienawidzi, wszystko ułożyło się w całość.

- Cóż, to jeszcze mogę zrozumieć, a nawet mogę ci to gwarantować, ale czy panna Kirkcaldy słyszała albo widziała, żeby Grizel planowała zdradę? — James zaklął

cicho, kiedy ostra gałąź dźgnęła go mocno w ramię.

- Nie - mruknął Balfour, dając znak, by się zatrzymali, ponieważ doszli właśnie do sktaju drzew, za którymi była tylko otwarta przestrzeń pól uprawnych. — Cóż, minęliśmy wioskę, więc może nie ma tu żadnego zdrajcy. Może Grizel jest sama.

- Czekaj. - James potarł swoją długą brodę, przyglądając się Balfourowi. — Teraz jesteś moim panem, ale jesteś też chłopakiem, którego posadziłem na jego pierwszego konia. Do tego chłopaka teraz mówię. Powiedz mi, co zostało powiedziane i usłyszane. Powiedz mi dokładnie, czemu jesteśmy tu, bez koni, czemu skradamy się jak złodzieje za jakąś spowitą w płaszcz postacią.

Balfour zaklął cicho.

- Nikt niczego nie widział i nie słyszał. Maldie po prostu to wiedziała. Powiedziała, że czuje to w kościach. - Jedno ostre spojrzenie wystarczyło, by zdławić chichot dwóch idących z tyłu mężczyzn.

Balfour napotkał teraz nieruchomy wzrok Jamesa.

- Miała wizję? - zapytał, cedząc słowa.

- Nie. Tylko przeczucie. Wiem, to może głupota. - Balfour zignorował wymowny wzrok Jamesa i wrócił do obserwowania Grizel. - Jaka z tego może wyniknąć szkoda? Zobaczymy na własne oczy zdradę albo nic nie zobaczymy. Wątpię, żeby ta zgarbiona, zakutana kobieta spieszyła na spotkanie z kochankiem.

- Kto wie? Namiętność każdego może pozbawić władzy sądenia. Balfour uznał, że lepiej będzie zignorować obrazę, jaką wycedził przez zęby James. Modlił się, żeby Maldie miała rację, żeby to była Grizel i by dowiodła swojej niełojalności. Mimo że myśl o tym, iż ktoś z jego ludzi może okazać się zdrajcą i pomagać Beatonowi, była mu nienawistna, to jednak wołał, by się sprawdziła, niż wyjść na głupca.

Kiedy uznał, że mogą już opuścić kryjówkę wyszedł z zarośli, a jego ludzie pospiesznie ruszyli za nim. Szli za kobietą prawie przez milę, zanim ta zatrzymała się przed rozpadającym się kopcem obok małego strumyka. Balfour i jego ludzie ukryli się w gęstych krzakach i czekali. Postać usiadła na skałkach i zsunęła z głowy kaptur.

Balfour posłał Jamesowi krótkie triumfujące spojrzenie.

- Widać drobne kości twojej damy mówiły prawdę o tym, kto skrywa się pod płaszczem — wyszeptał James, próbując bezskutecznie usadowić się wygodnie na skalistym podłożu. - Musimy teraz zobaczyć jakiś dowód zdrady.

- Myślę, że i to się nam zaraz pokaże - powiedział jeden z młodych mężczyzn, krzepki i zazwyczaj milczący chłopak o imieniu Ian. - Albo to jedno z łajdactw Beatona, albo ktoś w końcu postanowił poużywać z tą skwaśniałą starą wiedźmą.

W stronę Grizel zbliżyli się trzej mężczyźni. Ona patrzyła w ich stronę bez obaw, na jej twarzy widoczny był zwykły wyraz niecierpliwości i złego humoru. Uwagę Balfoura przykuł widoczny herb na brudnym ubraniu jednego z mężczyzn. To byli ludzie Beatona. Nie potrzebował lepszego dowodu.

- Czy masz zamiar wstrzymać się jeszcze i posłuchać, co powiedzą?

- spytał James.

- A powinienem?

- Nie. Wiadomo, kim oni są. I że oni i Grizel nie są dla siebie obcy.

- Spróbujcie schwytać jednego z psów Beatona żywcem - syknął, kiedy James zaczął się już oddalać, żeby podejść do szpiegów z prawej strony.

- Może uda nam się dowiedzieć, jak bardzo Grizel nam zaszkodziła.

Balfour zobaczył jeszcze, jak James kiwa głową, zanim zniknął w wysokiej trawie i luźno rosnących krzakach. Modlił się, żeby udało mu się być równie niewidocznym, kiedy skradał się w kierunku Grizel. Nie mógł teraz pokonać Beatona ani utatować Erica, ale miał szansę zranić wroga i bardzo potrzebował tego małego zwycięstwa.

Mógł przekreślić tę przewagę, którą zyskał Beaton dzięki temu, że Grizel zdradziła swój klan.

Kiedy uderzyli na nich, wszystko wydarzyło się tak szybko, że Balfour był niemal rozczarowany. On i jego ludzie ruszyli z czterech stron. Ludzie Beatona nie chcieli się poddać, próbowali znaleźć drogę ucieczki z pułapki, w którą dali się złapać, i szybko polegli. Grizel nie próbowała nawet szukać ratunku. Siedziała na skałkach, przypatrując się walce. Balfour prawie czuł jej nienawiść do nich wszystkich, kiedy wycierał swój miecz o watowaną koszulę jednego z mężczyzn, którego chwilę wcześniej zabił. Zastanawiał się, czy kobieta będzie się chciała ratować, zaprzeczając wszystkiemu, co właśnie zobaczyli.

- A więc można pan na Donncoill nie ma nic lepszego do roboty, jak śledzić starą kobietę? - wypaliła.

- Okazałaś się winna poważnej zbrodni, Grizel - powiedział Balfour.

- Wypadałoby, żebyś zwracała się do mnie z większą pokorą, a nawet wyraziła skruchę.

- Skruchę? - podchwyciła, uśmiechając się złośliwie, kiedy mężczyźni wystąpili pośpiesznie w jej kierunku. - Niczego nie żałuję.

- Zdradziłaś swój klan. Okryłaś swój ród hańbą, z której może nigdy się nie oczyści.

- Nic mnie oni nie obchodzą. Spędzają swoje nędzne życie na harowaniu dla ciebie i twoich ludzi. Kiedy im powiedziałam, jak twój ojciec mnie zhańbił, i błagałam, by walczyli ze mną o mój honor, odmówili. Niech sami się o siebie troszczą, tak jak ja to zrobiłam.

- Niczego dla siebie nie zrobiłaś, głupia - powiedział James. - Niczego, poza przyszykowaniem topora na własną głowę. A wszystko to dlatego, że mężczyzna raz się z tobą przespał i nigdy więcej tego nie zrobił? Miałaś między nami zaszczytne miejsce, a cały czas planowałaś, jak wbić nam nóż w plecy?

- Zaszczytne miejsce? - Grizel zaśmiała się, a był to śmiech ostry, nieprzyjemny i pełen goryczy. - Masz na myśli miejsce, które wasz wielki pan dał swojej nędznej dziwce? - Uśmiechnęła się, kiedy Balfour zrobił krok w jej stronę, zaciskając ręce, jakby walczył z pokusą, by ją uderzyć. - Wielki mi honor, witać wszelkie choroby, które nawiedziły Donncoill. Wycierać nosy i tyłki wszystkich chorych. Tylko jedną korzyść wyciągnęłam z tej niesmacznej harówki, taką, że mogłam się zbliżyć do twojego ojca, gdy nadszedł czas. Tak, Balfourze, wy, głupcy, złożyliście jego życie w moje ręce i pozwoliliście mi zrobić z nim, co mi się podobało.

- Zabiłaś go - szepnął Balfour, gdyż zaskoczenie pozbawiło go głosu.

- Tak, na waszych oczach. Zabrało mi to wiele dni, ale pozbawiłam łajdaka krwi, aż w końcu nie

miał jej wcale. A teraz oddałam jego ukochanego bękartą w ręce największego wroga. - Wyprostowała się, kiedy Balfour wziął do ręki miecz.

- Nie - powiedział James, łapiąc Balfoura mocno za ramię i zatrzymując jego cios. -

Tego właśnie od ciebie chce. Szybka śmierć od miecza jest zawsze lepsza niż powieszenie.

- Zabiła mojego ojca. Myślałam, że Bóg tak chciał, albo w najgorszym wypadku, że nie potrafiła go uratować, ale ona go po prostu zabiła. - Balfour wziął głęboki, nierówny wdech i wolno opuścił miecz do pochwy. - A my wszyscy staliśmy obok, kiedy to zrobiła. - Obrócił się do niej tyłem, nie wiedział, jak długo uda mu się hamować chęć ścięcia jej, jeśli będzie na nią patrzył i słuchał tego, co mówi. - Nie mogę znieść jej obecności. Pomówię z ludźmi z jej klanu, kiedy wróci mi spokój i rozum. Zabierzcie ją do Donncoill i strzeżcie jej - rozkazał.

Balfour wykorzystał długi spacer do Donncoill, by odzyskać spokój. Będzie musiał

kontrolować swoją furję, kiedy powie krewnym Grizel o jej zbrodniach i kiedy wyda na nią wyrok. Nie będzie mógł wykonywać dobrze swoich obowiązków, jeśli zawładnie nim gniew. Jego ludzie nie będą go winić, ale lepiej będzie jeśli stanie przed nimi spokojny, sprawiedliwy i rozsądny, zwłaszcza że wyrok, który miał

wydać, będzie wyrokiem śmierci. Jakie zachowanie przysporzy mu więcej szacunku niż działanie w słusznym nawet gniewie.

Kiedy dotarł do Donncoill, udał się wprost do komnaty Maldie. Miał nadzieję ją tam zastać, brakowało mu cierpliwości, żeby jej teraz szukać. Potrzebował jej bardzo, i to natychmiast. Instynkt podpowiadał mu, że przy niej odzyska kontrolę nad emocjami. Zadziwiało go, że ta sama osoba, która rozpalala w nim tę nieokiełznaną namiętność, pomoże mu odzyskać rozsądek.

Maldie obudziła się natychmiast, kiedy wszedł do jej komnaty. Usiadła i wpatrywała się w Balfoura, speszona i zaniepokojona wyrazem jego twarzy. To była dziwna mieszanka żalu i gniewu. Przez chwilę bała się, że to ona była przyczyną jego przygnębienia, ale zdławiła tę obawę. Balfoura nie było zbyt krótko, by mógł odkryć jakąkolwiek z jej licznych tajemnic, poza tym był zajęty ściganiem Grizel. Ta przebiegła, zgarbiona postać to była z pewnością ona. Kobieta musiała okazać się zdrajczynią. Maldie poczuła ulgę, że miała rację, ale też współczucie dla Balfouta, który nie zasługiwał na taką podłość.

- Ogromnie mi przykro, Balfourze - powiedziała.

- Dlaczego? - westchnął i zatopił palce w swoich włosach. — Miałaś rację.

- Już to odgadłam. Przykro mi, że odkryłeś, jak gorzko może smakować zdrada. Nie zrobiłeś tej kobiecie nic, czym byś na to zasłużył.

Balfour uniósł jej dłoń do swoich ust i pocałował.

- Twoje współczucie dla moich kłopotów jest słodkie i mile widziane, ale nie tego teraz szukam. —

Uśmiechnął się, kiedy otworzyła szeroko oczy. - Zdaję sobie sprawę, że to mało pochlebne, ale muszę oczyścić umysł, a miłość z tobą może mi w tym pomóc.

Zaśmiała się i pociągnęła go za sobą na łóżko.

- Rozumiem. Najpierw przychodzi namiętność, która kradnie każdą myśl z twojej głowy, a potem to słodkie „po”, kiedy wracają zmysły i ciało jest zrelaksowane. To idealny czas, żeby uporządkować myśli. — Pocałowała go w usta. - Tylko niech to nie będzie jedyny powód, dla którego szukasz mojej sypialni, bo zacznę czuć się jak nocnik.

- To się nigdy nie stanie.

Maldie nie odpowiedziała, tylko namiętnie oddała mu pocałunek. Składał takie obietnice, ponieważ wydawało mu się, że ją zna. Istniały spore szanse, że nigdy nie wróciłby do jej łóżka, gdyby dowiedział się prawdy. Poczuli się zdradzeni, a wyraz jego twarzy, kiedy wszedł do komnaty, mówił wszystko o tym, co myśli i jak się czuje wobec zdrady. Myśl, że wkrótce może wyrzucić ją ze swojej sypialni, a nawet ze swojego życia, zaostriła tylko jej apetyt na miłość.

Zdejmował jej ubranie, a ona pospiesznie zdejmowała jego. Kiedy ich ciała w końcu się spotkały, zadrżała z rozkoszy. Mimo że nadal czuła jego gniew, wiedziała, że nie obraca go przeciwko niej. Widziała w tym wyzwanie. Była ciekawa, czy potrafi rozniecić w nim taki ogień i pasję, które spalały cały gniew, choćby na chwilę. Maldie miała nadzieję, że będzie potrafiła złagodzić ból zdrady.

Balfour chrząknął ze zdziwienia, kiedy Maldie nagle popchnęła go na plecy i usiadła na nim okrakiem. Zanim zdołał się odezwać, zaczęła go pieścić i pokrywać jego ciało pocałunkami. Zaciśnął usta, bojąc się, że jeśli powie choć słowo, ona przerwie.

Zatopił palce w jej gęstych włosach i starał się na tyle kontrolować szybko rosnące podniecenie, żeby móc sprawdzić, jak czułe będą jej pieszczoty.

Okazało się to niemożliwe, kiedy zaczęła pieścić jego miejsca intymne, najpierw swoją małą, miękką ręką, a potem językiem. Przeszyły go dreszcze i drżał pod jej pieszczotami, powstrzymując fale napływającego gorąca, by w pełni zasmakować jej miłości. Kiedy powoli wzięła go do ust, krzyknął z przyjemności, jaką mu dała.

Musiał to przerwać. Podciągnął ją w górę. Nie potrzebowała wskazówek, dosiadła go z umiejętnością, która pozbawiła go tchu. Przyciągnął jej usta do swoich, całując gwałtownie, aż do momentu, kiedy oboje poczuli ulgę, której tak potrzebowali.

Kiedy upadła w jego ramiona, objął ją, czując w sobie intensywną mieszaninę sił żywotnych i słabości nowo narodzonego dziecka.

Dopiero kiedy Maldie uwolniła się z jego objęć, obmyła ich oboje i skuliła się u jego boku, Balfour odzyskał trzeźwość umysłu. Jego pierwsze myśli nie prowadziły jednak do Grizel, Beatona czy zdrajców. Maldie uprawiała z nim miłość w sposób, jaki znany był nielicznym kobietom, w sposób, o którym jej nie mówił ani którego jej nie pokazywał. Biorąc nawet pod uwagę jej niewinność, której

dowód widział na własne oczy, nie potrafił ukoić swoich niepokojów i rosnącego zmieszania. Kobieta nie traci dziewictwa, kochając się w ten sposób.

- Skąd wiedziałaś, co robić? — zażądał wyjaśnień, patrząc na nią i klnąc w duchu potrzebę, która kazała mu zadać to pytanie.

Maldie westchnęła teatralnie i rzuciła mu pochmurne spojrzenie. Wiedziała, że rumieni się w poczuciu winy. Wiedziała, że powinna obrazić się śmiertelnie za nieprzychylne myśli, które musiały chodzić mu po głowie, ale nie zrobiła tego.

Kochała się z nim tak, jak potrafiły tylko śmiałe i doświadczone kobiety. Ona uchodziła za niewinną i niedoświadczoną i takie umiejętności mogły budzić wątpliwości. Obrazi się, jeśli nie uwierzy w jej wyjaśnienia, które w przeciwieństwie do innych rzeczy, jakie mu o sobie powiedziała, będą prawdziwe.

- Czy nie uwolniłam twojego umysłu, jak sobie tego życzyłeś? - spytała.

- No cóż, tak, ale... — zmieszał się, kiedy zaczęła się cicho śmiać i położyła mu na ustach palec.

- Już dobrze, drażnię się z tobą. Matka powiedziała mi, że mężczyźni to lubią. Nie miała racji?

Balfour był zszokowany, zły na jej matkę, przybity tym smutnym wglądem w jej dawne życie.

- Nie, nie myliła się - przywołując w pamięci intensywność przyjemności, jaką go obdarowała, uśmiechnął się i złożył na jej ustach pocałunek.

— Nie powinna jednak mówić ci o takich rzeczach. Czy próbowała w ten sposób...

— zawiesił głos, niepewny, jak zadać pytanie, nie obrażając przy tym zbytnio jej matki.

- Czy próbowała w ten sposób zrobić ze mnie dziwkę? - Maldie uśmiechnęła się ze smutkiem, gdy dostrzegła, że czuł się niekomfortowo.

- Tak, nieraz myślę, że właśnie o to jej chodziło. Mogłabym zarobić pełną sakwę przez te kilka lat, zanim moja uroda zaczęłaby blednąć. Czasem myślę jednak, że ona nie miała mi nic innego do powiedzenia. Mężczyźni i to, jak ich zadowolić, by dobrze zapłacili, to jedyne, na czym się znała - przyłgnęła do niego. — Ale porozmawiajmy o tym, co wzbudziło twój gniew.

- Z przykrością muszę przyznać, że straciłem szansę, żeby nazwać cię głupią. —

Poczuł, jak jego gniew powraca, ale teraz mógł go już kontrolować. - Jak ci powiedziałem, tą okutaną postacią okazała się Grizel. Miała umówione spotkanie z trzema ludźmi Beaton. Niestety, nie poddali się. To małe zwycięstwo nad Beatonem byłoby o wiele słodsze, gdybym zyskał szansę na wydarcie kilku tajemnic jednemu z nich. - Czy Grizel żyje?

- Tak, ale nic mi nie powiedziała. Jeśli zna jakieś sekrety Beaton, to prędzej zabierze je do grobu, niż mi je zdradzi. Nie zrobiła nic, żeby się ratować, siedziała tam i pluła nam w twarz

obrzydliwościami, których się dopuściła.

- Jej nienawiść do ciebie jest silniejsza, niż przypuszczałam, jeśli pozwala jej zaprowadzić się wprost do grobu.

- O, tak, jest doprawdy ogromna. Zamieniła ją w morderczynię.

- Jesteś tego pewien?

Pokiwał głową, bezwiednie pocierając jej szczupły kark, zdziwiony, że samo dotykanie jej skóry daje mu siłę, by kontrolować żal i gniew.

- Przyznała się do tego. Pamiętasz, kiedy przybyłaś do Donncoill, mówiłem ci, że nasza uzdrowicielka używa do wszystkiego pijawek i puszcza krew?

Maldie poczuła, jak chłód przeszywa jej ciało. Była przerażona myślą, jaka kształtowała się jej w głowie, ale wiedziała już, że to prawda. Jej głos brzmiał

miętko, kiedy powiedziała: - Mówiłeś mi, że nie wierzysz w ten rodzaj kuracji, że uważasz, iż przyspieszyła śmierć twojego ojca.

- Więcej niż przyspieszyła. Grizel chwaliła się, że wykorzystwała swoje honorowe miejsce uzdrowicielki, by zabić go na naszych oczach. Powiedziała, że wykrwawiała go, aż w końcu nie miał już ani jednej kropli do oddania. Chciałem ją zabić, ale James mnie powstrzymał - skrzywił się. - Podniosłem miecz i byłem bliski ścięcia tej starej, zgorzkniałej kobiety.

- Nie wstydź się tego. *Zabiła* twojego ojca, z okrucieństwem i bez żadnych wyrzutów sumienia. - Pocałowała go w policzek. — Nie zabiłeś jej. Gdybyś naprawdę chciał to zrobić, James by cię nie powstrzymał. Nie wiń się za to, czego nie zrobiłeś, pomyśl o tym, co powinieneś zrobić teraz.

- Muszę powiedzieć o tym wszystkim Nigelowi, a potem porozmawiać z jej krewnymi - przytrzymał ją mocniej przez chwilę. - Wolałbym zostać teraz przy tobie.

- Nie możesz. Jeśli będziesz zbyt długo zwlekał z rozmową z Nigelem i krewnymi Grizel, to usłyszą o tym wszystkim od kogoś innego. Takich wiadomości nie da się ukrywać zbyt długi czas. Plotki już się pewnie zaczęły rozchodzić. - Uśmiechnęła się delikatnie, kiedy zachnął się i wstał z łóżka. - Nigel musi tego dowiedzieć się od ciebie, nie z pogłosek.

- Wiem o tym - mruknął, wciągając na siebie ubranie. - Modłę się tylko, żeby utrzymać panowanie nad sobą. Mój gniew nie posłuży niczemu, a tylko może wzmóc jego.

Maldie odwróciła się na bok, owijając się w prześcieradło. Uśmiechnęła się do niego, kiedy obrócił się, by na nią spojrzeć.

- Czy mam zatem czekać tu na ciebie, mój panie? - Ucieszyła się, gdy się zaśmiał, zadowolona, że może usunąć smutek z jego oczu nawet na chwilę.

Balfour pocałował ją, poprawił ubranie i ruszył w stronę drzwi.

- To naprawdę kusząca propozycja, moja pani. Pragnąłbym ją przyjąć, ale obawiam się, że powinnaś się zająć Nigelem. Będzie równie wściekły co ja, kiedy się dowie.

- Oczywiście, taki gniew może go nazbyt osłabić, może też sprawić, że będzie chciał

wstać. Kiedy skończysz przekazywać mu te smutne wieści, po prostu pociągnij szarfę przy moich drzwiach, a pójdę do niego.

Gdy za Balfourem zamknęły się drzwi, Maldie przewróciła się na plecy i pograżyła w myślach. To właśnie robi ludziom Beaton. Wykorzystał nienawiść starej, zgorzkniałej kobiety, żeby zranić Balfoura i wykraść chłopca z jego domu. Do morderstwa ojca Balfoura nie doszło może na skutek jego rozkazów, ale Beaton z pewnością pochwalał ten czyn i wynagrodził szczerze morderczynię. Pozostawało pytanie, kto dorwie go pierwszy, ona czy Balfour?

Rozdział 9

Ostry smak mocnego wina nie pomógł Balfourowi się uspokoić, ale mimo to ponownie napełnił swój kielich. Rozejrzał się po wielkiej sali. Mimo że popołudniowy posiłek był już gotowy od ponad godziny, przy stołach znajdowało się zaledwie kilku ludzi. Balfour miał nadzieję, że ci, których nie ma na wspólnym obiadowaniu, cierpią na brak apetytu, a nie dlatego są nieobecni, że właśnie skazał i powiesił jedną z ich klanu.

Skrzywił się i wziął kolejny łyk, myśląc o egzekucji, którą właśnie przeprowadził.

Grizel nie okazała skruchy ani podczas krótkiego procesu, ani później. Szczerze przeklinała jego i jego rodzinę do chwili, aż lina wokół jej szyi nie ucięła jej gorzkich słów. Balfour nie był pewien, co bardziej go martwiło - jej niewzruszona nienawiść i pogarda czy fakt, że przeprowadził pierwsze stracenie jako dziedzic Donncoill. Mimo wszystkich zbrodni, jakie popełniła, Balfour nie znalazł żadnej satysfakcji w śmierci Grizel, nie czuł też dumy z faktu, że wydał wyrok śmierci, jeden z nielicznych, jakie zapadły w Donncoill, odkąd klan Murrayów zasiedlił te ziemie.

- Chodź no tu, chłopie - powiedział James, siadając obok Balfoura, a jego głos pełen był zrozumienia. - Zrobiłeś to, co musiałeś. Ta kobieta wydała na siebie wyrok swoimi własnymi słowami. Mogłeś znaleźć wytłumaczenie dla zdrady, ale ona zabiła twojego ojca, swojego pana.

- Wiem o tym. - Balfour rozsiadł się na krześle. - I nie zgotowała mojemu ojcu ani szybkiej, ani honorowej śmierci, sprawiedliwie zatem sama takiej nie zaznała. Nie czerpię przyjemności z wieszania ludzi i uważam konieczność wydania takiego rozkazu za obrzydliwy obowiązek. Prawdę mówiąc, jestem bardzo zły, że ta stara baba mnie do tego zmusiła.

- Być może to był jej ostatni akt zemsty.

- Być może - uśmiechnął się krzywo. - To był bardzo długi dzień, mimo że minęła dopiero jego połowa. Znaleźliśmy zdrajczynię, osądziliśmy ją i powiesiliśmy.

- Kości twojej drobnej kobiety miały więcej mądrości niż my wszyscy.
- Myślę, że minie sporo czasu, zanim strąsnę z siebie winę za śmierć ojca.
- Winę? Dlaczego miałbyś się czuć winny? - James nalał sobie kufel wina.
- Dlatego, że stałem tam i przyglądałem się, jak ta kobieta go zabija. Zrobiła ze mnie współnika swojej zbrodni.
- Nie - powiedział ostro James, odsyłając gestem dwóch małych paziów, którzy kryli się pod ścianą, czekając na ewentualny rozkaz swojego pana. - Grizel była naszą uzdrowicielką, twój ojciec sam mianował ją na to stanowisko.
- Ale nie byłem pewien, czy dobrze się nim zajmuje. Widziałem, jak puszcza mu krew, raz za razem. Byłem przekonany, że to go osłabia, zamiast wzmacniać, ale jej nie powstrzymałem. Powinno być dla mnie jasne, że była kochanka tak chłodno odsunięta nie jest odpowiednią osobą, by o niego dbać.
- Twój ojciec powinien był sam to wiedzieć. Nigdy nie powiedział ani słowa, a minęło wiele dni, zanim zabrakło mu sił, by mówić. Wiem, że moje słowa nie ulecą cię z poczucia winy, ale uwierz mi, kiedy mówię, że nie ponosisz żadnej winy za śmierć ojca. Żaden z nas nie zobaczył śladów zbrodni, nikt nie podejrzewał tej kobiety.

Balfour pokiwał głową, ale wiedział, że słowa Jamesa go nie przekonują. Trudno było przyjąć do wiadomości, że mógł ocalić ojca i nie zrobił tego. Również Ericowi mógł oszczędzić tej ciężkiej próby, gdyby poświęcił ich sytuacji trochę więcej uwagi. Grizel zdradzała ich od lat i trudno było uwierzyć, że nigdy nie zauważyli oznak tej zdrady. Gdyby byli bardziej czujni, może coś by dostrzegli. Odtrącił od siebie te ponure myśli, zdając sobie sprawę, że są bezsensowne. Nie mógł przecież cofnąć czasu i naprawić błędów.

- Cóż, przynajmniej udowodniliśmy, że Maldie nie jest naszym wrogiem - powiedział, sięgając po ser i chleb.
- Czyżby? - mruknął James, rozsmarowując grubą warstwę miodu na swoim chlebie.
- Tak, to ona pokazała nam, kto jest zdrajcą.
- To prawda.
- Grizel pomagała Beatonowi. Jeśli Maldie też mu pomaga, to dlaczego miałyby wydawać nam jednego ze swoich szpiegów?
- A dlaczego nie? - James wytarł usta w rękaw koszuli i spojrzał Balfourowi prosto w twarz. - Czy jest lepszy sposób, żeby twój wróg uznał cię za przyjaciela?
- Nie, nie mogę w to uwierzyć.

- Nie chcesz nawet o tym myśleć i potrafię to zrozumieć. Jednak właśnie teraz dostaliśmy jasny dowód na to, co może się stać, jeśli nie będziemy się uważnie przyglądali każdemu wokoło. Grizel należała do Murrayów, a jednak zamordowała swojego pana i działała na rzecz jego wroga.

- A Maldie nie należy nawet do Idanu - szepnął Balfour.

- Tak. Po prawdzie nawet nie wiemy, kim ona jest. Mówi, że należy do Kirkcaldych, ale nie mamy na to żadnego dowodu. Nie możemy sobie pozwolić, by posłać do jej klanu ludzi, by zasięgnęli języka. Nigdy też nie powiedziała nam, kim jest jej ojciec.

Czy powiedziała to przynajmniej tobie?

- Nie.

Balfour zaklął w duchu i odepchnął swój talerz, stracił zupełnie apetyt. Nie chciał

już słuchać Jamesa, nie chciał rozbudzać w sercu podejrzeń. Sama myśl, że Maldie mogłaby go zdradzić, była jak głębokie cięcie nożem.

Był pewien, że gdyby jego życiu groziło niebezpieczeństwo, to nie chciałby tego wiedzieć. Wolałby pójść na śmierć w błogiej niewiedzy. Niestety, jeśli pozwoli jej zwabić się w pułapkę, to narazi tych ze swego klanu, którzy przy nim staną.

- Proszę cię tylko, byś był ostrożny - powiedział spokojnie James. - Tak, to ładna kobieta i wydaje się dobra. Grizel była złą kobietą, która nikogo nie lubiła, a jednak wszystkich nas wywiodła w pole. O ile łatwiej byłoby poprowadzić nas na śmierć takiej słodkiej dziewczynie?

- Jednak nie znalazłeś dotąd nic, co mogłoby świadczyć przeciwko niej.

- Wiem. Mimo to nikomu nie mówi o sobie, a pojawiła się nagle, znikąd. Sama ta okoliczność powinna wzbudzić naszą czujność.

- Wie dużo o Beatonie i Dubhlinnie. Mamy się nad czym zastanawiać. Jeśli chciałyby nas zdradzić, czemu miałyby przekazać nam tyle pomocnych informacji?

- To także może być pułapka. Nikt z nas nie wie, czy to, co nam powiedziała, jest prawdą. Niewiele wieści dochodzi od naszego człowieka z Dubhlinna. Nie wiem nawet, czy on jeszcze żyje. Nie mam sposobu, by sprawdzić, czy to, co Maldie nam mówi, pomoże nam matować Erica i pokonać Beatona, czy przypadkiem nie jest to sprytny sposób, by poprowadzić nas ścieżką, którą wybrał dla nas Beaton.

- Dlaczego więc miałyby ratować życie Nigelowi?

- Żebyś przestał w nią wątpić i tym samym jej zaufał.

- Dlaczego mi uległa? James potrząsnął głową.

- Nie muszę ci tłumaczyć, jak dobrze kobiety wykorzystują swoje niewieście wdzięki, by oślepić i ogłupić mężczyznę.

- Była niewinna, Jamesie - powiedział Balfour, nie chcąc, by ktokolwiek na sali to usłyszał. - Widziałem krew, która ją naznaczyła.

- Istnieją sposoby, którymi kobiety potrafią zmylić mężczyznę, by wierzył w ich niebyłe dziewictwo.

Balfour skończył wino i nagle wstał. Nie chciał dłużej o tym dyskutować. Jego umysł nadal był wzburzony po odkryciu zbrodni Grizel i tym, że został zmuszony ją powiesić. Ostatnia rzecz, o której chciał słuchać albo do której chciał zostać przekonany, to że Maldie także go zdradza.

- Dość, James. Masz rację, że próbujesz otworzyć mi oczy. To moja ślepotą pozwoliła Grizel zrobić to wszystko, co zrobiła. Jednak nie jestem w stanie stawić temu czoła z czystym umysłem i szeroko otwartymi oczami. Później. - Ruszył w stronę drzwi, zawahał się, odwrócił, spojrzał krótko na Jamesa i dodał: - Daję ci prawo, byś mnie powstrzymał, jeśli będę robił z siebie głupca. Zbyt wielu ludzi może stracić życie, jeśli mam wziąć kolejną ciężką lekcję od życia.

Przez całą drogę do komnaty Nigela Balfour próbował wyprzeć ostrzeżenia Jamesa, ale te nie chciały opuścić jego głowy. Zdrada Grizel uczyniła go niepewnym wobec własnych sądów. Przeczucie, że Maldie nie jest kolejnym szpiegiem Beatona, nie oznaczało, że miał rację. Myślał przecież, że Grizel można ufać.

Wszedł do Nigela i próbował odwzajemnić powitalny uśmiech.

- Mogę posiedzieć tu chwilę z Nigelem, idź coś zjedz, Maldie.

Pokiwała głową i wyszła, ściskając po drodze jego dłoń w geście współczucia. W

chwili, kiedy drzwi się za nią zamknęły, odetchnął, nie zdając sobie sprawy, że cały czas wstrzymywał oddech. Potrzebował czasu, żeby uporządkować sobie wszystkie podejrzenia i ostrzeżenia Jamesa, zanim znów stanie z nią twarzą w twarz. Zbyt proste byłoby ujawnienie ich słowem czy gestem, bo jeśli Maldie była zdrajczynią, to w żaden sposób nie mógł jej ostrzec, że przejrzał jej grę.

- Nie żyje? - spytał Nigel.

- Tak, Grizel poszła na śmierć tak, jak żyła, w złym humorze i z pogardą - odparł

Balfour.

- Chciałbym mieć dość sił, by móc to zobaczyć.

- Nie, z oglądania jej śmierci miałbyś niewiele korzyści. Ja nie miałem żadnej. Nie czuję, że pomściłem śmierć ojca, moja wina przeważa bowiem satysfakcję ze znalezienia jego morderczyni. A teraz, kiedy wszystko zostało wykonane, pozostaje jedynie konstatacja, że była tylko starą, zgorzkniałą kobietą, odrzuconą kochanką.

Wyrządziła wiele krzywd, ale jej powieszenie nie może ich cofnąć.

Nigel się skrzywił.

- Wiem o tym. Jednak jej śmierć mogła je zakończyć. Nie może już nas skrzywdzić, nie może pomagać Beatonom. - Przez chwilę przyglądał się Balfourowi. - Jesteś przybity czy to tylko niepotrzebne poczucie winy za śmierć ojca sprawia, że tak się czujesz?

- Nie jest niepotrzebne. Mogłem ją powstrzymać.

- Jeśli uznałeś, że będziesz dźwigać ten ciężar na swoich barkach, to nie wydaje mi się, żebym mógł ci pomóc zmienić zdanie. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Balfour westchnął i potarł kark.

- Wydaje mi się, że będę teraz na każdego patrzył podejrzliwym okiem.

- A przez każdego rozumiesz dobrą Maldie.

- Tak, Maldie. Ty jej ufasz.

- Ufam i nie pozwolę sobie myśleć o niej jak o możliwym zdrajcy. Wiesz, że nie jest mi obojętna i jak muszę się czuć teraz, kiedy zrobiłeś z niej swoją kochankę.

- Ona ci o tym powiedziała?

— Nie, ale nie jestem na tyle głupi, by nie zgadnąć, dlaczego od jakiegoś czasu nie śpi na swoim łóżku w rogu mojej komnaty. Szybko działasz, bracie.

Balfour czuł, jak rumieniec zalewa mu twarz, ale wzruszył tylko ramionami.

— Nie widzę powodu, dlaczego miałbyś z większą niechęcią ją o coś podejrzewać.

— Uwierz mi, że nie mógłbym tego uczciwie zrobić. Lepiej będzie, jeśli nie będziemy o niej mówić.

W głosie Nigela dało się wyczuć chłód, który zdziwił Balfoura. Jego brat był

zazdrosny. Był tego pewien. Nie wiedział tylko, jak daleko zabrnął, jak bardzo Nigel cierpiał z powodu utraty szansy wzięcia Maldie w ramiona. Balfour uznał, że Nigel ma rację. Nie powinni o niej rozmawiać. Nigel nie chciał słuchać o niczym, co jego brata łączyło z kobietą, której pragnął, a Balfour nie chciał wiedzieć, jak bardzo Nigel jej pożądał.

Nigel zaklął cicho.

— Czy James uważa, że trzeba ją obserwować?

— Tak — odparł Balfour. - Jest tu obca.

— Nie dla ciebie - burknął Nigel, machając na Balfoura ręką, żeby zamilkł. - W

takim razie to jasne, że James uważa, że coś jest na rzeczy. Weź to pod uwagę. Nie będę jednak dla was szpiegował. Nie mogę. Sam wiesz, że nie jest mi łatwo zaakceptować fakt, że nie mogę po prostu sięgnąć i wziąć kobiety, której pragnę.

Chciałbym myśleć, że jestem przyzwoitym człowiekiem i nie upadnę tak nisko, żeby błaha zazdrość zbrukała moje myśli, ale wolałbym nie być wystawiony na tę próbę. Zawdzięczam jej życie i nie chciałbym tego długu spłacać brakiem zaufania.

— Ani ja.

— Wiem o tym, a jednak ty musisz to zrobić. Jesteś dziedzicem i życie wielu ludzi zależy od ciebie. Jest też jasne, że od czasu do czasu chciałbyś o tym porozmawiać.

Dobrze. Nie pozwolę, by ta drobna, zielonooka kobieta stanęła między nami. Jeśli musisz, to mów.

— Uśmiechnął się krzywo. - Tylko nie opowiadaj mi, jak miło spędzacie razem czas. Powiedz mi, co cię ttapi, a ja podejmę się roli jej adwokata.

Po wszystkim, co dla mnie zrobiła, zasłużyła na to, by go mieć.

— James mówi, że uratowanie ci życia jest bardzo dobrym sposobem, by zyskać nasze zaufanie.

— Nie wiedziałem, że ten człowiek może mieć aż tak twarde serce. Tak, ma rację.

Mam nadzieję, że zrozumiesz, kiedy powiem, że powód, dla którego to zrobiła, nie ma dla mnie znaczenia. Nadal jestem jej dłużnikiem.

Balfour pokiwał głową i nalał im obu po kuflu cydru.

— Nic mi o sobie nie powiedziała. Tylko kilka drobiazgów o swojej młodości spędzonej z matką.

- Miała smutne życie. Może pragnęłaby o wszystkim zapomnieć.

- Prawda. Wie dużo o Dubhlinnie.

- Zatrzymała się tam na jakiś czas, a jest spostrzegawcza.

- Jesteś dobrym adwokatem - powiedział Balfour i ucieszył się, widząc, że Nigel się śmieje.

Przez jakiś czas rozmowa ciągnęła się w podobny sposób. Balfour relacjonował

sprawy, które mogły być podejrzanym, a Nigel pokazywał mu, jak można je interpretować w sposób zupełnie niewinny. Było kilka rzeczy, o których Balfour nie powiedział bratu, ostrożnie unikając najmniejszej wzmianki o tym, że on i Maldie są kochankami i jak dobitną jest nałożnicą.

W końcu nie mogąc znaleźć żadnego rozwiązania, Balfour zakończył rozmowę.

- Dość. Krążymy tylko. Na każde słowo i każdy jej gest można przytoczyć argumenty za i przeciw. Ja również nie chciałbym myśleć o niej źle, ale nie mam wyboru. Muszę spróbować spojrzeć dalej, niż sięgają moje uczucia, i muszę wiedzieć więcej, niż chciałbym, żeby było prawdą.

- To część bycia dziedzicem - mruknął Nigel. - Mam tylko jedną prośbę do ciebie.

Kiedy Nigel spojrzął na niego spode łba i się zawahał, Balfour zaczął naciskać.

- Cóż? Nie mogę zadośćuczynić twojej prośbie, jeśli jej nie wyrazisz.

- Jeśli Maldie okaże się zdrajczynią, jeśli szpieguje dla Beatonów, co z nią zrobisz?

Balfour cofnął się przed myślą o jej winie i o tym, co byłby zmuszony uczynić, a potem przeklął swoje tchórzostwo.

- Nie wiem. Nie powiesiłbym jej, gdyby okazało się to prawdą. Wszyscy winniśmy jej wdzięczność za ocalenie ci życia i życia wielu z tych rannych, którzy wrócili tego dnia spod Dublina. Co mógłbym z nią zrobić, nie wiem.

- Nie martw się o to, Balfourze. Chciałem tylko wiedzieć, że będzie bezpieczna.

Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego zaprzętałem sobie tym głowę. Nie miałbyś sumienia jej skrzywdzić. Jak pewnie żaden z ludzi w Donncoill, nawet James.

- Nie, nawet James. Myślę, że wszystko, co zrobię, jeśli okaże się, że pomaga Beatonom, to upewnię się, że nie powie mu nic aż do zakończenia walki.

- Cóż, modlę się zatem, byś nic nie znalazł.

- Ja również - powiedział Balfour, podchodząc do drzwi. - Choćby dlatego, żebym mógł nadal spędzać okropny czas na przekonywaniu cię do swoich racji.

Uśmiechnął się blado, kiedy śmiech Nigela odprowadzał go do drzwi. Trudno było mu przyjąć, że to on musi być podejrzliwy wobec Maldie.

Należało przyglądać się jej z bliska i ważyć każde jej słowo. Wolałby być na miejscu Nigela i służyć za adwokata. Wolałby nawet zostawić to wszystko w zdolnych rękach Jamesa, tak jak zamierzał od początku. Nie mógł jednak sobie na to pozwolić. Był dziedzicem i nie powinien dłużej wymigiwać się od swoich obowiązków, nieważne, jak odstręczające mu się zdawały.

Istniało wiele powodów, by być co najmniej podejrzliwym wobec Maldie. Ze względu na uczucia, jakie Nigel do niej żywił, Balfour nie powiedział mu o sprawie, która najbardziej mu ciążyła. Umiejętności Maldie w uprawianiu miłości okrutnie go dręczyły i nie było nikogo, z kim mógł o tym porozmawiać. To było na swój sposób zabawne, bo Nigel był w Donncoill najlepiej zorientowaną osobą w tej materii i prawdopodobnie mógł pomóc uwolnić ją od zarzutów bądź oskarżyć.

Maldie była namiętna i swobodna w obdarzaniu miłością, znacznie bardziej, niż powinna się

zachowywać niedoświadczona kobieta. Najbardziej niepokojące było jednak to, jak kochała go swoimi ustami. Jej wyjaśnienie było sensowne i desperacko chciał jej uwierzyć, ale to także budziło wątpliwości. Łatwiej było nawet uwierzyć, że Maldie była jakąś przebiegłą służącą, posłaną, by go uwieść i zwabić w pułapkę, niż w to, że matka przekazałaby córce tak intymne wskazówki, jak zaspokoić mężczyznę. Kiedy wszedł do sypialni, którą od tygodnia ze sobą dzielili, Balfour poczuł się zmuszony, by odwzajemnić jej uśmiech. Zastanawiał się, ile z tych obaw, które jej dotyczą, zrodziło się z jego niepewności, z pytań o własną atrakcyjność, o wygląd i umiejętność zainteresowania sobą kobiety. Nigdy przedtem tak piękna i namiętna dziewczyna nie poświęciła mu drugiego spojrzenia. A tam siedziała Maldie, uśmiechając się, jakby naprawdę cieszyła się, że go widzi, i jakby naprawdę nie była zainteresowana jego bratem. Dzieliła z nim łóżko, podczas gdy całe życiowe doświadczenie mówiło mu, że powinna leżeć zwinięta u boku Nigela.

- Wyglądasz na bardzo zmartwionego, Balfourze - powiedziała cicho, wyciągając rękę i przyciągając go bliżej łóżka.

- Nie gustuję w wieszaniu ludzi - wymamrotał, siadając obok niej na łóżku. —

Staram się tego nie oglądać, tymczasem wydałem rozkaz i patty-łem, czy został wykonany.

Otoczyła go ramionami i pociągnęła za sobą na łóżko.

- Musiałeś to zrobić, zapewne wszyscy ci to powtarzali. - Zaczęła pokrywać jego twarde rysy delikatnymi pocałunkami. - Musisz zachowywać prawo. Co mogłoby się stać, gdybyś pozwolił jej odejść, jej: morderczyni i zdrajczyń? Powiedziałyby wszystkim, którzy o tym słyszeli, że nie stać cię na wymierzenie słusznej kary. To byłby znak, że każdy może postępować, jak mu wygodnie. Nie wiem dokładnie, co staram ci się powiedzieć, za wyjątkiem tego, że nie miałeś wyboru. Nie ukarałeś jej tylko za to, co zrobiła, ale także, żeby wszyscy wiedzieli, że muszą przestrzegać prawa.

- Tak, wiem to. Trudno to jasno wyrazić, ale to jest cos', co każdy wie w głębi serca.

Grizel nie mogła uniknąć kary za swoje zbrodnie ani dlatego, że była stara, ani dlatego, że była kobietą.

- Może to właśnie cię tak martwi, że była starą kobietą?

- Tak, chyba właśnie to. Powinienem baczniej przyglądać się kobietom w moim życiu. Mogą być równie niebezpieczne, co mężczyźni.

Maldie zajęła się tasiemkami przy jego koszuli, gdy nagle poczuła się nieswojo.

Wiedziała, że nie musiał mówić o niej, ale poczucie winy kazało jej tak myśleć.

Musiał uporać się z Grizel, jej kłamstwami, zdradami i morderstwem ojca.

Niewątpliwie to miał na myśli, kiedy mówił o zagrożeniu, które kobiety mogą nieść ze sobą. Maldie

powtarzała sobie, że nie musi się bać, że ktoś odkryje, kim jest, bo nie wiedział tego nikt, nawet Beaton.

Przez jedną krótką chwilę rozważała, czy nie powiedzieć Balfourowi całej prawdy.

Musiała uważać na każde swoje słowo, walczyć z obawą, że prawda zostanie odkryta, zanim ona będzie gotowa i ta groźba doprowadzała ją do szaleństwa. Potem wrócił jej rozsądek. Musiała wypełnić przysięgę złożoną umierającej kobiecie albo nie miała honoru. Jeśli Balfour dowiedziałby się teraz prawdy, mogłaby stracić wszelkie szanse, by to zrobić.

- Ból spowodowany tym, czego się dzisiaj dowiedziałeś i co byłeś zmuszony uczynić, minie - powiedziała w końcu. - A jeśli przez to jesteś odrobinę bardziej zmęczony, to czy to naprawdę aż takie straszne?

- Nie - zaczął rozwiązywać jej suknię. - Jest wiele prac, którymi powinienem się zająć. - Pocałował ją w zagłębienie za uchem.

- To prawda, zaniedbujesz swoje obowiązki.

- Ach tak, ale chyba zasłużyłem na chwilę przyjemności?

- Tylko na chwilę? — wyszeptała.

Zaśmiał się i pocałował ją. Maldie zastanowiła się, czy to silne pragnienie bycia z nim kiedykolwiek osłabnie, a potem pomyślała, że chciałaby, by tak się stało. Jeśli będzie musiała go opuścić, to nie chce spędzić reszty życia, tęskniąc za mężczyzną, którego nie może mieć. Sama myśl, że być może wkrótce będzie musiała wyrzec się przyjemności, jaką on jej dawał, napełniła ją tylko większym pragnieniem i oddała mu namiętny pocałunek.

Maldie pomrukiwała z zadowolenia, kiedy odrzucił na bok ubranie i ich ciała wreszcie się spotkały. Pomyślała, że nic tak dobrze nie smakowało jej jak ta miłość.

Kiedy pocałował ją w piersi, zamknęła oczy i przeczesywała jego włosy palcami, skupiona na rym, by rozkoszować się każdą pieszczotą i każdym pocałunkiem.

Wkrótce jego ręce i usta były wszędzie, a Maldie wyczuła jakąś gwałtowność i zawziętość w tym, jak tym razem się z nią kochał. Zadrzała, kiedy zwilżył

wewnętrzne strony jej ud pocałunkami. Walczyła ze sobą, by utrzymać jakąkolwiek kontrolę nad rosnącym podnieceniem, tak by

mogła cieszyć się jego dotykiem jak najdłużej. Wtedy jego usta dotknęły gorącej miękkości między jej udami. Szok odebrał jej oddech i pożądanie. Próbowwała uciec, wymknąć się tej bezpośredniej konfrontacji, ale Balfour trzymał ją mocno.

Namiętność wróciła ze zdwojoną siłą mgnienie później. Maldie otworzyła się na jego pieszczoty, dając krzykiem upust rozkoszy. Kiedy poczuła, że zbliża się orgazm, próbowała przyciągnąć go do

siebie, ale on to zignorował, doprowadzając ją do szczytu rozkoszy językiem. Nadal trzęsła się z ekstazy, gdy zaczął od nowa, rozpalając jej namiętność z niemal ptzerażającą umiejętnością i szybkością. Tym razem, gdy go wezwała, odpowiedział i złączył jej ciało ze swoim. Przywarła do niego, a on ją pocałował. Jego język naśladował ruchy, jakie wykonywały ich uderzające o siebie ciała. Krzyki ulgi zmieszały się w jeden, gdy nakarmili wspólny głód. Maldie trzymała go mocno, gdy padł w jej ramiona.

Gdy tylko jej umysł się oczyścił, Maldie poczuła zażenowanie. Być może nie posiadała odpowiednich umiejętności, ale miała wiedzę. Ten szczególny rodzaj miłości, jaki uprawiali, był jej znany. Trudno było zaakceptować taką bliskość. Nie mogła powstrzymać się od podejrzeń, czy ta wielka rozkosz, jaką znajdowała w takich pieszczotach, była znakiem, że miała duszę ladacznicy. Z pewnością oznaczało to, że kiedy w grę wchodziła namiętność, nie znajdowała w sobie skromności.

- Nie marszcz się tak, kobieto - powiedział Balfour, uśmiechając się blado i całując ją w czubek nosa. - To nie są zabawy tylko dla dziwek.

Skrzywiła się, niepewna, czy podoba jej się to, że tak łatwo zgadł jej myśli.

- Nie zawsze łatwo powiedzieć, co jest, a co nie jest.

- Prawda. - Usiadł i zaczął się ubierać, śmiejąc się, kiedy ona owijała się prześcieradłem. - Są tacy, którzy powiedzą ci, że zimna, szybka i rutynowa miłość to coś, co robią dziwki, inni zaś, że do przyjęcia jest wszystko, co daje ci przyjemność.

Ja wierzę w coś pomiędzy - mrugnął do niej. - Wyjaśniłem wszystko, prawda?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Och, tak, bardzo dokładnie. Spoważniał, wstał i zaczął owijać się kiltem.

- Łączy nas wielka i rzadka namiętność. Muszę przyznać, że jestem więcej niż śmiały, ale musisz mi powiedzieć, jeśli coś ci się nie podoba.

Maldie oblała się rumieńcem i nie była w stanie spojrzeć na niego, kiedy cicho odparła: - Bądź pewny, że ci powiem. Pamiętaj tylko, kim była moja matka, i okaż mi trochę cierpliwości. Boję się czasem, że kiedy coś, co robimy, zbytnio mi się podoba, to możesz to odebrać właśnie tak, jakbym była dziwką.

Podniósł jej twarz ku swojej i pocałował ją.

- Dziwka zazwyczaj mało co lubi, z wyjątkiem pieniędzy, jakie może czerpać ze swojego procederu. Odczuwanie rozkoszy nie czyni z ciebie dziwki, Maldie. To, co robisz z namiętności, jak jej używasz, to cię naznacza.

Jego słowa niosły pocieszenie, ale w jego głosie był dziwny ton. Uznała jednak, że to zmieszanie każe jej słyszeć coś, czego w jego głosie tak naprawdę nie było.

Balfour nie był typem człowieka, który mówił jedną rzecz, a na myśli miał inną.

- Idź, zrób, co masz do zrobienia, inaczej ludzie w Donncoill pomyślą, że coś z tobą zrobiłam.

- Dzisiaj chętnie dałbym się skusić. Niechętnie stoję przed swoimi ludźmi. Od powieszenia Grizel w Donncoill zaległa nieprzyjemna cisza.

- To oczywiste. Rzadko kto lubi takie widoki. Tym bardziej, kiedy to jeden ze swoich popełnił taką zbrodnię.

Balfour pokiwał głową, czując mądrość w jej słowach. Wyszedł od niej pewniejszy.

Teraz mógł stawić czoła swojemu klanowi.

Bolała go sama myśl, że ona mogłaby go zdradzić, i to go złościło. Uległ jej urokom z zabójczą szybkością, jak jakiś niedoświadczony chłopak. Uśmiechnęła się, a on pobiegł za nią. Chociaż był pewien, że nikt inny nie postrzegał tego w tak poniżający sposób, to nadał czuł się tym zażenowany. By zasmakować tak słodkiej namiętności, gotów był znieść niewielkie zmieszanie. To przez doświadczenia jego serce stwardniało i otworzyło mu oczy. Powinien też przestać uciekać przed prawdą, albo przynajmniej przed domniemaną prawdą, jak jakieś dziecko, które boi się, że dostanie po łapach. Maldie miała zbyt wiele tajemnic. Musiał rozważyć, jakie to niesie niebezpieczeństwo, i wziąć je pod uwagę. Jeśli należała do szpiegów Beaton, zawstydzenie będzie najłżejszą karą, jaką poniesie za to, że uległ jej wdziękom.

Rozdział 10

James był wszędzie tam, gdzie tylko Maldie kierowała swoje kroki. Idąc do sypialni Nigela, zakłęta pod nosem. Minęły dwa dni od powieszenia Grizel. Nie widywała Balfoura, z wyjątkiem nocy, gdy wślizgiwał się do jej łóżka, za to Jamesa widywała częściej, niż by sobie tego życzyła.

Mężczyzna bacznie ją obserwował, była tego pewna. Bolał ją od tego brzuch.

Nieważne, jak często powtaczała sobie, że nie ma nic, czego mógłby się o niej dowiedzieć, żadnego sekretu, który mógłby odkryć, dopóki sama mu go nie ujawni, to jednak nie potrafiła przestać się bać. Za każdym razem, kiedy go widziała, miała wrażenie, że wyciągnie w jej stronę oskarżający palec i ogłosi ją zdrajczynią i szpiegiem. Wmawianie sobie, że to głupie, że widzi problemy tam, gdzie ich nie ma, nie pomagały zdławić obaw.

- Wyglądasz na zmartwioną - powiedział Nigel, kiedy usiadła przy jego łóżku, by pomóc mu wstać i poćwiczyć chodzenie.

- Nie, jestem tylko zabiegana - zmusiła się do uśmiechu, obejmując go w pasie ramieniem. Powoli zaczęli przemierzać komnatę. - Odkąd nie ma Grizel, mam tu bardzo dużo do zrobienia. Mogła być kiepską znachorką, ale zajmowała się tymi wszystkimi drobnymi ranami i bólami, które nękają ludzi. Teraz wszyscy zwracają się do mnie.

- Nie ma nikogo, kto mógłby ci pomóc?

- Nie, jeszcze nie. Jest jedna kobieta, która ma zadatki i chce się uczyć. Z

powodzeniem będzie mogła zostać następną uzdrowicielką w Donncoill, gdy tylko przyswoi sobie leczniczą wiedzę.

Nigel skrzywił się. Sztywność w nodze sprawiała mu ból przy chodzeniu.

- Czy nie potrzeba wielu lat, żeby zostać dobrym medykiem?

- Żeby pomóc w drobnych, codziennych kłopotach, wystarczy krótkie szkolenie, pod warunkiem że ma się do tego dryg. Grizel to miała, ale nie chciała tego robić, bo nie lubiła tej pracy. Ta kobieta wykazuje zainteresowanie i ma w sobie delikatność i dobroć, której Grizel brakowało. Będziecie musieli, panie, znaleźć jej kogoś, kto dokończy jej szkolenie. Potrzebny jej ktoś, kto ma więcej czasu ode mnie. Niewiele wam pomoże, jeśli przerwie naukę po moim wyjeździe. A tak po prawdzie, nigdy nie przestajemy się uczyć takich rzeczy. Wiedza jest tak niezgłębiona, ta nowa i stara, że może nam zająć całe życie.

- Kiedy zamierzasz nas opuścić?

- Kiedy wydobrzejesz, panie - odparła, ignorując jego niezadowolenie wobec niejasnej odpowiedzi.

- A dokąd pójdziesz? - Potknął się i tylko dzięki temu, że Maldie mocno go trzymała, nie upadł.

- Szukać swoich krewnych. Nigel zaklął.

- Odpowiadasz tak swobodnie, a zarazem nie mówisz nic.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Odejdę, kiedy będziesz, panie, zdrowy i moja praca tutaj dobiegnie końca, wtedy zacznę na powrót szukać swoich krewnych. -

Zawróciła w kierunku łóżka. - Wydaje mi się, że musisz usiąść, panie. - Ulżyło jej, gdy zrobił to, co mu powiedziała.

- Ale okrążyliśmy komnatę zaledwie kilka razy - zaprotestował, mimo że kiedy usiadł, otarł pot z czoła.

- Tak, ale to już po raz czwarty dzisiaj. Wczoraj okrążyliście trzy razy. Nogi zaczynają wam już drżeć, panie. - Nalała mu kufel cydru. - Coś mi mówi, że może to jeszcze za wcześnie, żeby chodzić tak często. Będziemy dodawać czwarte okrążenie powoli. Poza tym w niczym wam to nie pomoże, jeśli po trzech rundach jesteście tacy słabi, to tracicie wszystko, co wypracowaliście wcześniej.

- Zgadzam się - mruknął. - W takim razie może powiesz mi, jaki jest prawdziwy powód, dla którego byłaś taka zmartwiona, kiedy tu weszłaś.

Spojrzała na niego, ale nie mogła wytrzymać jego wzroku.

- Już mówiłam.

- Nie. Powiedziałaś mi, że mieszkańcy Donncoill dostarczają ci zajęć, że opatrujesz ich drobne rany, wydajesz mikstury na wszelkie dolegliwości. Wiem, że to nie o to chodzi. To nie jest powód twojego smutku. - Uśmiechnął się, kiedy spojrzała na niego z ukosa. - Czy to Balfour jest jego przyczyną?

Maldie przyglądała mu się przez chwilę, a potem ostrożnie powiedziała:

- Może się mylę i próżność mnie zaślepia, ale wątpię, żebyście chcieli, panie, słuchać o mnie i o Balfourze.

Nigel się skrzywił.

- To nie próżność. Nie mówiliśmy o tym, ale myślę, że większość ludzi w Donncoill podejrzewa, jak ja się czuję. Może podświadomie chciałbym usłyszeć, że nie jesteś szczęśliwa z moim bratem - uśmiechnął się, a potem znów spoważniał. - To dlatego, że czujesz się samotna. Z kim rozmawiasz tutaj oprócz Balfoura? Nie było czasu ani okazji, żebyś tu kogoś poznała i pewnie nic się nie zmieni aż do chwili, kiedy Erie wróci do domu, a Beaton zginie. Wszystkich trawi potrzeba pokonania Beatona i sprowadzenia Erica z powrotem do Donncoill. A ty musisz spędzać dużo czasu ze mną.

- Nie mam nic przeciwko temu - wymruczała. - Uzdrawianie to czasem powolny proces, wymaga czasu i cierpliwości. To mój obowiązek, żeby zrobić wszystko, by pomóc choremu.

— Potrafisz schlebić mężczyźnie — zasmucił się, ale kiedy odrobinę się zarumieniła, uśmiechnął się. - Kobieto, jeśli masz potrzebę, żeby zwierzyć się ze spraw, o których możesz nie chcieć powiedzieć mojemu bratu, a nawet jeśli chcesz po prostu porozmawiać, jestem do twojej dyspozycji. Po wszystkim, co dla mnie zrobiłaś, mogę przynajmniej odwdziaczyć ci się w ten sposób. Mogę cię wysłuchać bez podejrzeń i osądów. Zatrzymam to, co powiesz, dla siebie, dopóki nie pozwolisz mi zrobić inaczej.

To była kusząca propozycja. Maldie brakowało kogoś, z kim mogłaby swobodnie porozmawiać. Było jej przykro, że nie może tego zrobić z Balfourem. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić również z Nige-lem. Były rzeczy, których nie zdradzi nikomu w Donncoill, przynajmniej na razie. Jeśli istniał jakiś cień szansy, że ona i Balfour mają przed sobą jakąś wspólną przyszłość, to była pewna, że nie powinna zwierzać się ze swoich tajemnic Nigelowi. Maldie nie chciała stawiać go w niewygodnej pozycji powiernika jej trosk, związanych również z Balfourem.

— To bardzo miło z twojej strony, panie, ale będzie lepiej dla każdego z nas, jeśli nie przyjmę tej łaskawej oferty - odpowiedziała. - Jeśli są rzeczy, o których nie mogę rozmawiać z Balfourem, moim kochankiem, nie powinnam zwracać się z nimi do jego brata. Gdyby Balfour odkrył, że zwierzyłam ci się z czegoś, czego nie odkryłam lub nie odkryję przed nim, mogłoby go to zranić albo urazić jego dumę. Mogłoby to również postawić cię, panie, między nami, w miejscu, gdzie, jak myślę, być cię nie powinno. Oznaczałoby to również, że zobowiązujesz się przysięgą wobec mnie zataić coś przed swoim bratem, twoim panem, co nigdy nie powinno mieć miejsca, zwłaszcza teraz, kiedy musisz stanąć u jego boku przeciw waszemu wrogowi.

— Nie mogę pattzeć, jak się zamartwiasz - powiedział, kiedy odprowadzała go do łóżka. - Po wszystkim, co zrobiłaś, zasługujesz na to, by ci było lekko na duszy i w sercu.

— Cóż, minie jeszcze wiele miesięcy, zanim będę mogła cieszyć się takim spokojem. A teraz odpoczywaj, panie. Przyślę tu Jennie.

Lekkość ducha i spokój serca to stan, o którym Maldie marzyła. Jeśli przeżyję, pomyślała, wychodząc z komnaty. Musiała jednak uwolnić się od Nigela, od współczucia w jego oczach i zrozumienia, które jej obiecywał. Byłoby cudownie móc pobiec do niego ze wszystkimi kłopotami i obawami, jednak czy on naprawdę mógłby pomóc jej bardziej, niż mogła pomóc sobie sama? W głębi serca wiedziała, że wplątanie Nigela w jej sprawy mogło tylko zwiększyć jej kłopoty. Nie potrzebowała dźwigać na ramionach dodatkowego brzemienia winy.

Kiedy weszła na górny korytarz, złapała przelotne spojrzenie Jamesa. Zakłęła w duchu i prawie gotowa była wrócić do Nigela, by wylać swój żal, ale powstrzymała się i zeszła na dół. Nie chciała nastawiać Nigela przeciwko Jamesowi. Wiedziała, że obaj z Balfourem traktują go jak drugiego ojca. Z surowością upomniała sama siebie. James miał rację, że pozostawał wobec niej nieufny i uważał, iż trzeba ją obserwować. Ta prawda nie ukołowała jednak jej żalu. Słusznie czy nie, ciężko było znieść kogoś, kto niestrudzenie śledził każdy najmniejszy ruch.

Zamiast pójść do kuchni i przygotowywać swoje maści, jak planowała, zdecydowała się wyjść na dziedziniec. Było to jedyne miejsce, gdzie nie widziała zmarszczonej twarzy Jamesa. Pewnie uważał, że dziedziniec jest wystarczająco zatłoczony, by inni obserwowali ją za niego. Maldie uznała jednak, że w tym momencie wszystko jest lepsze od ciężkiego spojrzenia ciemnych oczu Jamesa.

Kręciła się po dziedzińcu. Zajrzała do stajni, wymieniła kilka zdań z łowczymi, przyglądała się nawet płatnerzowi, który bezkształtny kawałek żelaza zamieniał w miecz. Uśmiechnęła się w duchu, kiedy uzmysłowiła sobie, że to, co było wyrazem zwykłej ciekawości, podejrzliwej osobie mogło wydać się szpiegowaniem. Przez chwilę rozważała nawet przyjrzenie się z bliska kilku stanowiskom obronnym Donncoill, żeby James mógł się wreszcie czymś pomartwić, ale zreflektowała się i rozum zwyciężył. Robienie rzeczy, które mogłyby utwierdzić Jamesa w jego podejrzeniach, nie było sposobem na ulżenie sobie w kłopotach. Wręcz odwrotnie, mogła to być bardzo niebezpieczna gra. Zachowywanie się jak szpieg, gdy klan prowadził wojnę, stanowiło akt kompletnego idiotyzmu.

- Dlaczego się tak srożysz? - spytał Balfour, zatrzymując się obok niej. Kiwnął na przywitanie płatnerzowi i wyprowadził Maldie z jego szopy.

- Przestraszyłem cię? - Zmarszczył brwi, kiedy obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

Maldie wzięła kilka głębokich wdechów, żeby zwolnić szybkie bicie serca.

Pozwoliła mu wziąć się za ramię i pociągnąć za sobą, kiedy zaczął iść przed siebie.

Jednym z powodów, dla których jego niespodziewane pojawienie się budziło w niej zawsze strach, było to, że jej serce pełne było poczucia winy. Zawsze przeżywała ten krótki moment bolesnej obawy, że powiedziała albo zrobiła coś, co ją zdradziło.

Wiedziała, że musi to kontrolować, bo już sam brak swobody był wystarczającym powodem, by wzbudzić podejrzenia. James sączył pewnie wątpliwości w ucho Balfbura, a ona nie chciała

powiedzieć ani zrobić nic, co dodałoby wagi jego słowom.

- Powinieneś wydawać jakiś dźwięk, kiedy się tak do kogoś zbliżasz

- powiedziała.

- W niektórych przypadkach mogłoby mnie to kosztować życie - odparł.

- Cóż, tak, ale ja nie jestem twoim wrogiem.

Balfour zaklął w duchu, kiedy spojrzała na niego, a jej twarz przeszły grymas. Coraz trudniej przychodziło mu ukrywanie rosnących podejrzeń wobec niej. Czasem nawet chciał, żeby wydała się jakimś gestem albo czynem.

Żeby okazała się szpiegiem, jednym ze sługusów Beatonów. To by go uwolniło od tego okropnego poczucia winy, które czuł, kiedy w duszy pojawiała się podejrzliwość.

Nie mógł znieść tej ciężkiej niepewności. Ból, jaki czasem mignął jej w oczach, spojrzenie, które mówiło mu, że jest świadoma jego podejrzeń, rozdzierały mu duszę, by po chwili budzić jego gniew. Jeśli była niewinna, to jej ból był prawdziwy i on był jego sprawcą, ale jeśli pracowała dla Beatonów, to był to tylko kolejny wybieg, żeby go osłabić i wzmocnić jej władzę nad nim.

Był pewien, że ją kocha, i to go przerażało. Chciał jej powiedzieć wszystko, co czuł, ale bał się, że wtedy odkryje jego słabość do niej. Modlił się, by nie była po stronie Beatonów, a za chwilę chciał, by się do tego przyznała. Pragnął, by odeszła, a jednocześnie był przerażony myślą, że może go zostawić. Miał ochotę wyrzucić ją ze swojego łóżka nawet wtedy, gdy trzymał ją w objęciach przez całą noc. Był tak rozdarty między sprzecznymi uczuciami, że obawiał się, że zwariuje. Ostateczna bitwa z Beatonem musi nadejść jak najszybciej, myślał, inaczej straci rozum i nie będzie w stanie poprowadzić swoich ludzi.

— Jak idą przygotowania do bitwy? - spytała Maldie, kiedy wyszli przez bramę w murze otaczającym niedokończoną wieżę. - Niewiele o tym słychać ostatnio.

— Cóż, byłaś bardzo zajęta Nigelem i przywracaniem mu zdrowia.

— Zastanawiałam się, czemu nie zadajesz mi teraz żadnych pytań. Czy wiesz już o Dubhlinnie wszystko, czego ci potrzeba?

Oparł się o ścianę łączącą nową wieżę ze starymi murami.

— Wydaje mi się, że powiedziałaś mi wszystko, co mogłaś, wszystko, co może mi się przydać. Są inne sposoby zdobywania informacji, bez wciągania cię w sam środek przygotowań.

— Nie miałam nic przeciwko temu. - Kiedy tak stała przed nim, desperacko próbowała nie wyglądać na dotkniętą i przerażoną. - Chciałabym pomóc ci, jak tylko mogę.

— Pomagasz mi, opiekując się Nigelem. Nie martw się, kochanie, mamy oczy i uszy tam, gdzie ich

potrzebujemy.

— A więc dostaliście wieści od człowieka, którego wysłaliście do Dubhlinna?

— Chodź do mnie, nie widzieliśmy się zbyt często przez ostatnie dwa dni -

powiedział, wyciągając do niej ramiona i przytulając ją. - Czy naprawdę chcesz spędzić nasz wspólny czas na rozmowach o bitwie i szpiegach?

Maldie zastanawiała się, co by było, gdyby powiedziała „tak”, ale przełknęła te słowa. Zrozumiała, że wszystkie rozmowy dotyczące Beatona, nadchodzącej bitwy i planów ratowania Erica będą się teraz odbywać bez niej. Uniki Balfoura, gdy zadawała pytania, potwierdzały to. Nie tylko James jej nie ufał. Ten człowiek już przeciągnął Balfoura na swoją stronę. Ona nie usłyszy już nic więcej o bitwie. Jej pierwszą myślą była ucieczka. Szaleństwem było pozostawać jego kochanką, skoro myślał, że jest jego wrogiem. Ta nieufność zabarwi każdą czułość, którą siebie obdarują. Ale kiedy przycisnął ją mocniej do siebie, poczuła, że jej duma topnieje. Poczuła coś jeszcze. Balfour był równie rozdarty, co ona. Miał podejrzenia, ale nie chciał ich żywić. Mimo wątpliwości nadal jej pożądał. James nie miał go całkiem po swojej stronie. Ona i Balfour byli nie tylko dobrze dopasowani w swoich namiętnościach, ale też w swoich wątpliwościach. Nie wiedziała, co okaże się silniejsze, jego wątpliwości czy namiętność, ale zdecydowała, że pozwoli się prowadzić przeznaczeniu. Mogło im pozostać zaledwie kilka dni, zanim rozdzieli ich brak zaufania Jamesa albo prawda, a ona nie chciała stracić ani chwili z tego cennego czasu.

- Nie jest to zbyt ustronne miejsce - wyszeptała, odchylając do tyłu głowę, tak by łatwiej mógł pieścić jej szyję miękkimi pocałunkami.

- To idealne miejsce, żeby oglądać zachód słońca - odpowiedział, rozkoszując się jej smakiem, delikatnie ssąc płatek jej ucha i rozsznurowując jej suknię.

- Czy to właśnie zamierzasz? - spytała, kiedy suknia opadła jej już do kostek. Lekko wyszła z niej i odrzuciła ją na bok. - Ktoś może nas zobaczyć - dodała pod wpływem przyływu skromności.

- Nie. To ulubione miejsce spotkań kochanków. Jeśli ktokolwiek widział, jak idziemy w tę stronę, to odwrócił wzrok w przeciwnym kierunku.

- Nie jestem pewna, czy podoba mi się to, że wszyscy wiedzą, co tu robimy.

- Wszyscy wiedzą, że jesteśmy kochankami. W Doncoill niewiele się ukryje. Ale uwierz, ukochana, nikt nie będzie nas szpiegował.

Trudno było w to uwierzyć, ale zanim Maldie zdołała zakomunikować swoją wątpliwość, Balfour pocałował ją i zupełnie przestało ją interesować to, czy ktokolwiek mógł ich tu zobaczyć i co sobie pomyśli. Poniekąd Maldie była zszokowana tym, z jaką śmiałością zachowywała się, oddając Balfourowi każdy pocałunek i każdą pieśczętę w czerwonym świetle zachodzącego słońca. W ich pożądaniu była jakaś nuta desperacji, jakby obawiali się, że ich wspólny czas dobiegał końca. Dopiero gdy spoczęli w swoich ramionach, zmęczeni miłosnymi zmaganiem, Maldie zaczęła się

zastanawiać, czy los nie prowadzi jej niewłaściwą drogą. Takie beztrudne fizyczne łąknienie wydawało się niewłaściwe, złe, zwłaszcza że żadne z nich nie mówiło o miłości, małżeństwie czy wspólnej przyszłości.

- Nie powinnaś tak szybko się obwiniać. Robisz to, jak tylko kończysz się ze mną kochać - powiedział cicho Balfour, całując jej zaciśnięte usta. Po chwili odwrócił się i sięgnął po spodnie.

- Skąd wiesz, o czym myślę? - Rozejrzała się w poszukiwaniu koszuli.

— Z tego poważnego, prawie gniewnego wyrazu na twojej ślicznej buzi, kiedy znika z niej rumieniec namiętności.

Zaniepokojona tym, z jaką łatwością odgadł jej myśli, Maldie usiadła plecami do niego i zaczęła strzepywać śmieci z koszuli. Właśnie miała ją włożyć, gdy Balfour złapał ją nagle za ramiona, tak że nie mogła się zakryć. Prawie czuła na plecach jego palące spojrzenie i wiedziała, dokładnie na co patrzy. Mimo blednącego światła zachodzącego słońca wiedziała, że znak w kształcie serca na jej plecach, w okolicy prawego ramienia, musiał być bardzo dobrze widoczny. Do tej chwili bardzo uważała, żeby Balfour nie widział jej całych odsłoniętych pleców. Błade światło świec w ich sypialni sprzyjało w tych manewrach. Siedziała nieruchomo, w obawie, że Balfour rozpozna znamię Beatonów. Więcej razy, niż zdołałaby zliczyć, przeklinała ten oczywisty znak, że Beaton jest jej ojcem. Matka nigdy nie pozwoliła jej zapomnieć, że było to znamię świadczące o tym, że jest bękartem, że płynie w niej krew Beatonów.

— Masz na plecach serce - powiedział Balfour miękkim głosem. Wyswobodziła się z jego uścisku i narzuciła na siebie koszulę.

— Przykro mi. Staralam się nie obrazić cię jego widokiem.

— Moja słodka, dobra Maldie. Dziwne myśli kłębią się w twojej małej główce —

mruknął, nadal przyglądając się jej plecom, kiedy pospiesznie nakładała ubranie. -

Nie jest to obraza dla oczu. - Po jej szybkich, sztywnych ruchach zorientował się, że nie ma ochoty, żeby jej dotykać, więc sam zaczął się ubierać.

- Sposób, w jaki na nie patrzyłeś i mówiłeś o nim, sugeruje, że zaskoczył cię jego widok.

- Bo to prawda. Jestem twoim kochankiem nie od dziś, myślałem, że znam całe twoje ciało. — Zaśmiał się, kiedy rzuciła w jego stronę szybkie spojrzenie. — To znaczy, że nie byłem zbyt sumienny w swoich zalotach. - Podniósł się i pomógł jej zasznurować stanik sukni. - Może powinienem zapalać w sypialni kilka świec więcej.

- Bardzo się starasz, żeby mnie zawstydzić. - Nie mogła uwierzyć, że nie rozpoznał

natychmiast w jej znamieniu znaku, który nosili na swym ciele tylko Beatonowie.

Maldie była pewna, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło i nie chciała, by jej czujność osłabła na

skutek złudnej nadziei.

— Nie, nie na tyle, żeby wywołać rumieńce na twoich policzkach.

- Mam wielką ochotę, żeby cię uderzyć.

— Strasznie się boję - zaśmiał się i roztarł ramię po tym, jak uderzyła go w nie lekko. - Zostanie mi tam szrama do końca moich dni.

- Jesteś w nastroju, żeby się ze mną drażnić, prawda? - powiedziała, biorąc go pod ramię i ruszając w stronę twierdzy.

- Tak, a do tego zrobiłem się bardzo głodny - mrugnął do niej. - Przez ciebie mam okropny apetyt, kochanie.

Starła się nie zarumienić i syknęła przekleństwo, gdy poczuła uderzenie gorącej krwi na twarzy. Dobrze, że miał tak dobry humor, że wszystkie podejrzenia i wątpliwości gdzieś się na chwilę zapodziały. Chciałaby umieć przyjmować jego droczenie się ze spokojnym uśmiechem.

- To dziwne - ciągnął dalej, poważniejszym tonem. - Ale mam wrażenie, że widziałem już gdzieś ten znak, taki sam i w tym samym miejscu.

Krok Maldie stał się niepewny, kiedy najpierw zaskoczenie, a potem strach przeszły jej ciało. Zdała sobie sprawę, że mimo najszczerzych wysiłków jego dobry humor sprawił, że stała się mniej czujna. Chwilę jej zajęło, żeby się uspokoić.

Nie chciała dać Balfourowi do zrozumienia, jak bardzo ją zmartwił. Nie było możliwości, żeby widział ten znak na Beatonie, ale mógł o nim słyszeć. Odepchnęła od siebie tę okropną myśl. Matka powiedziała jej, że Beatonowie zawsze dobrze ukrywają swoje znamię, bo ludzie uważają je za plamę umieszczoną na skórze przez samego diabła.

- Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek inny miał takie znamię - powiedziała, przeklinając się w duchu za taką słabą odpowiedź. - Nie znałeś mojej matki, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Ani żadnej innej kobiety z tego klanu. - Potrząsnął głową.

- Ale nadal wydaje mi się, że je gdzieś widziałem. Nie martw się, przypomnę sobie.

Kiedy wchodzili do wielkiej sali, Maldie miała cichą nadzieję, że jednak nie da rady.

- Mylisz zaskoczenie z rozpoznaniem - powiedziała, desperacko próbując odwieść go tego, by nie myślał zbyt długo nad tą sprawą.

- Możliwe, ale widzę ten znak wyraźnie, nie tylko na twojej jasnej skórze. Dopiero kiedy usiadła przy stole, w głowie zaczęła się jej kształtować szokująca myśl. W jednej chwili poczuła przerażający chłód przeszywający jej ciało. James usiadł naprzeciwko niej i z jego ostrego spojrzenia wносиła, że przerażenie było przez chwilę widoczne na jej twarzy. Nawet obawa przed

zdemaskowaniem nie mogła odepchnąć myśli, która się formowała. Niezależnie od tego, jak bardzo starała się temu zaprzeczyć, to w głębi serca wiedziała, że jedyną osobą, na której plecach Balfour mógł widzieć zamię, był młody Erie.

Uważano, że Erie jest bękartem Murrayów, zrodzonym z nieślubnego związku ojca Balfoura i niewiernej żony Beatona. Balfour twierdził, że Beaton będzie chciał

przekonać ludzi, że Erie jest jego synem i że niesłusznie odrzucił dziecko na skutek wielkiego gniewu i zazdrości. Co jednak, gdy okaże się to prawdą? Możliwe, że ojciec Balfoura spał z żoną Beatona, ale możliwe też, że nie był jedyny. Matka powiedziała jej, że Beaton bardzo su-miennie pracował nad spłodzeniem syna. Prawdopodobnie aż do momentu, kiedy odkrył romans żony, musiał często odwiedzać ją w sypialni. Erie mógł bez problemu być synem, którego Beaton tak pożądał. Jednym słowem, mógł chcieć faktycznie zabić jedyną istotę, której naprawdę pragnął.

Z takiego zbiegu okoliczności można było czerpać ogromną satysfakcję, ale Maldie nie mogła się tym prawdziwie cieszyć. Jeśli miała rację, a każdy zmysł mówił jej, że tak było, to wielu ludzi będzie cierpieć, w tym niewinny mały Erie. Chłopiec będzie zdruzgotany, kiedy odkryje, że nie jest Murrayem, tylko synem wroga klanu.

Mógłby lżej znieść taki cios, gdyby jego nowy ojciec był kimś, z kogo można być dumnym, tymczasem Maldie szczerze wątpiła, żeby Beaton zrobił w całym swoim nędznym życiu coś dobrego. Erie byłby prawdopodobnie równie przerażony, jak ona, gdyby musiał nazwać Beatona ojcem, ale cierpiałby pewnie o wiele bardziej niż ona. Erie, inaczej niż Maldie, zaznał szczęścia dorastania w kochającej się rodzinie.

Ona nie poniosła żadnej straty, gdy dowiedziała się, kim jest jej ojciec. Erie straciłby wszystko, co znał i kochał.

Balfour również byłby tym dotknięty. Maldie stłumiła w sobie nagłą potrzebę, by wziąć go za rękę i dać wyraz współczuciu. Gdyby to zrobiła, zastanawiałby się pewnie, skąd przyszła jej do głowy taka myśl, i zażądał wyjaśnień. Jedynym sposobem, by powiedzieć mu prawdę o Ericu, było wyznanie o jej rodzicach, a na to nie była jeszcze gotowa.

Maldie zdała sobie sprawę, że nie chce być tą, która wyjawi mu tak gorzką prawdę.

Nie była też pewna, czy to była jej rola. Nie widziała w tym żadnego interesu.

Prawda przyniosłaby ból i cierpienie wielu ludziom, a właściwie zraniłaby wszystkich z wyjątkiem Beatona. Nigdy nie widziała Erica, nie widziała też znamienia na jego plecach, które naznaczało go jako syna Beatona. Dopóki nie zobaczy go na własne oczy, nic nie powie. Uznała, że tak będzie najlepiej. Powinien to być wybór Erica, jeśli trzeba będzie o tym powiedzieć. Zastanawiała się tylko, czy tak młody chłopiec będzie miał siłę, by to zrobić. Rzuciła w kierunku Balfoura szybkie spojrzenie, mając nadzieję, że będzie potrafiła utrzymać tę tajemnicę równie dobrze, jak wszystkie inne.

- Malcolm nie żyje - oświadczył James, wchodząc do wielkiej sali. Balfour o mało nie zadławił się chlebem.

- Nie żyje?

- Tak, nie powie nam nic więcej o Beatonie i Dubhlinnie. Dobry Boże, nawet gdyby przeżył tortury i tak nie mógłby nic powiedzieć. Beaton obciął mu język.

- Jesteś pewien? - Balfour wiedział, że James nie powtarzałby plotek, ale w tej chwili bardzo potrzebował niezbitych dowodów.

- Dranie, powiesili jego poobijane ciało na drzewie, przy wjeździe do wioski. -

James usiadł i nalał sobie kufel wina. Potem wziął duży łyk i kontynuował. - Na początku nie wiedzieliśmy, czyje to ciało, było tak zmasakrowane, a i ptaki się do niego dobrały. W każdym razie kiedy zorientowaliśmy się, że to Malcolm, to już wiedzieliśmy, kto go zabił. Wyjaśnia to też, dlaczego znaleźliśmy jego ciało właśnie tam.

- Czy to miała być jakaś makabryczna drwina? James pokiwał głową.

- Zabili go w straszny sposób, miał ciężką śmierć. Chcieli, żebyśmy nie tylko wiedzieli, że odkryli naszego szpiega, ale też, żeby na ludzi padł strach, żebyśmy nie mogli znaleźć drugiego chętnego, który by poszedł do Dubhlinna. Oczyszcziliśmy już ciało Malcolma i przygotowaliśmy je do pogrzebu. Był bardzo torturowany.

- Masz jakieś wieści od naszego drugiego człowieka, Douglasa?

- Nie, ale przypuszczam, że nadal żyje, inaczej dyndałby na gałęzi obok Malcolma. -

James potrząsnął głową. - Myślałem, że marnujesz czas, szukając dwóch ludzi z naszego klanu, którzy nadawaliby się do tej roboty i nie znali się nawet z widzenia.

Teraz widzę, że tak trzeba było. Po wyglądzie ciała Malcolma sędzę, że spędził

wiele godzin w piekle i prawdopodobnie wyznał Beatonowi wszystko, co wiedział.

- Może, ale Malcom był dzielny i honorowy. Nie posłałby drugiego człowieka na śmierć.

- Z pewnością nie świadomie, ale jeśli był torturowany, co pewne, mógł być tak zaślepiiony bólem, że nie myślałby o konsekwencjach tego, co mówi Beatonowi.

Wtedy człowiek chce tylko jednego - żeby ból ustał.

Balfour wziął łyk wina.

- Zdawałem sobie sprawę, że wysyłam rych ludzi na śmierć, ale nigdy nie myślałem, że na aż tak ciężką, tak pozbawioną honoru.

- Skąd mogłeś przypuszczać? Nigdy nie postąpiłbyś tak z żadnym człowiekiem, niezależnie od tego, co by zrobił.

— Czy powinienem ściągnąć Douglasa do domu?

— Nie. Jeśli Beaton jeszcze go nie zdemaskował, to próbując przekazać mu wiadomość, mógłbyś narazić go na niebezpieczeństwo. Nie znałem zbyt dobrze Malcolma, był człowiekiem twego kuzyna Grodina, ale znam Douglasa. Dobry z niego człowiek, odważny i nieugięty. Jest też mądry. Jeśli będzie podejrzewał, że może podzielić los Malcolma, to ucieknie z Dubhlinna. Douglas ma na tyle sprytu, że będzie wiedział, że to nie tchórzostwo i że martwy ci się nie przyda. To oczywiste, że jeśli zginie, to wraz z nim cała wiedza, którą zdobył, a ty przy okazji stracisz zbrojne ramię.

— To dobrze. Nie chciałbym mieć na sumieniu śmierci kolejnego człowieka.

— Nie jesteś winien śmierci Malcolma. Wiedział, z jakim ryzykiem wiąże się jego misja i ostrzegałeś go wielokrotnie, że jeśli go złapią, to czeka go śmierć. Nikt z nas nie mógł przewidzieć, jak okrutny koniec zgotuje mu ten łajdak. Gdybyśmy wiedzieli, to nigdy byś go tam nie posłał. Nie możesz brać na siebie ciężaru każdej śmierci. Za szybko dajesz się opanować poczuciu winy Nigdy nie spowodowałeś czyjejś śmierci z powodu arogancji, gniewu, dumy, a nawet czystej bezmyślności.

Toczymy z Beatonem wojnę, a życie Erica jest w niebezpieczeństwie. Nie możesz być zaskoczony tym, że ludzie giną. Będzie tak, dopóki nie umrze Beaton.

- I nie ma co się z tego powodu dąsać - dodał Balfour, uśmiechając się blade, jako że było to ulubione zdanie Jamesa, którym często raczył wszystkich braci Murrayów.

James również się uśmiechnął.

— To mądre słowa i powinieneś częściej o nich pamiętać. Teraz ważniejsze jest jednak, skąd Beaton dowiedział się o Malcolmie.

- Może Malcolm popełnił błąd, odkrył się w jakiś sposób?

- Może, ale trudno mi w to uwierzyć. To był mądry człowiek, z tego, co o nim wiem.

W każdym razie wystarczająco mądry, żeby wiedzieć, że jeśli popełnił błąd, to powinien uciekać, żeby nie zostać złapanym. Odkąd zaczęła się ta przekłeta historia, całe lata temu, zawsze mieliśmy człowieka w samym sercu obozu wroga i żaden nigdy nie został odkryty.

Beaton udawał raz za razem, że niewielką uwagę poświęca tym, którzy go chronią i dbają o jego wygody. Jeśli człowiek został raz zaakceptowany przez tych, którzy pracują w samym Dubhlinnie i poza nim, to nigdy nie miał kłopotów. Istnieje jednak inna możliwość, którą należy rozważyć.

- Ktoś z Donncoill powiedział Beatonowi, kim jest Malcolm. - Balfourowi nie podobał się kierunek, jaki przybrała rozmowa, ale wiedział, że jeśli nie weźmie pod rozwagę wszystkich możliwości, to narazi swój klan na niebezpieczeństwo. —

Mogła to być Grizel.

- Grizel nie żyje już od dwóch tygodni, a my zabiliśmy ludzi, z którymi szła się spotkać.

- A wcześniej?

- To możliwe, ale nie sądzę, żeby tak było. Beaton nie czekałby tak długo, żeby złapać i torturować Malcolma. Jeśli jeden z ludzi, z którymi Grizel miała się widzieć, uciekłby nam, to mógłbym uwietzyć, że to ona wskazała na Malcolma.

Chłopak mógł znosić tortury przez dwa tygodnie, ale mam nadzieję, że nie musiał tego robić. Nie, Beaton dowiedział się, kim jest Malcolm, po śmierci Grizel.

- Czyżbyśmy mieli jeszcze jednego zdrajcę w Donncoill?

- Albo też jednego z jego szpiegów.

Balfour wiedział, kogo James miał na myśli i kogo podejrzewał. Brak zaufania do Maldie był z jego strony tak wielki, że i Balfour zaczął się nim zarażać. Trudno było jednak uwierzyć, że Maldie mogłaby posłać człowieka na śmierć. Gdyby była jednym ze sługusów Beatona, wiedziałyby, jak długa i bolesna byłaby to śmierć.

Maldie była uzdrowicielką, kobietą, której umiejętności, cierpliwość i delikatność otoczono już w Donncoill legendą. Taki akt musiałby wzbudzić w niej przerażenie, nie mogłaby zrobić tego z premedytacją. Balfour nie mógł też pogodzić się z myślą, że taka kobieta mogłaby go omamić, że kiedykolwiek jej pożądał.

- Wiem, kogo podejrzewasz — powiedział w końcu.

- Tak i ty także myślisz podobnie, mimo że w pocie czoła próbujesz odepchnąć od siebie tę myśl. Tak, Malcolm mógł zrobić coś głupiego, co go zdradziło, może nawet nie zdawał sobie sprawy, że tak było, a może został przyłapany i nie miał szansy na ucieczkę. Jednakże byłoby wielkim błędem ignorowanie takiej możliwości, że ktoś przesłał Beatonowi wiadomość o tym, że mamy w jego obozie człowieka.

- Wiem o tym - odparował Balfour, a potem westchnął i potarł kark. — Nigdy nie podałem jej imion Daouglassa czy Malcolma, tylko tyle, że mamy kogoś w obozie Beatona.

- Beaton nie potrzebował nazwisk, wystarczyło, że wiedział, że któryś z tych biednych ludzi pracujących dla niego jest jednym z naszych. Czy powiedziałeś jej, że mamy dwóch ludzi?

- Nie, i zanim mnie o to oskarżysz, wiedz, że nie pozwalałam swojej nieposkromionej namiętności zaślepić moich myśli ani zasłonić prawdy. Moje serce może być ślepe, ale reszta nie. Nie chcę po prostu wierzyć, że mógłbym słuchać i pożądać kobiety, która byłaby w stanie posłać człowieka na tak okrutną, bolesną śmierć. Ona jest uzdrowicielką. Trzeba zobaczyć, jak troszczy się o chorych i rannych, żeby zrozumieć, jak trudno przychodzi mi uwierzyć, że mogłaby zrobić tak potworną rzecz.

- Jestem skłonny wierzyć, że nie zrobiła tego celowo, raczej wydaje mi się, że Beaton trzyma jej nóż na gardle, czym zmuszą ją do działania w jego imieniu.

Przyczyna mniej mnie teraz obchodzi, tylko ze względu na ciebie.

Byłoby ci lżej, gdybyś wiedział, że została do tego zmuszona. Chciałbym tylko, żeby nie mogła już więcej nas zranić.

Balfour uderzał palcami o blat stołu. James miał rację. Jeśli istniała najmniejsza szansa, że Maldie donosiła Beatonowi, trzeba ją było powstrzymać, natychmiast pozbawić jakiejkolwiek możliwości zobaczenia, usłyszenia czegokolwiek i dalszego przekazywania informacji. Będzie musiał ją uwięzić, trzymać pod strażą, dopóki nie odkryje prawdy. Jeśli jest winna, przyjmie tak łagodną karę za swoje zbrodnie. Jeśli jest niewinna, to zrani ją, głęboko obrazi, może bardziej, niż będzie mu w stanie wybaczyć. Balfour zdał sobie sprawę, że miał niewielki wybór. Jeśli Maldie jest winna, a on puści ją wolno, to może go to kosztować zwycięstwo, którego tak potrzebował, i życie wielu członków jego klanu. Jeśli potraktuje ją jak szpiega, uwięzi i odda pod straż, może ją stracić.

- Każda droga, krórá wybiorę, niesie ze sobą stratę - mruknął.

- Tak, to prawda - zgodził się James, sięgając ręką, by poklepać ramię Balfoura w geście zrozumienia i współczucia. - Pomyśl jednak, że to tylko na krótko. Możesz ją stracić w każdym wypadku. Jeśli jest szpiegiem, to albo ucieknie, albo będziesz ją musiał powiesić, ale wielu Murrayów umrze przez nią niepotrzebnie, walcząc w bitwie, w której nie będą mieli szans wygrać. Jeśli jest niewinna, to możesz ją dotknąć. Obawiam się jednak, że jeśli jej zaufasz, to zapłacisz najwyższą cenę.

- Tak. - Balfour skończył swoje wino i nagle wstał. - Jeśli ma się do wypełnienia niemiłe obowiązki, to najlepiej zabrać się do nich bez zwłoki. Pójdę i zajmę się nią od razu.

- Może przyzna się do wszystkiego i powie ci, dlaczego pracuje dla Beatona, to ci pomoże zrozumieć.

- Możliwe, ale wątpię, żeby mała Maldie była tak chętna, by wychodzić przed szereg.

Balfour szedł do sypialni, którą dzielił z Maldie, z miną straceńca. W głowie miał

obraz dzikiej miłości, jaka połączyła ich pod więzą zaledwie dwie noce temu, i się skrzywił. Odszedł stamtąd lekki, pełen ufności i nadziei. Maldie stała się jakaś milcząca i zaczął podejrzewać, że coś przed nim ukrywa. Nie chciał myśleć, że to dlatego, że właśnie posłała człowieka na śmierć. Balfour zdrętwiał na myśl, że mógłby być takim głupcem.

Kiedy wszedł do komnaty, Maldie odwróciła się do niego i uśmiechnęła, czesząc swoje świeżo umyte włosy. Była piękna. Pragnął jej i nienawidził się za tę słabość.

Nawet jej trochę za to nienawidził. Wiedział, że jeśli okaże się, iż pomagała Beatonowi, to będzie dla niego więcej niż cios. Nigdy więcej nie zawierzy swoim uczuciom do kobiety.

Maldie zmarszczyła czoło, kiedy Balfour nic nie powiedział. Patrzył tylko na nią, zamykając drzwi, a potem oparł się o nie. Był spięty, ręce skrzyżował na piersiach i zacisnął pięści. Na jego twarzy rysował się twardy, zimny wyraz, któ-

ry sprawił, że poczuła się nieswojo. Starła się odgadnąć, jakie emocje go dręczą, ale nie mogła. Jego twarz pełna była uczuć, ale on sam zamknął się na nią. Zaczęła się bać. Nagle poczuła, że nie zna mężczyzny stojącego przy drzwiach.

- Co się stało, Balfourze? - spytała, a w jej drżącym głosie słychać było rosnące obawy.

- Malcolm, nasz człowiek w obozie Beatona, został powieszony na drzewie za wioską. - Szok rysujący się na jej twarzy wydawał się prawdziwy, ale Balfour wiedział, że nie może już ufać temu, co widzi, słyszy i czuje.

- Och, Balfourze, tak mi przykro - powiedziała, wstając i ruszając w jego kierunku.

- Dlaczego? Nie spodziewałaś się, że Beaton go zabije?

Zatrzymała się tak nagle, że prawie się przewróciła. Patrzyła na niego zmieszana.

- Skąd miałabym wiedzieć, co Beaton zrobi z tym człowiekiem? - Czyżby Balfour nagle odgadł, kim jest? - zastanawiała się, walcząc z pokusą, by uciec przed tym wściekłym człowiekiem.

- Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że przez trzynaście lat Beaton nie odkrył

żadnego z naszych ludzi, a teraz nagle demaskuje biednego Malcolma? - Zobaczył, jak jej twarz blednie, i powstrzymał się, by nie zacząć jej pocieszać, by nie cofnąć tych szorstkich słów.

- Myślisz, że pomagam Beatonowi? Czy Grizel nie mogła mu powiedzieć?

- Grizel nie żyje już od dwóch tygodni, nie żyją też ludzie, z którymi miała się spotkać, więc i oni nie mogli niczego mu przekazać. Gdyby wcześniej powiedziała Beatonowi o naszym człowieku, to Malcolm nie żyłby już od dawna. To musiał być ktoś inny.

- I uważasz, że ten ktoś to ja - wyszeptała, ledwo mogąc mówić przez gulę w gardle.

Nie zdawała sobie sprawy, że tak ją to zraniło.

- A w co mam wierzyć?

Maldie zachwiała się. Jego słowa uderzyły ją prosto w serce, jak cios mieczem.

Spodziewała się tego albo przynajmniej tak myślała. Od swojego przybycia do Donncoill bała się, że ktoś odkryje prawdę, ale prawdę o jej ojcu. Gdyby wydało się, że jest córką Beatona, taki brak zaufania byłby oczywisty. Jednak za tym oskarżeniem nie stała wiedza, która mogłaby usprawiedliwiać słowa Balfoura.

Jedynym powodem było to, że nie była z rodu Murrayów. Zdrada Grizel nie wystarczyła, by przekonać ich, że czasem nawet sami mogą się obrócić przeciwko swoim. Maldie poczuła, że jej ból szybko zamienia się w gniew i urazę. Może nie powiedziała im wszystkiego, co chcieliby o niej wiedzieć, ale nie był to wystarczający powód, żeby myśleć, że posłała człowieka na śmierć.

- Moje słowo nie wystarczy?

- Nie, nie mogę sobie na to pozwolić - westchnął i potrząsnął głową. - Spowiłaś się w sekrety, a oczekujesz ślepego zaufania. Nie wiemy, kim jesteś, skąd pochodzisz, co robiłaś na drodze, ale chcesz, żebyśmy uwierzyli, że jesteś naszym przyjacielem.

- Byłam dla ciebie więcej niż przyjacielem. - Sprawilo jej przyjemność, że na jego twarz wystąpił rumieniec. Oznaczało to, że nadal ma wątpliwości co do jej winy, czuje niechęć do tego, w jaki sposób z nią postępuje.

- Nie widzisz, że nawet to może rzucać na ciebie podejrzenia?

- To namiętność jest teraz zbrodnią?

- Maldie, powiedz mi cokolwiek o sobie, coś, co mógłbym sprawdzić.

- A dlaczego powinnam?

- A dlaczego nie?

- To, kim jestem, nie powinno cię obchodzić, ani to, skąd pochodzę, gdzie idę, ani też nic innego. Chcesz, żebym dała ci dowód, że nie jestem szpiegiem? Dobrze, ale gdzie jest twój dowód, że nim jestem?

Balfour znów się rozgniewał, jej upór wzbudził w nim furię. Nie prosił o nic, czego nie mogła mu dać. Wszystko, czego pragnął, to była garstka wiadomości o niej samej, ten rodzaj informacji, który ludzie zazwyczaj podają bez wahania. W

Donncoill jedyne, co ludzie wiedzieli o Maldie, to to, że była utalentowaną uzdrowicielką, że jej matka nie żyje, że jest bękartem i szuka swoich krewnych.

Zważywszy na to, jak długo już z nimi żyła, to było niezwykle mało.

- Nie widzisz, dlaczego to robię? Jestem w stanie wojny. Mojego brata przetrzymuje wróg. Nie mogę sobie pozwolić, by ufać ludziom tylko na podstawie tego, że mówią, że są niewinni. Potrzebuję czegoś więcej, Maldie, muszę ttaktować cię jak wroga, którym równie dobrze możesz być.

- W takim razie sugeruję, żebyś przestał oskarżać mnie o zbrodnie, których nie popełniłam, i poszukał prawdziwego zdrajcy.

- Jak sobie zyczysz. Zostaniesz zamknięta w swojej komnacie, będzie ci wolno wyjść jedynie po to, by zająć się Nigelem.

- Czy na pewno chcesz, żeby jeden z psów Beatona dotykał twojego brata?

- Miałaś sporo okazji, żeby zrobić mu krzywdę, i nie zrobiłaś tego. Może Nigel nie jest wystarczająco silny, żeby stanąć do bitwy, ale z pewnością jest na tyle silny, żeby obronić się przed drobną kobietą. Czas spędzony w samotności pomoże ci zrozumieć, że to nie jest dobry moment, by chować się za swoją dumą. Krztyna prawdy to chyba niezbyt wygórowana cena za wolność.

Wyszedł z komnaty i zaryglował drzwi od zewnątrz. Był smutny, zły i zmieszany.

Na początku Maldie wyglądała na dotkniętą do żywego, a potem była wściekła. To mogłoby wskazywać, że jest niewinna, że została fałszywie oskarżona. Jednak nie broniła się, tylko zaprzeczała. - Czy już po wszystkim? — spytał James, podchodząc do Balfoura. - Tak. - Kiwnął na człowieka, którego James przyprowadził do pilnowania Maldie, i z Jamesem przy boku ruszył w kierunku wielkiej sali.

- Przypuszczam, że nie przyznała się i nie błagała o wybaczenie.

— O, nie, Maldie nie zrobiłaby tego, nawet gdyby była winna.

— Nadal uważasz, że nie jest?

— Nie wiem, co myślę. Sposób, w jaki zareagowała na oskarżenia, świadczyłby o jej niewinności, ale może po prostu umie odegrać swoją rolę. Nie próbowała się bronić, po prostu powiedziała, że jest niewinna. Poprosiłem, żeby powiedziała mi coś o sobie, żebym mógł to sprawdzić, a ona odrzekła, żebym poszedł i sam poszukał informacji. — Kiedy wchodzili do wielkiej sali, Balfour dostrzegł w oczach Jamesa cień rozbawienia i zachmurzył się. - Uważasz, że to zabawne?

— Tak, obawiam się, że tak. - James potrząsnął głową, gdy siadali u szczytu największego ze stołów, i nalał sobie wina. — Po prawdzie to mi mówi, że ona może być niewinna. Albo znacznie mądrzejsza niż my wszyscy.

— Właśnie oskarżyłem moją kochankę o ohydny zbrodnie, o posłanie człowieka na straszliwą śmierć, a ty mi teraz mówisz, że ona może być niewinna?

— Zawsze uważałem, że istnieje takie prawdopodobieństwo, nie znalazłem żadnego dowodu jej winy. Jednak ty nigdy nie zrobiłbyś nic przeciwko niej, gdybym ci to powiedział. Nie jestem na tyle stary, żeby nie dać się zwieść pięknej kobiecie o zielonych oczach, ale też i nie zaślepia mnie jej uroda. Jeden z nas musiał utwardzić swoje serce i przyrzeć się wszystkim możliwościom.

Balfour zaklął i przeciągnął się, próbując bezskutecznie się rozluźnić.

— Nigdy mi tego nie wybaczy.

— Jeśli nie dba o ciebie na tyle, by wiedzieć, że postępujesz tak dlatego, że musisz, to i tak nie trzymałbyś jej zbyt długo przy sobie. To jednak dziwne, że nadal nic ci o sobie nie powiedziała. Obawiam się, że kroś musi spytać, co ona próbuje ukryć.

— Tak, to prawda. Ona ma wiele tajemnic, nie możemy pozwolić jej swobodnie się przemieszczać, mając nadzieję, że te sekrety nas nie dotyczą i nie są dla nas groźne.

Wiem, że zrobiłem to, co trzeba było. Chciałbym tylko, żeby to przekonane pozwoliło mi poczuć się lepiej.

Maldie, zanim ruszyła się z miejsca, przez dłuższą chwilę patrzyła na zamknięte drzwi. Doszła chwiejnym krokiem do łóżka i rzuciła się na nie, patrząc bezmyślnie w sufit. Tak wiele emocji rozdzierało jej serce, że z trudem mogła oddychać. Jedyne, której nie chciała robić, to płakać, ale dławiąca gęła w gardle oznaczała, że jej się nie uda. Złorzeczając Balfourowi, odwróciła się na brzuch i poddała się, pozwalając łzom zapanować nad sobą.

Zabrało to więcej czasu, niżby chciała, zanim zdołała odzyskać nad sobą kontrolę.

Kiedy płacz w końcu osłabł, Maldie uznała, że dobrze jej zrobił. Była zmęczona, ale miała czysty umysł. Teraz mogła pomyśleć nad tym, co się stało, chociaż chciałaby o wszystkim zapomnieć.

Fakt, że została oskarżona o szpiegowanie dla Beatona, nie martwił jej tak bardzo.

Spodziewała się tego od dłuższego czasu. Chodziło o to, że Balfour oskarżył ją o to, nie wiedząc o jedynej rzeczy, która mogłaby rzucić na nią podejrzenia - o nazwisko jej ojca. Nie miał żadnego dowodu na to, że jest kimś innym niż tym, za kogo się podawała: sierotą, przemierzającą kraj w poszukiwaniu swoich krewnych. Mimo to uwierzył, że byłaby w stanie posłać człowieka na śmierć. Sam fakt, że Balfour mógł

brać pod uwagę taką rzecz, był dla niej ciężkim ciosem.

W pewnym sensie było to nawet zabawne. Gdyby nie była taka nieszczęśliwa, mogłaby zaśmiać się nad ironią losu. Była tu, ponieważ chciała zabić Beatona, chciała pomóc Murrayom w zniszczeniu jego siły, a w rezultacie została więźniem podejrzanym o pomaganie Beatonowi! Gdzieś się pomyliła, w jakiś sposób sama skierowała na siebie podejrzenia, ale nie wiedziała, jak to się stało. Balfour mówił o tym, jak bardzo była tajemnicza, ale nie mogła uwierzyć, że chodziło tylko o to. Czy wszyscy, którzy przechodzili przez Donncoill, siadali w wielkiej sali i recytowali swój rodowód?

Zakłęła, wstała i nalęła sobie wina. Nie było odpowiedzi na postawione pytania.

Balfour nie mógł zrozumieć, dlaczego nie powie mu wszystkiego o sobie, a ona nie mogła zrozumieć, jak ta niechęć mogła obrócić się przeciwko niej i sprawić, że została oskarżona o pomaganie Beatonowi, o współudział w zabiciu człowieka. Ona i Balfour nigdy nie zgodzą się co do tych kwestii. On był, mimo wszystko, dumny ze swojej rodziny, swojego dziedzictwa. Prawdopodobnie nigdy by nie zrozumiał, dlaczego ktoś miałby chcieć zapomnieć, że nawet ma rodzinę.

To, co musiała rozważyć, to w jaki sposób wykaraskać się z kłopotów, w jakich się znalazła. Nadal musiała wypełnić obietnicę daną matce, a nie mogła tego zrobić zamknięta w sypialni w Donncoill. Maldie podeszła spokojnym krokiem do drzwi i spróbowała je otworzyć. Nie zdziwiła się, kiedy okazało się, że są zamknięte od zewnątrz. Słyszała, jak Balfour zakłada skobel. Stał tam też pewnie

jakiś wielki Murray, uzbrojony w miecz. Najprostsza droga na zewnątrz nie była drogą prowadzącą na wolność.

Mogłaby też zdecydować się na to, by powiedzieć Balfourowi wszystko, czego chciał. Mogłaby odkryć większą część bez mówienia, kim jest jej ojciec. Gdyby jednak chciał wysłać kogoś ze swoich ludzi do jej starego domu, to prawda mogłaby zbyt łatwo wyjść na jaw. Jej matka nie była zbyt dyskretna co do tożsamości człowieka, którego winiła za wszystkie swoje nieszczęścia. Maldie była pewna, że niektórzy ludzie z miasteczka z ochotą opowiedzieliby kilka historii, w świetle których nie wydawałaby się już taką niewinną, honorową i godną zaufania osobą.

Było kilka rzeczy w życiu Maldie, które zrobiła, by przeżyć, a nie była z nich zbyt dumna. Nie poświęciła także zbyt dużo starań, by zaspokoić irytujące nieraz oczekiwania nader pobożnych mieszkańców.

Głupia duma powstrzymywała ją przed wyznaniem wszystkiego. Balfour był

prawdopodobnie zirytowany tym, że nadal odmawiała odpowiedzi na wszystkie jego pytania, i na ową chwilę była to mała satysfakcjonująca kara za jego oskarżenia. Pozostawało jej więc do powiedzenia niewiele, a mianowicie to, że ona jest niewinna, a on jest głupcem. Niestety to było za mało, żeby zwrócić jej wolność.

Nie obawiała się o swoje życie. Balfour nie był człowiekiem, który powiesiłby kogoś tylko dlatego, że uważałby, że ten ktoś może być winny. Tak, jak to było w przypadku Grizel, zaczęłaby, aż miałby niepodważalny dowód. Skoro ona była niewinna i nie istniał żaden dowód, to na razie była bezpieczna.

Jedyna rzecz, którą mogła teraz zrobić, to wydostać się, uwolnić Erica i udowodnić, że nigdy nie pomagała Beatonowi. Całą tę sprawę z Beatonem należało wyjaśnić.

Zdała sobie jednak sprawę, że jeśli będzie dowodzić swojej niewinności, to jednocześnie odkryje całą prawdę o sobie, prawdę, która sprawi, że Balfour ją opuści. Ale o to teraz nie dbała. Jeśli miał ją zniechęcić za to, że jej ojcem był

William Beaton, to byłby to tylko dowód jego słabości. Nie zamierzała siedzieć bezczynnie i pozwalać mu nazywać siebie zdrajczynią przyjaciół i morderczynią.

Maldie zaśmiała się nagle. Jej rozbawienie spowodowało ciche ruchy na zewnątrz.

Wiedziała, że strażnik słucha, marszczy czoło i zastanawia się, czy przypadkiem nie zwariowała. Istniała szansa, że tak. Jej kochanek, mężczyzna, którego kochała do szaleństwa, uważał, że pomogła jego wrogowi i ułatwiła mu ujęcie człowieka, zarżniętego potem bez skrępulów. Mimo to wiedziała, że Balfour mógł zostać do tego zmuszony. Jeśli to nie było szaleństwo, co nim było? Pewnie uznanie, że najlepszym rozwiązaniem moich problemów będzie ucieczka, dotarcie do Dubhlinna i uratowanie Erica, pomyślała i znów zachichotała.

Była zamknięta w komnacie w Donncoill, potężnej twierdzy, pod strażą. Mogła pójść tylko do

Nigela. Jeśli udałoby się jej uciec i zostałyby to szybko odkryte, to ścigaloby ją pół klanu Mutrayów. W Dublinie też musiałaby być bardzo ostrożna, bo z nieufnością będą się teraz przyglądać każdemu obcemu. To oznaczało, że będąc podwójnie ostrożną, będzie musiała odnaleźć Erica, a potem go uwolnić. W końcu będzie musiała wydostać siebie i chłopca z Dublinna i doprowadzić do Donncoill.

- Nie ma nic prostszego - mruknęła, odstawiając kubek i wyciągając się na łóżku.

Wszystko to było niemożliwe i nie powinna nawet tego rozważać, ale robiła to. Był

to jedyny plan, jaki miała, ale wymagał wielu przemyśleń. Zajmowanie głowy tak szalonym przedsięwzięciem było o wiele lepsze od przeżywania w samotności swego bólu.

Rozdział 12

- Co tam knujesz, Maldie Kirkcaldy? - spytał Nigel, kiedy pomogła mu złożyć obolałe ciało na łóżku.

Odwróciła się od maleńkiego okna, przez które wyglądała, i spojrzała na niego.

Przez trzy dni był jej jedynym towarzyszem, jeśli nie liczyć milczącego strażnika, który przeprowadzał ją przez korytarz. Żadne z nich nie rozmawiało o rzeczach, o które ją oskarżono. Pracowali ciężko nad poprawą jego chodzenia, z czym Nigel radził sobie coraz lepiej. Zaczęła myśleć, że to jego jedyne pragnienie. Było jednak jasne, że Nigel nadal bacznie ją obserwował.

- Dlaczego uważasz, panie, że mogłabym coś knuć? - spytała, podchodząc do łóżka z kuflem cydru.

- Ponieważ mój głupi brat zrobił z ciebie więźnia.

- Myślałam, że ignorujemy tę drobną niedogodność.

- Kiedy przyszedł tu po raz pierwszy po tym, jak mój brat popełnił to szaleństwo, i nic nie powiedziałaś, uznałem, że nie chcesz o tym mówić. Cóż, może nie chcesz, ale trudno mi zaakceptować taką zniewagę.

Uśmiechnęła się, wyglądała na wyprowadzonego z równowagi. Dobrze, że był ktoś, kto w nią wierzył, choć wiedziała, że sporo tej wiary wynika z tego, że zawdzięcza jej życie. Prawdopodobnie był tak wściekły i czuł się wobec niej tak zobowiązany, że pomógłby jej uciec, ale o to by go nie poprosiła. To był jej problem i sama zamierzała go rozwiązać.

- Zastanawiam się, ile czasu upłynie, zanim Balfour zorientuje się, że popełnił błąd.

- Mówisz o tym tak lekko. Czy nie widzisz zniewagi, jaką ci wyrządził?

- Bardzo wyraźnie, czasem nawet trudno mi spojrzeć poza nią. Jednak kiedy udaje mi się nie myśleć o tym, że najchętniej nadziałabym go na jakiś pal... —

uśmiechnęła się, gdy Nigel się zaśmiał - to widzę również, że nie miał zbytniego wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór. Maldie wzruszyła ramionami.

- Może, ale czasem wszystkie, jakie się ma, są odstręczające. Ktoś powiedział

Beatonowi, że Malcolm jest Murrayem, więc ten go zabił. Nigdy przedtem człowiek Murrayów nie został przyłapany w Dublinie. Tak więc albo Beaton zmańdzał, w co szczerze wątpię, albo ktoś powiedział mu o Malcolmie. Grizel nie żyje, więc to nie mogła być ona. Tak więc Balfour zastanawia się, co się zmieniło w Donncoill, i co widzi? Mnie, ja jestem logicznym wyborem na podejrzaną.

- Nie, nie jesteś - odparował Nigel.

- Nie sądź zbyt surowo swego brata, panie - powiedziała. - Jest dziedzicem odpowiedzialnym za wszystkich, którzy żyją na jego ziemiach. To wymaga czasem podjęcia trudnych decyzji. Jest w tym odrobinę więcej niż tylko zwykłe obarczanie obcego przybysza za to, co idzie źle. Żeby oddać sprawiedliwość Balfourowi -

chyba sam nie wierzy w pełni w to wszystko, ale wobec tego, że lada dzień ma rozpocząć bitwę, nie może sobie pozwolić, by obdarzyć zaufaniem niewłaściwą osobę. Dał mi możliwość bronienia się.

- I nie skorzystałaś? - Nigel zmarszczył brwi. - Dlaczego?

- Rozzłościłam się. Duma podniosła swą bezrozumną głowę. - Wzięła pusty kufel z jego ręki i postawiła na stoliku koło łóżka. - Uznałam, że powinno mu wystarczyć moje słowo. Zadawał mi pytania, chciał uzyskać informacje, które mógłby zweryfikować przez posłańca, co miało dowieść mojej niewinności. Powiedziałam mu, że jeśli tak bardzo chce się czegoś dowiedzieć, to powinien sam się wziąć do roboty i ich poszukać. - Maldie była nawet w stanie się uśmiechnąć, kiedy Nigel się zaśmiał.

- Ta duma mogła cię zawieść na szubienicę — ostrzegł ją, a wszystkie oznaki dobrego humoru zniknęły nagle z jego twarzy.

- Nie - powiedziała bez cienia wątpliwości. - Nie przy Balfourze. Żeby skazać kogoś na śmierć, potrzebuje niezbitego dowodu.

- Tak, masz rację. Balfour jest sprawiedliwym i miłosiernym człowiekiem. Szkoda, że jest też głupcem - uśmiechnął się, gdy zachichotała, ale potem spoważniał, przyglądając się jej uważnie. - W takim razie nie masz innego wyboru, musisz uciec z Donncoill.

Była dumna z tego, jak ostrożnie kontrolowała swoje uczucia i wyraz twarzy, zwłaszcza tę nagłą obawę, że jej zamiary zostały zdemaskowane. Nigel nie mógł

przecież odgadnąć jej planów, były zbyt szalone. W końcu Murrayowie też zamierzali uratować Erica i uważali, że potrzebna im do tego cała armia. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że drobna kobieta będzie planowała zrobić to na własną rękę.

To, że podejrzewał, że przejdą jej przez głowę jakieś myśli o ucieczce, nie było niczym dziwnym ani

w żaden sposób jej nie zagrażało.

- Oczywiście. Ucieczka dowiodłaby mojej niewinności - zachmurzyła się.

- Nie powinnaś zajmować się dowodzeniem własnej niewinności, daj temu spokój.

- Nie, ale uciekanie jak złodziej, w środku nocy, nie pomoże mi. Nic mi nie będzie.

Naprawdę. Tak, jestem głęboko dotknięta tym wszystkim, ale żyję, a prawda wyjdzie na jaw. Muszę tylko czekać.

- Jeśli mógłbym ci w czymś pomóc...

Podniosła dłoń, żeby go powstrzymać. Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała: -

Nawet tego nie mów, Nigelu. Trzymaj się od tego z daleka. Wierzysz we mnie i to mi wystarczy.

Cokolwiek więcej zrobisz, ryzykujesz nieposłuszeństwo, a co gorsza - zdradę swego pana. -

Otworzyły się drzwi i Maldie zobaczyła w nich Jennie. Zza jej pleców wyglądał strażnik. - Czas na mnie, muszę wracać do swojej komnaty. Odpoczywaj, Nigelu. Wzmocniłeś się i możesz już spacerować dłużej i pewniej każdego dnia. Nie daj się zwieść pokusie, by robić więcej, niż pozwala ci na to ciało.

— Wiem o tym. Miałaś rację we wszystkim, co mi do tej pory radziłaś. Nie widzę sensu w zamykaniu uszu na twoje rady.

Maldie wolno wyszła. Jenny odwróciła oczy i kiedy Maldie mijała ją w drzwiach, zaczerwieniła się. Wszyscy wiedzieli, dlaczego Balfour zamknął ją w sypialni.

Maldie wiedziała też, że zaufanie i szacunek, jakie zdobyła sobie Donncoill, prawdopodobnie były już stracone. Ciężko było to znieść, bo zaczęła czuć, że przynależy do Donncoill, że jest akceptowana, a nawet lubiana. Po raz pierwszy w życiu czuła coś podobnego i była podłamana tą utratą.

Drzwi zamknęły się za nią i skuliła się, kiedy usłyszała dźwięk zakładanej sztaby.

Nienawidziła być zamknięta. Zawsze była wolna, chodziła swoimi ścieżkami, niektórzy twierdzili nawet, że miała zbyt dużo swobody. Minęły dopiero trzy dni od jej uwięzienia, ale czuła już, że zaczyna dławić się jak w pułapce.

Wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić, i podeszła do małego okna. Kilka wolnych oddechów ciepłym, świeżym powietrzem sprawiło, że uczucie paniki, które ją ogarnęło, osłabło. Mogła przynajmniej widzieć świat na zewnątrz i była za to wdzięczna. Balfour mógł z łatwością zamknąć ją w ciemnych podziemiach Donncoill.

- W ogóle nie powinien mnie zamykać - mruknęła, kładąc się na plecach. Walczyła z chęcią oddawania się złości i bólowi. W końcu jednak zajęła myśli układaniem planu uwolnienia Erica, jak to się działo przez ostatnie trzy dni.

To była jedyna rzecz, która pozwalała jej nie zatracić się w rozpacz. Plan był

prawie gotowy, ale jego ostatnia część okazała się najtrudniejsza. Wiedziała już, jak dostanie się do Dublinna, jak odnajdzie miejsce, gdzie Erie jest więziony, a nawet miała sposób na to, jak go stamtąd wydostać. Nie było chyba takiej komplikacji, której Maldie by nie przewidziała i nie uwzględniła w planie — od prześlizgnięcia się obok straży po straceńczy bieg. Jedyna rzecz, której jeszcze nie wiedziała, to jak wydostanie się z Donncoill.

Istniało wiele sposobów na ucieczkę, ale żadna z okoliczności, które by to umożliwiły, jeszcze się nie nadarzyła. Nikt z mieszkańców nie wzywał jej do pomocy, a więc nie potrzebowano jej poza więzieniem. Strażnik nigdy jeszcze nie zostawił otwartych drzwi ani nie spuścił jej z oczu. Nikt nie przyszedł jej odwiedzić.

Nagle przyszedł jej do głowy banalnie prosty pomysł. Była zaskoczona, że dopiero tak późno. Jedyne, czego było jej trzeba, to dobry powód, by wezwać pannę służebną. Jeśli powie, że to jedna z kobiecych dolegliwości, żaden mężczyzna nie będzie chciał słuchać wyjaśnień, będą wystarczająco onieśmieleni samym faktem, że są w pobliżu. Jedyna część tego planu, która wydawała się trudna do zrealizowania, polegała na tym, że będzie musiała zranić służącą. Nie mocno, ale wystarczająco, żeby kobieta była nieprzytomna tak długo, aż ona dotrze poza granice Donncoill.

Usłyszała delikatne stukanie do drzwi. Przez chwilę myślała, że szczęście jej sprzyja i nie będzie musiała używać podstępów, by zwabić do siebie służkę. Po chwili jednak do komnaty wszedł Balfour. Maldie zaklęła w duchu. Jego widok rozbudził w niej wszystkie emocje, które starała się głęboko ukryć. Czuła, że gniew i ból kłują ją w gardle.

- Jeśli nie przyszedłeś błagać o przebaczenie, to możesz równie dobrze wyjść -

powiedziała, siadając prosto na brzegu łóżka.

Balfour westchnął i zatopił ręce we włosach. Nie był pewny, po co przyszedł do niej jeszcze raz. Wątpił, by zmieniła zdanie, jednak czuł prawdziwą potrzebę dania jej ostatniej szansy do obrony, szansy, by dała mu coś, co pozwoli mu ją wypuścić.

Miał nadzieję, że po wielu dniach spędzonych w zamknięciu, kiedy to jedynym wytchnieniem był spacer do Nigela, będzie bardziej skłonna do współpracy. Jej powitanie i pełne uporu spojrzenie powiedziały mu, że to próżna i głupia nadzieja.

Tęsknił za nią, nie tylko w łóżku, chociaż brak jej zwiniętego w kłębek ciała u jego boku sprawiał, że nie był w stanie zasnąć. Balfour odkrył, że brakuje mu jej widoku, nawet w przelocie, rozmowy z nią. Rozumiał stanowisko, jakie przyjęła, ale złościło go, bo przez nie byli rozdzieleni. Zaczął nawet myśleć, że ona łatwiej to znosiła niż on, i to go bolało.

- Przyszedłem dać ci ostatnią szansę powiedzenia mi prawdy - powiedział.

- Powiedziałam ci prawdę. - Maldie była na niego zła. Uznała, że to kłamstwo jej nie przeszkadza.

- Może, ale było jej mało. Im więcej o tym myślałem, tym jaśniej uzmysławiałem sobie, że mimo że

jesteśmy kochankami, to nadal jesteś dla mnie obca. Nie znam żadnego z tych drobnych szczegółów, których człowiek dowiaduje się o kochance.

- A ja nigdy nie spotkałam ludzi równie zatroskanych o te sprawy, co wy, Murrayowie. Jestem tym, kogo widzisz, kto stoi przed tobą. Czego więcej ci trzeba?

- Kiedy stoisz przede mną oskarżona o pomaganie wrogowi, a nawet o pomoc w morderstwie dobrego człowieka, to potrzeba znacznie więcej niż „Jestem tym, kogo widzisz”. Nie widzisz, w jakim jesteś niebezpieczeństwie, dziewczyno?

- Masz zamiar mnie powiesić?

Z zadowoleniem przyjęła bladość na jego twarzy. To oznaczało, że nadal żywi dla niej jakieś uczucia. Oskarżenia, jakie wobec niej wystosował, i jego nieobecność sprawiły, że zaczęła wątpić w jego zainteresowanie. Jako że miała wkrótce opuścić Donncoill, a także jego, nie chciała się już tym martwić.

Pocieszający był jednak ten mały znak, że nie jest mu obojętna. To też utwierdziło ją w przekonaniu, że nie spotka jej żadna kara, dopóki Balfour nie będzie miał

niezaprzeczalnego dowodu jej winy. A tego nigdy nie dostanie, bo coś takiego nie istniało.

- Nie, oczywiście, że nie. Nikogo nie zabiłaś własną tęgą, jak to zrobiła Grizel. Ale dlaczego nie chcesz dowieść, że się mylę?

- Ponieważ twoje oskarżenia są obraźliwe i bezpodstawne, nie zasługują na mój czas i zainteresowanie. Jeśli zacznę udowadniać swoją niewinność, wtedy usprawiedliwię twoje oskarżenia, a na to się nie zgadzam. - Skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na niego chłodno, wyzywając go w ciszy na słowny pojedynek.

- Jesteś bardzo upartą kobietą, Maldie Kirkcaldy - powiedział, potrząsając głową. -

Może masz fację. Nie wiem. Może potrzebujesz czasu, żeby zobaczyć, jak niebezpieczne mogą być obrażona duma i upór. Modlę się, żeby do tego nie doszło, ale milczenie w sprawie takiej jak ta może cię słono kosztować.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, opadła na łóżko. Jego ostatnie słowa brzmiały jak groźba, ale Maldie nie czuła strachu. Balfour jej nie skrzywdzi. Jeśli istniało jakieś niebezpieczeństwo, że jej serce pomyliło się w osądzie tego człowieka, to zawsze był jeszcze Nigel. Do niego mogła się zwrócić, on nie pozwoliłby swemu bratu jej skrzywdzić. Była zdecydowana, by nie mieszać Nigela w sprawy między siebie a Balfourem, ale gdyby jej los i życie znalazły się w niebezpieczeństwie, to nie wahałaby się przeciągnąć go na swoją stronę.

Wizyta Balfoura uświadomiła jej jednak coś ważnego. Był najwyższy czas, żeby opuścić Donncoill. Nie mogła dłużej znieść, że człowiek, którego kochała, żądał od niej dowodów niewinności. Niezależnie od tego, jak dobrze rozumiała trudną sytuację, w jakiej się znalazł, to bolał ją sposób, w

jaki robił to, co musiał.

Miał rację, ostrzegając ją przed szaleństwem zbytniego uporu. Miała w sobie zbyt dużo dumy i wiele osób uważało, że ta cecha ujawniała się nie wtedy, kiedy była potrzebna. Nie przełknie jej jednak tylko dlatego, żeby ukoić jego bezpodstawne podejrzenia.

Maldie nie była pewna, jak długo zdoła trzymać się tego postanowienia. Kiedy zobaczyła Balfoura, była gotowa zrobić wszystko, o co by tylko poprosił. Chciała, żeby znów mogli być razem. Chciała wrócić w jego ramiona, być przy jego boku.

Odzyskać jego zaufanie. Wiedziała, że jeśli wkrótce nie opuści Donncoill, to pragnienie może stać się zbyt silne, by mogła mu się oprzeć.

Odczekała sporą chwilę, mając nadzieję, że Balfour będzie zbyt zajęty i zbyt daleko, żeby do niej zajrzeć, i wtedy zaczęła jęczeć. Wystarczyły trzy donośne jęki, żeby strażnik znalazł się przy drzwiach. Wiedziała, że nasłuchiwał, bo słyszała jego miecz uderzający o drzwi. Kolejny jęk otworzył jej drzwi. Maldie musiała zdławić uśmiech na widok głębokiej troski na twarzy przerażonego mężczyzny. Trzymała się za brzuch, zwijała na łóżku i stękała cicho.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał strażnik, przekraczając próg.

- Potrzebuję pomocy kobiety - odpowiedziała, zadowolona z niepewnego, chropowatego brzmienia swojego głosu.

- Jesteś chora?

- To kobiece sprawy i potrzebuję kobiety, żeby mi pomogła, ty wielki prostaku! -

krzyknęła. Po chwili jęknęła, zachowując się, jakby wystarczyło podniesienie głosu, by ból się wzmógł. - Przyrowadź mi jedną ze służących.

Szybko wycofał się z komnaty i zaryglował drzwi. Maldie pozwoliła sobie na uśmiech. Tak jak podejrzewała, samo wspomnienie kobiecych dolegliwości uciszyło wszystkie pytania. Budziły one strach w najodważniejszych wojownikach, ludziach, którzy w bitwach bez mrugnięcia okiem zadawali najohydniejsze rany.

Kiedy usłyszała odgłosy kroków spieszących w kierunku jej komnaty, szybko wróciła do zwijania się z udawanego bólu. Było jej trochę trudniej kontynuować to przedstawienie, kiedy weszła biedna Jennie i drzwi się za nią zamknęły. Strażnik był

widocznie pewny, że nie chce słyszeć ani słowa o damskich niedyspozycjach.

- Co ci dolega, panienko? - spytała Jennie, podchodząc do łóżka i kładąc współczującą dłoń na ramieniu Maldie.

Maldie przeklęła Balfoura, kiedy spojrzała w niebieskie oczy tej młodej brązowowłosej służącej. To była jego wina, że będzie musiała zranić Jennie. Mimo że nie miała zamiaru wyrządzić dziewczynie

krzywdy, to nie podobała jej się sama myśl, że będzie musiała ją uderzyć. Jennie na to nie zasługiwała. Nie zasługiwała też na kłopoty, które mogły na nią spaść za to, że pozwoliła więźniowi uciec.

- Dolega mi to, że jestem zamknięta jak jakaś szalona - wyszeptwała, a potem wymierzyła cios prosto w sam środek szczęki biednej dziewczyny.

Maldie była niezwykle zdziwiona, że Jennie padła od pierwszego uderzenia.

Oczekiwała, że będzie się musiała bardziej postarać. Zaniepokoiła się i szybko obejrzała młodą służącą. Ulżyło jej, kiedy zobaczyła, że dziewczynie nic nie jest.

Chociaż nie miała doświadczenia w nokautowaniu ludzi, to jednak uderzyła Jennie dokładnie tam, gdzie trzeba, i z odpowiednią siłą. Najpierw poczuła przypływ dumy, a potem gniewu. To Balfour zasługiwał na to, by wymierzyć mu taki cios, nie biedna, mała, nieśmiała Jennie.

Kiedy podniosła dziewczynę na łóżko, miała nadzieję, że nie będzie mieć siniaków ani nie będzie cierpieć zbytniego bólu. Ułożyła Jennie delikatnie w łóżku i naciągnęła kołdrę tak, żeby nie było widać jej jasnych włosów. Strażnik pewnie nie wejdzie do komnaty, z obawy, że zostałby zainfekowany kobiecymi sprawami, pomyślała Maldie ze złośliwym uśmiechem, ale nawet od drzwi mógłby dostrzec kolor włosów.

Klęknęła, próbując schować swoje włosy pod lnianym szalem, który zabrała Jennie.

Było trochę za ciepło na płaszcz, ale Maldie musiała go włożyć. Naciągnęła kaptur, by ukryć włosy i twarz. Jeśli Grizel udawało się tyle razy przejść drogę do wioski i z powrotem i nikt nie zwracał na nią szczególnej uwagi, to i jej powinno się udać.

Stała przy drzwiach, spojrzała ostatni raz na Jennie i delikatnie zapukała.

Serce jej się zatrzymało, kiedy stanęła naprzeciw strażnika, starając się nie podnosić głowy i próbując mówić głosem wyższym, podobnym do Jennie.

- Muszę iść do wioski po nowe bandaże i... — Kiedy strażnik złapał ją i popchnął w stronę korytarza, zanim zamknął drzwi, prawie zadławiła się własnymi słowami.

- Po prostu idź, kobieto — mruknął. - Nie muszę wiedzieć, gdzie i po co. Maldie starała się, żeby swoboda, z jaką się oddalała, nie nadała jej zbyt pewności siebie. Przed sobą miała długą drogę do otwartych bram. Jeśli zbyt wielu ludzi będzie chciało z nią rozmawiać albo ktoś znajdzie Jennie, to nigdy jej się to nie uda. Z każdym krokiem Maldie modliła się, żeby nie natknąć się na Balfoura, Jamesa ani nikogo, z kim Jennie była w bliskich relacjach.

Kiedy zbliżyła się do bram, musiała walczyć z pokusą, by nie zacząć biec. To z pewnością zwróciłoby na nią uwagę. Kątem oka zobaczyła Balfoura i Jamesa rozmawiających przy stajniach. Wykorzystała to, by przyspieszyć kroku. Dopiero gdy była już całe jardy od wysokich murów Donncoill, przestała wstrzymywać oddech. Była mokra od potu, i to nie tylko dlatego, że w ten słoneczny dzień miała na sobie ciepły płaszcz. Nie dziwiło jej nawet to, że była wyczerpana.

Trzymając płaszcz blisko ciała, przyspieszyła kroku. Dopóki była po tej stronie wioski, istniało ryzyko, że ktoś ją zdemaskuje.

Dopiero gdy weszła do gęstego lasu na pograniczu pól, Maldie zrzuciła płaszcz i pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia. Zmoczyła lniany szal w zimnej wodzie strumienia, który wił się przy brzegu lasu, i zmyła pot z twarzy. Jako że było już późne popołudnie, wiedziała, że nie zdąży do Dubhlinna przed zachodem. Będzie musiała spędzić noc w lesie. Nie przerażało jej to bardziej niż perspektywa pościgu, jaki mógł wysłać za nią Balfour. Maldie wątpiła, czy uda jej się zasnąć. Będzie albo nasłuchiwać odgłosów pościgu, albo przed nim uciekać.

- Kiedy tylko znajdę się za murami Dubhlinna, Balfour już mi nie zagrozi —

powiedziała, a potem się skrzywiła. - Będę tylko musiała chronić swój kark przed Beatonami, którzy tam mieszkają. Chyba oszalałam, jeśli myślałam, że to wszystko może się udać.

Zakłęta i położyła się na plecach, żałując jednocześnie, że nie jest w nastroju, by cieszyć się chłodem i cieniem. Uznała, że przez chwilę na pewno będzie bezpieczna.

Mogła odpocząć i pomyśleć. Najmądrzejsza rzecz, jaką mogła zrobić, to jak najdalej uciec od Balfoura, Donncoill, Dubhlinna i Beatona. Maldie powtarzała to sobie w kółko, ale jej „ja” za nic nie chciało się słuchać.

Za wszelką cenę chciała udowodnić Balfourowi swoją niewinność. Nie była pewna, czy to z powodu wielkiej dumy czy głębokiej miłości do tego człowieka.

Niezależnie od tego, jakie emocje ją do tego skłaniały, wiedziała, że nie odejdzie, dopóki sprawa się nie rozwikła. Albo przywiezie Erica Murrayom i w ten sposób dowiedzie swojej niewinności, albo zostanie złapana, Beaton ją zabije, a Murrayowie poprzez jej śmierć dowiedzą się, że była niewinna.

Był też inny powód, dla którego chciała kontynuować swój plan. Erie mógł być jej przyrodnim bratem. Jeśli istniały między nimi więzy krwi, to jej obowiązkiem było go uratować. Miała też wielką potrzebę ujrzania prawdy na własne oczy. Jeśli teraz ucieknie i zostawi to wszystko, to nigdy może jej nie poznać.

Maldie wstała i się otrzepała. Było jasne, że nie zamierza słuchać głosu rozsądku.

Ruszyła w stronę Dubhlinna, choć wiedziała, że kiedy tam dotrze, bramy mogą być zamknięte. Miała dwa wyjścia. Mogła spać na ziemi i modlić się, by nie padało i nie zrobiło się zbyt zimno, albo wrócić do małego wiejskiego domku należącego do przemiłej pary staruszków, która kiedyś już ją przygarnęła. Maldie postanowiła zaryzykować ze staruszkami, choć była na siebie zła, że ich wykorzystuje.

Odkąd przybyła do Donncoill, życie stało się znacznie bardziej skomplikowane.

Odchodziła od grobu swojej matki z jednym planem - chciała się dostać do Dubhlinna i zabić Williama Beatona. Teraz została oskarżona o pomaganie człowiekowi, którego chciała zabić, była

kochanką jednego brata, drugi się w niej skrycie kochał, a do tego chłopiec, którego tak bardzo chcieli uratować ze szponów Beatona, mógł być jej przyrodnim bratem. Gdyby o tym opowiedziała, nikt by jej nie uwierzył.

Wróciła myślami do chłopca, kiedy weszła w gęstniejący las. Nikt nigdy nie powiedział w Donnoill złego słowa na Erica. Zastanawiała się ze smutkiem, czy to uwielbienie i miłość będą trwałe nadal, jeśli okaże się, że jest synem Beatona. Była to jedna z tych tajemnic, które powinny umrzeć z tymi, co je znają.

Niestety z jej przyczyny wkrótce nie będzie to już tajemnica. Balfour widział znamię na jej plecach, niebawem dowie się, że jest córką Beatona, podobnie jak dowie się prawdy o chłopcu, którego przez tyle lat nazywał białym.

Beaton, pomyślała ze złością, miał prawdziwą umiejętność rujnowania ludziom życia. Przysięgła, że jeśli Eric zostanie sam, odrzucony przez Beatonów i Murrayów, to ona weźmie go ze sobą. To jedyne, co mogła zrobić, rekompensując mu fakt, że przez nią jego życie runie w gruzach. Poza tym miło będzie mieć znów rodzinę.

Dotarło do niej, że straciła tę wielką chęć zabicia Beatona. Maldie podejrzewała, że ślepa nienawiść do tego człowieka nadal kryła się w jej sercu, ponieważ matka hodowała ją w niej od dnia jej urodzin. Zapłonie pewnie, kiedy Maldie spojrzy na tego człowieka, ale to negatywne uczucie nie zajmowało już naczelnego miejsca w jej głowie. Nawet teraz, kiedy maszerowała wprost do jaskini lwa, to prawie nie myślała o zemście. To Balfour i przerażony zapewne chłopiec o imieniu Eric zajmowali jej uwagę. Dziwiło ją, że myśli o Balfourze, który sprawił jej tyle bólu, witała chętniej niż te o długo wyczekiwanej i usprawiedliwionej zemście.

— Cóż, może los się do mnie uśmiechnie - mruknęła, wspinając się po omszałym, zwalonym drzewie. - Może nie tylko uwolnię Erica i udowodnię w ten sposób swoją niewinność, ale będę mogła uwolnić tę ziemię od przekleństwa Williama Beatona.

— Zakląła i skrzywiła się, kiedy gałąź naderwała jej spódnicę. - Jedyne, co muszę zrobić, to dotrzeć do Dublina w jednym kawałku.

Rozdział 13

- Gdzie ona jest? — wrzeszczał Balfour, a dygocząca służka zrobiła się biała jak płócienne prześcieradło, na którym leżała.

Nie mógł uwierzyć, że Maldie umknęła im spod nosa, ale wyglądało na to, że właśnie tak się stało. Miał zamiar pomówić z nią jeszcze raz, przyznał się też przed sobą, że chciał ją zobaczyć, dlatego przyniósł jej do komnaty wieczorny posiłek.

Zmartwił się, kiedy strażnik powiedział mu, że zachorowała, a gdy otwierając drzwi, zaczął narzekać, że Jennie nie wróciła z rzeczami, po które tak pospiesznie wytuszyła, niepokój Balfoura zamienił się w przerażenie. Wściekł się, ale nie był

zbyttnio zaskoczony, kiedy po wejściu do komnaty zastał niezbyt przytomną Jennie siedzącą na łóżku i rozcierającą szczękę. Obrzucił przekleństwami strażnika, potem nawrzeszczał na Jamesa, a teraz dawał burę biednej przerażonej służce. Brak kontroli nad sobą prowadził go donikąd, przywołał więc do brzegu łóżka Jamesa.

- Ta dziewczyna zaraz umrze z przerażenia — powiedział, wycofując się i pozwalając Jamesowi zająć jego miejsce. - Zajmij się nią i spróbuj się czegoś dowiedzieć.

- O, tak, musisz się uspokoić - zgodził się James, oglądając siniaka na jej brodzie.

- Co się stało? - zawołał Nigel od drzwi.

- Oprócz tego, że jakiś głupiec ciągnie swój kulawy zad przez korytarz? — zapytał

zrędlawie Balfour i ruszył szybko, by pomóc Nigelowi dotrzeć do fotela przy kominku. - Maldie uciekła.

- Ach, więc w końcu to zrobiła. - Nigel nie mógł ukryć w głosie zadowolenia.

Wzruszył ramionami, kiedy Balfour obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Wiedziałaś, co planuje?

- Nie, ale podejrzewałem to i w przeciwieństwie do ciebie nie kierowałem się w swoich działaniach samym podejrzeniem.

- Nie miałem takiego zamiaru. Ale to dowodzi wszystkich moich podejrzeń.

- Czyżby? Może zrobiła to, żeby uciec przed tobą? - Nigel uśmiechnął się ironicznie, kiedy Balfour lekko pobladł. - Oskarżyłaś ją o szpiegostwo i morderstwo bez powodu. Oczekiwałaś, że będzie tu czekać i patrzeć, jakie następne szaleństwo cię ogarnie? Nie, zrobiła to, co zrobiłby każdy inny człowiek - uciekła najszybciej, jak mogła. W końcu jeśli oskarżyłaś ją i uwięziłaś bez dowodu, to czy nie mogłaś też bez dowodu jej powiesić?

- Nigdy bym jej nie powiesił. Nie, nawet jeśli okazałaby się winna - powiedział

cicho Balfour. - Maldie powinna to była wiedzieć.

- Po tym, jak zachowywałaś się przez ostatnie dni, mogła pomyśleć, że wcale cię nie zna. - Nigel spojrział na Jamesa. — Czy Jennie odzyskała w końcu mowę?

- Tak - odpowiedział James. - Wygląda na to, że Maldie sfingowała jakąś kobiecą dolegliwość i posłała po służącą. Kiedy Jennie przyszła jej doglądać, Maldie ją uderzyła. Biedna dziewczyna, nie pamięta nic z tego, co było później.

- A co z Duncanem, tym głupcem, którego postawiłem na straży?

- spytał Balfour, rozglądając się za chłopakiem, który uciekł, jak tylko James przestał zadawać mu pytania.

- Powiedział, że wpuścił Jennie do środka i myślał, że tę samą osobę wypuszcza na zewnątrz - James zaśmiał się i potrząsnął głową. - Biedny chłopak, był tak przerażony, że ktoś z kobiet powie za dużo o kobiecych sprawach, że nie zwracał

na nie uwagi. Jak go przycisnąłem, to w końcu przypominał sobie, że Jennie nie miała na sobie płaszcz, a kiedy wychodziła - już tak. Maldie jest spytna. W

momencie, kiedy Duncan mógł chcieć jej się przyjrzeć, zaczęła mówić o przyborach potrzebnych na czas krwawienia. Zanim skończyła, wypchnął ją na korytarz.

Balfour popatrzył osłupiały na Jamesa i Nigela, kiedy obaj mężczyźni wybuchli śmiechem. Wydawało się, że nie dbali ani też nie zdawali sobie sprawy z konsekwencji ucieczki Maldie. Jeśli była winna wszystkiemu, o co ją oskarżył, a modlił się, by nie mieć racji, to ruszyła wprost do Dublinna, żeby zdradzić Beatonowi to, czego udało jej się dowiedzieć. Jeśli była niewinna, to błąkała się teraz samotnie po polach, bez jedzenia i schronienia. W obydwu przypadkach nie było się z czego śmiać.

- Cieszę się, że spryt Maldie tak was bawi, ale czy pomyśleliście, co stanie się teraz?

- domagał się odpowiedzi Balfour.

- Szukamy jej czy pozwalamy jej odejść? - zapytał James.

- Jeśli jest szpiegiem, to umyka teraz do Dublinna, by nasycić ucho Beatona informacjami, które udało jej się u nas zdobyć - pokiwał głową, gdy James się skrzywił.

- Ona nie jest szpiegiem - odparował Nigel.

- Przyszła znikąd, nic nie powiedziała, a bardzo interesowała ją nasza walka z Beatonem. Za bardzo - powiedział Balfour.

- Tak, chłopcy - zgodził się James. - Zbyt wiele pytań zostało bez odpowiedzi.

- Może odpowiedzi na nie nie są naszą sprawą - powiedział Nigel.

- Jest bękartem, jej matka była dziwką, to nie jest życie, którym można się chwalić.

- Wiem o tym - powiedział Balfour, pocierając kark. - Nie prosiłem o żaden przykry szczegół. Jedyne, o co mi chodziło, to jakaś informacja, którą mógłby sprawdzić i potwierdzić nasz człowiek. Jakaś informacja, która dowiodłaby nam, że była tym, za kogo się podawała.

- A gdyby okazało się prawdą to, co mówiła o sobie i o swojej matce? Jak myślisz, co powiedzieliby ci ludzie z jej wioski? Powiedzieliby: o, tak, mieszkała tutaj!

Miałbyś wtedy to, czego chciałeś? Jeśli jej matka rzeczywiście była dziwką, ludzie napełniliby ucho naszego człowieka najbardziej przerażającymi plotkami i historiami o braku moralności i zasad. Wiesz, jacy potrafią być wieśniacy. Może nie chciała, żebyśmy poznali całą okropną prawdę i wszystkie zawistne kłamstwa, które mogłyby zostać powiedziane.

Balfour westchnął i pokiwał głową.

— Zastanawiałem się nad tym, ale potrzebowaliśmy takiego dowodu. Czy naprawdę uważasz, że chciałem ją zamknąć? Albo czy chciałem w niej widzieć jednego ze sług Beatona, pracującego nad naszą klęską? To ostatnia rzecz, której pragnę, ale musiałem ją wziąć pod rozwagę. Ostatnim razem, gdy stanęliśmy do walki z Beatonem, straciliśmy w jego zasadzkach wielu dobrych wojowników. Nie mogłem sobie pozwolić, by to zignorować, łudzić się, że dobrze zrobiłem, ufając jej.

- Jesteś zaślepiony swoim zobowiązaniem wobec niej, Nigelu — powiedział

delikatnie James.

- Tę wdzięczność powinniście dzielić razem ze mną. Uratowała nie tylko moje życie. Wielu innych, którymi się opiekowała, mogło umrzeć na skutek poniesionych ran albo morderczych zabiegów Grizel. Ona leczy ludzi — podkreślił Nigel. —

Często z powodu pomocy chorym prawie padała z wyczerpania. Jak mogłaby okazywać takie współczucie, gdyby pracowała dla Beatona?

- Nie ma sensu zajmować się tym dłużej - odrzekł Balfour. — Nigdy się nie zgodzimy. Winna czy nie, jest na zewnątrz w ciemnościach sama, bez żadnego prowiantu.

— Jesteś pewien, że nic nie ma?

- Tak, nie miała możliwości, żeby cokolwiek zabrać, wątpię, żeby ryzykowała zdobycie jakichś zapasów, kiedy wydostała się ze swojej komnaty.

— W takim razie to oznacza, że jest już daleko, po co więc zawracać sobie nią głowę?

— Dlatego, że dopóki nie mam dowodu, że nie pracuje dla Beatona, to nie mogę pozwolić jej uciec ze wszystkim, co wie o nas i o Donncoill. Jeśli zanieś te informacje Beatonowi, to nie tylko przegramy bitwę o uwolnienie Erica, ale możemy też stracić nasze ziemie. Dopóki to się nie skończy i Erie nie wróci bezpiecznie do domu, to muszę wiedzieć, gdzie jest Maldie i że jest bezpiecznie zamknięta, pozbawiona szansy powiedzenia temu łajdakowi czegokolwiek.

— Cóż, nie możemy zacząć poszukiwań teraz - powiedział James, kiedy Balfour umilkł. - Musimy poczekać, aż wstanie dzień, zanim za nią ruszymy.

- Nigdy nie skrzywdziłbym Maldie - przysiągł Balfour. - Ktokolwiek ruszy za nią w pościg, musi wiedzieć, że nie wolno jej zranić, a nawet drasnąć.

- W takim razie ruszaj, sprowadź ją z powrotem, ale jeśli okaże się, że ona jest niewinna, a ty jesteś

głupcem, to wybacz mi drwiny, jakimi cię obrzucę —

powiedział Nigel.

Balfour oparł się o mur i zapatrzył w niebo, czekając niecierpliwie na wschód słońca. Nie zasnął i niewiele zjadł, zanadto wzburzony, żeby mógł odpocząć. Był

przerażony tym, że Beaton może wkrótce poznać sekrety, które pozwolą mu ich pokonać, tym, że Maldie jest w lesie sama, bez jedzenia, wody, koca, opieki. Nawet teraz nie mógł się zdecydować, czy uważa ją za winną.

Martwił się, że nawet jeśli ją odnajdzie i sprowadzi z powrotem do Donncoill, to nigdy więcej nie będzie mógł jej mieć. Jeśli była niewinna, to pokazał jej, że nie ma do niej zaufania, co zapewne zabije wszystkie uczucia, jakie do niego żywiła.

Maldie była bardzo dumną kobietą, a on potraktował ją, jakby była najgorszym zdrajcą, sugerując, że jest niewiele lepsza od dziwki, która używa swojego ciała do wyciągania sekretów wroga. Jeśli była winna, to i tak nie potrafiłby jej więcej zaufać, nie pozwoliłby jej zostać na tyle blisko, by znów mogła go uwieść.

- Chłopie, mózg ci się zlasuje, jeśli będziesz spędzał tyle czasu, myśląc nad sprawami, które nie mają rozwiązania - powiedział James, stając obok Balfoura.

Ziewnął i podrapał się po brzuchu. - Nie spałeś ani trochę, co?

- Nie, chodziłem tam i z powrotem i gapiłem się na ściany mojej sypialni. Teraz patrzę na niebo i przeklinam słońce, że tak mu się nie spieszy.

James zaśmiał się i potrząsnął głową.

- Powinieneś był odpocząć, przed nami bardzo długi dzień.

- Szmata ziemi do przeszukania, a Maldie to drobna kobietka, niełatwo może być ją znaleźć.

- To jedno, a długie, że może nas czekać bitwa.

- A to dlaczego?

- Dlaczego? Nie spędziłeś całej nocy na myśleniu o tym, jak pomóc swojemu klanowi i oswobodzić brata, to pewne. - James wyciągnął rękę i poklepał Balfoura po ramieniu, kiedy ten w poczuciu winy oblał się rumieńcem. - To nie wymówka.

Wiem, jak piękna kobieta może pochłonąć całą uwagę mężczyzny.

- Tak było w istocie, chociaż nie wiem, czy byłbym w stanie przypomnieć sobie choćby połowę z tego, o czym myślałem. Poza tym nie wiem, czy miałyby to sens, bo jestem skonfundowany i rozdarty. Uciekła, bo jest winna czy dlatego, że jest rozwścieczona? Poszła do Beatona, czy gdzie indziej, do

krewnych, o których nam nigdy nie mówiła? Jest najgorszym typem dziwki, o której powinienem zapomnieć, czy to ona o mnie zapomni, ponieważ obraziłem ją tak bardzo, że nie będzie potrafiła mi wybaczyć? Pytanie za pytaniem i żadnej odpowiedzi, bo nie mam najważniejszej z nich — czy pracuje dla Beatonów czy też nie.

- I to jest najważniejsze ze wszystkich pytań. Nie mamy jak dowiedzieć się prawdy, ale też nie możemy dłużej zwlekać. Zobaczmy, czy uda nam się ją złapać, ale nie mamy na to dużo czasu. Nawet podczas pogoni reszta ludzi musi się przygotowywać do wymarszu na Dublino.

- Nigel nie może jeszcze stanąć do bitwy.

- Może za to umieścić swój piękny tyłek na koniu i stanąć u twego boku, by służyć ci radą. Wiem, że w ogóle nie powinien się jeszcze ruszać, ale pozwolę mu na to, bo i tak by tutaj nie został, chyba że przywiązałibyśmy go do łóżka. Pomyśl, chłopie.

Jeśli ta drobna kobietka jest z klanu Beatonów, to wkrótce wyśpiewa naszemu wrogowi wszystkie plany. Musimy ruszyć przeciwko niemu jutro o brzasku, jeśli chcemy mieć jakiegokolwiek szansę, by go zaskoczyć. Wolałbym ruszyć już dzisiaj, ale nie jestem pewien, czy będziemy gotowi tak szybko.

Balfour oparł się o ścianę. James miał rację. Nie mieli już więcej czasu na snucie planów i przygotowania. Jeśli nie zadziałają szybko, to będą musieli zaczynać od początku. Jeśli Maldie była szpiegiem, to przed końcem dnia Beaton będzie wiedział wszystko o nich i o planach bitwy. Powiedział jej więcej, niż powinien, zanim jeszcze zaczął mieć co do niej podejrzenia. Po chwili ściągnął brwi, a w jego głowie zaczęła powstawać pewna myśl.

- Nie, nie pójdzie od razu do Beatonów. James wpatrywał się w niego bez słowa.

- Wiem, że nie chciałbyś, by była winna tego, o co ją oskarżyliśmy, ale musisz przynajmniej brać to pod uwagę. Jeśli zaczekamy, to Beaton będzie miał czas przygotować się, uwzględniając to, co ona mu powie. Będzie wiedział o nas wszystko i zarznie nas jak świnie.

- Prawie powyrzynał nas ostatnim razem, bo próbowaliśmy rzucić się na te jego przeklęte mury. Nawet jeśli nie zrobił innych przygotowań, to przynajmniej zdąży zamknąć bramy i postawić ludzi, żeby zgotowali nam przyjęcie. Próba sforsowania murów skończy się tym, że wszyscy zginiemy, albo zginie nas tyłu, że Beaton będzie mógł swobodnie przyjść do Donncoill i zająć zamek.

- Tak, może to i racja. — James skrzywił się i przeciągnął ręką po siwiejących włosach. - Jakże zatem mamy wyjście?

- Zczekamy i zrobimy nowy plan. Chyba mam już jeden w głowie. Mogę być zmęczony, ale wydaje mi się, że jest bardzo sprytny. Maldie powiedziała mi jedną rzecz.

- Nie powinieneś zbyt ufać temu, co ci powiedziała.

— Wiem, ale nie powiedziała mi tego w ten sam sposób, w jaki mówiła nam resztę rzeczy o Dublinie. To była humorystyczna opowieść o tym, co zdarzyło się jej pewnego dnia targowego. Wątpię, żeby miała wtedy zamiar jakoś mnie oszukać. To była taka zwyczajna rozmowa. A targ w

Dubhlinie jest za trzy dni.

— A jak nam to pomoże?

— Jeśli poczekamy jeszcze trzy dni, Beaton będzie zbity z tropu. Spodziewa się, że zareagujemy natychmiast, zwłaszcza po tym, kiedy Maldie powie mu, jak bardzo ją podejrzewaliśmy. Jeśli nie pognamy wprost na jego mury, to będzie miał

wątpliwości, czy to, co mówiła Maldie, jest prawdą, a nawet czy dobrze zrozumiała to, co usłyszała. Beaton nigdy zbyt nie wierzył w kobiecy spryt. Poza tym w dzień targowy do miasta przybywa wielu obcych ludzi - dodał, kiwając głową, kiedy oczy Jamesa powoli się rozszerzały.

Starszy mężczyzna stukał przez chwilę palcami o ścianę, mruczając do siebie i pocierając drugą ręką brodę.

— Możemy przemycić wielu ludzi do Dubhlinna, a przynajmniej do miasta i okolic, bez wiedzy Beatona.

— Uważasz, że możemy się temu przyjrzeć? Ze jest o czym pomyśleć?

— O, tak. Może nawet ten plan jest lepszy niż poprzedni. A tetaz chodźmy, spróbujemy znaleźć naszą zgubę. Twój nowy plan może zadziałać lepiej, jeśli nie uda jej się dotrzeć do Dubhlinna z ostrzeżeniem.

— Znaleźliście ją? — spytał Nigel, siadając na łóżku, kiedy Balfour przyszedł do niego.

— Widzieliśmy ją — odparł Balfour, nalewając sobie wielki kufel mocnego wina.

— Co to znaczy, że ją widzieliście?

— Tylko ryle. Widzieliśmy ją. Biegła wprost do Dubhlinna.

— Nie, nigdy w to nie uwierzę. - Nigel potrząsnął energicznie głową.

— A co ty myślisz, że ja chcę w to wierzyć? — wypalił Balfour, potem napił się jeszcze raz, próbując uspokoić buzujące emocje.

— Już to zrobiłeś, inaczej byś jej nie zamknął.

Balfour westchnął i potrząsnął głową, siadając na brzegu łóżka.

— Nie wiem, czy to dlatego, że mnie nie słuchasz, czy dlatego, że nie chcesz wiedzieć, ale zrobiłem, co musiałem zrobić. W jakiś sposób Beaton dowiadywał się o naszych sprawach, a skoro Grizel nie może mu już nic więcej powiedzieć, to musiał to być ktoś inny. Maldie była jedyną osobą, która mogła to zrobić, a przynajmniej zaistniało duże prawdopodobieństwo, że to ona. Nie mogłem tak po prostu jej zaufać, niezależnie od tego, jak bardzo bym chciał. Jednak w sercu modliłem się, żebym nie miał racji. Nie czerpię żadnej przyjemności z tego, że okazuje się inaczej.

- Nie, ona nie wzięłaby strony Beaton.

- Pognała stąd wprost do Dubhlinna! Trzech ludzi ją widziało. Kilka osób znalazło jej siady prowadzące w tym kierunku. Opuściła Donncoill i poszła prosto do nich.

Co innego może to oznaczać?

- Nie wiem - zmartwił się Nigel. - Wiem tylko, że nigdy nie mogłaby mieć do czynienia z człowiekiem takim jak Beaton. Jest w niej zbyt dużo dobra.

- I ja tak myślałem.

- Może być inne wytłumaczenie. To wygląda tak, jakby pomagała Beatonowi, ale nie wiemy, jak bardzo i dlaczego. Dopóki nie poznam wszystkich powodów, to nie mogę, wręcz odmawiam uwierzenia w to, że kobieta, która mnie wyleczyła, jest niczym więcej jak tylko sprzedajną dziwką.

Balfour zachwiał się na takie słowa. Przyszły mu one na myśl, kiedy jego ludzie wrócili z pogoni i powiedzieli mu, co widzieli. Zajęło mu trochę czasu uspokojenie się na tyle, by mógł przyjść i przekazać Nigelowi te złe wieści. Nie przypuszczał, że brat będzie taki nieugięty w odmawianiu przyjęcia tych informacji. Tym trudniej było mu słuchać Nigela, że desperacko pragnął, by miał rację.

- Nie wiesz, jak bardzo chciałbym podzielać twoje zdanie, bracie, ale nie wiem, czy byłoby to mądre. Już i tak z trudem przychodzi mi uznać fakt, że dałem z siebie zrobić kompletnego głupca. Nie mogę sobie pozwolić, żeby trzymać się jakiegokolwiek nadziei, bo to tylko zrobiłoby ze mnie jeszcze większego idiotę.

- Nie byłeś jej obojętny, Balfourze, jestem tego pewien.

- Nie. - Balfour zerwał się na równe nogi i zaczął przemierzać pomieszczenie tam i z powrotem.

Paralizujący ból, jaki go przeszył, gdy jego ludzie powiedzieli mu, co widzieli, nadal szarpał jego serce jak sęp. Wiedział, że jeśli na to pozwoli, to ta zdrada go zniszczy.

Nie chciał o niej mówić, nie chciał myśleć i dyskutować o tym, że jest jakaś najmniejsza nawet szansa na niewinność Maldie. Nie chciał nawet o niej myśleć, choć obawiał się, że może to być niemożliwe. Nienawidził jej za to, że zrobiła z niego głupca, że go zdradziła, ale bardziej za to, że się w niej zakochał. Nadal jej pożądał, ale chciał pogrzebać to uczucie tak głęboko, żeby już nigdy nie mogło go zaślepić i zamieszać mu w głowie.

- Wolałbym porozmawiać o nadchodzącej bitwie - powiedział w końcu.

- Nadal wybierasz się na wojnę? Czekał. - Nigel podniósł rękę, kiedy Balfour zaczął

mówić. - Nie wierzę, że ona działa przeciwko nam, ale ta wiadomość przynajmniej pozwala mi zobaczyć mądrość twojego posunięcia. Trzeba zawsze brać pod uwagę taką ewentualność. Jeśli ona jest po stronie Beatona, właśnie w tej chwili relacjonuje mu nasze plany. Jeśli wydasz mu bitwę, wyrznie nasze wojsko, bo będzie znał każdy twój ruch i będzie na ciebie czekał.

- Będzie przygotowany na to, co planowałem zrobić, ale nie na to, co planuję teraz.

- Jest jakiś nowy plan?

- I James uważa, że ma ogromną szansę powodzenia.

- Czy dasz mi kilka dni na zebranie sił, żebym mógł z wami jechać?

- Trzy, wyruszymy rankiem trzeciego dnia, licząc od dzisiaj. - Balfour uśmiechnął

się blado, zadowolony z planu, który ułożył, mimo że pogrążony był w bólu. -

Jedziemy na targ, Nigelu.

Balfour potrzebował dłuższej chwili, żeby wyjaśnić wszystko Nigelowi, ale entuzjazm, jaki wzbudziły jego plany u brata, podniósł go na duchu. Wracając do wielkiej sali, czuł się pewniejszy zwycięstwa. Jediną czarną chmurę na horyzoncie stanowiła świadomość, że Maldie była gdzieś tam, w Dublinie. Balfour modlił

się, by jej nie spotkać w dniu bitwy. Byłoby lepiej dla nich wszystkich, gdyby zniknęła i nigdy nie wróciła w te strony.

- Nigel nie chciał ci uwierzyć - powiedział James, kiedy Balfour usiadł koło niego i nałożył sobie jedzenie.

- Nie. Dziwi cię to? - spytał Balfour.

- Nie tak bardzo, jak powinno — potrząsnął głową. - Miałem nadzieję, że teraz zobaczy nasze powody. Był najbardziej ze wszystkich nieprzekonany co do winy tej dziewczyny.

- Ach, chyba teraz lepiej to rozumie, w każdym razie widzi, że musimy być ostrożni, że nie zawsze można polegać na własnych odczuciach. Jedyne, na czym mu teraz zależy, to żeby znalazło się dobre usprawiedliwienie tego, co zrobiła, takie, które pomoże mu jej wybaczyć.

- Czy i ty na to liczysz?

- Nie wiem. Może. W tej chwili staram się o niej wcale nie myśleć. Wspomnienie jej budzi moją wściekłość i przypomina mi, że-zrobiła ze mnie największego z głupców.

- W takim razie powiem już tylko jedną rzecz o niej. Spróbuj uciszyć tę wściekłość, kiedy ruszymy do bitwy. Istnieje ryzyko, że zobaczysz ją w Dublinie. Niemądrze byłoby działać wtedy w bezmyślnym gniewie. Możesz się rozkojarzyć i zrobić coś o nieodwracalnych skutkach, czego będziesz żałować.

- Czy ty też powiesz mi, że może istnieć jakiś dobry powód, dla którego to zrobiła?

- Oczywiście, że może być. Tak, poszła do Dublinna, ale nie wiemy dokładnie po co. Lepiej, jeśli nie będziesz jej teraz osądzał. Jeśli pomyślisz, że jest jakiś cień szansy na usprawiedliwienie jej uczynków, to nie poddasz się ślepemu gniewowi, kiedy ją zobaczysz w Dublinie.

- Ach tak, rozumiem. Boisz się, że jeśli ją tam zobaczę, to rzucę się w pogoń za nią, zostawiając moje wojsko bez wodza. Ze pobiegnę za nią i skrócę ją o głowę w jakiejś' desperackiej próbie zadośćuczynienia zranionej dumie i męskości.

James wzruszył ramionami, uśmiechnął się nad sarkazmem słów Balfou-ra i powiedział: - Być może.

- Cóż, nie obawiaj się. Jestem głupcem, ale nawet teraz nie mógłbym dopuścić do tego, by spadł choć

jeden włos z jej kędzierzawej głowy. Mam tylko nadzieję, że faktycznie ma silny instynkt przetrwania i kiedy zacznie się bitwa, będzie uciekać jak najdalej.

- Skoro jesteśmy przy nadchodzącej bitwie, to co Nigel powiedział na nowy plan?
- Był tak pozytywnie nastawiony, że wyszedłem z jego komnaty pełen wiary w powodzenie.
- Ale nie nazbyt pewny, mam nadzieję - zachmurzył się James. Balfour zaśmiał się delikatnie.
- Nie straciłem głowy, spokojnie. Czuję tylko, że po raz pierwszy od tych trzynastu przeklętych lat mamy szansę zakończyć ten spór.
- W takim razie przynajmniej jedna dobra rzecz wyszłaby z tego zamieszania. Ta, i to, że sprowadzimy do domu Erica.
- Tak - to wszystko, co Balfour mógł powiedzieć. Skoncentrował swoją uwagę na jedzeniu i rozmowie o czekającej ich bitwie.

Dopiero kiedy był z powrotem w swojej komnacie, pozwolił sobie pomyśleć o Maldie. Prawdę mówiąc, miał mały wybór, bo torowała sobie drogę do jego serca równie śmiało, jak weszła na drogę do Dubhlinna. Opadł na brzeg łóżka i zaropił

twarz w dłoniach.

Jego żal był ogromny. Zdał sobie sprawę, że zaczyna czuć się tak, jakby ona umarła.

Kobieta z jego wyobrażeń nigdy nie istniała. Wszystko to było kłamstwem.

Zawstydził się własną głupotą. To, co wziął za miłość swojego życia, było niczym więcej jak dobrze zagraną rolę, w której wystąpiła uzdolniona dziwka na usługach Beatona.

Rozdział 14

Maldie zakłęta, kiedy kolce jeżyn, w których się ukryła, wbiły jej się w ciało. Był już środek dnia, a ona nadal nie dotarła do wsi pod Dubhlinnem. Przez długi czas nie mogła zrobić nic więcej, jak tylko przebiec kilka jardów przez gęsty las i zarośla, a potem znów się schować. Murrayowie byli wszędzie, gdzie tylko spojrzała. Nie mogła uwierzyć, że podejda tak blisko wroga. Nie miała wątpliwości, że Balfour naprawdę uważał ją za jednego z węszących psów Beatona, i to ją bolało. Była też na niego wściekła, bo to przez jego podejrzenia musiała uciekać.

Spojrzała w kierunku twierdzy i rozpoznała linię drzew, zaledwie trzy jardy od niej.

Zaznaczały koniec pól wokół wioski. Instynkt podpowiadał jej, że Murrayowie zabmęli w swoim pościgu za nią najdalej, jak mogli. Już i tak ryzykowali, że zostaną dostrzeżeni przez Beatona, jeszcze kawałek i ryzyko stałoby się pewnością. Jedyne, co musiała zrobić, to dotrzeć do tych drzew, wtedy będzie bezpieczna.

Przez chwilę obserwowała jeszcze trzech ludzi z Donncoill, przez których musiała zanurkować w te jeżynowe gęstwiny. Jeździli tam i z powrotem, nie przekraczając linii, którą tylko oni mogli zobaczyć. Maldie wiedziała, że nie pojedą dalej.

Ostrożnie zaczęła wychodzić z krzaków. Mogła pobiec szybko, potrzebowała zaledwie chwili, kiedy nie będą patrzyli w jej kierunku.

Jej plan miał kilka słabych punktów. Nigdy nie przegoni konia, jeśli zbrojni zdecydują się jednak ruszyć w dalszy pościg. Wprawny łucznik mógł ją zatrzymać bez ruszania się z miejsca, ale nie mogła uwierzyć, że Balfour wydałby rozkaz zabicia jej. Skradając się wzdłuż jeżynowych zarośli i czekając na odpowiedni moment do biegu, zaczęła sobie uświadamiać, że Balfour zrobił ostatnio wiele rzeczy, do których jej zdaniem nie byłby zdolny, więc nie mogła zbyt ufać swojemu przekonaniu. Ostatni problem polegał na tym, że zobaczą ją biegnącą wprost do Dubhlinna. Ludzie, którzy jej szukali, już wcześniej podejrzewali, w jakim kierunku wyruszyła, poza tym była pewna, że nie zatarła zbyt dobrze śladów za sobą. Jak tylko ją zobaczą, będą mieli dowód i przedstawią go Balfourowi, pomyślała ze smutkiem. Odepchnęła jednak od siebie smutek, pocieszając się, że niedługo dowiedzie, że wszyscy się mylili. Wystrzeliła w kierunku pasa drzew.

Krzyk oznajmiający jej zdemaskowanie sprawił, że serce skoczyło jej do gardła.

Przez krótką chwilę słyszała odgłos galopujących w pościgu końskich kopyt.

Pomyślała, że jednak się pomyliła, Murrayowie naprawdę zaryzykują wszystko, byle ją powstrzymać. Uciekała w przerażeniu, spodziewając się, że strzała przesyje jej plecy, ale nic takiego się nie stało.

Kiedy dobiegła do lasu, zatrzymała się i oparła o drzewo, próbując odzyskać oddech. Wtedy spojrzała w stronę Murrayów. Przez długą i milczącą chwilę ona patrzyła na nich, a oni na nią. Czekala w napięciu, czy zrobią cokolwiek. Wojownicy zawrócili jednak konie i pogalopowali z powrotem do Donncoill.

- Z powrotem do Balfoura - szepnęła i przytuliła się do szorstkiej kory drzewa.

Była wyczerpana, a jej przedsięwzięcie dopiero się rozpoczęło. Przed nią była próba uwolnienia Erica i konieczność ukrywania się. Potem ona i chłopiec będą jeszcze musieli uciec i wrócić bezpiecznie do Donncoill. Kiedy ruszyła w stronę wioski, zaczęła się zastanawiać, dlaczego jej szalony umysł nie podpowiedział jej jakiegoś mniej niemożliwego do zrealizowania planu udowodnienia niewinności.

- Dziewczyno, co się z tobą działo?

Maldie uśmiechnęła się z trudem do drobniutkiej, siwowłosej kobiety, która stała w niskim wejściu do maleńkiego domku. Eleanor Beaton była zaskoczona widokiem ubłoconej i potarganej Maldie, ale w jej jasnych, szarych oczach nie było potępienia.

Kiedy wprowadzała Maldie do środka, troska zmiękczyła jej rysy Maldie potrzebowała pomocy, ale czuła się jak najpodlejszy zdrajca. Była tam, by doprowadzić do zniszczenia pana tej kobiety, co

pewnie sprawi, że życie Eleanor zamieni się w zupełny chaos. Przez chwilę staruszka pomagała Maldie wyczyścić się i włożyć suknię, którą dziewczyna zostawiła poprzednim razem, gdy uciekała z Dublinna. Stara kobieta nie przestawała mówić. Kiedy Maldie znalazła się za małym, czystym stołem, była pewna, że usłyszała już dokładnie wszystkie plotki o Dublinnie i jego mieszkańcach. Kiedy Eleanor usiadła naprzeciwko, ułożyła na blacie spracowane dłonie, a szare oczy utkwiała w Maldie. Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Kipisz od pytań, prawda? - spytała, śmiejąc się do niej. Eleanor też się uśmiechnęła i pokiwała głową.

- Ale wiem, że lubisz iść swoim tempem.

Maldie westchnęła i starała się wprowadzić jakiś ład w swoje myśli. Żuła chleb podany przez Eleanor.

- Bardzo mi przykro, że porzuciłam was bez słowa podziękowania.

- Co innego mogłaś zrobić, kochanie, kiedy ci mężczyźni ścigali cię jak zgłodniałe wilki?

- Wiedziałaś o tym?

- Tak. Te oczy mogą być stare, ale nadal wiele widzą. Modliłam się tylko, żebyś była bezpieczna tam, dokąd pójdziesz - Eleanor pokiwała głową. - Sprawy pogarszają się tu z chwili na chwilę. Zaczynam myśleć, że dziedzic zupełnie postradał zmysły, pewnie ta choroba, która skręca jego ciało, pozbawiła go reszty rozumu.

- Nie wiedziałam, że jest aż tak chory.

- Bo to jest trzymane w wielkiej tajemnicy, dziewczyno. On się boi każdego, kto znajdzie się w pobliżu i ma powody. Wielu chciałoby przejąć jego ziemie.

Maldie zastanawiała się, skąd Murrayowie mogli słyszeć o chorobie Beatona, skoro była to taka tajemnica. Potem uznała, że lepiej, że nie wiedziała. To by tylko zaniepokoiło starą kobietę.

- Co zrobił twój dziedzic?

- Ukradł dziecko z klanu Murrayów. Gdyby to nie było wystarczająco bezwstydne, to ukradł dziecko, które lata temu porzucił na wzgórzu, żeby umarło. Murrayowie próbowali je odbić, ale im się nie udało. - Łzy zabłyśły w oczach staruszki. -

Straciłam w tym smutnym dniu mojego ukochanego Roberta.

- Och, Eleonor. - Maldie wyciągnęła ręce i położyła je na dłoniach kobiety. - Tak bardzo mi przykro, był takim dobrym człowiekiem. To Murrayowie...?

- Nie. To człowiek Beatona go zabił. Ci podli najemnicy, którymi nasz dziedzic się otacza, nie znają nas i nie potrafią odróżnić Beatona od Murraya. Mój Robert zobaczył, że Murrayowie wycofują się z

poła bitwy i zawrócił do naszej małej kryjówki, żeby mi powiedzieć, że jesteśmy bezpieczni. Wtedy zobaczył go jeden z tych psów dziedzica. Zabił go, zanim któryś ze znajomych wieśniaków mógł go powstrzymać. Robert był stary, kulawy, nie miał miecza, a mimo to go zabito.

Przeklinam ich wszystkich. Wiem, powiedziano mi, że Murrayowie są naszymi wrogami, bestiami bez serca, którzy chcą ukraść wszystko, co mamy, i nie zostawią żadnego z nas przy życiu, ale nie uwierzę, że zabiliby mojego kochanego Roberta.

- Nie, nigdy - Maldie zauważyła, że powiedziała to z podejrzaną pewnością, bo oczy Eleonor nagle się zwęziły.

- Dziewczyno, nie jesteś przypadkiem od Murrayów, co?

- No, nareszcie jakieś pytanie, na które mogę odpowiedzieć w pełni szczerze - nie.

Naprawdę jestem Kirkcaldy, choć ciężko by ci było znaleźć takiego, który przyznałby się do pokrewieństwa z takim bękartem jak ja. Ale nie martw się, nie ukrywasz jednego ze swoich wrogów.

Eleanor wruszyła szczupłymi ramionami.

- Nie dbam o to, ale bałabym się o siebie i o moich bliskich. Nasz pan odkrył w twierdzy człowieka Murrayów i go zabił. Od tego czasu powiesił dwóch ludzi, bo myślał, że oni też pracują dla Murrayów. Jak krzywo na niego spojrzysz, to ryzykujesz, że cię powiesi albo, co gorsza, zrobi z tobą to samo, co zrobił z tym biednym Murrayem. Niektórzy z wieśniaków przysięgają, że ciągle słyszą nocą jego wrzaski. - Eleonor wzdrygnęła się i zaczęła rozcierać szczupłe ramiona. - To nie jest najlepszy czas na powrót tutaj, moja droga

— ciągnęła dalej. - Ciemne chmury zawisły nad nami, a wilki podchodzą coraz bliżej. Przysięgam, że nasz pan robi sobie kolejnego wroga z każdym słowem, które pada z jego zgniłych ust. A teraz jeszcze to szaleństwo. To przywłaszczenie dziedzica, którego przed laty odrzucił jako nie swoje dziecko, jak ochłap, którymi karmi psy. Ogłosił wszem wobec, że jego żona zdradziła go ze starym Murrayem i że ten chłopczyk jest bękartem Murrayów, nadającym się tylko do tego, by nakarmić nim dzikie bestie krążące w lasach. A teraz mamy wszyscy uwierzyć, że ten biedny chłopiec jest jego potomkiem. To nieszczęsne dziecko nie przeżyje jednego dnia po śmierci dziedzica, jestem tego całkowicie pewna.

- Co zrobił z chłopcem? - spytała Maldie, starając się usunąć ze swojego głosu wszelki cień zainteresowania.

- Sorcha, która pracuje w kuchni w twierdzy, mówi, że chłopak miał zbyt cięty język, więc dziedzic zamknął go w lochu do czasu, aż zmądrzeje.

— Głos Eleanor zmienił się w pełen zdziwienia szept, kiedy mówiła dalej.

— Podobno chłopiec zaśmiał mu się w twarz, kiedy próbował nazwać go synem, powiedział, że prędzej będzie synem samego diabła. Wtedy Beaton powiedział coś obraźliwego na starego Murraya i chłopiec go zaatakował. Obawiam się, że spotkało go za to lanie.

Maldie skrzywiła się w duchu. Nie wróżyło to dobrze.

- Ale nic mu nie jest?

- Nie, Beaton z pewnością nie chce, żeby chłopiec był młoty czy niepełnosprawny.

Wystarczy, żeby był cichy i spokojny. A czemu cię tak interesuje ten chłopak?

Maldie wzruszyła ramionami i próbowała zająć się krojeniem cienkiego plastra twardego sera, który leżał na stole.

- Czasem trudno się oprzeć współczuciu.

- Jestem stara, dziewczyno, ale nadal przy zdrowych zmysłach. I moje powonienie też jest wystarczająco wrażliwe, żeby wyczuć kłamstwo. - Eleanor podniosła rękę, kiedy Maldie zaczęła mówić. - Nie, nic nie mów. Odpowiedz mi tylko na jedno krótkie pytanie: powinnam sprawdzić, czy moja kryjówka jest posprzątana i wygodna?

- Tak — odpowiedziała smutno Maldie. - Zaryzykuję i powiem ci jeszcze jedną rzecz. Upewnij się, czy wszyscy, których znasz i którym ufasz, są gotowi, by skryć się w swoich kryjówkach na pierwszy sygnał o niebezpieczeństwie.

- Murrayowie będą się starali odzyskać chłopca. Maldie się uśmiechnęła.

- Myślałam, że nie chcesz słuchać o tych sprawach.

Eleanor zachichotała.

- Nie, nie chcę, ale jednocześnie, jako że jestem ciekawską starą kobietą, to chcę wiedzieć wszystko. Zignoruj tę starą, głupią babę. Jeśli zarzucę cię pytaniami, to przypomnij mi, że czasem bezpieczniej jest nic nie wiedzieć.

- Powiem, ponieważ chcę, żebyś była żywa i bezpieczna. A teraz mam tylko jedno pytanie. Nie odpowiadaj na nie, jeśli uważasz, że wystawi cię to na jakieś niebezpieczeństwo. Gdzie w Dublinie są lochy? Kiedy byłam tam ostatnim razem, nie udało mi się tego dowiedzieć.

- Drzwi do nich znajdują się w jednej ze ścian wielkiej sali, dokładnie pod wielką tarczą, na której jest wizerunek walczącego dzika.

- Dobrze dobrane - powiedziała przeciągle Maldie, a Eleanor zachichotała.

Nagle kobieta wzięła ręce Maldie w swoje i delikatnie ścisnęła.

- Bądź ostrożna, dziewczyno. Bądź bardzo, bardzo ostrożna. Jesteś dzielną kobietą, dużo bardziej niż wszystkie inne, które spotkałam w moim długim życiu, ale pamiętaj, że odwaga nie zatrzyma ani miecza, ani pięści. Chodź cicho, trzymaj piękną buzię opuszczoną, mów niewiele i nigdy nie patrz

mężczyznom prosto w oczy.

Przez całą drogę do Dubhlinna, Maldie z namysłem powtarzała sobie rady Eleanor.

Powinna je sobie wziąć do serca, ale nie była pewna, czy starczy jej mądrości, by z nich skorzystać. Wszystkie były kompletnie wbrew jej naturze. Eleanor kazała jej zachowywać się skromnie i nie zwracać na siebie uwagi, czyli robić coś, do czego Maldie nie przywykła.

Nie patrzeć mężczyźnie w oczy? Ona nie wahałaby się w nie splunąć, jeśli by na to zasługiwał. Trzymać głowę nisko? Po krótkim ataku wstydu w dzieciństwie, gdy odkryła, kim jest matka, była wycofana, ale nigdy więcej nie zgięła przed nikim karku. Co do tego, by wiele nie mówić, to zawsze miała z tym problem, zwłaszcza kiedy uważała, że coś musi zostać powiedziane. Eleanor była kochana, dbała o nią i dała jej bardzo rozsądne rady, ale Maldie obawiała się, że jedyna, której będzie potrafiła posłuchać, to ta, żeby cicho i ostrożnie chodzić.

- Proszę, proszę, gdzie się podziewałaś, moja panno?

Maldie przeklęła, słysząc ten mrozący znajomy chrypliwy głos. Grube, brudne palce zacisnęły się na jej ramieniu i mężczyzna obrócił ją do siebie. Jeszcze raz zaczęła się zastanawiać, gdzie, do diabła, w całej Szkocji Beaton znalazł tak brzydkiego i tłustego człowieka. Maldie nie była z tych, którzy oceniają ludzi po wyglądzie, ale z przykrego doświadczenia wiedziała, że ten człowiek był na wskroś obleśny.

Stanowił jeden z powodów, dla których uciekła z Dubhlinna dużo wcześniej, niż zamierzała.

- Jestem uzdrowicielką - odparła. - Idę tam, gdzie mnie potrzebują, a nieraz trzeba dużo czasu, zanim ktoś wyzdrowieje.

- Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie uciekłaś przede mną.

- Nigdy nie uciekam przed żadnym mężczyzną. - Wiała się w środku, kiedy pocierał swoją ręką o jej ramię.

- Jaka pełna animuszu. Lubię, jak moje kobiety mają w sobie trochę ognia.

Próbowała wyswobodzić swoje ramię z jego uścisku, ale tylko ścisnął ją mocniej.

Uśmiechał się do niej, odsłaniając rząd zepsutych i połamanych zębów.

- Nie mam czasu flirtować, przybyłam do Dubhlinna, żeby zobaczyć, czy ktoś nie potrzebuje moich umiejętności.

- Ja potrzebuję.

Kobieta, która nagle odezwała się za ich plecami, próbowała odepchnąć mężczyznę, ale jej się nie udało. Zacisnęła więc pięść i uderzyła nią w nadgarstek intruza. Ten zgiął się z bólu i puścił Maldie.

Sposób, w jaki spojrział na swą towarzyszkę, zanim odszedł na bok, sprawił, że Maldie zadrżała. Miała nadzieję, że ta kobieta będzie miała na tyle rozsądku, by obserwować, co dzieje się za nią.

- Nie wiem, czy mądrze jest denerwować tego człowieka - mruknęła, czując potrzebę, by ostrzec tę wysoką, szczupłą kobietę.

- George nic mi nie robi, przynajmniej dopóki nie dorwie mnie w jakimś ciemnym, pustym kącie, a ja już zadbam, by to się nie stało. On boi się mojego chłopca. -

Kobieta wyciągnęła swoją długą, ładną rękę. - Jestem Mary, panienko Kirkcaldy.

Maldie uścisnęła jej dłoń.

- W czym ci mogę pomóc?

- Mój synek jest chory. - Mary pociągnęła Maldie w stronę twierdzy, zanim jeszcze skończyła mówić.

Maldie dokładnie przepytowała kobietę, kiedy zbliżały się do tylnego wejścia.

Wyglądało na to, że dziecko miało łagodne przeziębienie i dreszcze. Leczenie chłopca będzie świetnym pretekstem, żeby ptychodzić do twierdzy. Potrzebowała tylko kilku okazji, by spojrzeć na wielką salę i sprawdzić, kiedy i przez kogo jest najczęściej używana. To jej wystarczy, by wślizgnąć się do lochów, jeśli nie po to, by od razu uwolnić Erica, to przynajmniej by go odwiedzić.

Malutki chłopiec leżał skulony w niewielkiej alkwie na tyłach głównej kuchni.

Maldie uspokoiła go i podała lekarstwa, wiedząc, że sen jest najlepszym środkiem na jego dolegliwość. Niemniej jednak czasami sam smak lekarstwa sprawiał, że choremu robiło się lepiej. Ból brzucha małego zaczął mijać bardzo szybko. Pełne podziwu i uwielbienia spojrzenia, jakimi obdarzyli Maldie Mary i jej syn, sprawiły, że poczuła się niekomfortowo. Zwłaszcza że posłużyła się nimi, by dostać to, co było jej potrzebne. Obiecała sobie, że znajdzie powód, by odesłać Mary i jej dziecko do Eleonor, jak tylko sama dowie się, czego trzeba. Będą bezpieczniejsi u staruszki, kiedy zacnie się bitwa.

Przyjęła podarunek w postaci prowiantu i wolno ruszyła w stronę wyjścia z kuchni.

Wielu ludzi pozdrawiało ją, niektórzy dziękowali za to, że uzdrowiła ich i wyleczyła z ran, a niektórzy chcieli wymienić choćby kilka słów z kimś, kto bywał poza Dubhlinnem. Maldie zdała sobie sprawę, że jako kobieta i uzdrowicielka nie jest uważana za zagrożenie i wolno jej swobodnie poruszać się po twierdzy. Nadal złościło ją, że została zatrzymana przez głupiego, rozwiązłego człowieka, zanim dowiedziała się wszystkiego, co było jej potrzebne. Tym razem będzie inaczej. Nie miała zamiaru opuścić tego miejsca bez Erica.

Bardzo młoda służąca obładowana tacami z jedzeniem chętnie przyjęła jej pomoc w przejściu przez wielką salę. Słuchając jednym uchem gadania dziewczyny, Maldie uważnie rozglądała się po sali. Zauważyła, że jak tylko jedzenie zostało złożone na stole, pomieszczenie bardzo szybko zapełniło się

ludźmi. Pora posiłku nie była oczywiście najlepszym czasem, by dostać się niepostrzeżenie do lochów.

W drodze powrotnej do domku Eleanor Maldie czuła się przybita. Wzięła na siebie olbrzymie zadanie, a szansa na sukces była znikoma. Rozprostowała ramiona i odepchnęła od siebie ogarniające ją poczucie porażki. Erie był w niebezpieczeństwie, a całkiem prawdopodobne, że jest jej przyrodnim bratem. Jeśli Balfour faktycznie myślał, że ona jest szpiegiem Beatona, to z pewnością założył

też, że powiedziała mu wszystko o planach bitwy, i szybko je zmienił. Oznaczało to również, że nie wiedziała, kiedy, jak i gdzie Murrayowie przyjdą ratować swojego brata. Eleanor powiedziała jej, że Beaton nie chce poważnie skrzywdzić chłopca ani go zabić, ale wspomniała też o narastającym szaleństwie dziedzica. Nie mogła zostawić chłopca w rękach Beatona. Istniała jeszcze kwestia jej niewinności, której musiała dowieść.

- Dziecko, zaczynałam się o ciebie martwić - zawołała od drzwi Eleanor, wytrącając Maldie ze złych myśli.

- Wszystko w porządku, Eleanor - odparła Maldie. - Musiałam się zająć pewnym chłopcem. Przeziębił się i miał dreszcze - mówiła, podczas gdy stara kobieta wciągnęła ją do swojego domku.

Eleanor pokiwała głową i zaczęła przygotowywać wieczorny posiłek.

- Twój dotyk leczy, dziewczyno. To prawdziwy dar od Boga.

- Tak mi też mówiono. - Położyła na stole jedzenie, które dostała od Mary. - A tutaj masz podarunek od wdzięcznej matki.

Maldie uśmiechnęła się na widok zachwyty Eleanor nad serem i porcją solonej wieprzowiny. Spizarnia Beatona przepełniona była takimi smakołykami. Było ich więcej, niż dziedzic mógłby przejeść, nawet gdyby co wieczór przez wiele miesięcy wydawał wystawne uczy. Maldie obawiała się, że wiele z tego się marnuje. Najwyraźniej ten człowiek poważnie bał się głodu, który mógłby zapanować w twierdzy podczas długiego oblężenia. Wydawało się jednak wielką zbrodnią marnowanie takich zapasów jedzenia, gdy jego ludzie mogliby je zużyć.

- Czy udało ci się dowiedzieć, jak się miewa chłopiec? - spytała Eleanor, chowając z dbałością prowianty do skrzyni.

- Nadal jest zamknięty w lochach i nadal odmawia uznania Beatona za swojego ojca, a Murrayów za... jak to Beaton określił? Ach, tak! Za podłych cudzołożników, złodziei i bękartów.

Eleanor zachichotała.

- A tak, to słyszałam. Ten człowiek powinien być bardzo ostrożny, kogo wytyka swoim brudnym paluchem. Beaton dosiadał każdą biedną dziewczynę, która nie potrafiła przed nim uciec. Teraz to i ja potrafiłabym go przegonić, a i nie wiem, czy jego mały fiutek działa jak powinien.

- Eleanor! — westchnęła Maldie zszokowana i rozbawiona słowami starej kobiety.

- Cóż, to prawda. Niektórzy uważają, że choroba, która go zżera, to kara od Boga.

Zastanawia mnie, czemu cię nie wezwali, żebyś się mu przyjrzała. Próbował bardzo dziwnych lekarstw, daremnie usiłując się uleczyć. Już dawno powinien się dowiedzieć, że jesteś uzdrowicielką, i sprawdzić, czy masz jakąś maść, której jeszcze na sobie nie rozsmarował.

- Nie, nie wzywano mnie, ani teraz, ani kiedy byłam tu poptzednio. Może nikomu nie przyszło do głowy, żeby mu o mnie powiedzieć, a może widział mnie i uznał, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Ostatnio często mi się to zdarzało i wynikały z tego same kłopoty - mruknęła, myśląc o Balfourze, a potem szybko wypierając go z myśli.

- Cóż, wyglądasz jak dziecko, kochana. Małe i delikatne. Musisz wybaczyć ludziom, jeśli czasem nie traktują cię wystarczająco poważnie i nie dowierzają, że zdobyłaś wiedzę i doświadczenie.

- Wiem o tym. Nadal muszę się wiele nauczyć. — Przeciągnęła się i wstała. - Muszę się chyba położyć. Jestem bardzo zmęczona. Podróż tutaj nie należała do łatwych i wykończyła mnie bardziej, niż się spodziewałam.

Maldie była zaskoczona, kiedy Eleanor nagle podniosła się i objęła ją, przytulając mocno. Poklepała staruszkę po plecach i poczuła jej strach. Był tak silny, że przewyciężył nawet ból po stracie ukochanego Roberta.

- Co się stało? Czemu się boisz? - spytała. Eleanor cofnęła się trochę i uśmiechnęła słabo.

- Zawsze wiesz, co czuję. Wydaje mi się, że masz więcej darów niż tylko ten uzdrawiania. Czasem potrafisz zajrzeć w serce.

— Tak, potrafie wyczuwać niektóre rzeczy, jednak nie trzeba wielkich darów, by zgadnąć, że nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Boisz się, Eleanor, i to bardzo.

Dlaczego? Słyszałaś coś niepokojącego? Jakiś zwiastun kłopotów? Może mogę pomóc?

- Boję się tego, co zamierzasz zrobić.

Maldie znieruchomiała i zdała sobie sprawę, że strach, który teraz odczuwa, jest jej własnym. Myślała, że jest ostrożna, że waży każde słowo, odmierza każdy krok, żeby z niczym się nie zdradzić. Eleanor w jakiś sposób coś odgadła, a jeśli tak było w istocie, to ktoś inny również mógł to zrobić.

- Tego, co ja zamierzam zrobić? Co masz na myśli?

- Nie musisz mi nic mówić i możesz przestać czuć się tak niepewnie. Niewiele wiem, tylko tyle, że powód, dla którego tu jesteś, ma coś wspólnego z tym biednym chłopcem, którego Beaton zamknął w lochach. Robisz to, co musisz, dziewczyno, możesz być pewna, że nigdy nie zdradzę cię czynem ani słowem. Jedyne, o co proszę, to żebyś była ostrożna.

— Zawsze jestem ostrożna, Eleanor - powiedziała delikatnie.

— Nie, nie mów mi tego tylko po to, by ukoić mój strach. Mówię poważnie. Bądź

bardzo ostrożna. Mam niedobre przeczucie. Wycierpiałam wystarczająco dużo w tym roku, oplakując mojego Roberta. Proszę, nie zniosę tego, jeśli cię stracę. Jesteś dla mnie jak dziecko.

Maldie była głęboko wzruszona. Objęła ją. Kochała tę drobną staruszkę i z radością odkryła, że i ona odwzajemniała to uczucie. To było smutne, że po tak krótkim czasie połączyło ją z Eleanor uczucie, którego nigdy nie dzieliła z własną matką.

Różnica polegała na tym, że Eleanor miała dobre serce. Wiedziała, jak dbać o ludzi, nawet o obdarte młode kobiety, które stawały w jej drzwiach, mając za cały majątek to, co nosiły na grzbiecie.

Margaret Kirkcaldy tak naprawdę nie dbała o nikogo, nawet o własną córkę. Trudno było zaakceptować to odkrycie. Jeśli jej matka miała jakieś uczucia, to jedynie do różnych mężczyzn, którzy pojawiali się w jej życiu, choć wszyscy oni ttaktowali ją podle. Maldie zaczęła mieć wątpliwości, czy narzekania jej matki na to, że kocha jakiegoś mężczyznę bez serca, były prawdziwe. To, czego Margaret zawsze pragnęła, jedyna rzecz, która dawała jej przyjemność, to uwaga poświęcana jej przez mężczyzn, pochlebstwa i prezenty.

Margaret była pełna goryczy, jej pierwsze ziarno było z pewnością zasiane przez Beatona. Kiedy jej uroda i zdrowie zaczęły zanikać, a gotowi do prawienia komplementów kochankowie zamienili się w mężczyzn z kilkoma groszami w kieszeni i bólem w pachwinach, gorycz ta stawała się coraz większa i trudniejsza do przełknięcia, aż w końcu zawładnęła Margaret całkowicie. Maldie nie mogła przestać się zastanawiać, czy została posłana, żeby zamordować Beatona, by odzyskać utracony honor czy zadośćuczynić zranionej miłości własnej.

Pospiesznie odtrąciła od siebie te myśli, pocałowała Eleanor w policzek i poszła do łóżka. Jej matka mogła ponosić winę za wiele rzeczy, które wydarzyły się w jej życiu, ale to nadal Beaton ponosił odpowiedzialność za to, że stanęła na drodze do upadku i poniżenia. Gdyby nie uwiódł Margaret i nie zabrał jej od rodziny, to prawdopodobnie zostałaby żoną jakiegoś dziedzica i cierpiała swoje nieszczęścia w świętych więzach małżeństwa. Jej dzieci pochodziłyby z prawego łoża i nie musiałyby sprzedawać swojego ciała, żeby mieć pieniądze na jedzenie.

Poniekąd bardzo chciała wyznać prawdę Eleanor. Pottzebowała z kimś o tym wszystkim porozmawiać, od rosnących wątpliwości dotyczących tego, dlaczego jej matka posłała ją na tę misję zemsty, po obawy dotyczące Erica. Maldie wiedziała, że Eleanor wysłucha jej ze współczuciem i zrozumieniem, ale musiała walczyć z pokusą. Jeśli cokolwiek pójdzie źle, jeśli zostanie złapana przez Beatona, to chciała, żeby Eleanor mogła szczerze przysiąc, że o niczym nie wiedziała.

Chociaż była strasznie zmęczona i bolało ją całe ciało, to sen nie nadchodził.

Wiedziała, że świtem rozpocznie się dla niej ważny dzień. Nie mogła pozbyć się przekonania, że właśnie tego dnia zacznie działać. Nie była pewna, czy będzie to miało związek z Erikiem, Beatonem czy z obydwojema naraz. Gdy zamykała oczy, pragnęła, żeby jej wgląd w przyszłe sprawy pozwolił

dostrzec za tymi wydarzeniami zwycięstwo lub porażkę.

Rozdział 15

W wielkiej kuchni Dublinna było gorąco, powietrze przesycone było zapachem gotowanych potraw i niemytych ciał. Maldie otarła pot z buzi małego synka Mary i zmarszczyła czoło. Spodziewała się większej poprawy. Mały Thomas nie był aż tak bardzo chory, nic też nie zagrażało jego zdrowiu, ale w tak okropnych warunkach szansa na rychłą poprawę była niewielka. Już wcześniej Maldie zdecydowała, że odeśle Mary i Thomasa dla bezpieczeństwa do Eleanor, a Eleanor była bardziej niż chętna, żeby przyjąć ich do swojego małego domku. Teraz Maldie mogła powiedzieć z całą szczerością, że to dla dobra dziecka.

- On nie umrze, prawda? - wyszeptała Mary, załamując ręce, a jej oczy zaczęły nabrzmiewać łzami. - To moje jedyne dziecko. Bóg zabrał mi już trójkę. Modłę się, żeby nie zabrał i tego.

— Nie, nie umrze — zapewniła ją Maldie. - Bardzo mi przykro, że wyraz mojej twarzy cię zaalarmował. Nie martwi mnie zły stan jego zdrowia, ale otoczenie i warunki, w których przebywa. Musisz go stąd zabrać, od tych wyziewów, gorąca i pary.

- Ale gdzie mogę go zabrać? Tu spędzam prawie cały dzień i noc.

— Mam w wiosce przyjaciółkę, Eleanor Beaton, niedawno została wdową.

- Znam ją, niezbyt dobrze, ale rozmawiałam z nią kilka razy.

— Zatrzymacie się u niej, aż chłopiec wydobrzeje i nabierze sił. To miły, czysty domek z kawałkiem ziemi dokoła, gdzie Thomas będzie mógł posiedzieć, kiedy Bóg pobłogosławi nas ładną pogodą.

- To byłoby cudownie i tak miło z jej strony. - Mary delikatnie pogładziła miękkie kasztanowe loki dziecka. - Czy jesteś pewna, że Eleanor nie będzie miała nic przeciwko temu?

— Jestem - odparła Maldie. — Zabierz tam chłopca, jak tylko będziesz mogła, a zobaczysz, że zaczniesz natychmiast zdrowieć.

Maldie uśmiechnęła się, kiedy kobieta podniosła małego, szepnęła krótkie, ale płynące z serca podziękowanie, i wyszła. Zdrowie jedyne dziecko było widocznie dla Mary ważniejsze niż wszystkie inne obowiązki, jakie miała. Miło było obserwować tak czułą matczyną miłość i Maldie zawstydziała się ukłucia zazdrości.

Kiedy wyszła z gorącej i dusznej kuchni, zdecydowała, że musi przestać opłakiwać to, czego nigdy nie miała. Musi nauczyć się kontrolować tę dzieciną zazdrość.

Kiedy w drzwiach do wielkiej sali napotkała wzrok George'a, zakłęta i wcisnęła się do małego schowka pod schodami. Ten człowiek węszył wszędzie, odkąd wróciła do twierdzy. Po wielu próbach pozbycia się go i jego niechcianych zalotów miała ochotę zrobić mu poważną krzywdę.

- Dlaczego ukrywasz się w ciemnościach, dziewczyno? - zapytał ktoś miękkim, głębokim głosem.

Zakłęła w ciszy i spojrzała na mężczyznę, który opierał się o ścianę tuż obok niej.

Na tego przynajmniej miło popatrzeć, pomyślała. Był wysoki, smukły, z długimi, brązowymi włosami i orzechowymi oczami, które boleśnie przypomniały jej o Balfourze. Jednak Maldie coraz bardziej go nie lubiła. Miała przed sobą ważne zadania, a lubieżni mężczyźni stawali jej na drodze co krok. W Dubhlinnie ewidentnie brakowało kobiet.

- Chowam się przed tym cuchnącym kawałem mięsa, co tam stoi — wskazała głową w kierunku George'a.

- Ach, przed Georgeem. To ciężkie doświadczenie dla oczu i nosa. Jestem Douglas - wyciągnął rękę.

- A ja jestem Maldie - uściśnęła krótko jego dłoń. - Powinnam teraz wyrecytować te wszystkie okolicznościowe bzdury i powiedzieć, że miło mi cię poznać, ale dzisiaj byłoby to kłamstwem. Dawno mnie tu nie było, trochę dłużej niż jeden dzień, a już mdli mnie na widok mężczyzn, fałszywych pochlebstw i złudnych uśmiechów.

Zaśmiał się, ale nie odszedł, ignorując jej dosłowne zaproszenie do tego, by zostawić ją sam na sam z dobrym humorem.

- Nie schlebiałem ci.

Maldie była tak zaskoczona, że aż się zaśmiała.

- I tak tymi kilkoma słowami starłeś na proch moją próżność. - Obejrzała się w stronę George'a i mruknęła pod jego adresem kilka ostrych, obraźliwych słów. - Czy on nie ma nic do roboty?

- Ależ tak, ryczy i macha mieczem, kiedy tylko nasz pan czuje się zagrożony.

- Ach, dziedzic. Nie widziałam go jeszcze. Ani poprzednim razem, ani teraz.

- Nie pokazuje się zbyt często i to chyba najlepsze, co może zrobić przy tej twarzy

- Ach, czyli faktycznie jest bardzo chory. Ludzie szepczą o tym między sobą. Może mogłabym mu pomóc. Jestem uzdrowicielką.

Douglas pokiwał głową.

- Słyszałem o tym. Wszyscy mówią, że dobrą. Ale jemu leczenie już nie pomoże.

Nie jest trędowaty, ale wygląda tak okropnie, że nigdy czegoś takiego nie widziałem. - Skrzywił się.
- Może człowieka zemdlić, kiedy się patrzy na jego skórę.

Czasem się polepsza, ale na krótko, a potem wraca i zawsze jest gorzej niż poprzednim razem. To tak, jakby się psuł od środka. Nie pożyje zbyt długo.

- Od jak dawna choruje?

- Będą trzy lata.

— W takim razie to może być tylko choroba skóry, nic więcej. - Uśmiechnęła się słabo, kiedy jego oczy się zwęziły. — Nie tylko trędowaci cierpią na tę chorobę, ale w ich przypadku to całe ciało choruje. Uwierz mi, że widziałam kilka chorób skóry, które wywracają żołądek na drugą stronę. Gdyby twój pan chorował na coś naprawdę śmiertelnego, to już by nie żył, nie wydaje ci się?

Maldie odetchnęła i przez chwilę zaczęła się niepokoić, że jakaś szlachetniejsza, lecz głupia część jej samej nie jest obojętna wobec choroby Beatona. Spojrzała głęboko w serce i mimo że gotowało się w niej od niechęci wobec planu zabicia tego człowieka, to jednak nie znalazła w sobie żadnej więzi z nim. Poczła ulgę, że jeśli będzie miała szansę wypełnić obietnicę daną matce, to nie będzie podnosiła ręki na człowieka, który i tak stoi nad grobem, człowieka, który być może byłby nawet zbyt słaby, by się bronić przed kimkolwiek. Od chwili, kiedy usłyszała o poważnej chorobie Beatona, obawiała się, że stanie przed ciężkim wyborem zabicia człowieka na łożu śmierci albo złamania przysięgi złożonej umierającej matce.

— Czemu tak cię interesuje zdrowie naszego pana? - spytał Douglas.

— Ja jestem uzdrowicielką, a ty wojownikiem. Czy bitwy i różne rodzaje broni nie budzą twojego zainteresowania? Czy tylko te, które sam stoczyłeś i znasz?

— Tak, to prawda, dziewczyno, nie zrozum mnie źle, ale nie jest to dobry czas, żeby zadawać za dużo pytań w Dublinie. Nie radzę tego nawet tak miłej i ładnej dziewczynie jak ty. - Wskazał głową w stronę wejścia do wielkiej sali. - Twój natrętny adorator już sobie poszedł.

Pokiwała głową i szybko odeszła. Odwróciła się jeszcze, żeby sprawdzić, czy nieoczekiwany sprzymierzeniec sobie poszedł. Zniknął tak szybko i bez śladu, że zaczęła się zastanawiać, czy jej się nie przyśnił. Maldie odepchnęła od siebie tę myśl. Douglas może nie miał zamiaru jej skrzywdzić, zadając tych kilka pytań, ale inni z pewnością mogliby mieć.

Kiedy podeszła do ciężkich drzwi prowadzących do wielkiej sali i zajrzała do środka, serce jej podskoczyło w nadziei i oczekiwaniu. W pomieszczeniu panował

mrok. Każde okno zasłonięto ciężką kotarą. Było też pusto. Maldie nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Wślizgnęła się do środka. Długo obmyślała wytłumaczenie, które miała podać na wypadek, gdyby ktoś ją przyłapał na schodzeniu do lochów, ale zdawało się, że nie będzie musiała go używać.

Dopiero kiedy dotknęła skobla drzwi, które miały zaprowadzić ją do Erica, przekonała się, że była w błędzie. Wielka sala była pełna ciemnych zakamarków i powinna była im się lepiej przyjrzeć. Kilka cichych szeptów stanowiło pierwszy zwiastun kłopotów. Potem światło zalało pomieszczenie, bo ktoś zerwał z jednego okna zasłonę.

- Ach, to ta mała zielarka z wioski — doszedł ją głęboki, zachrypły głos kogoś przeciągle

wymawiającego sylaby. - Nie pamiętam, żebym cię wzywał, byś zajęła się moimi więźniami.

Maldie odwróciła się bardzo powoli i rozejrzała po sali. Wysoki, chudy mężczyzna wyłonił się z jednego z zacienionych kątów i zaczął iść w jej kierunku. Za nim szedł

jeszcze wyższy i jeszcze szczuplejszy, jednak po szybkim spojrzeniu, jakim go obrzuciła, stwierdziła, że nie powinien wzbudzić w niej żadnego zainteresowania.

To pierwszy z nich przykuł jej uwagę. Ze sposobu, w jaki się do niej zwracał, zgadła, że to Beaton.

Kiedy mężczyzna stanął przed nią, uznała, że opis uwodziciela, jaki podała jej matka, był już zupełnie nieaktualny. Kobieta pamiętała go sprzed dwudziestu lat, a Beaton nie postarzał się ładnie. Maldie zdawała sobie sprawę, że ten odrażający wygląd spowodowała choroba, która otwierała rany na całej skórze i tworzyła rozległe strupowate blizny. Słodkie niebieskie oczy, które uwiodły serce jej matki, były otoczone siatką czerwonych żyłek i łzawiły. Z bujnych, brązowych włosów, do których wzdychała Margaret Kirkcaldy, zostało zaledwie kilka gdzieniegdzie sterczących brudnych, siwych kępek.

Tylko silna i pełna gracji postawa Beatona była nadal taka, jaką opisywała matka.

Cokolwiek niszczyło skórę tego człowieka, nie tknęło jeszcze jego ciała, chociaż, jak podejrzewała Maldie, musiało powodować ból, a nawet odbierać mu siły, kiedy przychodziło nasilenie. Wtedy pewnie go skręcało, jak o tym mówiła Eleanor. A może Eleanor miała rację, może Beaton gnił, a zło manifestowało się poprzez jego skórę, tak żeby każdy, kto na niego spojrzał, wiedział od razu, z kim ma do czynienia.

Maldie nie chciała teraz na niego patrzeć, nie teraz, kiedy była tak blisko uratowania Erica.

- Słyszałam, że chłopak tam na dole musiał zakosztować trochę dyscypliny -

odpowiedziała, próbując nadać swojemu głosowi spokojny ton i ukryć nienawiść i gniew, które rosły w niej przez całe życie. - A dyscyplina zostawia czasem rany i chciałam zobaczyć, czy niepotrzebna mu jakaś maść.

- Jaka dobroć. - Pochylił się nad nią i zmarszczył twarz. - Kim jesteś, dziewczyno?

- Maldie Kirkcaldy. - Wstrzymała oddech, kiedy mówił, bo smród zepsutych zębów był nie do wyttzymania dla jej żołądka.

- Co tu robisz?

- Jestem uzdrowicielką, mój panie. Podobnie jak minstrele podróżuję, wykonując moją pracę. Oni koją uczy i serca swoją muzyką, a ja ból i chorobę moimi maściami.

- Nigdy nie lubiłem wycia minstreli. Kirkcaldy? Słyszałem już to nazwisko. Skąd jesteś?

Gniew ścisnął serce Maldie. Ten człowiek nie rozpoznał nawet nazwiska klanu kobiety, którą uwiódł

i opuścił. Margaret nigdy go nie zapomniała, ale Maldie podejrzewała, że Beaton zapomniał o jej matce w momencie, gdy urodziła mu dziewczynkę.

- Kirkcaldy z Dundee — powiedziała, zdając sobie sprawę, że gniew, nad którym nie mogła zapanować, zaczął przesączać się do jej głosu. Mężczyzna stojący za Beatonem zeszywniał i zaczął obserwować ją zwięzającymi się oczami.

Być może towarzysz Beatona rozpoznał jej nazwisko. Był z pewnością jego prawą ręką. Jeśli pełnił ten obowiązek od dłuższego czasu, to mógł pamiętać z przeszłości swojego pana dużo więcej niż on sam. Właściwie musiał, jeśli miał znać wszystkich nieprzyjaciół Beatona. Czasem osoba o niewielkim znaczeniu mogła się okazać najbardziej zagorzałym wrogiem. Maldie przypomniała sobie, że jej matka wspominała o chudym człowieku

o pociągłej twarzy, który chodził za Beatonem krok w krok. Była pewna, że to właśnie on.

Dlatego ją obserwował, myślała, walcząc ze sobą, by gniew nie pozbawił jej resztek zdrowego rozsądku i ostrożności. Maldie podejrzewała, że miała marne szanse na to, żeby zobaczyć Erica, przynajmniej dzisiaj. Musiała tylko wydostać się z wielkiej sali żywa, nie wzbudzając śmiertelnie niebezpiecznych podejrzeń co do siebie.

Wyraz zainteresowania na twarzy towarzysza Beatona powiedział jej, że może być już za późno. Musiała mocno się starać, by z powodu buzującego w niej gwałtownego i ślepego gniewu nie zrobić nic, co naraziłoby jej życie.

- Byłem w Dundee, prawda, Calumie? - spytał Beaton swojego towarzysza, nie spuszczając z Maldie czujnego spojrzenia. - Lata temu.

- Tak - odparł Calum niskim głosem, który zupełnie do niego nie pasował. —

Dwadzieścia, może więcej lat temu. Zasiadzieliśmy się tam trochę.

- Ach - Beaton uśmiechnął się złośliwie do Maldie. - W takim razie jesteś jednym z moich bękartów, co?

Maldie nie widziała powodu, by dłużej zaprzeczać. Było jasne, że Calum wiedział dokładnie, kim była.

- Tak, zrodzonym z Margaret Kirkcaldy, szlachetnie urodzonej niewiasty, która została uwiedziona i porzucona.

- Margaret? Znałem wiele Margaret. Ale im dłużej na ciebie patrzę, tym więcej sobie przypominam. Masz wygląd po matce, jak podejrzewam, dlatego co nieco mi się przypomina. Bardzo to słabe wspomnienia, bo nie spotkałem jeszcze kobiety, która zasługiwałaby na więcej niż dobre rżnięcie i szybkie pożegnanie.

Maldie musiała skupić całą siłę woli, żeby nie zetrzeć szyderczego uśmiechu z jego twarzy. Przy

stanie jego skóry wystarczyło lekkie uderzenie, by zadać mu wielki ból, a ona tego właśnie pragnęła. Nigdy przedtem nie była równie wściekła i przepelniona nienawiścią. Cichy głos powtarzał jej, że on nie zasługuje na tak silne emocje, że jedyną osobą, która będzie cierpieć na skutek tej konfrontacji, będzie ona sama, ale nie potrafiła go usłuchać. Jej matka chciała śmierci tego człowieka, ale Maldie pta gnęła dla niego mąk piekielnych.

- Tak mówi mężczyzna, który myśli tylko swoim penisem, co oznacza, że zazwyczaj smutno kończy, bo braknie mu rozumu.

Calum zrobił ruch, jakby chciał ją uderzyć, ale Beaton powstrzymał go jednym zdecydowanym ruchem dłoni.

- Przyszedłeś tu szukać pieniędzy? Próbujesz napełnić swoją sakwę tylko dlatego, że łączą nas więzy krwi?

- Nie dotknęłabym twoich pieniędzy, nawet gdybym była umierającym z głodu kawałkiem ścierwa przyklejonym do kruchych kości, czołgającym się w odchodach wypełniających moje kiszki. Nie ma w twoim skarbcu tyle monet, żebyś mógł

zapłacić za swoje zbrodnie.

- Ach, mylisz się, jest. Można rozwiązać wiele kłopotów i odpędzić wiele ttudności dzięki pieniądzom.

- Nie tym razem.

- Nie? Twoja matka chciała moich pieniędzy.

- Moja matka nie była dziwką, kiedy uwiodłeś ją i wywiozłeś z rodzinnego domu.

Zniszczyłeś ją. Okłamałeś, składałeś obietnice, których nie zamierzałeś nigdy dotrzymać, a potem zostawiłeś ją okrytą hańbą, bez grosza przy duszy, bo nie dała ci syna, którego pragnąłeś.

Beaton potrząsnął głową. Maldie pomyślała, że nie powinien tego robić za często, bo kępki siwych włosów, które zostały mu jeszcze na głowie, podskakiwały wówczas w bardzo nieatrakcyjny sposób. Było jej prawie miło pattzeć, jaki brzydki się stał. Wygląd Beatona uważała nie tylko za wyraz boskiej sprawiedliwości, ale jego brzydota pozwalała jej zachować dystans, żeby nie myśleć o nim jak o swoim ojcu, tylko o zwykłym starym i chorym człowieku. Poza duszą, która pewnie została ta sama, nie był to mężczyzna, którego opisywała jej matka, nie ten, którego Margaret Kirkcaldy kochała i z którym dzieliła łóże.

- Obawiam się, że mam ci do powiedzenia smutną prawdę, dziewczyno —

powiedział Beaton.

- Uważaj, Beaton - mruknęła chłodnym głosem Maldie, wiedząc, że jest blisko całkowitej utraty kontroli nad sobą. Jeśli dalej będzie drwił z jej matki, to z łatwością zapomni, że chciała ujść z

Dubhlinna żywa. - Nie masz prawa mówić takich rzeczy o mojej matce. Nie pozwolę ci obrażać jej pamięci.

- Nie pozwolisz? - Beaton się zaśmiał. Łamiący, sapiący dźwięk przeszedł w charczący kaszel. - Śmiesz mi grozić? Aż mi serce podskoczyło ze strachu.

- Ty nie masz serca! Tylko człowiek naprawdę bez serca mógł tak pogardliwie potraktować moją matkę.

- Potraktowałem twoją matkę tak, jak na to zasługiwała. Była kobietą o gorącej krwi i słabym umyśle. Nie możesz mnie winić za jej głupotę. Jeśli powiedziała ci, że nie wiedziała, że jestem żonaty, że nie czuła różnicy między słodkimi słówkami wypowiedzianymi w gorączce namiętności a prawdą, to okłamała cię.

Maldie potrząsnęła głową przerażona jego słowami, które przez chwilę rozważała.

- Nie powiedziałaś jej tego.

- Nie, dlaczego miałbym to zrobić. Nigdy jednak nie proponowałem jej małżeństwa, sama zostawiła swój klan i poszła za mną. Mogła być dziewczicą, kiedy ją wziąłem, ale w setcu była już dziwką. Oddała swoją czystość za nic więcej, tylko słodkie słowa i kilka prezentów. I zrobiła to z przyjemnością. Przysięgam, że rzadko kiedy zdarzało mi się mieć tak chętną i namiętną kobietę. - Jego oczy zwięziły się, przyglądał się jej uważnie z bliska i mówił dalej. - Założę się, że nie opłakiwała mnie zbyt długo i przypięła się do innego mężczyzny. Wierz albo nie, dziewczyno, łykaj kłamstwa swojej matki, jeśli to cię czyni szczęśliwą, ale nie wini mnie za wszystkie swoje problemy. Jeśli jestem czegoś winien, to tego, że pokazałem twojej matce to, kim naprawdę była - zwykłą dziwką, nienasyconą w dodatku.

Zanim skończył, miała już w ręku sztylet. Nie myślała zbyt długo nad tym, że była tylko drobną dziewczyną z małym nożykiem w ręku, która staje przed dwoma pasowanymi rycerzami uzbrojonymi w miecze. Jedyne, o czym potrafiła myśleć, to że chce śmierci Beatona. Lekceważący sposób, w jaki wyrażał się o jej matce, wymagał od niej reakcji. Takie obelgi nie mogły mu ujść na sucho. Chciał oczyścić się z winy, oskarżając Margaret. Półprzytomnie zdawała sobie jednak sprawę z tego, że wpadła w furie, ponieważ Beaton ubrał w słowa myśli, które jej samej przychodziły do głowy. Myśli, które wywoływały poczucie winy i wstyd.

Podnosząc sztylet, rzuciła się na Beatona.

Krzyknęła z desperacji, kiedy ją odepchnął. Calum próbował ją złapać, ale sprytnie mu się wymknęła. Ściskając mocno sztylet, stanęła przed dwoma mężczyznami.

Beaton wyglądał na rozbawionego. Calum stał odrobinę przed swoim panem, gotowy, żeby wziąć następne uderzenie na siebie. Była zdziwiona taką lojalnością.

Beaton nie wyglądał na człowieka, który by na to zasługiwał albo się tym samym odpłacał. Jedno spojrzenie w zimne, czarne oczy Caluma, który nawet nie mrugnął, powiedziało Maldie, że nie ma w

nim żadnej słabości.

jej zachowanie było beznadziejne i wiedziała o tym. Gniew sprawił, że działała, nie myśląc, nie biorąc pod uwagę konsekwencji. Teraz była przy-parta do muru. Zanim wyciągnęła sztylet, obaj mężczyźni wiedzieli, że może zaatakować, ale żaden nie wiedział, jak i kiedy. Ten mały moment zaskoczenia dawał jej niewielką szansę powodzenia w zabiciu Beatona. Teraz było po wszystkim. Mogła spróbować jeszcze raz albo mogła się poddać. Cokolwiek zrobi, z pewnością ją zabiją.

- Masz mój charakter, dziewczyno. Jaka szkoda, że nie jesteś mężczyzną.

- Ach tak, byłam twoją kolejną porażką w niekończącym się poszukiwaniu syna.

Zawsze winiłaś kobiety za ten brak, prawda? Nigdy nie przyszło ci do głowy, że to ty byłeś temu winny? Może to twoje nasienie jest za słabe, żeby spłodzić dziedzica, którego tak pragniesz?

Tak jak Maldie się tego spodziewała, jej słowa rozwścieczyły Beatona. Uważała, że to nonsens, głęboka zniewaga, żeby insynuować, że spłodzenie dziewczynki jest oznaką słabości, ale zgadła, że Beaton tak uważał. Gniew, który zmienił jego zniszczoną twarz, pokazał jej, że Beaton miał podobne wątpliwości co do swojej męskości.

Maldie przygotowała się na atak Beatona, ale z trudem uniknęła jego impetu.

Zrobiła krok w bok i wyrzuciła rękę ze sztyletem, zostawiając na ramieniu Beatona długie cięcie. Gdy Calum ją złapał, wrzask bólu i wściekłości nadal dźwięczał jej w uszach. Próbowwała dźgnąć Caluma. Nie chciała go zabić, tylko uwolnić się z jego uścisku. On jednak trzymał ją mocno i wykręcił nadgarstek, aż pulsujący ból w ręce kazał jej wypuścić broń. Mężczyzna poluznił uścisk na tyle, żeby móc ją popchnąć w stronę Beatona. Do sali weszli dwaj uzbrojeni żołnierze zaalarmowani krzykiem Beatona i Maldie poczuła, że wszystkie emocje w pośpiechu ją opuszczają. Stała tam odrętwiała, czekając na śmierć z rąk Beatona, który powoli podniósł się i stanął przed nią.

- Popełniłaś właśnie bardzo głupi błąd, kobieto, śmiertelny błąd - powiedział

Beaton. Jego głos był twardy i zimny, był w nim cień silnego, władczego i okrutnego mężczyzny, którym kiedyś był. Teraz był tylko okrutny.

- Jedyne błęd, jaki popełniłam, to że nie zatopiłam mojego sztyletu w twoim czarnym sercu.

- Zabiłabyś własnego ojca?

Zadał to pytanie bez cienia przerażenia czy zaskoczenia, z czystej ciekawości.

Maldie zadrżała. W pytaniu krył się podziw, wyczuła to. Od momentu, kiedy matka zmusiła ją do złożenia przysięgi, Maldie była rozdarta między zobowiązaniem i pragnieniem zadośćuczynienia a przerażeniem zbrodnią wobec człowieka, który ją spłodził. Beaton najwyraźniej nie widział nic złego w próbie zabicia własnego ojca.

Przez chwilę zastanawiała się, jaki koniec spotkał ojca Beatona.

- Tak, dałam matce słowo na łożu śmierci. Przysięgam, że wymierzę ci sprawiedliwość, której tak długo umykałeś.

Beaton prawie się uśmiechnął.

— Jak powiedziałem, szkoda, że jesteś tylko kobietą.

— Potrafisz zająć swój mały mózdzek czymś innym niż synami i dziedzicami?

— Mężczyzna potrzebuje syna.

Maldie potrzęsnęła głową, zdając sobie sprawę, że Beaton nigdy nie zrozumie okrucieństwa swojego zachowania. Nigdy nie zrozumie, jak głęboko zranił kobiety, które wykorzystał, i dzieci, które odrzucił jako bezużyteczne tylko dlatego, że były dziewczynkami. Gdyby nie był taki chory, to prawdopodobnie robiłby to nadal, zaciągałby do łóżka każdą kobietę, która nie miałaby na tyle rozumu albo siły w nogach, by od niego uciec, a potem porzuczał, jeśli nie dałaby mu syna. Tylko z tego powodu zasługiwał na śmierć, ale ona straciła wszelkie szanse na wymierzenie mu należnej kary.

— Dlatego więc to, czego nie potrafiłeś osiągnąć, ukradłeś Murrayom. - Zaśmiała się krótko i ostro.
- Czy naprawdę myślisz, że świat uwierzy w to, że jest twój?

— Uwierzy. Urodziła go moja żona. Teraz wiem już, czemu kręciłaś się tam, żeby zobaczyć chłopaka. Pracujesz dla Murrayów, przeciwko mnie? Czy ta zdrada była częścią twojej wendety?

— Jesteś ostatnim, który może tak beztrąsko mówić o zdradzie. Jest dla ciebie jak powietrze. Zdradzałeś ludzi tak często, że weszło ci to w krew. Gdybyś nie był taki chory, zdradzałbyś kobietę za kobietą i nie miałbyś żadnych wyrzutów sumienia z powodu swojego okrucieństwa.

— Za duże znaczenie przywiązujesz do czegoś, co jest tylko namiętnością. Jednak to, co będę robił w najbliższym czasie, nie będzie cię już wkrótce dotyczyło.

Jego uśmiech mroził krew w żyłach. Maldie musiała się zmusić, by ukryć strach i utrzymać na twarzy wyraz spokojnego niesmaku.

— Planujesz zostać mnichem? Beaton zachichotał.

— Nie, twoim katem. Zawiśniesz na koniec dnia targowego.

— Obawiasz się, że zonglerzy i minstrele nie zapewnią twoim ludziom wystarczającej rozrywki?

— Zobaczmy, na jak długo starczy ci odwagi i ciętego języka, kiedy pętla zaciśnie się na twojej ładnej, drobnej szyjce. A teraz, skoro tak bardzo pragnęłaś zobaczyć mojego syna Erica, zaspokoje twoje pragnienie. Calum, zabierz moją nieślubną córkę, niedoszłą morderczynię, do lochu i osadź ją w celi Erica.

Maldie nie bała się, kiedy Calum z kamienną twarzą odprowadzał ją do lochu. Nie było szansy na ucieczkę, więc zdecydowała się pójść do więzienia z godnością.

Nawet kiedy Calum popchnął ją w dół po ciemnych, stromych schodach, prowadzących do lochów Dubhlinna, modliła się, by Balfour zaatakował

szybciej. Dzień targowy, pomyślała, gdy żelazne drzwi zimnej celi Erica zamknęły się za nią, byłby pięknym dniem, by Balfour wyruszył po tak upragnione od dawna zwycięstwo nad Beatonem.

Douglas zaklął i wycofał się od drzwi prowadzących do wielkiej sali. Maldie wzbudziła jego ciekawość i teraz już wiedział dlaczego. Przyszła tu, żeby zabić Beatona. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy zajął do sali dokładnie wtedy, kiedy zaatakowała Beatona. Żałował, że nie słyszał więcej z rozmowy, którą prowadzili, ale był za daleko, żeby wyłowić więcej niż kilka przypadkowych słów.

Dziewczyna mogła mieć swoje powody, by chcieć śmierci Beatona, ale równie dobrze mogła pracować dla jednego z jego wrogów, w tym pana z Donncoill.

Po chwili rozważania tej ewentualności Douglas potrząsnął głową. Balfour nigdy nie posłałby kobiety, zwłaszcza drobnej, ładnej dziewczyny, żeby zabiła za niego jego wroga. Niemniej jednak było to coś, o czym Balfour powinien się dowiedzieć.

Było to coś na tyle ważnego, że postanowił nie powierzać tych informacji skomplikowanej i powolnej sieci informatorów, którą Balfour ustanowił między Donncoill a Dubhlinnem.

Douglas uznał, że i tak przyszła pora, by opuścić twierdzę, i wymknął się z Dubhlinna. Od czasu, gdy Malcolm został zdemaskowany i zabity, niebezpieczne stało się zadawanie nawet najbardziej niewinnych pytań. Obawiał się, że to ostatnia informacja, jaką zdobędzie w Dubhlinnie. Ta i inne, które udało mu się ostatnio uzyskać, powinny zostać jak najszybciej przekazane Balfourowi, zanim ten ruszy po raz drugi, by ratować Erica. Przez całą drogę do Donncoill Douglas myślał nad tym, czy uda im się znaleźć sposób, by uratować młodą dziewczynę, która tak odważnie próbowała zabić Beatona.

Rozdział 16

- Douglas? - Balfour przerwał czyszczenie konia, czynność, która często uspokajała go równie skutecznie, co długa, szybka jazda, którą właśnie odbył. Spojrzał na Jamesa ze zdziwieniem. - Co Douglas tu robi? Został zdemaskowany przez Beatona?

- Nie wiem. Nie miałem okazji z nim pomówić - odpowiedział James i odprowadził

Balfoura do twierdzy, gdzie czekał Douglas. - Przybył chwilę temu, cały zakurzony, wykończony, głodny i spragniony. Przysięgam na Jezusa, Balfourze, chłopak wygląda, jakby biegł tu całą drogę z Dubhlinna. Powiedziałem mu, żeby poszedł do wielkiej sali, napił się czegoś i coś zjadł, a ja przyszedłem po ciebie. Bardzo chce z tobą mówić.

Balfour zaklął cicho.

- Modłę się, żeby nie miał mi do powiedzenia czegoś, co zniszczy nasze plany na jutro.

- Nie, to dobre wieści, niosące nadzieję na sukces.

Takie właśnie były, a Balfour łaknął zwycięstwa, choćby małego. Od kiedy James powiedział mu, że Erie został uprowadzony, zdawało mu się, że nic nie szło po jego myśli. Same złe szacunki, zdrady i niepowodzenia. Mimo że nadal nie mógł

odzyskać równowagi po zdradzie Maldie, to widział szanse na zwycięstwo nad Beatonem i przerażała go myśl, że Douglas może mu tę nadzieję odebrać.

Kiedy wszedł do wielkiej sali, od razu zobaczył Douglasa. Trudno było przeoczyć tego wysokiego, przystojnego mężczyznę. Chodził tam i z powrotem wzdłuż głównego stołu, popijając obficie z ciężkiego srebrnego pucharu. Wyglądał jak po przebyciu długiej, ciężkiej podróży. Cały był pokryty kurzem i błotem, wyglądał na wykończonego i zmarnowanego.

- Usiądź, Douglasie - powiedział Balfour, podchodząc do krzesła przy dużym stole.

- Nie wyglądasz, jakbyś tu szedł spokojnym krokiem.

- Jestem okropnie zmęczony. Obawiam się, że jak siądę, to natychmiast zasnę, zanim powiem wam to, co muszę - odpowiedział Douglas. Mimo to usiadł na ławie po prawej stronie Balfoura, naprzeciwko Jamesa. - Intuicja podpowiadała mi, że mam mało czasu, by zdążyć, nie wiem, skąd mi się to wzięło.

- Czy myślisz, że Beaton odgadł, kim jesteś? - spytał James.

- Cóż, nic o tym nie świadczyło - odparł Douglas. - Działał bardzo szybko, kiedy odkrył, kim jest Malcolm. Gdyby mnie zdemaskował, to wątpię, by dał mi czas zastanowić się, co mam robić dalej. Musiałbym walczyć o życie.

- A tak, psy Beatona ujadająby za tobą aż po samą bramę - mruknął James.

- A więc co to za wieści, że uznałeś, iż musisz nam je przynieść osobiście, z taką prędkością? - spytał Balfour.

— Zacznę od tego, że Beaton wcale nie umiera, więc jeśli czekaliście, aż wyzionie ducha, to możecie jeszcze na to poczekać. — Douglas sięgnął po dzban, zawahał się, ale napełnił puchar cydrem.

— Ale wszyscy mówili, że jest bardzo chory. Pogłoski o jego zbliżającej się śmierci były tak często powtarzane, że muszą mieć w sobie choćby ziarnko prawdy, czyż nie?

— Och, tak, ale mimo że człowiek wygląda gorzej niż inni, którzy chodzą po ziemi, to jednak nie musi umrzeć od tego, co go zżera. Kiedy mi to uświadomiono, zdałem sobie sprawę, że on umiera już trzy lata albo i dłużej! Dziewczyna, którą spotkałem, uzdrowicielka, uważa, że gdyby chorował na jakąś śmiertelną chorobę, to już dawno by umarł. Powiedziała, że to prawdopodobnie jakieś schorzenie skóry. Poprawia się i pogarsza, jak to bywa w takich przypadkach właśnie.

Mimo że wieści o tym, że Beaton może jeszcze żyć wiele lat, nie były mile słyszane, to jednak Balfour był dużo bardziej zainteresowany kobietą, o której Douglas wspomniał.

— Spotkałeś tam dziewczynę uzdrowicielkę?

— Tak, ładną, drobną dziewczynę.

— Z kręconymi czarnymi włosami, o zielonych oczach? Douglas zmarszczył się, patrząc na Balfoura.

— Opiszecie tę dziewczynę, jakbyście ją widzieli.

— Myślę, że tak. Nazywa się Maldie Kirkcaldy.

— Cóż, nie pytałem o nazwisko jej klanu, ale brzmi prawdopodobnie. Inni ją znają, a i ja słyszałem o niej chyba kilka razy. Wszystko, co mi powiedziała, to: „Jestem Maldie”. Słyszałem o jej umiejętnościach, bo to była jej druga wizyta w Dubhlinnie i wiem, że mieszkała w wiosce u starej kobiety, która niedawno została wdową.

Ciekawe, że znacie tę dziewczynę, panie.

— O, tak, była tu przez jakiś czas, zanim pobiegła z powrotem do swojego pana, Beatona.

— Pana? Dlaczego przypuszczacie, że Beaton jest jej panem?

— Została tu wystarczająco długo, żeby dowiedzieć się o nas wszystkiego, a kiedy odkryliśmy, kim jest, uciekła do Dubhlinna. Pojawiła się znikąd, na drodze, kiedy wycofywaliśmy się po klęsce. Trzymała w tajemnicy swoje pochodzenie, nie dawała żadnych wyjaśnień i nie odpowiadała na pytania, a kiedy przedstawiłem jej moje podejrzenia, uciekła do Beatona.

— I myślicie teraz, że powiedziała łotrowi wszystko, co widziała i słyszała?

— Tak, a co innego miałem myśleć? Douglas wzruszył ramionami.

— Dokładnie to, co pomyśleliście. Jednak jesteście w błędzie, panie. Ta dziewczyna nie jest sprzymierzeńcem Beatona.

- Skąd możesz być tego taki pewien? - Balfour starał się nie wzbudzać w sobie za dużo nadziei, choć bardzo pragnął dowiedzieć się, czy Maldie go nie zdradziła. Był

gotów przyjąć każde inne wytłumaczenie jej postępowania.

- Och, tak, jestem tego całkowicie pewien. Dziewczyna nie przybyła do Dubhlinna, żeby pomagać st?remu Beatonowi. Była tam, żeby go zabić.

Balfour był zbyt zszokowany, żeby mówić. Z trudem powstrzymał się, by nie gapić się na Douglasa z otwartymi ustami. Krótkie spojrzenie na Jamesa pocieszyło go, bo ten wyglądał na równie zaskoczonego.

- Czy ona ci powiedziała, że to jest powód jej pobytu w Dublinie? - spytał w końcu Balfour, głosem zachrypniętym od ciągłego zdziwienia.

- Nie, zrobiła znacznie więcej. Widziałem na własne oczy, jak próbowała wbić sztylet w jego serce.

- Ale dlaczego?

- Tego, obawiam się, nie mogę wam, panie, powiedzieć. Zaglądałem przez szparę w drzwiach do wielkiej sali, a ona i Beaton stali na drugim końcu pomieszczenia.

Jedyne, co usłyszałem, to kilka słów, a bałem się podejść bliżej. Było tam coś o tym, z jakim okrucieństwem traktuje kobiety, było coś o zdradzie, kilka mocnych obelg ze strony dziewczyny, o tym, że od dawna czekała, żeby zasmakować zasłużonej sprawiedliwości. Zastanawiałem się, który z jego wrogów mógł ją przysłać, a nawet myślałem, że to wy, panie, ale teraz uważam, że to jakaś osobista zemsta.

Było jeszcze jedno pytanie, które Balfour musiał zadać, choć wahał się z obawy o to, co odpowie mu Douglas.

- Czy ona nie żyje?

- Jeszcze żyje - odparł Douglas, a potem ziewnął tak szeroko, aż jego ciało zadygotało.

- Próbowwała zabić Beatona. Stawiałbym na to, że zginie tam, na miejscu, natychmiast, z jego ręki albo z ręki jednego z jego ludzi.

- Myślę, że Calum, najwierniejszy z psów Beatona, ściałby ją bez wahania, ale nie.

Tak jak powiedziałem, ciężko było usłyszeć z miejsca, gdzie byłem, co mówili.

Jedna rzecz została powiedziana jednak wyraźnie i głośno, żeby wszyscy słyszeli.

Beaton lubi mówić głośno kłólewskim tonem, kiedy wydaje wyrok. Dziewczyna ma zostać powieszona pod koniec dnia targowego, czyli jutro. Pomyślałem, że możemy jej jakoś pomóc.

- Być może - Balfour zmusił się do odpowiedzi, walcząc z pokusą, by ruszyć do Dublina natychmiast. - Planowaliśmy jutro uderzyć na Dublin.

- W takim razie tym bardziej się cieszę, że opuściłem tę kupę gnoju właśnie teraz.

Mam kilka informacji, które mogą się wam przydać.

- Z pewnością, ale teraz idź się umyć i odpocząć.

- Nie zostało wiele czasu.

- Wystarczy, żebyś wygospodarował kilka godzin na sen, przyda ci się. To ci rozjaśni umysł.

Kiedy Douglas wyszedł z sali, Balfour nalał sobie wielką czarę mocnego wina.

Potrzebował kilku sporych łyków, żeby się uspokoić. Sama myśl o Maldie prowadzonej na szubienicę sprawiała, że pragnął rzucić się bez wahania i planu jej na ratunek, choć wiedział, że to kompletne szaleństwo. Miał plan ataku na Dubhlinn, bardzo dobry plan, można go było łatwo przystosować, żeby uratować Maldie.

Nagle zaklął i potrząsnął głową.

- Zapomniałem spytać Douglasa, gdzie trzymają Maldie.

- O wiele rzeczy zapomniałeś spytać, ale nie spiesz się - powiedział James. - Mamy czas, żeby dać mu odpocząć, a potem dowiedzieć się wszystkiego, co wie o Dubhlinnie. Miałeś rację, kiedy powiedziałeś mu, że potrzebuje snu. Był tak strudzony, że z łatwością mógłby zapomnieć powiedzieć nam coś, co ma wielkie znaczenie. Zmęczony człowiek nie myśli jasno. Poza tym musi odpocząć, żeby wsiąść jutro na konia.

Balfour pokiwał głową.

- Kiedy powiedziałem mu, że mamy plan, by ruszyć rano na Dubhlinn, nie powiedział nic, co by nas miało powstrzymać.

- Tak, a to by nam powiedział, nieważne, jak bardzo byłby zmęczony.

- To dobrze. - Balfour potarł kark i się skrzywił. - Obawiałem się, że zmysły mnie opuściły, kiedy powiedział, że Beaton zamierza powiesić Maldie. W jednej chwili wierzę, że mnie zdradziła, a zaraz dowiaduję się, że ma zostać powieszona za to, że próbowała zabić Beatona. Dlaczego chciała to zrobić?

- Tylko ona może odpowiedzieć na to pytanie. Może być wiele powodów, ale tracimy czas, zastanawiając się, który z nich kazał jej wziąć sztylet do ręki.

- Obawiam się tylko, że to przeze mnie.

- Tak? Nie prosiłeś jej, żeby poszła do Dubhlinna i próbowała zasztyletować Beatona.

- Nie, ale oskarżyłem o zdradę, o współpracę z Beatonem na naszą szkodę. Może uważała, że to jedyny sposób, by odzyskać honor i udowodnić swoją niewinność?

- Ta dziewczyna nie jest głupia. Istnieje wiele innych sposobów, mniej ryzykownych, by to zrobić.

Balfour uśmiechnął się słabo.

- Dziewczyna jest mądra, ale nie aż tak mądra i nie aż tak doskonała, żeby być wolna od wszelkich dzikich pomysłów i nie zawsze do końca przemyśli wszystko, co zamierza.

- Może, ale to nie tłumaczy, co robiła w Dubhlinnie przez dwa tygodnie przed przybyciem tutaj -

przypomniał James. - Więcej tu tajemnic i nie zrozumiemy wszystkiego, zanim z nią nie porozmawiamy.

— W takim razie jutro musi nam się udać. Nie tylko musimy uwolnić Erica z łap Beatona, ale też uratować Maldie przed stryczkiem. Modłę się tylko, żeby oboje byli w lochach Dubhlinna, bo nieważne jak okropne byłoby to miejsce, to jednak kiedy zacznie się bitwa, będzie najbezpieczniejsze.

Maldie ostrożnie badała drogę wzdłuż ścian ciemnej celi, aż w końcu trafiła na prycę i usiadła. Minęła spora chwila, zanim jej oczy przyzwyczyły się do słabego światła, jakie rzucała jedna pochodnia umieszczona na ścianie na zewnątrz celi.

Wyczuła Erica, zanim go zobaczyła, wyczuła jego strach, złość i ciekawość.

— Jak się masz, Ericu? - spytała. - Czy Beaton cię skrzywdził?

— Skąd wiesz, kim jestem? - spytał chłopiec i zbliżył się do niej.

— Właśnie przybyłam tutaj z Donncoill.

— Moi bracia przysłali kobietę, żeby mi pomogła? — W jego głosie słychać było zaskoczenie. Chłopiec usiadł ostrożnie obok niej. — Nie, nigdy by tego nie zrobili.

Może jesteś jakąś sztuczką Beatona. Wykorzystuje cię, żeby przekabacić mnie na swoją stronę.

— Nie, nic podobnego. Myślał, że mogłabym chcieć się z tobą zobaczyć, zanim jutro zawisnę. - Gdy to mówiła, zaczęła dygotać, ale nie poddała się lękom. Erie potrzebował siły i spokoju.

Przyglądała się chłopcu badawczo, podczas gdy on wpatrywał się w nią z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc, co powiedzieć.

Rzeczywiście miał jasną twarz. Jego rysy miały w sobie jeszcze delikatność dziecka, ale już było widać, że będzie przystojnym mężczyzną. Miał jasno-brązowe włosy, podejrzewała, że byłyby jeszcze jaśniejsze, gdyby nie znajdowali się w ciemnym miejscu. W jego oczach było jakieś światło, które mówiło jej, że nie są brązowe jak oczy jego braci. Prawdę mówiąc, delikatne rysy jego twarzy nie przypominały jej nikogo z Murrayów, musiały być więc darem jego matki. Łatwiej byłoby jej myśleć o jego dziedzictwie, gdyby mogła zobaczyć go w świetle dnia, ale wiedziała, że będzie musiała zawierzyć jego znamieniu. Jeśli miał takie samo jak ona, to nie byłoby wątpliwości, kto jest jego ojcem. Maldie nie była pewna, czy powinna mówić o tym chłopcu.

— Dlaczego chce cię powiesić? — spytał w końcu Erie.

— Ponieważ próbowałam go zabić.

— Dlaczego?

— Obiecałam mojej umierającej matce, że to zrobię. Kazała mi przysiąc, że znajdę go i każę mu zapłacić za krzywdę, którą jej wyrządził. Ten człowiek uwiódł ją, a potem opuścił, zostawił ją samą, bez grosza przy duszy, z dzieckiem przy piersi.

— Jesteś córką Beatona?

- Tak, jedną z - jak to się mówi — czeredy córek, których nie chciał. Widzę, że cię zszokowałam - mruknęła, bo Erie gapił się na nią oniemiały. - To faktycznie szokujące, próbować zabić swojego ojca, ale prawdę mówiąc, nigdy go wcześniej nie widziałam, więc nie żywię do niego żadnych uczuć. Nie ma między nami żadnych więzów, jedynie cichy głos w mojej głowie próbuje mi przypomnieć, że to z jego nasienia zostałam spłodzona.

- Tak, to szokujące, że dziecko może próbować zabić swego ojca, ale nie to mnie najbardziej zaskoczyło. Powiedziałaś, że nie znasz tego człowieka, nie widziałaś go nawet. To, co mnie dotknęło do żywego, to fakt, że twoja matka poprosiła cię, żebyś zrobiła dla niej taką rzecz.

- Cóż, strasznie źle ją potraktował. Mówiła mi to tak często, kiedy dorastałam. Była szlachetnie urodzona i nie powinien był jej tak bezwstydnie potraktować.

- Prawda, ale to była jej krzywda i jej zadośćuczynienie. Nie powinna cię prosić, byś przyrzekała, że zabijesz własnego ojca, nie powinna obarczać twojej duszy takim grzechem. Przykro mi, jeśli uważasz, że to obraża pamięć o niej, ale tak właśnie myślę. Musiała być naprawdę zgorzkniała, skoro przysłała jej do głowy taka rzecz.

- Taka była - powiedziała cicho Maldie, zasmucona tymi słowami, bo były czystą prawdą. - Od najwcześniejszych lat, od kiedy tylko sięgam pamięcią, powtarzała mi, że powinnam oczyścić ją z tej hańby.

- Wychowała cię, żebyś zabiła tego człowieka?

Maldie się zachwiała. Jednym prostym pytaniem wypowiedział całą prawdę, z którą tak walczyła. Siedziała w lochu Dublinna, czekając na powieszenie, i nie miała już ani siły, ani ochoty, by tę prawdę ignorować. Od dnia urodzin matka wychowywała ją, by stała się narzędziem zemsty, której sama nie miała odwagi wyegzekwować.

Byłoby łatwiej myśleć, że Margaret Kirkcaldy nigdy nie pomyślała o konsekwencjach takiej zemsty, o niebezpieczeństwie, na jakie narażała swoje dziecko, ale Maldie nie mogła się dłużej oszukiwać. Matka była tak przepelniona nienawiścią do Beatona, że nie dbała o to, co stanie się z jej córką, byle Beatona spotkała kara. Czy jej córka poniesie klęskę i zginie, czy też odniesie sukces i naznaczy swoją duszę na zawsze grzechem ojcobójstwa, w ogóle nie miało dla niej znaczenia.

- Tak - wyszeptała, zbyt zraniona, by płakać. - Wychowała mnie, żebym go zabiła.

- Przykro mi - powiedział Erie, delikatnie kładąc swoją smukłą dłoń na jej ramieniu.

- Nie miałem zamiaru mówić o rzeczach, które cię ranią.

- Nie zraniłeś mnie, chłopcze. Moja matka to zrobiła. Cierpię jedynie z tego powodu, że w tej chwili jestem zbyt znużona i zbyt bliska śmierci, żeby nadal się okłamywać.

W głębi serca zawsze to wiedziałam, ale to ignorowałam. Może dlatego pragnęłam go zabić, że mnie z nią zostawił, a może dlatego, że chciałam go winić za to, kim ona była. Poza tym — zmusiła się, żeby się do niego uśmiechnąć - ten człowiek zasługuje na to, żeby go zabić. Erie uśmiechnął się, a potem dotknął tyłu jej sukni.

— Dzielnie walczyłaś, prawda?

— Niewystarczająco.

Wiedziała, kiedy zauważył znamię na jej plecach, jego kształt i wielkość, widoczny pod poszarpaną suknią. Było widoczne nawet w przyćmionym świetle.

Znieruchomiał, a potem zadrżał. Maldie westchnęła w duchu, bo teraz nie mogła już ukryć prawdy. Z tego, co słyszała, Erie był zbyt inteligentny, by nie zauważyć podobieństwa swojego znamienia do jej.

— Ty też masz takie, prawda? - spytała ostrożnie, głosem pełnym współczucia.

— Tak, myślałem, że to po matce.

Domyśliła się po jego drżącym głosie, że nie przyjmie tej prawdy lekko. Jaka osoba przy zdrowych zmysłach chciałaby odkryć, że jest synem kogoś takiego jak Beaton, a nie jednym z klanu, który go z taką czułością hołubił całe życie? Maldie, biorąc w ręce jego dłonie, wiedziała, że chłopak chce płakać, ale zwalcza łzy, chciała móc powiedzieć coś, co mu ulży.

— Wolałbym być Murrayem - wyszeptał głosem nabrzmiałym od łez, którym nie pozwolił popłynąć.

— Nadal możesz nim być. Nie muszą o tym wiedzieć. Tylko jeden człowiek widział

moje znamię, ale on nie pamięta dokładnie, gdzie wcześniej widział podobne, tyle że zdawało mu się znajome. Istnieje szansa, że utrzymasz je w tajemnicy. Zwłaszcza jeśli ten człowiek nigdy się nie dowie, kim naprawdę jestem.

— Czy ta osoba to mój brat Nigel?

— Nie, Balfour - mruknęła, a potem zachmurzyła się, widząc jego zdziwienie. -

Balfour też może się podobać, wiesz?

— Och, wiem. Tyle że kobiety nie zawsze o tym wiedzą — westchnął i ukrył twarz w dłoniach. - Oczywiście nie jest już moim bratem.

— Cóż, nie. Może nie jest to najlepszy czas, by to mówić, zbyt wcześnie, byś czerpał

pociechę z tej ironii losu, ale Beaton myśli, że ukradł bękarta swojej żony i musi przed światem głosić kłamstwo, podczas gdy prawda jest taka, że oddał jedyne go prawowitego dziedzica, jakiego kiedykolwiek miał.

— Tak, jest zbyt wcześnie, żeby cieszył mnie ten smutny żart losu. Nie chcę być jego synem. Ten człowiek to świnia, okrutny gbur bez serca. Chciałby mnie zmienić w takiego samego jak on, chorego drania.

— Nigdy nie staniesz się taki jak on.

— Skąd możesz wiedzieć? Jeśli zmusi mnie do oglądania czyjejś śmierci, tak jak zmusił mnie do obserwowania cierpień Malcolma, mogę stracić zmysły i stać się do niego podobny.

Maldie objęła go ramieniem, przerażona tym, co zrobił Beaton. Słyszała o śmiertelnych torturach Malcolma, człowieka Balfoura. Okrucieństwem było zmuszenie małego chłopca, by to oglądał. Erie może mieć rację, jeśli myśli, że Beaton chciałby zamienić go w takiego okrutnika jak on sam. Ile razy musiałby wystawiać chłopca na widok takich potworności, zanim zacząłby się zmieniać, zanim zacząłby nabierać tego szczególnego typu zimnej bezduszości, jaką Beaton w sobie udoskonalił?

- Muszę powiedzieć Balfourowi i Nigelowi prawdę - powiedział Erie, wzdychając ciężko i opierając się o wilgotną kamienną ścianę.

- Jak mówiłam, nie musisz - powiedziała, szanując jego szczerość, ale zastanawiając się, czy wie, ile mu to może przynieść bólu.

- Muszę, naprawdę. Nie mógłbym im patrzeć w oczy, gdybym ukrywał w sercu tę tajemnicę. Chciałbym móc z nimi teraz pomówić, zanim zaryzykują życie, żeby mnie ratować. To nie w porządku, żeby jakikolwiek Murray ryzykował, próbując uchronić mnie przed moim własnym ojcem.

- I tak chcieliby cię ratować - powiedziała, ale krótki, szyderczy śmiech powiedział

jej, że usłyszał wątpliwość w jej głosie. - Czuję, że nie wykorzystają tego przeciwko tobie, ale jak pomyślę, jak długo trwa ten spór, jak głęboka jest nienawiść, to może zachwiać zaufanie. Przykro mi.

- Dlaczego? To prawda. Nigdy nie może być ci przykro, że mówisz prawdę.

- Tak, powinno, jeśli ta prawda ma kogoś zranić. Twoja szczerość jest godna podziwu, ale wkrótce dowiesz się, że nie wszyscy chcą usłyszeć prawdę. Niektórzy będą źli, kiedy ją usłyszą. Cóż, może nie widzisz w tym wielkiej wartości, przynajmniej w tej chwili, ale jeśli będzie tak, że Murrayowie nie będą potrafili zapomnieć o krwi, która płynie w twoich żyłach, to nadal będziesz miał mnie.

Jesteśmy bratem i siostrą.

Zaśmiał się krótko i pokiwał głową.

- O, tak, to mogłoby mi pomóc, tylko że ty masz jutro umrzeć — wypalił Erie i ścisnął jej rękę. - Słodki Jezu, tak mi przykro, pozwalam, żeby moja własna krzywda przysłoniła mi wszystkie sprawy.

Nie powinienem mówić tak okrutnej rzeczy.

- Nie spiesz się tak - wzięła głęboki wdech, żeby uspokoić nagły atak strachu, jakim przepełniły ją jego słowa. - Nie zamierzam zginąć na szubienicy Beatona.

- Masz plan ucieczki?

- Nie. Miałam, zanim nie dostałam się tutaj, ale teraz muszę obmyślić nowy.

- Nie chciałbym się przechwalać, ale gdyby było stąd jakieś wyjście, to do tej pory już bym je znalazł.

- Może, jednak wydostałam się jakoś z zamkniętej, strzeżonej komnaty w Donncoill.

Wyszłam, przeszłam przez całą twierdzę, prosto do bram i żywa dusza mi w tym nie przeszkodziła. Chyba już wiem, jak stąd wyjdziemy.

Najtrudniejsza część planu to jednak otwarcie tych drzwi.

- Oczywiście ci wszyscy dobrze uzbrojeni ludzie Beatona, którzy dzielą nas od wolności, nie stanowią żadnej przeszkody?

- Oczywiście.

- Mogę cię spytać, dlaczego mój brat zamknął cię i wystawił straż?

- Możesz. Uśmiechnął się.

- Ale ty równie dobrze możesz nie odpowiedzieć, co? Może w takim razie zadam prostsze pytanie. Kim jesteś?

- To Maldie Kirkcaldy - powiedział ktoś zachrypniętym głosem, na dźwięk którego Maldie przeszły ciarki po plecach. Objęła Erica ramionami, nie będąc pewna, czy chce go bronić, czy też sama próbuje się pocieszyć przed spotkaniem z Beatonem. -

Jakie wzruszające - powiedział Beaton, przechylając się przez kraty. - Wygląda na to, że bękart mojej żony i mój własny połączyli siły przeciwko mnie. Cóż, to będzie krótka przyjaźń.

- Nie możesz jej powiesić - powiedział Erie, odsuwając Maldie na bok, tak by znaleźć się między nią a kratami, przez które zaglądał Beaton.

- Och, chłopcze, właśnie, że mogę.

- Jest tylko słabą kobietą.

- Która umie machać bardzo ostrym sztyletem. Próbowwała mnie zabić, chłopcze, próbowała zabić własnego ojca. Nawet Kościół nie przeciwstawi się jej powieszeniu.

Maldie wyswobodziła się z opiekuńczych objęć Erica.

- Tak jakby zależało ci na tym, co myśli Kościół. Powinni cię byli eks-komunikować lata temu. Musisz być bardzo hojny, skoro nadal dają ci ab-solucję.

- Nie bój się o moją duszę, córko. Odprawiłem pokutę i wyznałem wszystkie swoje grzechy.

- Myślę, że to nie było wszystko, z pewnością akurat ty zasłużyłeś na piekielne tortury.

- Zasmakujesz ich przede mną. Zapomniałaś, że powinnaś uzyskać odpuszczenie, zanim umrzesz? - Zaśmiał się widząc, że zbladła. - Odpuszczenie grzechów dla kogoś, kto popełnił równie ciężki grzech, co zabicie ojca, może być jedynym środkiem do uniknięcia ognia piekielnego. Jaka szkoda, że nie mogłem znaleźć ci żadnego księdza.

- W takim razie lepiej módl się, żeby wszystkie twoje spowiedzi i fałszywe żale kupiły ci łaski, których szukasz, bo ja będę na ciebie czekać w piekle. Będę czekać i wtedy zapłacisz za wszystkie swoje zbrodnie.

- Beaton, musisz sprowadzić jej księdza - powiedział Eric. - To twoja krew i ciało.

- I bardzo podobna do swojego ojca, chociaż myślę, że nie przyzna się do tego.

Wydaje mi się, że potrzebowałaby znacznie więcej czasu niż ma, żeby być równie skuteczna. Ja nie zawiodłem, kiedy poszedłem po swojego ojca - powiedział, uśmiechając się chłodno na widok ich zaskoczenia, a potem odwrócił się i wszedł

schodami na górę.

- Zabił swojego ojca — powiedział Eric po wyjściu Beatona, a szok pozbawił jego głos wszelkiej mocy.

- Zastanawiałam się nad tym, bo nie pokazał żadnego oburzenia ani zdziwienia, że próbowałam to zrobić - powiedziała Maldie, opierając się o ścianę.

- Boże, jak ja nienawidzę tego człowieka, jeszcze bardziej teraz, kiedy wiem, że jest moim ojcem. To dziwne. Nie czuję się inaczej. Nadal czuję się jak Murray, nie jak Beaton.

- A ja czuję się jak Kirkcaldy, nie jak Beaton. Nie martw się tym, chłopcze. Po prostu bądź wdzięczny, że nie on cię wychował. Murrayowie dobrze cię traktowali i może wkrótce ty będziesz mógł tak samo potraktować klan, który Beaton tak długo trzyma! pod butem.

- Maldie, nie wydaje mi się, że bym został dziedzicem Dubhlinna po śmierci Beatona. Tak, jestem jego synem, ale wszyscy uważają mnie za bękarta jego żony.

Obawiam się, że nie mam żadnego dowodu na to, że jestem jego synem - westchnął

i potrząsnął głową. - A teraz nie jestem nawet Mur-rayem. Nie mam rodziny. Być może nie mam też

przyjaciół.

- Przestań rozlewać łzy nad losem, który cię jeszcze nie spotkał - skarciła go delikatnie i przytuliła. - I nigdy nie zapominaj, że masz mnie. Jak już mówiłam, nie mam najmniejszego zamiaru zaszczyścić szubienicy Beatona, więc będę do twojej dyspozycji przez wiele lat. Nie zapominaj, że miałaś też matkę. Jest jeszcze jej klan.

Nawet jeśli nie uwierzą, że jesteś prawdziwym potomkiem Beatona, to nikt nigdy nie zaprzeczał, że jesteś synem swojej matki.

- Spróbuję. Nie będzie to łatwe, bo moja głowa jest pełna takich myśli jak to, że zawsze byłem Murrayem, i nie wiem, jak mam teraz przestać nim być.

- Czy to taka straszna rzecz, że zawsze zostaniesz trochę Murrayem?

- Nie, wcale nie taka zła, nawet jeśli nie zaakceptują mnie jako Beatona. Oczywiście całe to zmartwienie może być nieważne, bo nadał jesteście tu zamknięci. Co do Balfouta i Nigela, to muszę z nimi pomówić, a nie sądzę, żeby się to miało stać wkrótce.

- Uwierz w swoją nową siostrę - mruknęła, obserwując strażnika, który usiadł przed ich celą. - Nie wychowałam się w tak szlachetnym towarzystwie co ty i mam w rękawie kilka podłych sztuczek.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Tak, możesz się żarliwie modlić, żeby przyszedł mi do głowy sprytny i dobry plan albo żeby twoi bracia uznali, że to idealny czas, by przyjść ci na ratunek.

Rozdział 17

- Dzień targowy w Dubhlinnie ściąga całkiem spory tłum - powiedział Balfour, ostrożnie poprawiając miecz pod płaszczem i rozglądając się po zatłoczonych uliczkach miasta.

Opuścili Donncoill przed świtem i dotarli do Dubhlinna, zanim ciężkie poranne mgły zostały całkowicie rozproszone przez słoneczne światło. Balfour obawiał się, że długa, szybka podróż pozbawi jego ludzi sił do bitwy, ale byli równie ochoczy, co on, żeby odpłacić Beatonowi za upokorzenie, które im zafundował podczas ostatniego marszu na Dubhlinn. Nigel i spora grupa jego ludzi czekała na wzgórzach tuż przed miastem i miała się wolno posuwać naprzód, czekając na sygnał do ataku.

Inna grupa krążyła po okolicy przebrana tak, by nie można było po niej poznać ani przynależności do klanu ani celu przybycia. Była to część planu Balfoura, której realizacja zajmowała najwięcej czasu. Mieli wchodzić do miasta w małych grupkach i mieszać się z wieśniakami i mieszkańcami tak, by nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń. Potem mieli zbierać się powoli na dziedzińcu, tak żeby była ich wystarczająca liczba, by przytrzymać bramy. Kiedy ta grupa zdobędzie bramy, reszta ludzi pospieszy, by szybko i krwawo położyć kres panowaniu Beatona. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem i Balfour modlił się, żeby szczęście nadal im sprzyjało.

- Tak, to duży targ i przynosi spore zyski - zgodził się Douglas, stając po lewej stronie Balfoura. - Pola i pastwiska Dubhıllna dobrze rodzą.

- Ci ludzie nie wyglądają na sytych i szczęśliwych.

- Cóż, nie powiedziałem przecież, że drań się z nimi dzieli, prawda? - powiedział, przeciągając sylaby Douglas, potem zmarszczył czoło i pokazał na starszą kobietę, która szła przez targ z drugą, młodszą i chłopcem. - To jest ta wdowa, u której mieszkała Maldie. Wątpię, żeby długo oplakiwała śmierć swojego pana, bo to jego żądne krwi psy zabiły jej kulawego męża.

- Może nie powinniśmy zbyt swobodnie rozmawiać o zbliżającej się śmierci Beatona - mruknął James, pilnie obserwując tłum kłębiący się między nimi a drogą do twierdzy.

- Faktycznie. Za to powinniśmy próbować wślizgnąć się tą drogą do twierdzy -

zgodził się Balfour. - Widzicie może, czy nasi ludzie zbliżają się do tych otwartych bram?

- Nie - odpowiedział James i uśmiechnął się blado. - I to dobra wiadomość, mój chłopcze, bo gdybym mógł ich odróżnić, to równie dobrze mógłby to zrobić któryś z ludzi Beatona.

- Oczywiście - Balfour zaśmiał się cicho i pokiwał głową. - Jestem tak zdenerwowany jak paż, który kroczy za swoim panem do pierwszej bitwy.

- Zanim James zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Balfour zamarł w bezruchu.

Daleko, na małym wzniesieniu na skraju wioski, stała szubienica. Jeśli im się nie uda, Maldie tam zawisnie. Balfour musiał wziąć głęboki wdech, żeby nie pójść i nie rozbić konstrukcji na kawałki.

Myśl o niebezpieczeństwie, w jakim znajdowała się Maldie, przesładowała go, od kiedy Douglas powiedział mu o jej losie. Nie mógł się powstrzymać od myślenia, że jest w jakiś sposób odpowiedzialny za to, że się tam znalazła, za próbę zabicia Beatona i w końcu za wyrok śmierci, jaki na nią wydano. Nic z tego, co mówili James czy Nigel, nie zmniejszyło jego niepokoju. Żaden z nich nie był w stanie w satysfakcjonujący sposób wyjaśnić jej postępowania tak, by przestał się oskarżać.

Nie widział innego powodu, jak ten, że zrobiła to, by udowodnić swoją niewinność.

Balfour wiedział, że robi, co w jego mocy, by wyciągnąć ją z łap Beatona, ale nie to wystarczało, by mógł uwolnić się od poczucia winy. Tylko wybaczenie Maldie mogło to sprawić.

- Chodź, chłopcze - powiedział cicho James, biorąc Balfoura za ramię i popychając go w kierunku drogi do twierdzy. — Nie spotka jej taki los, jeśli wszyscy zachowamy zdrowy rozsądek.

- Wiem o tym. Byłoby głupotą, gdybym teraz chciał zniszczyć szubienicę.

Wystawiłbym nas wszystkich i nie uratowałbym Maldie na dłużej niż dzień albo na tak długo, ile zajęłoby im zbudowanie następnej.

- Nie - mtuknął Douglas. - Nawet nie na tak długo. Wystarczyłoby, żeby znaleźli wysokie drzewo. - Wzdrygnął się, ale ostrożnie cofnął, gdy Balfour spojrział na niego. - Beaton chce ją zabić, a jeśli ten człowiek chce czyjejs śmierci, to nie pozwoli, by złamana szubienica mu to udatemniła.

- Potrafisz doprawdy człowieka pocieszyć, co, Douglasie? — powiedział James, nie mogąc stłumić śmiechu.

- Nie wydaje mi się, żeby zbliżająca się egzekucja Maldie była powodem do śmiechu - powiedział Balfour, spoglądając gniewnie w stronę twierdzy.

- Przestań się niepokoić, Balfourze. Dziewczyna wyjdzie z tego cała i zdrowa.

- Jak możesz być tego taki pewien, Jamesie? Czyżbyś nagle został obdarzony darem jasnowidzenia? - Balfour się zawahał. Wiedział, że James nie zasługuje na taki sarkazm, ale nawet wiara oddanego towarzysza w plan nie zmniejszyła obaw narastających w jego sercu. Strach przed porażką i świadomość, ile go może kosztować przegrana, sprawiały, że z trudem trzymał nerwy na wodzy.

James zignorował zły humor Balfoura.

- Nie, po prostu znam tę dziewczynę. Ma spryt i chociaż jest szlachetnie urodzona, to ma umiejętności jak każda miejska dziewczucha. Będzie potrafiła znaleźć sobie bezpieczną kryjówkę. Jeśli jest z naszym chłopcem, to jego też bezpiecznie ukryje.

A nasz plan jest bardzo sprytny i nie może się nie powieść, nawet gdybyśmy wszyscy byli pijani i ślanieli się w upojeniu. Tak więc spokojnie, skoncentruj się na tym, żeby dostać się za bity i dać sygnał do ataku.

— Ta stara kobieta nas obserwuje — syknął Douglas, oglądając się ukradkiem za siebie.

— Jaka kobieta? - spytał Balfour bardziej zajęty wypatrywaniem wśród tłumu swoich ludzi. Byli jednak tak dobrze zakamuflowani, że nie mógł odróżnić ich od wieśniaków i ludzi z twierdzy.

— Eleanor, kobieta, u której Maldie mieszkała przez jakiś czas. Obserwuje nas.

— Czy uważasz, że Maldie coś jej powiedziała?

— Może. Jeśli dziewczyna podejrzewała, że możecie zaatakować, to mogła powiedzieć kobiecie, żeby obsetwowała, co się dzieje, i ukryła bezpiecznie, jeśli uzna, że coś się szykuje. Maldie musiała wiedzieć, że wdowa nie znajdzie schronienia u swojego pana. Prawdę mówiąc, większość ludzi Beatona wie już o tym.

— Niech to! Uważasz, że podniesie larum? — Balfour zaryzykował spojrzenie za siebie i zobaczył starą kobietę, której wzrok skoncentrowany był na nim i jego towarzyszach, mimo że nadal spacerowała wśród przekupniów sprzedających swoje towary.

— Nie, żeby ostrzec Beatona i jego ludzi - powiedział Douglas. - Mówiłem wam, że zamordowali jej męża, a Beaton nie zaskarbił sobie miłości poddanych. Ci, którzy dla niego walczą, to w

większości najemnicy. Jedyne, co może sprawić nam kłopoty, to jeśli powiedziała o tym zbyt wielu innym ludziom. Beaton może jednak powziąć jakieś podejrzenia, jeśli nagle cała wioska ukryje się wśród drzew.

— Tak, jakieś pewnie tak.

Balfour zaklął w duchu. Rozumiał, że Maldie mogła chcieć ostrzec przyjaciół o zbliżającym się niebezpieczeństwie, ale modlił się, żeby mądrze ich wybrała. Jeśli Eleanor będzie na tyle sprytna, by powiedzieć tylko kilku osobom i zniknąć niepostrzeżenie, to nadal mają szansę na wygraną. Jeśli jednak kobieta ostrzeże całą wioskę, to bramy do twierdzy mogą zostać zatrzaśnięte przed ich nosem. Nawet najemne psy Beatona, które z pewnością cieszą się winem i usługami dziwek, jak to bywa podczas dnia targowego, wyczują, że coś jest nie tak, jeśli nagle wszyscy wieśniacy pochowają się po kątach.

Drętwiał coraz bardziej, gdy zbliżali się do bram. Obawiał się, że zostaną odkryci i szansa na zwycięstwo wymknie im się z rąk. Zza ich pleców nie rozległ się jednak żaden krzyk, gdy przechodzili przez bramy miasta, i nie zatrzymał ich żaden strażnik. Ludzie Beatona nie zauważyli jednak, że dziwki, które się tu zebrały, były obce, a wielu z przybyłych ociąga się ze sprzedawaniem swoich towarów.

To był pomysł Nigela, żeby wykorzystać kobiety w rozproszeniu uwagi ludzi Beatona. Strażnicy mieli być tak zajęci, żeby nie przyglądali się zbyt uważnie, kto wchodzi i wychodzi z miasta. Pomysł był przedni, ale Balfour ociągał się z jego użyciem, nie chcąc wystawiać kobiet na niebezpieczeństwo. Kiedy jednak przedstawiono plan samym kobietom, nie mogli narzekać na brak wolontariuszek.

Wiele z nich straciło mężów w poprzednich bitwach z Beatonem i chciały pomóc w jego pokonaniu. Było jasne, że plan był udany i wszystko układało się pomyślnie.

Balfour modlił się tylko, żeby kobiety, które zwerbowali, nie zapłaciły zbyt wysokiej ceny za swoją pomoc.

- Możemy zaczynać — szepnął James.

- Czy wszyscy się zebraли? - spytał Balfour, przygotowując się do zrzucenia płaszcza.

- Wszyscy potrzebni do przytrzymania bram, by reszta mogła się dostać do środka.

- Mamy zacząć cicho czy z okrzykiem?

- O, tak, niech będzie głośno, chcę, żeby Beaton wiedział, że śmierć się zbliża.

Balfour śmiał się, gdy odrzucał płaszcz i wyciągał miecz. Kobiety zgromadzone wokół strażników były ostrożne i gdy Balfour dał znak do ataku zawołaniem swojego klanu, pospiesznie usunęły się poza zasięg walki. James i Douglas gorąco zawtórowali Balfourowi, ruszając z impetem na tych ludzi Beatona, którzy znajdowali się najbliżej. Kiedy Balfour zaczął sobie torować mieczem drogę do twierdzy, zobaczył, że dziedziniec wypełnia się jego ludźmi, i poczuł pierwszy słodki smak

zwycięstwa. Skoncentrował się na znalezieniu Erica i Maldie, wiedząc, że zwycięstwo nigdy nie będzie pełne, jeśli nie przywiezie ich z powrotem do Donncoill. Modlił się, by mieli na tyle rozumu, by zostać z dala od zgiełku bitwy, tak żeby mógł ich bezpiecznie wyprowadzić.

Maldie przyglądała się ukradkiem strażnikowi, który ich pilnował. Widziała jego wygłodniałe spojrzenie i wyraz na ospowatej twarzy, ale jego pożądanie jej nie przeraziło. Żaden mężczyzna w Dubhlinnie nie dotknąłby córki Beatona, a była pewna, że wszyscy już wiedzieli, kim jest i co próbowała zrobić. Takie wieści rozchodziły się na tyle szybko, że niechybnie dotarły do wioski, zanim zamknęły się za nią drzwi celi. Mimo że Beaton zamierzał powiesić ją pod koniec dnia, to w jakiś dziwny sposób ją też chronił. Maldie nie była tylko pewna, czy to strach przed Beatonem czy też obawa, że nosi w sobie nasienie choroby, która niszczyła dziedzica, powstrzymywało tego człowieka za kratami od wykorzystania swojej przewagi.

Eleanor także musiała słyszeć, co się z nią stało, westchnęła. Maldie miała nadzieję, że staruszka nie martwi się za bardzo i nie robi nic głupiego, żeby ją ratować.

Żałowała, że nie miała czasu i okazji, by wszystko jej wyjaś-

nić. Tak było dla niej lepiej, czułaby się niekomfortowo, gdyby wiedziała, że dała schronienie jednemu z bękartów Beatona, który w dodatku nosi się z zamiarem zabójstwa. Maldie miała nadzieję, że Eleanor jej wybaczy.

Spojrzała na Erica, który drzemał na brudnej pryczy. Rozmawiali do wczesnego poranka, aż w końcu zabrakło im już nawet głosu, a zmęczenie zmusiło ich do snu.

Erie był nadal załamany, nadal nie mógł myśleć o sobie jako o Beatonie, nie o Murrayu. Obawiał się, jak go przyjmą ludzie, których przez całe życie nazywał

braćmi, gdy dowiedzą się, że jest synem ich wroga. Nie mogła zrobić nic, by ukoić ten ból, ale wiedziała, że Erie widzi w niej teraz rodzinę, złączoną więcej niż więzami krwi. Jeśli Murrayowie by go odtrącili, a nie chciała wierzyć, że Balfour mógłby być tak okrutny, to wiedział przynajmniej, że nie jest sam. Maldie miała nadzieję, że to mu wystarczy.

Wszystkie pochlebne rzeczy, jakie słyszała o Ericu, okazały się prawdziwe, pomyślała, i delikatnie odsunęła kosmyk włosów, który spadł mu na czoło. Był

mądry z natury, dobry i kochany. Poczowała dumę, że są rodzeństwem. Nie można było wymarzyć sobie lepszego brata.

Wszystkie te troski trzeba było jednak na chwilę odłożyć. Najpilniejszą sprawą było teraz wydostanie się z Dubhlinna. Maldie była sobą rozczarowana, nie przyszedł jej do głowy żaden nowy rozsądny plan ucieczki. W zamian musiała posłużyć się tą samą sztuczką, dzięki której uwolniła się z Donncoill. Instynkt podpowiadał jej, że ten pochmurny człowiek, którego Beaton postawił na straży, będzie równie mało chętny do słuchania o kobiecych chorobach, co człowiek Balfoura. Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna ostrzec Erica, co zamierza, ale uznała, że będzie się pewnie zachowywał naturalniej, jeśli tego nie zrobi. Później, jak się okaże, że wszystko idzie w dobrym

kierunku, to mu to wyjaśni. Miała nadzieję, że wybaczy jej oszustwo.

Wzięła kilka głębokich wdechów, żeby opanować ciało i ducha, a potem złapała się za brzuch i jęknęła, zginając się wpół. Erie obudził się natychmiast'. Jego twarz zbladła i natychmiast ją objął. Obawa rysująca się na jego twarzy wzbudziła w niej poczucie winy, ale jęknęła jeszcze głośniej.

- Co się jej stało? - zażądał wyjaśnień niski, przysadzisty strażnik, zatrzymując się na wprost celi.

- Nie wiem - odparł Erie. - Maldie, boli cię coś? Co się z tobą dzieje?

- Przyszedł mój miesięczny czas i ciężko go znoszę — powiedziała, pojękując Maldie, kołysząc się do przodu i do tyłu. - Potrzebuję pomocy kobiety.

Rumieniąc się gwałtownie, Erie spojrzał na strażnika.

- Musisz jej natychmiast sprowadzić jakąś służącą do pomocy.

- Dlaczego? - zapytał strażnik i się cofnął. Patrzył na Maldie, jakby złapała dżumę.

- Dlatego że cierpi, głupcze. Dlatego że jeśli jej nie pomożesz, to może nawet umrzeć.

- A jakie to ma znaczenie? Za kilka chwil i tak pójdzie na szubienicę. Maldie klęła w duchu. Nie przewidziała tej komplikacji. W Donncoill nikt nie chciał jej skrzywdzić, więc wszyscy byli bardziej niż chętni, gdy mogli jej przynieść cokolwiek, żeby tylko była zdrowa i szczęśliwa. Tu wszyscy wiedzieli, że wkrótce zawiśnie, że może być równie dobrze martwa, a martwa kobieta nie potrzebuje, by jej dogadzać. Wtedy Erie zaczął mówić chłodnym, rozkazującym tonem i uznała, że powinna mieć więcej wiary w chłopca.

- Myślę, że Beaton chce ją mieć żywą, jak będzie ją prowadził na szubienicę —

powiedział Erie. - Tak, żywą i w pełni świadomą zbliżającej się śmierci. Chce ją posłać do piekła i nie będzie zachwycony, jeśli się dowie, że siedziałeś beczynnym obok, kiedy ona zabrała się sama w to przeklęte miejsce. Jeśli w ogóle zależy ci na swojej skórze, to lepiej idź po jakąś kobietę, żeby się nią zajęła.

Maldie usłyszała, jak strażnik zaklął i ruszył schodami na górę. Poczekwała chwilę, żeby mieć pewność, że są sami. Kiedy w końcu spojrzała na chłopca, jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Wiedziała, że nie może tracić czasu na zbędne wyjaśnienia. - Nie jestem chora - zapewniła go, obserwując wejście i nasłuchując kroków strażnika. - W ten sposób wydostałam się z Donncoill. Przeprowadzi tu służącą, a kiedy to zrobi i otworzy drzwi, musimy być gotowi.

- Będzie dwoje na dwoje. — Erie zmarszczył się, rozważając, jakie mają szanse. —

To wielki mężczyzna, a żadne z nas nie jest zbyt postawne.

- Będzie nas dwoje na niego jednego. Służąca nic nie robi. Jedyne, czego musimy być pewni, to żeby się stąd nie wydostała i nie wszczęła alarmu. Strażnika musimy unieszkodliwić na tyle, by móc go

minąć, wydostać się z tej przeklętej klatki i zamknąć go w niej.

- Rozumiem.

- To dobrze, bo już wraca.

Maldie chciałyby, żeby mieli więcej czasu na przygotowanie planu. Żadne nie wiedziało, jak zachowa się drugie. Potrzebowali sporo szczęścia, żeby się uwolnić.

Wzięła głęboki wdech i znów zaczęła odgrywać przejmujący ból. Erie był mądrym chłopcem. Nawet podczas tego krótkiego czasu, który wspólnie spędzili, udowadniał to raz za razem. Pokładała nadzieję w jego inteligencji.

Drzwi się otworzyły. Maldie usłyszała cichy szelest spódnicy i kroki strażnika.

Podniosła wzrok i zobaczyła pulchną służącą, która z kolei nie patrzyła na nią wcale.

Postanowiła to wykorzystać. Złapała dziewczynę za ramię, a kiedy ta się odwróciła, uderzyła ją pięścią w twarz. Służąca jęknęła i upadła, akurat na cienki siennik. Maldie wsunęła ją pod pryczę. Wtedy odwróciła się do drzwi.

Erie wisiał na plecach strażnika jak rozbrykany dzieciak. Szczupłymi ramionami ścisnął grubą szyję, a długimi nogami opasywał jego talię. Strażnik desperacko próbował strząsnąć chłopca z pleców, uderzając nim o grube żelazne pręty krat i kamienne ściany oraz szarpiąc jego ramiona. Spojrzała na bladą, zdeterminowaną twarz chłopca i wiedziała, że nie będzie w stanie długo wytrzymać.

Nie było łatwo celnie uderzyć mężczyznę, bo miotał się po celi, wymachując ramionami, by utrzymać ją na dystans i uwolnić się od Erica. W końcu mężczyzna zaczął się dławić. Mocny ucisk jego szyi utrudnił mu oddychanie. Oczy mu się zamknęły, kiedy próbował nabrać powietrza, gorączkowo szarpiąc ramiona Erica.

Maldie uderzyła strażnika z całych sił w potężną szczękę. Usłyszała, jak Erie zaklął, gdy mężczyzna zatoczył się do tyłu i uderzył w ścianę, ale nie upadł. Uderzyła go jeszcze raz, powtarzając przekleństwo Erica. Ostry ból przeszył jej ramię, ale tym razem się udało. Erie zeskoczył z pleców strażnika, ten zrobił kilka kroków w kierunku cofającej się Maldie, po czym zachwiał się i upadł, uderzając z łomotem głową o brudną kamienną podłogę.

— Nic ci nie jest, Ericu? - spytała Maldie i podbiegła do chłopca.

— Wątpię, żeby była jakaś część mojego ciała, która nie boli, ale to minie -

odpowiedział Erie. Zachwiał się, patrząc na podarte rękawy koszuli i okropnie podrapane i poobijane ramiona. - Przydałoby się też trochę czystej wody do przemycia.

— To prawda, ale do tego jeszcze daleko. — Maldie powoli zacisnęła palce ręki, którą uderzyła strażnika. Pewnie będzie posiniaczona, ale przynajmniej nie jest złamana. — Ciężko było go powalić.

— Czy myślisz, że on nie żyje? Uderzył tak mocno o podłogę. Maldie podeszła ostrożnie do nieprzytomnego mężczyzny i sprawdziła.

Na jego szyi wyczuła puls.

— Żyje. Chodź, lepiej się stąd wynośmy.

Erie jęknął, idąc za nią do drzwi, jego ciało protestowało przy każdym ruchu.

— Zamkniemy ich tutaj?

— Ależ oczywiście — odpowiedziała Maldie, podnosząc z ziemi upuszczony przez strażnika klucz. - Nie wiemy, jak długo każde z nich będzie jeszcze odpoczywało. -

Zamknęła drzwi i odrzuciła klucz na bok. Spojrzała w górę, w stronę stromych schodów prowadzących do wielkiej sali. — Szkoda, że nie znamy innej drogi, by się stąd wydostać.

— Jest tu na pewno jakaś zaryglowana dziura, o której wie tylko Beaton -

powiedział Erie, wdrapując się po schodach i nasłuchując przy grubych dębowych drzwiach na górze. - Nie wierzę, żeby ten człowiek nie zostawił sobie żadnej drogi ucieczki przed licznymi wrogami. Obawiam się jednak, że nie wiem, gdzie ona jest, więc musimy spróbować szczęścia tutaj.

Kiedy Erie nagle zmarł, a potem spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, Maldie poczuła, że serce skacze jej z przerażenia. Podbiegła i stanęła tuż za nim.

— Co się dzieje? - wyszeptwała.

— Obawiam się, że mamy więcej zmartwień niż to, kto się włóczy po wielkiej sali.

Maldie szybko zdała sobie sprawę z dźwięków dochodzących zza drzwi. Uderzenia mieczy i krzyki rannych i umierających, mimo że stłumione, były wyraźnie słyszalne.

— Bitwa. W samej twierdzy. Czy myślisz, że to Balfour?

— Lepiej módlmy się, żeby to był on, bo inaczej grozi nam takie samo niebezpieczeństwo ze strony ludzi Beatona, co ze strony jego wrogów.

Serce waliło jej ze strachu. Mijając Erica, uściśnęła go, po czym uwolniła skobel ciężkich drzwi. Uchyliła je na tyle, by móc wyjrzeć na zewnątrz. Za nimi nie było nikogo, ale dźwięki bitwy dochodziły z bardzo bliskiej odległości. Wtedy usłyszała dziki wojenny okrzyk i poczuła, jak serce się jej zatrzymuje w nadziei i oczekiwaniu. Obejrzała się na Erica i po zaskoczeniu na jego twarzy poznała, że i on usłyszał ten wojowniczy okrzyk Murrayów.

Prosiła Erica, żeby się modlił, by udało im się opuścić celę i by Balfour zdecydował

się zaatakować dzisiaj, ale powiedziała to żartem. Tymczasem los postanowił się chyba do nich

uśmiechnąć. Maldie nie chciała jednak myśleć o sukcesie. Wciąż znajdowali się w twierdzy i nie byli bezpieczni. Mimo że słyszała Balfoura i jego ludzi i wiedziała, że udało im się przekroczyć mury Dublina, to jednak walka wciąż się toczyła. Ludzie Beatona mogli nie dać się tak łatwo pokonać.

— To Balfour — powiedział Erie i wszedł za Maldie do wielkiej sali. — Tym razem Murrayowie przedostali się przez mury. Zwycięstwo jest pewne. Jesteśmy wolni. —

Objął Maldie i się roześmiał.

— Chyba muszę cię prosić, żebyś częściej się modlił w różnych intencjach - zaczęła się z nim drażnić i szybko odwzajemniła uśmiech. - Czeka!

— rozkazała mu i złapała go za ramię, kiedy zaczął się od niej oddalać.

— Ale to Murrayowie. Będziemy z nimi bezpieczni.

— Tak, będziemy, jeśli uda nam się znaleźć kogoś, kto nie walczy i będzie mógł nas odprowadzić w bezpieczne miejsce. Musimy postępować ostrożnie. Nie wiemy jeszcze, co nas spotka, zanim do nich dotrzemy.

— Proszę, proszę. Wszyscy mi mówili, że mądra z ciebie dziewczyna

— doszedł ich głęboki, zachrypnięty głos, który ściał Maldie krew w żyłach. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że na drodze do wyjścia z wielkiej sali, między nimi a drzwiami, stoi wielka, machająca mieczem przeszkoda.

— Coś mi się zdaje, że powinienem częściej cię słyszeć - mruknął Erie.

— Wygląda na to, że często masz rację.

— Cóż, akurat tym razem bardzo bym chciała, żeby było inaczej.

Rozdział 18

- Ach, to George - powiedziała Maldie i spróbowała uśmiechnąć się do skrzywionego mężczyzny. - Przeszedłeś się poddać?

- Poddać? - George wrzasnął, podchodząc do niej i do Erica. - Przeszedłem cię zabić, ty czarnowłosa dziwko. To wszystko twoja sprawa!

- Moja sprawa? Jakim sposobem? Jestem tylko słabą dziewczyną, George. Nie potrafię dowodzić armią.

- Nie? Przyjeżdżasz do Dublina i po raz pierwszy od trzynastu lat Murrayowie przedostają się przez nasze mury. Dla mnie wszystko jest jasne. To twoja wina.

Maldie zastanawiała się, jak długo może podtrzymywać jego chęć do rozmowy.

Cała jego uwaga była skupiona na niej. Czują, że Erie ostrożnie odsuwa się na bok.

Tak długo, jak mogła skupić jego zainteresowanie, Erie miał szansę zrobić coś, by przeszkodzić George'owi w zabiciu jej. Chociaż nie była pewna, co słaby dzieciak może zdziałać przeciw mężczyźnie rozmiarów George'a, to bardzo chciała dać Ericowi szansę. Jeśli naprawdę mieli dziś szczęście, to w każdej chwili może przyjść im na ratunek jakiś silny Murray. Wyglądało na to, że jest ich pełno wokoło.

- Nie, George, zdaje się, że nie widzisz tego wszystkiego zbyt jasno - kontynuowała, łapiąc wzrok Erica, który prześlizgiwał się w stronę broni wiszącej na ścianie, stanowiącej dowód, że Murrayowie wzięli Beatona przez kompletne zaskoczenie. -

Byłam tu już wcześniej, jak pamiętasz, i wtedy Murrayowie ponieśli srogą porażkę, wrócili do Donncoill jak zbite psy. Dlaczego to ja miałabym stać teraz za tą napaścią, skoro nie pomogłam Murrayom za pierwszym razem, kiedy na was najechali?

George zmarszczył brwi i zawahał się, ale potem energicznie potrząsnął głową.

- Nie, próbujesz mnie teraz zmylić. Nie było cię tutaj, kiedy odparliśmy Murrayów.

Dobrze to wiem, bo to było wtedy, kiedy wyktadliśmy chłopaka. Nie było cię tutaj, bo szukałem cię cały dzień. Wszyscy, których pytałem, mówili mi, że odeszłaś.

Poszłaś pomagać Murrayom.

Kiedy nagle George zamachnął się na nią mieczem, z gardła wyrwał się jej cichy pisk zdziwienia i przerażenia. Uskoczyła mu z drogi ale i tak udało mu się przeciąć jej spódnicę. Bieganie nie było najmądrzejszą metodą obrony, ale nie miała miecza i to na razie musiało jej wystarczyć. Za pomocą stołów, krzeseł i ław Maldie starała się zrobić jakąś przeszkodę między sobą a przeklinającym George'em. Erie nadal próbował zdjąć ze ściany jakąś broń, której mógłby użyć, a ona musiała mu dać na to czas. Maldie

przeskoczyła przez duży stół i obserwowała George'a stojącego po drugiej stronie.

On też na nią patrzył i ciężko oddychał. Podejrzewała, że nie jest to najbezpieczniejsze miejsce w wielkiej sali, ale ona także traciła już dech w piersiach. Już dwa razy się potknęła i wiedziała, że każdy upadek może się okazać śmiertelny. Za każdym razem, kiedy starała się dotrzeć do drzwi, George stawał

między nią a nimi. Za każdym razem, gdy chciała sięgnąć po broń ze ściany, George jej to udaremniał. Musiała zatrzymać się choćby na moment. Jeśli będzie go uważnie obserwować, może uniknie ciosu mieczem.

- Powinieneś być razem ze wszystkimi, ratować Dubhlinn, George - powiedziała. -

A nie tutaj ścigać słabą kobietę i małego chłopca.

- Zupełnie nie interesuje mnie ten bachor Beatona — odpowiedział George. - Jeśli miecz Beatona go nie zetnie, żeby nie mógł przejąć Dubhlin-na, wtedy zrobi to któryś z Murrayów, jak tylko się dowie, że chłopak jest synem Beatona, a nie jednym z nich. Ta bitwa już zakończyła się zwycięstwem Murrayów. Jak tylko dostali się za mury, Dubhlinn został skazany na klęskę. Zostałem tu tylko po to, żeby cię zabić, a potem poszukam sobie bezpieczniejszej przystani.

Maldie potrzebowała chwili, żeby poskładać w całość to, co przed chwilą powiedział George.

- Wiesz, że Erie jest dzieckiem Beatona?

- Tak, ma znamię.

- Skąd to wiesz? Byłeś jego niańką czy położną? - szybko zamknęła buzię. Nie powinna obrażać uzbrojonego w miecz człowieka.

- Byłem wśród ludzi, którym polecono, by zostawili dzieciaka na wzgórzu, żeby umarł - wzruszył ramionami. - Wiedziałem, że Beaton ma znamię i byłem ciekaw, czy miał rację co do dziecka.

- Ale Beaton nie zna prawdy.

- Nie, to głupiec. Był za bardzo rozwścieczony, żeby w ogóle na nie popatrzeć. Jak się tylko dowiedział, że jego żona, ta mała kurewka, przespała się ze statym Murrayem, był ślepy na wszystko, na prawdę też. Teraz wbił sobie do głowy, że to jego dziecko, i nawet za szept o nim można ściągnąć na siebie śmierć.

Zdecydowałem się trzymać w tajemnicy to, czego się dowiedziałem. Tylko matka chłopaka знаła prawdę, może i położna, ale żadna z nich nie pożyła na tyle długo, by o tym komuś powiedzieć. Beaton się o to postarał.

- Jaki pożytek z takiej prawdy, którą zachowuje się dla siebie przez tyle lat?

- Czekałem, aż ten łajdak Całum wypadnie z łask naszego pana, a potem wykorzystałbym ją, żeby zająć jego miejsce. Teraz to bez znaczenia. Prawda jest bezużyteczna. I Całum, i nasz pan wkrótce będą martwi, a ja będę miał szczęście, jeśli uda mi się sprzedać mój miecz komuś, kto zapłaci za niego kilkoma monetami. Wiodłem tu dobre życie, a ty mi je odebrałaś, dziwko!

Zamachnął się na nią mieczem i Maldie ledwo umknęła, w ostatniej chwili ratując stopy. Kiedy szykował się, żeby zadać kolejny cios, zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Kopnęła go w brodę tak mocno, jak tylko była w stanie.

George wrzasnął i złapał się za szczękę. Krew popłynęła mu z kącików ust i Maldie zaczęła się zastanawiać, czy stracił kilka zębów, czy też kawałek języka. Kopnęła go jeszcze raz, tym razem w sam środek twarzy.

Siła kopnięcia odrzuciła George'a do tyłu. Jego twarz przeszył dziwny wyraz zdziwienia i przerażenia. Spojrzał w dół. Z watowanego kaftana wystawał czubek miecza. W jednej chwili zaczął się chwiać, upadł do przodu, a zza niego doszło ją ciche przekleństwo. Ostrze zniknęło i George

runął na podłogę. Za nim stał Erie, blady, z rozszerzonymi oczami, trzymając zakrwawiony miecz w obydwu rękach.

- Chciał cię zabić - szepnął, ocierając drżącą ręką pot ze skroni.

- Tak, chciał. A teraz wyryj wyraźnie tę prawdę w swojej głowie i nigdy się za to nie obwiniaj. - Zaczęła delikatnie ciągnąć go w stronę drzwi. Pragnęła opuścić wielką salę, zanim ktoś znowu ich zatrzyma.

- Nie powinienem cierpieć z powodu zabicia jednego z wrogów. Kiedy skończę dwadzieścia lat, zostanę rycerzem. Każdy rycerz musi od czasu do czasu zabić innego.

Cieszyła się, słysząc w jego drżącym jeszcze głosie cień dowcipu. Podniosła się z szoku po zabiciu George'a. To wielka szkoda, że musiał zabić człowieka, zanim jeszcze rozpoczął prawdziwe szkolenie rycerskie, ale nie miał wyboru. George widział, że wszystko wokół niego runęło, i uważał, że ona była przyczyną tej katastrofy. Potrzebował kogoś, kogo mógłby obarczyć winą, żeby zapłacić za tę stratę krwi. Gdyby Erie nie zabił tego człowieka, on zabiłby ją. Było jej przykro z powodu bólu i cierpienia, jakie stały się udziałem Erica, ale nie z powodu śmierci George'a.

- Beaton zabił moją matkę - powiedział cicho Erie.

- Tak twierdził George - odpowiedziała, bacznie wypatrując, czy żaden uzbrojony człowiek Beatona nie pojawia się im na drodze do drzwi na dziedziniec.

- A George był tym, który zostawił mnie, żebym umarł.

- Tak, na rozkaz Beatona. - Wiedziała, że po prostu wypowiada na głos wszystkie powody, które usprawiedliwiały zabicie George'a. - George zrobił to nawet po tym, gdy dowiedział się, że naprawdę jesteś synem Beatona.

Erie jęknął, kiedy już na zewnątrz Maldie popchnęła go pod ścianę. Nie chciała dokładać mu kolejnych stłuczeń i ran, ale dziedziniec pełen był walczących ludzi i dopóki nie znajdzie wolnej drogi do bram, nie chciała, żeby chłopca ktoś zobaczył. Wołała, żeby pozostawał w cieniu wysokich ścian twierdzy.

Dopiero po chwili obserwowania bitwy, którą Beaton ewidentnie przegrywał, uznała, że nie ma bezpiecznej drogi, by dostać się do bram. Nie mogli iść naprzód, nie mogli też kryć się pod drzwiami. Zakląła.

- Coś nie tak? - spytał Erie, rozglądając się po dziedzińcu i próbując rozejrzeć się za kimś, kogo by znał i kogo mógłby przywołać. - Ciężko się rozeznąć, kto tu jest kim, w całym tym zgiełku, prawda?

- Nie tylko. Ciężko też zobaczyć bezpieczną drogę do bram.

- Nie możemy tu zostać.

- Wiem o tym. Teraz mamy tu schronienie, ale przy tylu walczących nie będzie tu długo bezpiecznie.

- W takim razie najlepiej biegnijmy.

Zanim zdążyła go powstrzymać, Erie złapał ją za rękę i pognał w kierunku bram.

Maldie trzymała mocno miecz, który wzięła ze sobą, i modliła się, żeby nie była zmuszona go użyć. To było szaleństwo - biec przez sam środek zaciętej bitwy, ale nie miała nic innego do zaoferowania, nie miała także czasu, by coś wymyślić.

Zauważyła też, że nie byli jedynymi, którzy uciekają.

Gdy Erie nagle się zatrzymał, uderzyła w jego plecy i zaklęła. Zaledwie kilka stóp od bramy, mocno oparty na rozstawionych nogach, stał przeklęty Ca-lum.

Uśmiechał się, a Maldie poczuła, że zastyga jej krew w żyłach. Ignorując protest chłopca, szarpnęła go za ramię i stanęła między nim a Calumem.

- Nie jestem tchórzem, żeby kryć się za kobietą - wymamrotał Erie.

- Ta kobieta trzyma w rękach miecz, a ty nie jesteś uzbrojony - powiedziała, nie spuszczać oczu z Caluma.

- Ledwo możesz podnieść miecz, moja panno - powiedział Calum. - To będzie takie proste: ściągę ciebie, a potem chłopca.

- Skoro to takie proste, to czemu się wahasz? - spytała, celując w niego mieczem i czując jego ciężar wzdłuż całych ramion. Maldie nie była pewna, czy będzie w stanie machnąć tak ciężką bronią, a zimne i rozbawione spojrzenie Caluma mówiło jej, że on także w to nie wietzy.

- Mam sam się na niego nadziać?

- Sprawiedliwości stałoby się zadość. Gdzie twój pan? Myślałam, że nie zrobisz kroku bez niego.

- Mój pan walczy teraz z Balfourem Murrayem, a że ta bitwa jest stracona, to nie widzę sensu, by nadal mu towarzyszyć.

- A więc wymykasz się jak zmija, którą po prawdzie jesteś.

- Beaton miał rację, szkoda, że jesteś dziewczyną, byłabyś dla niego godnym synem.

- Nie odbieram tego jako komplement. Ale teraz ja i mój brat mamy dużo do załatwienia, a ty i ja nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, więc może skończymy już ten taniec?

Calum się zaśmiał. Wydał z siebie cichy, chłodny dźwięk, który sprawił, że Maldie poczuła się bardzo nieswojo.

- Aż tak chcesz umrzeć, dziewczyno?

— Nie, aż tak chcę cię zabić.

Kiedy przygotowała się już na przyjęcie ciosu, między ich mieczami pojawił się trzeci, przyjmując na siebie cały impet uderzenia Caluma. Erie złapał ją i odciągnął

do tyłu, a Calum odwrócił się na spotkanie nowego wyzwania. Maldie spojrzała na człowieka, który zajął jej miejsce w pojedynku, i uznała, że podczas swojego pobytu w Donnoill jednak się pomyliła. Czasami bardzo miło było widzieć Jamesa.

- Znasz Jamesa o wiele lepiej niż ja - powiedziała do Erica, nie spuszczać oczu z walczących przed nimi mężczyzn. - Myślisz, że poradzi sobie z Calumem?

— Tak, bez mrugnięcia okiem - odpowiedział Erie głosem pełnym dumy.

— Aż tak w niego wierzysz?

— Zasługuje na to.

Chwilę później Maldie zobaczyła, że to prawda. Obaj mężczyźni byli zakrwawieni i zmęczeni bitwą, ale to Calum pierwszy się zachwiał. James uśmiechnął się słabo, kiedy tamten zasłabł, otwierając się na śmiertelny cios. Maldie stała cicho obok, kiedy James wycierał zakrwawiony miecz o pikowany żupan Caluma, a potem odwrócił się, by spojrzeć na nią i na Erica.

— Mieliśmy nadzieję, że będziecie mieć na tyle rozsądku, żeby zostać w lochach.

Tam bylibyście bezpieczni — powiedział James, biorąc od Maldie miecz. -

Powinnaś była sobie wybrać jakiś mniejszy, dziewczyno.

— Cóż, nie miałam czasu, by wybierać starannie.

- Dobrze cię widzieć, chłopcze - powiedział James, obejmując Erica. - Chodźcie, zaprowadzę was w miejsce, gdzie czekają ranni i paziowie z końmi. Będziecie tam bezpieczni. - Spojrzał na Maldie, prowadząc Erica przez bramy. - Ty też tam zostaniesz.

- A ty, James, gdzie pójdziesz? - zapytała słodko i uśmiechnęła się, kiedy popatrzył

na nią z niezadowoleniem.

- Wszystko w porządku, chłopcze? - spytał James, obejmując chłopca. Erie się zachwiał.

- Poobijany, ale nic więcej.

— Beaton cię pobił?

- Trochę, ale nie wszystkie siniaki są od niego. Nasza ucieczka z lochów nie była taka prosta, jak się spodziewaliśmy.

Maldie szła spokojnie obok, częściowo słuchając tego, co Erie opowiadał Jamesowi o ich dokonaniach. W opowieści chłopca była skromność, zwłaszcza kiedy opisywał

swój udział. Sposób, w jaki James na nią patrzył, sprawiał, że czuła się niekomfortowo. Trudno powiedzieć, czy był zdziwiony czy zły.

James zostawił ich z końmi i pospieszył, by znaleźć Nigela. Kiedy Maldie usiadła na zboczu wzgórza obok Erica, zaczęła się zastanawiać, co opętało Nigela, żeby jechać na tę bitwę, bo przecież nie był jeszcze wyleczony po poprzedniej. Potem westchnęła i pokiwała głową. Biorąc pod uwagę, jakimi dziwnymi istotami byli mężczyźni, podejrzewała, że rolę odegrały tu honor i duma. James z pewnością bacznie go pilnował, i to musiało wystarczyć.

- Trudno mi było przyjąć serdeczne powitanie Jamesa - mruknął Erie.

- Dlaczego? - spytała

- Ponieważ to kłamstwo. Nie jestem chłopakiem, za którego on mnie bierze.

Uśmiechnęła się delikatnie i poklepała go po rękę.

- Jesteś tym samym chłopcem, który jechał u jego boku, zanim Beaton uprowadził cię z Donncoill.

- Być może wewnątrz, ale teraz jestem Beatonem, a nie Murrayem. James przywitał

Murraya, jednego ze swoich. Nie miałem sił wyznać mu od razu prawdy. - Erie zaczął nerwowo wyrywać z ziemi trawę. - Jest dobrym człowiekiem i zasługuje na to, by poznać całą prawdę.

- Jeśli zamierzasz mu ją powiedzieć, to musisz powiedzieć im wszystkim. Musisz to zrobić, kiedy będą wszyscy, by mogli to razem usłyszeć.

- Ach tak, żeby wszyscy razem mogli na mnie napluć.

- Nie przypuszczam, żeby mieli to zrobić - powiedziała, przejęta, że nie w jej mocy leży ukojenie jego obaw. - Opiekowali się tobą przez trzynaście lat, Ericu. Tego nie zmienisz tak szybko.

- Może nie - uśmiechnął się do niej nieśmiało, zawstydzony swoją naiwnością, i westchnął ciężko. - To się jednak zmieni. Musi. Mogli zajmować się mną przez lata, ale też nienawidzili Beatona i walczyli z nim od dawna. Trudno to wyjaśnić. Czuję tylko, że wszystko musi się zmienić. Jakżeby inaczej?

- Obawiam się, że nie mam dla ciebie żadnych odpowiedzi, Ericu. Nie znam twojego klanu tak dobrze jak ty. James, Balfour i Nigel wydają się dobrymi i sprawiedliwymi ludźmi. Wszyscy obdarzeni są rozumem. Według mnie nie powinno to nic zmienić w ich podejściu do ciebie. W końcu przecież nie kłamałeś. Myślałeś, że jesteś Murrayem. Powtarzali ci to od momentu, gdy zostałeś znaleziony na tym wzgórzu i zabrany do Donncoill.

Maldie spojrzała na chłopca z pewnego rodzaju czułością.

- Jest jedna rzecz, którą musisz jednak zrobić. Nie pozwól, by cię to zmieniło. Niech to ci nie zatruje serca, żebyś nie widział nienawiści i braku zaufania, tam gdzie ich nie ma. To musi być bolesne, mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze, a potem odkryć, że tak nie będzie, ale jeśli zaczniesz wierzyć, że przestaną cię lubić i ci ufać, staniesz się innym człowiekiem, nie tym, którego znają od tak dawna.

- Mówisz, że jeśli będę wierzył w najgorsze, to wtedy to najgorsze ściągnę to na siebie?

- Tak, coś w tym rodzaju. A teraz przygotuj się, bo widzę, że idzie do nas twój głupi kulejący brat Nigel.

Erie zaśmiał się i z radością przyjął uścisk Nigela. Nigel osunął się na trawę obok Erica i chłopiec zaczął opowiadać historię ich ucieczki. Maldie poczuła, że ktoś na nią patrzy. Podniosła oczy, by zobaczyć, że stoi przed nią James. Widziała, że czuje się nieswojo, jakby był odrobinę zawstydzony.

- Powiedziałam, że tu zostanę - powiedziała, uśmiechając się nieśmiało, jakby próbując złagodzić skrępowanie, które najwyraźniej czuł.

- Podejrzewałem, że to zrobisz - James odchrząknął. — Chciałem tylko przeprosić za moje podejrzenia.

- Nie musisz - odparła, chcąc powstrzymać te niepotrzebne przeprosiny — Miałeś prawo mi nie ufać. Byłam jedyną osobą, której nie znałeś. Pojawiłam się u was w bardzo trudnym, pełnym podejrzeń momencie.

- To nie wystarczy. Nie miałem żadnego dowodu, że byłaś szpiegiem Beatona. Nic.

Nie powinienem był pozwolić, by moje obawy odebrały słusność moim sądom.

- Zrobiłeś, co musiałeś. Nie ma tu złej woli. Pokiwał głową, a potem nieznacznie zmarszczył brwi.

- Nie udało wam się dowiedzieć, w jaki sposób Beaton odkrył, kim był Malcolm?

- Nie, nie rozmawiałam zbyt długo z Beatonem, a on nie był w nastroju do zwierzeń.

- Myślę, że to może być moja wina - powiedział Erie.

- Nie, Ericu, ty nie zdradziłbyś swoich - powiedział Nigel, poklepując chłopca po plecach.

- Nie specjalnie, ale mogłem w jakiś sposób pokazać, że go rozpoznaję. Przyszedł do mnie do lochów z Beatonem, następnego dnia po moim zamknięciu. Bardzo się zdziwiłem, że go tam widzę, obok Beatona. Można to było zobaczyć na mojej twarzy, a Beaton nie potrzebował niczego więcej.

- Nie, potrzebował czegoś więcej, tak myślę — powiedział James.

- Może ktoś widział Malcolma, kiedy przyszedł mnie odwiedzić później, sam -

ciągnął Erie. — Myślę, że miał nadzieję mnie uratować. Mówił mi o rym.

- Tak, to mogła być pomyłka, która kosztowała go życie.

- Tak - zgodził się Nigel. - Tak mogło być. Beaton musiał pilnie obserwować, kto udaje się do lochów. Twoje spojrzenie mogło wzbudzić jakieś podejrzenia, ale pewnie z czasem by się rozwiały. Działając tak szybko i próbując cię uwolnić, Malcolm sprawił, że spojrzenie, którym go obdarzyłeś, stało się dużo ważniejsze, niż powinno. Nikt z nas nigdy się nie dowie, co myślał Malcolm, ale sam się wydał, sam wydał na siebie wyrok.

Erie zadrżał. Pocierając dłońmi o ramiona, próbował bezskutecznie pozbyć się tego nagłego chłodu, który ogarnął jego ciało.

- To było powolne, brutalne morderstwo. Nie chciałbym nigdy więcej oglądać takiego okrucieństwa. Tylko za to Beaton powinien umierać setki razy.

- Widziałeś, jak mordowano Malcolma? - spytał zimnym głosem James.

- Beaton uważał, że mnie to zahartuje, jak zobaczę, w jaki sposób traktuje się zdrajców - potrząsnął głową. - Malcolm cierpiał wiele dni, ale nigdy niczego nie powiedział Beatonowi, nie szepnął słówka o Murrayach. Był bardzo odważny i lojalny. Nie wiem, czy potrafiłbym wytrzymać takie cierpienia. Na pewno nie przez tyle dni.

- Żaden chłopiec nie powinien czegoś takiego oglądać.

- Podejrzewam, że Beaton oglądał takie rzeczy w młodym wieku - szepnęła Maldie.

- Ze wszystkiego, co Erie mi powiedział, wnoszę, że Beaton uważał, że chłopcu potrzebne jest takie szkolenie, takie zahartowanie. Czasami ludzie tacy jak Beaton rodzą się źli, ale niekiedy takimi się stają, zło w nich dojrzewa i się umacnia.

- Chcesz przez to powiedzieć, że skoro ojciec Beatona był okrutnym draniem, to i on się taki stał? - zapytał Nigel, a Maldie pokiwała głową. - Smutne, ale to nie uchroni go przez śmiercią, na którą zasłużył.

- Nie, i nic takiego nie sugerowałam. Prawdę mówiąc, myślę, że Beaton przyjąłby śmierć z otwartymi ramionami, gdyby nie strach, jakim przepełnia go sąd, przed którym stanie. Myślę też, że jego ojciec mógł być bardziej okrutny, niż możemy sobie to wyobrazić. To byłby rozsądny powód tłumaczący, dlaczego Beaton go zabił

i dlaczego nie ma z tego powodu żadnego poczucia winy.

- Beaton zabił swojego ojca? - spytał James, a jego głos przycichł z przerażenia na wieść o tak strasznej zbrodni.

- Tak, sam mi o tym powiedział.

- Zabił też moją matkę - powiedział Erie, odwracając uwagę mężczyzn od Maldie.

Kiedy Erie wyjaśniał, w jaki sposób się tego dowiedział, Maldie wykorzystała tę chwilę, by zebrać w sobie odwagę. Już wkrótce Erie będzie mówił braciom całą prawdę o swoim pochodzeniu. To oznaczało, że przyjdzie czas i na nią. Reakcja Jamesa na wieść o tym, że Beaton zamordował swojego ojca, pokazała jej, że przynajmniej niektóre z jej prawd mogą nie zostać dobrze przyjęte. Morderstwo jednego z rodziców było naprawdę ciężkim grzechem, ale ona sama nigdy nie pozwalała sobie myśleć o tym zbyt długo. Miała przeczucie, że wkrótce przekona się, jak nie do zaakceptowania było to dla ludzi innego pokroju niż Beaton.

Opinia Beatona, że była do niego bardziej podobna, niż chciałaby się do tego przyznać, utkwiała jej w głowie, i Maldie kulila się na samo wspomnienie. Nie chciała, żeby to była prawda, ale musiała się nad tym zastanowić.

Gdyby była szybsza, a Beaton i Calum wolniejsi, to teraz miałyby na rękach krew swojego ojca. Cały tragizm tej sytuacji polegał na tym, że Beaton, przy całej swojej podłości, miał więcej powodów do zabicia swojego ojca niż ona.

Głęboko w środku budził się w niej gniew przeciwko matce. Był też wielki ból, którego nie potrafiła znieść. Jeśli matka choć trochę ją kochała, to jej rozgoryczenie i tak zniszczyło całą tę miłość. Żadna prawdziwie kochająca matka nie zrobiłaby swojej córce tego, co Margaret Kirkcaldy zrobiła jej. Wychowała swoje jedyne dziecko po to, by poszło i zabiło człowieka! I to nie jakiegoś tam człowieka, ale tego, z którego nasienia została poczęta. Z pewnością nigdy nie pomyślała, jaką krzywdę wyrządza tym córce.

Maldie zastanawiała się, co jeszcze z tego, co powiedział jej Beaton, mogło być prawdą, i zadrzała na myśl, że większość. Margaret nie chciała śmierci Beatona dlatego, że złamał jej serce, ani dlatego, że porzucił ją w biedzie i wstydzie, ale dlatego, że zranił jej próżność. To było straszne odkrycie o matce, ale im dłużej to rozpatrywała, tym wydawało jej się to prawdziwsze.

Za każdym razem, kiedy Margaret mówiła o miłości, o złamanym sercu, brzmiało to, jakby cytowała pieśni minstrelów. Był jakiś fałszywy ton w jej zapewnieniach o stracie miłości, ale Maldie powtarzała sobie, że była to tylko powściągliwość wobec osobistych i intymnych przeżyć. Jednak przez inne rzeczy, które matka mówiła jej o Beatonie, w oczywisty sposób przebijała jej zraniona próżność, obelga, jaką widziała w tym, że została odrzucona jak zwykła dziwka, i te opowieści zawsze brzmiały szczerze. Nawet gdy umierając, żądała, by Maldie przysięgła na życie, że zabije Beatona, mówiła o zranionej dumie i nienawiści, jaką czuła do niego za jego postępek względem niej. Maldie zdała sobie sprawę, że dopiero gdy zawahała się przed złożeniem takiej przysięgi, matka wspomniała o swym złamanym sercu.

Uzmysłowiła sobie też, że matka nigdy nie mówiła o tym, jak wielką zbrodnią było porzucenie dziecka. Dziewczyna niesłusznie założyła, że matka podzielała jej stratę i ból.

Kiedy Erie trącił ją łokciem, żeby zwrócić na niego uwagę, chętnie przyjęła tę przerwę w rozmyślaniach. Gniew i złość narastały. Dławiła się nimi, a nie był to dobry moment, żeby się z nimi zmierzyć, ani też z żadnymi innymi faktami, które tak długo ignorowała. Erie był jak lekarstwo na jej

poranione serce. Obchodziła go, nie miała co do tego wątpliwości. Nie było w nim najmniejszego fałszu.

- Jesteś zmęczona, Maldie? — spytał.

— Tak, do szpiku kości, ale nic mi nie będzie - odparła. - Wkrótce będzie po wszystkim. - Spojrzała w kierunku wioski, zadowolona, że nie widziała tam wielu śladów walki. — Mam nadzieję, że moja kochana Eleanor ukryła się bezpiecznie.

- Ta stara kobieta, u której mieszkałaś? - spytał James.

- Tak, a skąd o tym wiesz?

- Douglas nam powiedział.

Maldie wpatrywał się przez chwilę w Jamesa.

- Douglas jest człowiekiem Murrayów?

- Tak. Kiedy próbowałaś zabić Beatona i zostałam skazana na powieszenie, wrócił do Donncoill. Zbyt dużo się zmieniło i nie mógł już zbierać dla nas informacji. Jak mówił, żeby zginąć, wystarczyło odrobinę zaciekawienia sprawami dziedzica i jego poczynaniami.

- Tak było - zgodził się Erie. - Beaton powiesił wielu ludzi tylko dlatego, że myślał, że mogą być winni zdrady. Z tego, co słyszałem, niekiedy nie popełnili żadnej zbrodni, tylko zadali niewłaściwe pytanie lub usłyszeli coś, czego według Beatona nie powinni. Większość ludzi trzymała się z dala od Beatona i jego twierdzy.

Rzadko kto odważył się otworzyć przy nim usta. Douglas postąpił mądrze, uciekając, póki jeszcze się dało.

- Widzieliście tę statą kobietę, Eleanor? - spytała Maldie, zwracając na siebie uwagę Jamesa.

- Tak, a ona widziała nas - odpowiedział James. - Ostrzegłaś ją, prawda?

- Tak. Miałam nadzieję, że weźmie to pod uwagę i zrobi to bez szkody dla waszej sprawy. - Uśmiechnęła się z grymasem, patrząc, jak z murów Dubhlin-na unosi się dym. - Jestem pewna, że nie zaszkodziła wam w żaden sposób.

- Wcale, i jestem pewien, że udała się w bezpieczne miejsce. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że zgadła, że nie jesteśmy tu dla targowych wiktuałów.

- To dobrze. To słodka i dobra kobieta i bałam się o nią.

Mimo wszystkich starań Maldie nie mogła się powstrzymać od spoglądania w kierunku dogorywającej bitwy. Szukała Balfoura, a cień rozbawienia w oczach Jamesa powiedział jej, że on o tym wie. To było bez sensu, bo przecież wszystko, co ją połączyło z tym człowiekiem, już wkrótce

zostanie brutalnie przerwane. Mimo wszystko chciała go zobaczyć, chciała widzieć na własne oczy, że przeżył bitwę, że mógł się cieszyć zasłużonym zwycięstwem.

- Pójdę poszukać tego naszego niemądrego pana - oświadczył James, spoglądając znacząco na Maldie. - Nie wierzę, że ostał się jeszcze jakiś Beaton zdolny do walki.

- Calum powiedział, że zostawił swego pana walczącego z twoim - powiedziała mu Maldie.

- Cóż, ta konfrontacja powinna się już dawno skończyć - mruknął James, marszcząc czoło i ruszył z powrotem do twierdzy.

- Balfour nie przegrałby z Beatonem, prawda? - zapytał Erie Nigela, głosem osłabionym przez troskę.

- Nie - odpowiedział bez wahania Nigel.

- Jeśli Calum powiedział prawdę, to walka z Beatonem albo trwała bardzo długo, albo...

- Nie ma żadnego albo, chłopcze. Balfour pokonał Beatona. Może bawi się z nim. A może Calum kłamał. A może Balfour i Beaton mieli sobie dużo do powiedzenia, zanim zaczęli walczyć. Czas trwania walki nie determinuje tego, kto wygra, kto przegra. Uwierz mi, chłopcze, Beaton nie miał szans z naszym bratem.

Maldie patrzyła, jak James znika w otwartych bramach Dubhlinna, i modliła się, żeby Nigel miał rację. Dzieliła z Erikiem jego obawy. Do tej chwili Beaton powinien już ponieść klęskę, a tymczasem Balfoura nie było znikąd widać. Była pewna, że po dzisiejszym dniu nigdy więcej nie zobaczy Balfoura, ale nie chciała, żeby powodem stała się jego śmierć.

Rozdział 19

- Murray, ty sukinsynu! - ktoś wrzasnął chrypliwym głosem i Balfour zamarł.

Z łatwością go rozpoznał. Był to ten sam głos, którym ubliżał mu z murów Dubhlinna, kiedy po raz pierwszy próbował odbić Erica i poniósł tak sromotną klęskę. Beaton podszedł do niego od tyłu i Balfour wyczuł niebezpieczeństwo.

Odwrócił się szybko z mieczem gotowym do ciosu. Był zdziwiony, że Beaton w ogóle się odezwał, że nie rzucił się po prostu na niego i go nie zadźgał. To powinna być jego pierwsza myśl, kiedy podszedł do niego odwróconego tyłem, ale najwyraźniej był zbyt rozwścieczony, żeby myśleć jasno. Nie było w tym nic dziwnego, skoro zobaczył, jak wszystko, co w życiu stworzył, wali się na jego oczach, ale ten gniew mógł go kosztować życie.

Beaton zatrzymał się o krok od niego i zerwał z siebie osłonę, jaką dawała przyłbica.

Balfour nie mógł ukryć i opanować szoku, jakiego doznał. Ostatni raz, kiedy go widział, Beaton stał wysoko na murach Dubhlinna i Balfour nie był w stanie zobaczyć tego, co choroba zrobiła z jego twarzą. Wyglądało to tak, jakby ten człowiek się rozpadał. W pierwszym odruchu Balfour chciał się cofnąć z obawy, że zarazi się rą chorobą, ale opanował sttach. Nikt poza Beatonem nie cierpiał w

Dubhlinnie na tę chorobę, mimo że Beaton walczył z nią już od trzech lat. To znaczyło, że nie można się nią po prostu zarazić. Wierzył też w takich sprawach Maldie. Powiedziała Douglasowi, że to tylko jakieś schorzenie skóry, gdyby było zaraźliwe, to uprzedziłaby Douglasa i wszystkich innych. Skoro nie dała takiego ostrzeżenia, to Balfour uznał, że Beaton cierpiał na coś, co było jego osobistym przekleństwem, na coś, czego nie można było uleczyć ani przenieść na innych.

- Przyszedłem po mojego brata - powiedział Balfour, przyglądając się uważnie Beatonowi, bo ten znany był z tego, że nie walczył czysto.

- Masz na myśli mojego syna?

- Mam na myśli syna mojego ojca. Lata temu wyrzuciłeś chłopaka, jakby był

ochłapem z twojego stołu. Nie masz do niego prawa. Zaprzeczyłeś temu i wyrzekłeś się go już dawno.

- Był to poważne niedopatrzenie, które zamierzam teraz naprawić.

- Nikt w to nie uwierzy. - Balfour wzruszył ramionami, widząc, jak Calum wymyka się z sali i zostawia Beatona, by sam zmierzył się ze swoim przeznaczeniem. - Nie ma to żadnego znaczenia, bo i tak wkrótce umrzesz.

- To powolne gnucie, które widzisz, jeszcze mnie nie zabiło.

— Nie, ale nie mam zamiaru zostawić cię żywego, teraz, kiedy cię znalazłem.

Popełniłeś już ostatnią zbrodnię wobec moich ludzi.

Balfour zorientował się, że Beaton zdał sobie sprawę, że jest sam. Nieznaczna bladość, jaka wystąpiła na jego twarz, gdy zobaczył, jak Calum go opuszcza, sprawiła, że wyglądał na jeszcze bardziej chorego, jego twarz zrobiła się prawie szara. Przez jedną krótką chwilę Balfour zastanawiał się, czy to w porządku walczyć z kimś w takim stanie. Podnoszenie miecza na ewidentnie chorego rycerza uznawano za niehonorowe. Potem przyjrzał się ruchom Beatona i uświadomił sobie, że niezależnie od tego, jak tamten źle wygląda, to w jego ciele nadal drzemie siła i prawdopodobnie zachował niektóre dawne umiejętności. Nadal mógł go zabić, a tylko to się teraz liczyło.

— A nie zapytasz o tę małą dziwkę? - drażnił się, drwiąc, Beaton. Zaczęli się okrążyć.

— Jeśli próbujesz wzbudzić we mnie gniew obelgami pod adresem Maldie, to oszczędzę ci jeszcze śmierci, nie zmusisz mnie do głupich posunięć. I tak nie pożyjesz już długo, a dasz mi tylko więcej powodów, by cię zabić.

— Może, mój chełpliwy przyjacielu, ale to ja cię zabiję.

— Staniesz ze mną twarzą twarzą? I nikt nie będzie ci pomagał? Nie sądzę. Od jak dawna pozwalasz innym za siebie walczyć, Beatonie? Albo inni robili to za ciebie, albo przychodziłeś w ciemności jak zdrajca, od tyłu. Szybko można stracić swoje umiejętności, jeśli się ich nie ćwiczy.

Balfour zdał sobie sprawę, że Beaton nie potrafi już tak panować nad emocjami jak dawniej. Jego twarz nabrała ciemnoczerwonego koloru, podkreślającego groteskowo rany i strupy. Beaton był prawdopodobnie zbyt zaślepiiony furią w poczuciu przegranej, by zdawać sobie sprawę, że odkrywa swoje słabości. Jaśniej, niż gdyby to wyraził słowami, pokazał Balfourowi, że można go sprowokować do pospiesznego działania i że będzie łatwiej go zabić.

— Mogłeś wygrać tę bitwę, Murray, ale zadbam, byś nie zaznał słodkiego smaku zwycięstwa, ani tych dwoje, których przyszedłeś uratować.

To było trudne, ale Balfour zignorował niezbyt wysublimowaną groźbę. Los Maldie i Erica leżał mu na sercu, a obawa o nich skręcała mu wewnątrz, ale przyjął i odebrał pierwszy niepewny cios Beatona. Siła uderzenia uzmysłowiła mu, że musi uważać i skoncentrować na Beatonie całą uwagę. Jego dawne umiejętności mogły zaśnieść, a spore emocje zmącić osąd, ale nadal stanowił poważne zagrożenie.

Jedyne, na co mógł liczyć, to że Beaton kłamał, a jeśli nie, to że odnajdzie brata i kochankę, zanim morderczy plan dziedzica Dubhlinna zostanie wcielony w życie.

Pojedynekowali się zacięcie i w milczeniu. Balfour cieszył się, że Beaton potrzebował tylu sił do walki i nie starczało mu ich na żadne sztuczki. Był dumny z tego, jak potrafił kontrolować emocje, jak skoncentrował wszystkie uczucia i uwagę na jednym celu - na zabiciu Beatona.

Balfour szybko zorientował się, że wygra pojedynek, jeśli jakieś okrutne zrządzenie losu albo interwencja jednego z ludzi Beatona mu w tym nie przeszkodzi. Beaton miał nadal siłę i umiejętności, ale coraz wyraźniej słabł. Czy to z powodu choroby, czy też przez to, że zbyt długo cedował walkę na innych, szybko się męczył. Jego ciosy stawały się coraz mniej celne.

Koniec przyszedł w rozczarowujący sposób. Beaton potknął się, próbując zrobić unik. Odstłonił się tym samym na szybkie i śmiertelne uderzenie. Balfour nie wahał

się, by skorzystać z tej okazji, i wbił miecz głęboko w pierś Beatona. Pattząc, jak mężczyzna upada, czuł więcej niż ulgę, że już było po wszystkim i że teraz może zacząć szukać tych, których przybył uratować. Beaton od tak dawna był ich wrogiem, że Balfour zdziwił się, jak mało uczuć wzbudziła w nim jego śmierć.

Uznał jednak, że nie ma czasu na rozważanie własnych doznań.

Wytarł miecz o kilt Beatona. Zauważył bezwiednie, że zbroja Beatona była zużyta.

Mimo że gromadził od lat dobra, obdzierając z nich swoich ludzi, to nie wydawał

zbyt dużo na broń i zbroję, która mogłaby ich ochronić. Beaton liczył na wysokie i grube mury Dubhlinna, za którymi się ukrywał. To wyjaśniało, dlaczego tak łatwo wygrali bitwę po tym, jak udało im się dostać do środka.

- Cóż, teraz jesteś tylko trupem, na którego od tak dawna wyglądałeś - wymamrotał, wstając i rozglądając się dookoła.

Kilku walczących jeszcze Beatonów zobaczyło śmierć swojego pana lub usłyszało o niej. Jak tylko mężczyzna upadł, podniósł się krzyk. Balfour wątpił, żeby ludzie chcieli walczyć dalej, a przynajmniej nie dla Beatonów. Skoro większość mieczy w Dubhlinnie to byli najemnicy, wyrzutkowie i wyjęci spod prawa, to mogli bardziej bać się pojmania niż śmierci. Bitwa dobiegała końca.

Kiedy szedł w kierunku twierdzy, zatrzymał się nad jednym z poważnie rannych Beatonów. Pochylił się, złapał go za koszulę, odwrócił i uniósł lekko z ziemi.

- Gdzie są więźniowie? - spytał, chcąc się upewnić, że sprawy nie zmieniły się, odkąd Douglas opuścił Dubhlinn.

- Którzy? - spytał tamten słabym głosem zachrypniętym od bólu, ale nadal pełnym obawy przed śmiercią.

- Kobieta, którą chciał powiesić, i chłopiec, którego próbował ogłosić swoim synem, bo sam nie potrafił spłodzić własnego - wypalił Balfour, potrząsając mężczyzną.

- Nie możecie pozwolić człowiekowi umrzeć w spokoju?

- Nie i jeśli umrzesz, zanim powiesz mi to, co chcę wiedzieć, to pójdę za tobą do piekła, żeby wydrzeć ci z gardła tę odpowiedź!

- W lochach, przeklęty! - Ranny jęknął, kiedy Balfour opuścił go na ziemię.

- Kto jest z nimi? - Balfour miał przez chwilę poczucie winy, że tak twardo potraktował rannego rycerza. Potem przyjrzał mu się uważnie i uznał, że mimo poważnych ran nie umrze.

- Jeden strażnik.

Balfour zrobił krok nad rannym i wszedł do twierdzy. Trzymał miecz w gotowości, ale nie spotkał nikogo, z kim musiałby walczyć. Prawdę mówiąc, w ogóle nie spotkał nikogo i zdał sobie sprawę, że swoim atakiem z zaskoczenia odniósł większy sukces, niż się tego spodziewał, tak całkowity, że nikt nie miał czasu zorganizować obrony wewnątrz twierdzy. Kiedy wszedł do wielkiej sali, zobaczył drzwi, o których opowiedział mu Douglas. Wszystkie obawy o Maldie i Erica zaczęły go dławić. Nie myśląc o swoim bezpieczeństwie, rzucił się do drzwi, otworzył je i zbiegł po stromych schodach.

Kiedy oparł się o chłodną ścianę lochów, otarł rękawem pot z czoła. Wywalczył

sobie dojście do twierdzy, bez zastanowienia rzucił się do podziemi, a wszystko po to, by znaleźć tam oszołomioną służącą i jęczącego strażnika, którzy powiedzieli mu, że Erie i Maldie pobili ich, unieszkodliwili, zamknęli i uciekli. Balfour zostawił

w lochach tych dwoje, ignorując ich utyskiwania nad podłymi charakterami Erica, Maldie i jego samego, i pobiegł z powrotem na górę. Kiedy znalazł się jednak w wielkiej sali, zatrzymał się i nie wiedział, co dalej robić. Był tak pewien, że znajdzie w lochach Maldie i Erica, że rozczarowanie

kompletnie zbiło go z tropu.

Nie wiedział też, gdzie jest James, Douglas i Nigel. Kiedy zaczęła się bitwa, nie zwracał uwagi na nic innego, jak tylko na to, by jak najszybciej znaleźć się w twierdzy, w lochach, gdzie jak wszyscy utrzymywali, przetrzymywani byli jego bliscy. Klnąc pod nosem, wyszedł z sali. Wiedział, że mogli minąć się o krok, że spóźnił się zaledwie o trochę. Jedyne pocieszenie, jakie znajdował, że uciekli przed Beatonem. Nie wiedział jednak, dokąd i jak, jeśli im się udało. Ucieczka przez sam środek zażartej bitwy nie należała do najłatwiejszych.

Nagle zobaczył leżącego przy głównym stole człowieka i zmarł. Był tak pochłonięty myślami o Maldie i Ericu, że przestał zwracać uwagę na wroga. Ten mężczyzna nie żył, ale powinien był przynajmniej zauważyć jego ciało, być świadom tego, co to może oznaczać. Wnętrze twierdzy wyglądało na opuszczone, ale z pewnością nie było zupełnie bezpieczne. Balfour zastanawiał się, kto zabił tego człowieka, i miał nadzieję, że nie był to ani jego młodszy brat, ani Maldie. Żadne z nich nie było na tyle twarde, żeby potraktować zabicie człowieka jako zwykłą konieczność, nieodzowną część bitwy i walki o przetrwanie. I nigdy nie powinno tak być, pomyślał ze wstrętem, bo uważał, że powinien tam być i ich chronić.

- Balfourze! - ktoś zawołał od drzwi znajomym głębokim głosem.

- James, nie myślałem, że kiedyś tak się ucieszę na twój widok! - krzyknął Balfour, kiedy James podszedł i stanął obok trupa.

- Twoja robota?

- Nie. Mam tylko nadzieję, że to nie Maldie ani Erie go zabili. — Zmarszczył się, kiedy zobaczył na twarzy Jamesa grymas. - Widziałeś ich? Pobiegłem do lochów tylko po to, że dowiedzieć się, że sami sobie poradzili.

- Tak, uciekli.

- Są ranni?

- Nie. Calum próbował dopilnować, żeby nie uszli z Dubhlinna żywi, ale skończyłem z nim - James zaśmiał się nagle. - Przypadkiem na nich trafiłem. Twoja dziewczyna stała tam, próbując unieść miecz, który był większy od niej, i zasłaniała sobą Erica. Jak na tak drobną kobietę ma w sobie dużo odwagi.

- Próbowwała walczyć z Calumem?

- Próbowwała wydostać siebie i chłopca na wolność. Widziałeś Beatona? Czy też temu obślizgłemu tchórzowi udało się umknąć sprawiedliwości, na którą tak sobie zasłużył?

- Właśnie posłałem Beatona do diabła.

- A, to dlatego walki się skończyły.

- Tak, i w takim razie nie musimy do nich wracać. To dobrze. Gdzie są Erie i Maldie?

Balfour pragnął ich zobaczyć, sprawdzić na własne oczy, że nie są ranni. Dopóki tego nie zrobi, jego zwycięstwo nie będzie kompletne, nie odetchnie, nie będzie mógł uwierzyć, że wygrał. Wszystko poszło zbyt łatwo, zbyt duże było ich powodzenie, trudno było mu uwierzyć w zwycięstwo odniesione tak małym kosztem.

- Nie powinni byli być do tego zmuszeni - mruknął, trącając martwe ciało nogą. —

Maldie nie powinna nigdy być zmuszona do podniesienia miecza.

- Chłopie, nie możesz cały czas stać na straży nad wszystkimi - powiedział James. -

Umarłbyś z braku snu.

Balfour się zaśmiał.

- Nie jestem całkowicie bez winy w tym wszystkim, ale tak, masz fację. Nie mogę cały czas wszystkich pilnować, nie mogę wiedzieć o wszystkich niebezpieczeństwach czających się za rogiem. Nie bój się. Nie zamierzam przywdziać włosiennicy, czuję tylko trochę wyrzutów sumienia.

- Niech więc to zwycięstwo je uciszy.

- Łatwiej mi to przyjdzie, jeśli będę mógł zobaczyć brata i Maldie.

- Chodź ze mną, chłopcze. Zostawiłem ich bezpiecznych na wzgórzu, razem z paziami i końmi, jest też z nimi twój niemądry brat Nigel.

- Nic mu nie jest? - spytał Balfour, gdy wychodzili na dziedziniec.

- Nie, jest tylko zmęczony. Nadal nie ma tylu sił, żeby stawać do bitwy. Jak tylko jego ludzie nie potrzebowali już nadzoru i jasne było, że szale zwycięstwa przechyliły się na naszą korzyść, to wycofałem go z bitwy.

- Podejrzewam, że nie był zbyt zadowolony.

James uśmiechnął się, a Balfour skupił się na tym, co działo się na dziedzińcu i poza nim. Bitwa była faktycznie skończona. Jego ludzie rozbierali tych, którzy się poddali. Na dziedzińcu zaczęły się też pojawiać kobiety i dzieci. Krążyły wśród rannych i martwych, szukając swoich mężczyzn. Odgłosy żałoby i bólu podnosiły się z wielu miejsc i Balfour zaklął w duchu. Beaton nie pozostawił mu wyboru, ale współczuł dzieciom i kobietom, które straciły ojców, mężów, synów i kochanków.

Była spora szansa, że teraz, po śmierci Beatona, ich życie będzie lepsze, choć minie sporo czasu, zanim będą się z tego cieszyć.

- Nic nie możesz dla nich zrobić - mruknął James, kiedy zaczęli wspinać się na wzgórze, na którego szczycie czekali Maldie i Erie.

- Tak, wiem. Zawsze jednak ten ból odbiera zwycięstwu chwałę. Zastanawiam się też, co się teraz z nimi stanie. Nie możemy przejąć ich ziemi. Jest do niej zbyt wielu chętnych, a niektórzy z nich są w większych' łaskach u króla niż my.

- Nie może się im przydarzyć nic gorszego niż to, co spotkało ich z Be-atonem.

- Może władzę przejmie jeden z Beatonów.

- Chciałbym wierzyć, że nie wszyscy Beatonowie są tak przeżarci złem jak William.

Balfour pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Cała jego uwaga skupiona była na małej grupce ludzi na szczycie. Już za chwilę znów zobaczy Maldie. Ostatni raz, kiedy ją wdział, oskarżył ją o zdradę, o to, że jest sługą Beatona. Nadal zastanawiał

się, czy to dlatego przybyła do Dubhlinna, żeby zabić Beatona. Trudno było zgadnąć, dlaczego to zrobiła. Balfour bardzo mało rozumiał z zachowania Maldie, a wiedział o niej jeszcze mniej. Był jednak pewien, że nie będzie go witać z otwartymi ramionami.

Musi jednak jakoś zabrać ją do Donncoill. Potrzebował czasu, żeby ukoić ból po obrazach, jakie jej zgotował, czasu, by odzyskać jej względy. Nie mógł pozwolić jej odejść. Była dla niego zbyt ważna. Jeśli będzie musiał, zwiąże ją, zaciągnie z powrotem siłą i będzie ją trzymał, dopóki nie zgodzi się go wysłuchać.

Maldie patrzyła, jak Balfour wdrapuje się po zboczu. Poczula słabość i ulgę. Wygrał

w końcu walkę z Beatonem i żył już tylko po to, by się nią cieszyć. Tak bardzo pragnęła smakować z nim to zwycięstwo. Tymczasem będzie musiała mu powiedzieć rzeczy, które z pewnością odbiorą mu radość. Wszystko to było niesprawiedliwe. Nikt tak bardzo nie zasługiwał na śmierć jak Beaton i Balfour powinien być dumny z faktu, że uwolnił świat od takiego człowieka. Maldie nienawidziła siebie za to, co miała zaraz zrobić, za to, że popsuje tę radość. Poczula, że Erie wziął ją za rękę, i spojrzała na niego.

Chłopiec wyglądał na tak samo przygnębionego jak ona. Ścisnęła go za rękę. Ona miała stracić mężczyznę, którego kochała, ale Erie mógł stracić znacznie więcej.

Maldie wiedziała, że musi być silna za niego.

- Musimy mu powiedzieć - szepnął Erie, nie chcąc, by Nigel ani ktokolwiek inny usłyszał ich rozmowę. - Nie mogę dłużej czekać.

- Prawdopodobnie nie — zgodziła się. - Wygląda na szczęśliwego, właśnie pokonał

człowieka, który niszczył Murrayów przez trzynaście lat.

- Tak, a wieści od nas nie pozwolą mu się tym cieszyć zbyt długo. W pewnym sensie pokażą mu, że ta krwawa waśń oparta była na kłamstwie, że wielu Murrayów umarło na darmo. Jednak stanie się tak niezależnie od tego, kiedy mu powiemy. A jeśli będziemy zwlekać zbyt długo, może być tylko gorzej.

- Wiem o tym. Zastanawiałby się, czemu nie zrobiliśmy tego wcześniej skoro było jasne, że dowiedzieliśmy się o tym podczas pobytu w Dublinie - skrzywiła się. -

Przynajmniej o tym, kim ty jesteś. Ja ukrywałam swoją wiedzę bardzo długo, a nawet kłamałam, żeby ją ukryć.

- Może nie musimy mu wyjawiać wszystkich twoich sekretów.

- Musimy. Nie dowiedziałeś się o swoim pochodzeniu od wrózek. Kiedy Balfour pozna, w jaki sposób dowiedziałeś się o swoim ojcu, spojrz na mnie. Znamie, które nosimy, dowodzi nie tylko naszego powinowactwa, ale również odkrywa moje kłamstwa. A ja jestem już nimi znużona. Nie, musimy powiedzieć wszystko. Jeśli ujawnimy tylko część, to Balfour ma dość rozumu, żeby wydedukować resztę, a wtedy oboje staniemy się w jego oczach kłamcami.

Erie uśmiechnął się przelotnie, ale wyraz jego twarzy przepelniony był smutkiem.

- Prawdę mówiąc, rzeczywiście wolałbym, żebyśmy oboje powiedzieli całą prawdę.

W końcu jeśli mam być odrzucony przez nich z powodu swojego pochodzenia, to byłoby mi miło, żebyś i ty podzieliła mój los. To niezbyt dobrze o mnie świadczy, że tak czuję, ale obawiam się, że to prawda.

Uścisnęła krótko jego rękę w geście zrozumienia.

- To niezbyt poważny grzech. Nikt nie lubi być sam. Zaufaj mi, bo byłam sama przez większość życia.

- Ale tak już nie będzie — powiedział stanowczo.

Maldie była bardzo wzruszona, bo wiedziała, że Erie złożył tym samym obietnicę.

Nieważne, co się stanie; kiedy cała prawda wyjdzie na jaw, to ona nie będzie sama. On wiedział, kim była, poznał większość z jej smutnej przeszłości, wiedział dokładnie, jaki grzech zamierzała popełnić, przybywając do Dublinna, ale pozostał jej wierny. Czuła w głębi serca, że zawsze już tak zostanie, że zawsze będzie jej rodziną, trzeba tylko do tego przywyknąć. Nie była przyzwyczajona do takiej dobroci, takiej niezłomności.

- O czym tak sobie szepczecie, co? - spytał Nigel.

- Zastanawiamy się, co się stało z Beatonem - odparł Erie, nie będąc w stanie spojrzeć Nigelowi w oczy.

- Skoro nasz brat maszeruje w naszym kierunku, to zakładam, że Beaton nie żyje —

rzekł Nigel, uśmiechając się do Erica. — Jesteś pewien, że nie jesteś ranny? - spytał, kiedy Erie nadal na niego nie patrzył.

- Tak, nic nam nie jest, ani mnie, ani Maldie.

- Tym milej mi to słyszeć - powiedział Balfour, który w końcu dotarł do nich.

Balfour rzucił Maldie jedno spojrzenie, a potem złapał Erica w ramiona. Maldie wyczuła ogromne zmieszanie chłopca, gdy odwzajemniał ten uścisk. Eric kochał

swoich braci, nadal czuł z nimi pokrewieństwo i wiedział, że prawda wszystko może zniszczyć. To mógł być równie dobrze ostatni raz, kiedy się cieszył takim nieskrępowanym uczuciem ze strony ludzi, którzy go wychowali, i Maldie dzieliła jego ból. Musiała zwalczyć pokusę, żeby nie płakać, nie tylko z powodu bólu Erica, ale też z powodu bólu, który poczuła inni.

Zaczęła się zastanawiać, co oznaczają ukradkowe spojrzenia, jakie rzucał jej Balfour. Ciężko było zgadnąć, co kryło się za tymi prawie nerwowymi spojrzeniami w jej stronę. Była zbyt blisko Erica, a i jej własne emocje były w takim zmieszaniu, że czuła prawie mdłości. Nawet gdyby mogła wyczuć, co działo się w głowie i sercu Balfoura, to wątpiła, czy miała wystarczającą jasność umysłu, by to zrozumieć.

Biorąc pod uwagę wszystko, co zamierzała mu powiedzieć, była pewna, że nie chce doznać żadnego z uczuć, które te wiadomości w nim wywołają. Najbezpieczniej było zamknąć się całkiem na tego człowieka.

- Nic ci nie jest, Ericu? - spytał Balfour, stawiając młodszego brata i przyglądając się mu.

- Wszystko dobrze. Jestem tylko trochę poobijany - odpowiedział Eric, odsuwając się od Balfoura i stając obok Maldie, która powoli podniosła się i złapała go za rękę.

Balfour zmarszczył czoło na widok tej pary i zaczął się czuć nieswojo. Eric wyglądał na zażenowanego, jakby zrobił coś obrzydliwego. Maldie była smutna.

Zastanawiał się, ile powiedziała chłopcu z tego, co między nimi zaszło. Eric miał

wielkie poczucie sprawiedliwości i równie dobrze mógł być bardzo zły na oskarżenia, jakie jego brat skierował wobec dziewczyny.

- Widziałem mężczyznę, którego musieliście zabić - powiedział, zdecydowany nagle mówić o czymkolwiek. - Przykro mi, że musieliście to zrobić. Powinienem tam być, żeby was chronić.

- Nie możesz być wszędzie, Balfourze - powiedział delikatnie Eric.

- Ten człowiek nie stoczył chwalebnej bitwy, a właściwie nadział się na miecz, który trzymałem.

- Zawsze jest ciężko, kiedy przelewa się czyjąś krew po raz pierwszy.

- Wiem, ale to mnie nie przerażyło. Wiem też, że chciał zabić Maldie i gładka mowa nie starczyła, by odwieść go od tego planu. Albo on, albo ona i cieszę się, że to był

on.

- Ja również - powiedział cicho Balfour, patrząc na Maldie. Poczul się bardzo nieswojo, kiedy nie mogła czy też nie chciała spojrzeć mu w oczy.

- Dlaczego ten człowiek tak bardzo chciał cię zabić? - spytał.

- Winił mnie za klęskę, która go spotkała - odpowiedziała Maldie.

- Uznał, że pomagałam wam przedostać się za mury Dubhlinna, że dla was szpieguję.

Balfour się zachwiał.

- Sporo wycierpiałaś na skutek niesłusznych oskarżeń. Maldie wzruszyła ramionami.

- Zbyttno się staram, by pozostać obca. Trzeba się z tym liczyć, jeśli dokonuje się takiego wyboru. Wygrałeś pojedynek z Beatonem?

- Tak, łajdak nie żyje.

- W takim razie sprawiedliwość została wymierzona - mruknęła. Skrzywił się i przeczesał ręką mokre od potu włosy.

- Zaczynam myśleć, że jestem jedynym, który wie, że wygraliśmy tę bitwę.

- I ja to wiem - powiedział Nigel, wstał i przesunął się do Balfoura, nie spuszczać oczu z Maldie i Erica. Ściągnął brwi. - Zastanawiam się, co dolega tym dwojgu, że nie cieszą się ze zwycięstwa.

- Są rzeczy, o których musimy wam powiedzieć - powiedział Erie, stając i w końcu patrząc prosto w twarz braciom.

- Mogą chyba poczekać, chłopcze. Zaraz będziemy jechać z powrotem do Donncoill. Tam urządzimy wspaniałą ucztę i będziecie mogli opowiadać do woli.

- Po rym, co mam wam do powiedzenia, możecie nie mieć ochoty dzielić się ze mną chlebem.

- Ericu, jeśli nadal zamartwiasz się śmiercią Malcolma, to mówiłem ci już, że to nie twoja wina - powiedział Nigel. Zmarszczył twarz jeszcze bardziej, widząc, że to ani trochę nie rozprasza poważnego wyrazu na twarzy chłopca. — Obawia się, że mógł

zdradzić spojrzeniem, że rozpoznał naszego człowieka. Powiedziałem mu, że to nie wystarczyłoby, żeby Beaton skazał Malcolma, i że to próba ratowania go, którą podjął Malcolm, go wydała.

- Nigel ma rację - powiedział Balfour, zdając sobie sprawę, że to nie troski związane z Malcolmem martwiły chłopca.

- To nie śmiecć Malcolma mnie martwi - potwierdził Erie, a ten okrzyk bólu sprawił, że wszyscy przyjrżeli mu się uważnie, pełni zdziwienia. Westchnął i potarł kark.

- Zaczynasz mnie niepokoić, chłopcze - powiedział Balfour, próbując się uśmiechnąć i czując, że zupełnie mu się to nie udaje. - Co może być takiego strasznego w tym, co zamierzasz nam powiedzieć.

- Nie jestem Murrayem - oznajmił Erie czystym, mocnym głosem. - Przez te trzynaście lat wszyscy się myliliśmy. Wasz ojciec mógł sypiać z żoną Beatona, ale to nie on mnie spłodził. Jestem Beatonem.

Rozdział 20

Maldie nie widziała chyba nigdy wcześniej tak osłupiałych ze zdziwienia ludzi, jak wtedy Jamesa, Nigela i Balfoura. Oczywiście każdy z nich chciał krzyczeć i zaprzeczać, ale coś w nich samych kazało im milczeć. Zastanawiała się, czy wahali się, ponieważ myśleli, że może w tym być część prawdy, czy też z obawy, że chłopiec postradał zmysły podczas uwięzienia. Wkrótce stało się jasne, że woleliby wierzyć, że chłopiec oszalał.

- Nie, chłopcze, to Beaton chciał, żebyś w to wierzył - powiedział Balfour. - Jeśli nawet musiałby przekonać do swoich pomysłów całą resztę świata, to i ciebie chciał

do nich przekonać.

- Nie jestem bezmyślnym dzieckiem - powiedział Erie.

- Nie, oczywiście, że nie. Jednak byłeś w niewoli u tego człowieka przez bardzo długi czas. Nawet najmądrzejszy człowiek może w coś uwierzyć, jeśli mu się to wystarczająco często powtarza. Zwłaszcza jeśli brakuje głosu prawdy, żeby te kłamstwa zrównoważyć.

- Tak bardzo starasz się obrócić to, co mówię, w kłamstwo Beatona, że tylko utrudniasz mi wyjawienie całej prawdy. Jestem jak najbardziej świadom, że nikt nie chce tego przyjąć, a nawet tego, że mogę nie być więcej mile widziany w Donncoill.

- Nigdy nie będziesz niemiłe widziany — powiedział James.

- Jestem Beatonem. Wierzcie mi, kiedy mówię, że z całego serca chciałbym, żeby to nie była prawda, ale niestety tak jest. Spójrzcie na mnie. Nie mam w sobie żadnego rysu Murrayów. Wszyscy uznaliśmy, że jestem podobny do matki, ale zawsze uderzało mnie, że nie ma we mnie nawet cienia wyglądu ojca. Jestem jasny, a wy wszyscy ciemni. Jestem drobny, a żaden z was taki nie jest.

- Nie każde dziecko ma cechy obojga rodziców. U ciebie przeważają cechy matki -

powiedział Balfour.

W głosie Balfoura było napięcie, które kazało Maldie przyjrzeć mu się uważniej.

Uwierzył Ericowi. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie miał od zawsze wątpliwości, ale wolał je ukryć. Jeśli tak było w istocie, to modliła się, żeby przyczyną była miłość do Erica.

- Tak, ale miałem rację, że musi być we mnie jakieś podobieństwo do ojca -

powiedział Erie. - Może to jakoś przeczuwałem. Nie wiem, nie wiedziałem i nie obchodziło mnie to. A potem znalazłem to znamię.

Balfour nagle spojrział na nią i Maldie wiedziała już, że przypomniał sobie, dlaczego jej znamię wydawało mu się znajome.

- Tak, ten znak.

- Ty też jesteś z Beatonów?

- Tak. Beaton był człowiekiem, który wziął do łóżka moją matkę, a potem ją opuścił, człowiekiem, który ściągnął ją do bagna, w którym umarła.

- Ale zamierzałaś go zabić.

- Tak. Dlatego tu przybyłam. Na swoją zgubę. To jest nawet powód, dla którego pozwoliłam się zabrać do Donncoill. Włóczyłam się wokół Dublinna przez tygodnie i nigdy nie udało mi się zbliżyć do człowieka, którego przysięgłam zabić.

Chciałam, żeby był martwy. Myślałam, że mogę wykorzystać was i waszych ludzi, by się do niego zbliżyć. Miałam nadzieję, że w ten sposób zyskam szansę, której nie miałam w pojedynkę.

— Ale dziewczyno, dlaczego miałabyś mordować własnego ojca? - spytał James, kiedy Balfour nie odzywał się, tylko stał i na przemian wpatrywał się w nią i Erica.

— Ponieważ moja matka kazała mi przysiąc, że to zrobię, kazała mi złożyć przysięgę krwi - uśmiechnęła się słabo wobec ich zaszokowania. - Matka nienawidziła Beatona, odkąd ją opuścił. Stało się tak z powodu urażonej próżności i dumy. Myślałam, że to przez miłość albo wstyd, ale tak nie było. Jedyna rzecz, jaką zyskałam podczas pobytu w lochach Beatona, to jasność umysłu, bolesną, ale jednak. Matka wychowała mnie po to, żebym była jej bronią przeciwko człowiekowi, który ją poniżył.

— Czy inni mężczyźni jej nie poniżali? - spytał Nigel, a jego spojrzenie było pełne współczucia, jakie tak bardzo pragnęła ujrzeć w oczach Balfoura.

- Tak, poniżali. Prawdopodobnie nigdy nie zrozumiem, dlaczego uważała, że Beaton był gorszy od innych, ale tak było. A ja byłam dzieckiem Beatona. Myślała, że nie ma lepszej broni przeciwko niemu, jak jego własne ciało i krew. Może nawet chciała mnie ukarać za to, że przeżyłam narodziny

— Maldie zadrzała. — Nie ma to teraz większego znaczenia. Pochowałam ją i przybyłam wprost tutaj, żeby zabić mojego ojca, zgodnie z przysięgą. Proszę was o wybaczenie, ale starałam się was wszystkich wykorzystać.

— Obawiam się, że to ja stałem się przyczyną tego bolesnego odkrycia

— powiedział Erie, delikatnie ściskając jej dłoń. - Jak to mam w zwyczaju, zadałem kilka pytań, nie wiedząc, jakie mogą być tego konsekwencje.

- Odkrycie to było już nazbyt długo odkładane - wyszeptała Maldie.

— Wszystko, co zrobiłeś, to kazałeś mi spojrzeć na fakty, które aż nazbyt długo ignorowałam. Prawda, którą odkryłam przed tobą, była dużo trudniejsza do zniesienia.

— Jak wygląda to znamię? — spytał Nigel. - Wielu z nas ma jakieś znamiona na ciele. Nie musi to koniecznie oznaczać, że jesteśmy spokrewnieni.

— Jest zbyt oczywiste, zbyt charakterystyczne, unikatowe, żeby mieć wątpliwości

— powiedział Erie, zdejmując swoją koszulę i pokazał wszystkim znak w kształcie serca na łopacie.

— Maldie wiedziała, kim jest i kto zostawił na niej to piętno. Matka szybko powiedziała jej zbyt dużo na ten temat. Nie ma wątpliwości, co ono oznacza.

Nigel skrzywił się, rzucając zmartwione spojrzenie wciąż milczącemu Balfourowi.

- Może twoja matka była daleką krewną Beatona i odziedziczyłeś je po niej.

- Gdybym był jedynym, który je nosi, to może pomogłoby to nam uspokoić obawy, ale nie wyjaśniło, skąd Maldie ma swoje, prawda? Nie, to jest dowód na to, że jestem synem Beatona, jego prawowitym dziedzicem, choć trzeba by oczywiście to udowodnić. Człowiek, którego zabiliśmy, też o tym wiedział.

- A Beaton?

- Nie, gdyby tak było, to nie czekałby tyle czasu, żeby mnie dorwać. George, ten człowiek, którego zabiłem, powiedział, że to on zostawił mnie na wzgórze, żebym umarł. Zanim to zrobił, zajrzał z ciekawości, czy mam znamię, a wiedział, że Beaton ma takie na plecach. Zawsze znał prawdę, ale trzymał ją w tajemnicy, licząc, że nadejdzie czas, kiedy będzie mógł coś nią ugrać. Kiedy się pomyśli, jak Beaton pożył syna, to nic dziwnego, że regularnie sypiał ze swoją żoną. A kiedy się pomyśli o tym, jak bardzo był okrutny, to nie powinno dziwić, że nie mogła go przed tym powstrzymać. W ten sposób zostałem poczęty. - Erie wziął głęboki wdech, zanim zaczął mówić dalej. - Odkryłem też, że sam Beaton zabił moją matkę i położną. Nie chciał, żeby przypominały mu o czymś, co uznał za swoją hańbę. Co do starego George'a, to dobrze się złożyło, bo tylko on mógł powiedzieć Beatonowi prawdę. Tak więc nie tylko muszę zaakceptować fakt, że nie jestem Murrayem, tylko Beatonem, ale też że mój ojciec zamordował moją matkę i próbował usilnie zgładzić także i mnie.

- Beaton był łajdakiem, który rozsiewał nieszczęście, gdziekolwiek poszedł -

powiedział James, występując naprzód i przytulając Erica. W geście współczucia poklepał też Maldie po ramieniu. - Wygląda też na to, że wysłał Grizel, żeby zabiła twojego ojca, znaczy twojego zastępczego ojca.

- Ludzie się zbierają i muszą się zastanawiać, czemu nie ruszamy do domu -

powiedział Nigel, rozglądając się wokoło, a potem wziął Balfoura za ramię i potrząsnął nim lekko. -

Powinniśmy wracać do Donncoill.

- Tak, powinniśmy - zgodził się Balfour. Objął sztywno Erica i odszedł do koni.

- Wszyscy — zawołał za nim Nigel.

- A tak, koniecznie wszyscy.

- Nie - powiedziała Maldie, potrząsając głową. - Myślę, że byłoby lepiej, gdybym udała się w innym kierunku.

- Dziś już jest za późno, żebyś szła gdzie indziej. Nie masz też żadnych zapasów -

sprzeciwił się Nigel, ciągnąc ją do swojego konia.

- Ale po wszystkim, co wam powiedziałam, nie myślałam, że będziecie chcieli, żebym dotrzymała wam towarzystwa.

- Nie, nie myślałaś, że ten nadąsany rycerz, który właśnie odjeżdża, będzie chciał

twojego towarzystwa. — Nigel wskazał głową w kierunku oddalającego się szybko Balfoura i posadził Maldie na swoim siodle. - Ale on nie jest jedynym mieszkańcem Donncoill. - Usiadł na siodle za nią i rzucił uśmiech Ericowi, który jechał obok nich na koniu Jamesa.

- Nie uważam, żeby to było w porządku - powiedział Erie. - Balfour nie napluł na mnie, ale i nie powitał mnie z powrotem.

- To nonsens, chłopcze - powiedział James. — Objął cię.

- To było tak, jakby mnie zanurzył w lodzie. Nie zaakceptował tej wiadomości.

Może ja i Maldie powinniśmy zostać tutaj.

- Nie. Powinniście być pod ręką, żeby Balfour mógł z wami pomówić, kiedy otrząśnie się z szoku.

- To jest właśnie bardzo dobry powód, żeby nie być w jego zasięgu — mruknął Erie.

Nigel uśmiechnął się i sięgnął ręką, żeby potargać gęste, jasne włosy chłopca.

- Przeżył ciężki szok. Nie wiem, czemu te wieści uderzyły go aż tak bardzo, bardziej niż nas, chociaż mam kilka pomysłów. Ale to nic, dojdzie do siebie.

- Nawet jeśli, to nie zmieni to faktu, że jestem Beatonem, nie Murrayem.

- Jesteś Murrayem. Może nie z krwi i nie z pochodzenia, ale ze wszystkiego innego

— powiedział stanowczo Nigel, a James pokiwał głową w geście gorącego zapewnienia. - Wychowywaliśmy cię przez trzynaście lat jako swojego. Czy naprawdę myślisz, że moglibyśmy cię

ot, tak odrzucić? Nadal jesteś tym samym maleństwem, które James znalazł na wzgórzu, porzuconym na pastwę losu. Nadal jesteś synem kobiety, którą nasz ojciec kochał, o ile ten niestały w uczuciach łobuz kochał jakąkolwiek kobietę. Nic z tego nie uległo zmianie. Czy naprawdę myślałeś, że przez te trzynaście lat nie przyszło nam choć raz do głowy, że nie jesteś bękartem naszego ojca?

- Nic mi nigdy nie powiedzieliście.

- Oczywiście, że nie. Taka myśl, jeśli przyszła nam do głowy, to tylko przelotnie i nie miała większego znaczenia.

- Dlaczego więc Balfour jest taki zmartwiony?

- To akurat, mój chłopcze, ma chyba niewielki związek z tobą, obawiam się —

mruknął Nigel.

Maldie oblała się rumieńcem, kiedy wszyscy trzej spojrzeli na nią. Takie zainteresowanie było jednym z powodów, dla których nie chciała jechać do Donncoill, ale Nigel miał rację. Było już za późno, żeby jechać gdzie indziej. Kiedy dojechali do Donncoill, było już prawie ciemno, a to było najbliższe miejsce, do którego mogła się udać, oprócz domku Eleanor. Jeśli leż miała podróżować gdzieś dalej, potrzebnych jej będzie kilka rzeczy. Pewnie nie będzie w porządku btać cokolwiek od Murrayów po tym, jak ich tak podle zdradziła, ale zrobi to. Mały uszczerbek na dumie będzie łatwiejszy do zniesienia niż głód i zimno. Przez całą drogę powrotną do Donncoill Balfour się nie pojawił. Kiedy doiarli do twierdzy, on wycofał się do swojej sypialni. Ku niezadowoleniu Maldie została zaprowadzona do tej samej sypialni, z której uciekła, raniąc tak boleśnie Jennie.

Strasznie mi przykro, że cię uderzyłam - powiedziała Maldie, wchodząc do komnaty. - Musiałam się jakoś stąd wydostać.

Jennie westchnęła, popatrzyła w sufit, a potem w końcu zdobyła się, by spojrzeć na Maldie.

- To bolało, wie panienka. Nadal mam siniaki. - Wskazała na żółtawy siniak na swojej bródce. - A biedny Duncan ukrywał się przed panem przez dwa dni. Nadal schodzi mu z drogi.

- Musiałam wydostać się z Donncoill. - Maldie westchnęła i potrząsnęła głową. - O

wszystkim wkrótce usłyszysz. Jestem tego pewna. I wątpię, żebyś pomyślała wtedy o mnie lepiej, niż kiedy wszyscy uważali, że zdradziłam Murrayów. Jednak uwierz mi, proszę, że jest mi przykro, że cię uderzyłam.

- Cóż, tak przypuszczam. Jednak jeśli uzna panienka, że musi znów opuścić Donncoill, proszę mnie nie wzywać.

Maldie zachwiała się, kiedy służąca wyszła, zamykając ciężkie drewniane drzwi.

Podeszła do łóżka i rzuciła się na nie, patrząc bezmyślnie w sufit. Nawet jeśli nie zostanie długo w Donncoill, to miała poczucie, że będą to całe wieki.

Kiedy Balfour dawał jej tę samą komnatę, mógł mieć na myśli wiele rzeczy. Maldie wiedziała, że nie powinna się nad nimi zbyt zastanawiać. Może po prostu potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć. Powiedziała mu rzeczy, które były bardzo trudne do przyjęcia. Nigel i James przyjęli to i zrozumieli, może i Balfour to przyjmie. Po jakimś czasie jakoś sobie wszystko poukłada. Dał jej tę komnatę. Może jak trochę ochłonie, sam do niej przyjdzie. Kiedy jej serce zaczęło bić z nadziei i wyczekiwania, uznała, że czas pomyśleć o czymś innym. Balfour mógł dać jej tę sypialnię dlatego, że to była jedyna wolna komnata, jaką dysponował.

Cierpiała, i to nie tylko z powodu męczących doświadczeń ostatnich dni. Była bardzo poobijana, ale nie całe cierpienie brało się z ciała. W pewnym sensie straciła matkę. Prawda, której musiała stawić czoła, pozbawiła ją ostatnich iluzji. Nigdy tak naprawdę nie miała matki, mieszkała tylko z kobietą, która niechętnie ubierała ją i karmiła, wychowując na morderczynię. Maldie

uznała, że zniszczyłoby to ją bardziej, gdyby już wcześniej tego nie podejrzewała.

Poza tym była jeszcze kwestia ojca, mężczyzny, którego planowała zabić. Mimo że była zadowolona, że jej ręce nie splamiły się tym grzechem, to cieszyła się z jego śmierci. Matka mówiła o nim zawsze jak o oszuście i uciekinierze, ale on był

znacznie gorszy. Zasługiwał na śmierć z wielu innych powodów niż tylko urażona próżność Margaret Kirkcaldy. Ciężko jej było się z nim spotkać, zobaczyć na własne oczy tego diabła, który ją spłodził.

Głęboko w sercu bała się, że i w niej może tkwić zło. Maldie podejrzewała, że i Erie może mieć podobne obawy. Wiedziała, że upłynie sporo czasu, zanim przestanie podejrzliwie przyglądać się każdej podejmowanej przez siebie decyzji, zastanawiać, czy jakaś mała skaza nie naznacza jej myślenia i tego, co robi. Nieważne, jak często powtarzała sobie, że nie musi się stać taka jak jej ojciec. Minie jednak naprawdę sporo czasu, zanim będzie potrafiła uwierzyć, że to, iż powstała z jego nasienia, wcale nie oznacza, że musi być do niego w najmniejszym choćby stopniu podobna.

Poza tym był Balfour, pomyślała i lzy wypełniły jej oczy. A raczej Balfoura nie było. Poczekaj tu trochę, ale obawiała się, że to tylko strata czasu. Nigdy nie wróci do jej łóżka, nawet z daleka nie będzie chciał jej widzieć. Nie zdradziła go w sposób, o jaki ją podejrzewał, ale i tak to zrobiła. Okłamała, a potem chciała go wykorzystać do swoich planów. Maldie była pewna, że nie było to coś, co taki dumny mężczyzna mógł łatwo wybaczyć. Poczekaj tu jednak, w tej komnacie, w której dzielili tyle wspólnych chwil. Niezwykle trudno było zabić nadzieję.

Nawet delikatne światło świtu kłuło Maldie w oczy, kiedy wyjrzała przez okno. Nie spała, ledwo zdrzemnęła się kilka razy przez całą noc. Balfour nie przyszedł do niej.

Jedyną osobą, którą widziała, to Jennie, która przyniosła jej posiłek i pospiesznie wyszła. Fakt, że dostała jedzenie do komnaty i nie została zaproszona, by zjeść z innymi w wielkiej sali, mówił sam za siebie. Teraz nie było już sensu czekać dłużej.

Włożyła płaszcz, podniosła małą paczkę, którą przygotowała podczas tej długiej nocy, i wymknęła się przez korytarz do komnaty Nigela. Nie zdziwiła się, kiedy zastała tam zaspanego Erica, który dzielił wspólny poranny posiłek z Nigelem wyglądającym na równie zmęczonego. Oni również nie

wyglądali na szczególnie zdziwionych jej pojawieniem się.

- Poddajesz się szybciej, niż przypuszczałem — mruknął Nigel.

- Nie będę biła głową o kamienną ścianę - powiedziała Maldie.

- Maldie, ale poczekaj jeszcze trochę - nalegał Erie.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Czy Balfour nie jest wart odrobiny cierpliwości? Maldie zorientowała się, że Nigel powiedział chłopcu więcej niż ona

sama i więcej, niż powinien wiedzieć. Rzuciła Nigelowi ostre spojrzenie, ale on uśmiechnął się słabo i wzruszył ramionami. Miała zamiar przyjść i krótko się pożegnać, ale od razu zorientowała się, że ten plan się nie powiedzie. Nigel i Etic uważali, że powinna zostać, nie mieli też zamiaru zachować tej opinii dla siebie i pozwolić jej po prostu odejść. Postawiła swoją torbę, przesunęła Erica na ławie, usiadła i wzięła sobie kawałek chleba, który Nigel i Erie ze smakiem pochłaniali.

- Skoro zamierzacie zagadać mnie na śmierć, to wezmę sobie ostatni posiłek -

wymamrotała.

Erie przewrócił oczami i wziął duży łyk cydru.

- Wiesz, że tak robią tchórze.

- W takim razie dodam tę kolejną do długiej listy moich wad. Mogę być tchórzem tak samo łatwo, jak byłem kłamcą.

- Maldie, nie miałaś innego wyjścia, jak kłamać. Jeśli od początku powiedziałaś wszystkim prawdę, to spędziłabyś cały ten czas w lochach Donncoill. Nikt by cię nie słuchał i nikt by ci nie uwietzył, nieważne, jak często powtarzałabyś im, że nigdy nie pomogłabyś Beatonowi. Jesteś jego córką. Tylko to brano by pod uwagę.

- Dla Murraya sam pomysł, że mogłabyś skrzywdzić albo zabić kogoś ze swoich bliskich, byłby po prostu niewiarygodny.

- W takim razie moje kłamstwa można wytłumaczyć. Ale to teraz bez znaczenia. To oczywiste, że nie można ich zaakceptować, nie można zaakceptować mnie!

- Nie, nie wierzę w to! - Etic złapał ją za rękę. - Ja zostałem zaakceptowany.

Wszyscy teraz wiedzą, że jestem synem Beatona. To był dla nich oczywiście szok, ale nic więcej. Miałaś rację. Dla wszystkich tutaj jestem po prostu Erikiem. Jak powiedział James, zmieniło się tylko to, że stałem się synem adoptowanym. Dla większości ludzi nie ma to większego znaczenia.

Pocałowała go w policzek.

- Cieszę się twoim szczęściem, Ericu, ale nasza sytuacja trochę się różni. Nie wychowałam się tutaj. Nie byłam członkiem tej rodziny przez trzynaście lat.

Pojawiłam się na drodze do Dublina i ukrywałam przed wszystkimi prawdę dla własnych celów. A jeśli przypomnisz sobie, że moim celem było zamordowanie ojca, to już zupełnie nie ma się czym chwalić.

- To rzeczywiście może być dla wielu trudne, ale biorąc pod uwagę, jakim człowiekiem był Beatón, to wątpię, żeby mieli cię potępić w czambuł - powiedział

Nigel. - Poza tym poszłaś uratować Erica i zrobiłaś to.

- Nie. Prawdę mówiąc, wystawiłam go na większe niebezpieczeństwo, zabierając go z lochów. Nic by mu się tam nie stało do końca bitwy, nawet jeśli jakimś cudem Beatonowie by wygrali, a ich pan zginął. Beatón chciał mieć Erica żywego i wszyscy o tym wiedzieli.

- Jesteś zbyt skromna. Może dlatego tak szybko uwierzyłaś, że nikt nie wybaczy ci czegoś, co jest drobnym przewinieniem.

- Drobnym? - zaśmiała się i potrząsnęła głową. — Wcale nie drobnym. Wiesz lepiej ode mnie, że twój brat nienawidzi kłamstwa, a ja rzadko mówiłam mu prawdę.

Nawet kiedy spytał mnie wprost, kiedy próbował mnie nakłonić, bym powiedziała coś, co by mu pomogło odrzucić podejrzenia, nic mu nie wyjawiałam. Chciał mi wierzyć, a ja mu to utrudniałam.

- Skoro naprawdę uważasz, że twoje przewinienia są aż tak poważne, to dlaczego zakładasz, że powinien się z nimi rozprawić w ciągu jednej nocy?

- O, to mądre pytanie - powiedziała, wstając. - Może Erie ma rację, może jestem zwykłym tchórzem. Byłam dzielna tylko przez jedną noc. Im dłużej musiałabym czekać, aż Balfour ze mną pomówi, tym bardziej byłabym przekonana, że nie będę potrafiła znieść tego, co ma mi do powiedzenia.

Erie czule ją przytulił.

- Proszę, Maldie, daj mu jeszcze jedną noc. Pogłaskała jego loki i delikatnie uwolniła się z jego ramion.

- Nie, nawet jednej chwili.

- Jesteś upartą dziewczyną — powiedział Nigel.

- Bardzo upartą.

- Dokąd pójdziesz? — spytał Erie.

- Nie jestem pewna.

- Idź do swoich ktewnych — poradził jej Nigel.

- Beatonów?

- Nie, głupia — odpowiedział ze śmiechem, widząc jej zachmurzoną twarz. — Do Kirkcaldych.

- Och, nie! Nie mogę tam pójść.

- A to dlaczego? Nigdy ich nie spotkałaś, prawda?

- Cóż, nie spotkałam, ale za to słyszałam o nich aż za dużo - powiedziała. Nagle poczuła, że jest coś, czego nie wzięła pod uwagę i że Nigel zaraz jej to uświadomi.

- Tak? A kto ci o nich opowiadał?

- Matka — szepnęła.

- Nie chcę zwiększać twojego bólu, dziewczyno, ale tym razem może ci to wyjść na dobre. Twoja matka cię okłamywała i wykorzystwała. Nie uważasz, że niektóre z tych kłamstw mogły też dotyczyć jej własnej rodziny? Może powiedziała ci, że wszyscy są łajdakami bez serca, nie wiedzą, co to przebaczenie, a z twojego życia zrobią piekło, ponieważ ona sama nie miała odwagi wrócić i stanąć przed nimi. Czy istniał

lepszy sposób na to, żebyś przestała o nich pytać, niż taki, żeby cię przekonać, że nie są nic warci?

Maldie poczuła pulsowanie w głowie. Potarła skronie. Myślała o tym, co powiedział

Nigel, jednocześnie próbując opanować narastający ból głowy.

Dziwne, że zawsze, kiedy myślała o matce i o tym, co zrobiła, zaczynała ją boleć głowa.

Nigel miał rację, wiedziała o tym. Nie musiała się nawet specjalnie nad tym zastanawiać. Złościło ją tylko, że sama o tym nie pomyślała. Prawda była okrutna, ale miała sens. Jej matka uważała, że została zhańbiona, i duma nie pozwoliła jej wrócić do rodziny. Woląa klepać biedę i żyć w poniżeniu, niż wrócić do swoich bliskich.

- W jej zapatrywaniach mogła być odrobina prawdy - powiedziała w końcu. -

Nieślubne dziecko nie zawsze jest mile widziane.

- Tb prawda, ale nigdy się nie przekonasz, dopóki nie pójdziesz tam i nie sprawdzisz. Nie znam Kirkcaldych, ale też nie słyszałem o nich niczego złego.

Myślę, że zasługują na to, żebyś dała im szansę.

- Możliwe - przyznała niechętnie. - To jest przynajmniej jakiś cel, wcześniej nie miałam żadnego.
- To dobrze. Uważam, że to nie będzie aż takie trudne, jak myślisz.
- Nie? Jeśli mnie przyjmą, to będę im musiała powiedzieć o ich krewnej, a to nie jest miła histofia. Moja zresztą też nie. Prosisz mnie, żebym po raz kolejny przechodziła przez mękę opowiadania tych wszystkich okropnych historii. Myślę, że to może być bardzo, bardzo trudne.
- Jak już powiedziałem, nie dowiesz się tego, dopóki nie pójdziesz do nich.
- Masz wybór - powiedział Erie. - Możesz zostać tutaj. Maldie potrząsnęła głową.
- A jaki to wybór? Nie, pójdę do Kirkcaldych.
- Ale prześlesz nam kilka słów, jak sobie poradziłaś? - spytał Erie.
- Tak, prześlę, i zaufaj mi, Nigelu Murray, jeśli nie masz racji, to będą to przykre słowa.

Zaśmiał się. Maldie pożegnała się pospiesznie, całując obu w policzek, i wymknęła się z komnaty. Droga do bram Donncoill była torturą. Każdy krokznaczony był

obawą przed spotkaniem z Balfourem, przed konfrontacją z tą głuchą nienawiścią, którą musiał teraz czuć. Kiedy w końcu niezauważona minęła bramy, była zdziwiona, że nie czuje się ani trochę lepiej.

- I gdzie się wybierasz, dziewczyno?

Głęboki głos tak ją przeraził, że prawie upuściła tobolek. Próbując się uspokoić, odwróciła się powoli i spojrzała gniewnie na Jamesa. Nie miała pojęcia, skąd się tu wziął. Rozglądała się przecież, ale nikogo nie zauważyła.

- Najpewniej do grobu, jeśli jeszcze kilka razy tak się przestraszę — odparowała.

James uśmiechnął się i spytał: — Dokąd pójdziesz?

- Odwiedzić Kirkcaldych.

- Dobra decyzja.

- Co takiego? Nie próbujesz mnie zatrzymać?

— Cóż, przypuszczam, że nikt nie jest cię teraz w stanie odwieść od twych planów, skoro nawet Nigel i Erie nie mogli cię zatrzymać.

— Wiesz, że z nimi byłam? Jesteś bardzo przebiegłym człowiekiem, Jamesie.

Bardzo przebiegłym.

— Idź i dbaj o siebie, dziewczyno. Nie podoba mi się, że będziesz się włóczyć sama, ale robisz tak

od dawna, więc postaram się o ciebie nie martwić. Musisz się spotkać z klanem Kirkcaldych. To ważniejsze, niż zostać tutaj.

— Może masz rację, James. - Pocałowała go w policzek i uśmiechnęła się, kiedy się zaczerwienił.
— Uważaj na siebie.

— Niech Bóg będzie z tobą, dziewczyno.

W drodze Maldie starała się nie myśleć o tym, jak łatwo wszyscy pozawalają jej odejść. Mogło być tak, jak mówili — że powinna się zobaczyć z klanem Kirkcaldych, a nie dlatego, że nie widzieli szans na jej związek z Balfourem. Albo gorzej, może jej tam nie chcieli, żeby przypadkiem nie próbowała go odzyskać.

Odrzuciła tę myśl. To było z jej strony nieuczciwe. Nikt poza Balfourem nie pokazał, że trudno mu było zaakceptować prawdę o niej. Przeciwnie. Zaakceptowali ją i wybaczyli. Równie dobrze mogli wysłać ją w drogę, żeby nie doznała kolejnego miłosnego zawodu ze strony Balfoura.

Trudno będzie pozbyć się go z głowy i z serca. Kochała go bardziej, niż mogła to pojąć. Odejście z Donncoill i utrata wszystkich szans na bycie z nim odbierały jej ochotę do życia, ale nie mogła zawrócić. Jeśli Balfour naprawdę jej pragnie, to nie będzie mu trudno ją znaleźć. Zastanawiała się, czy to dlatego James, Nigel i Erie wysyłali ją do Kirkcaldych. Skarciła się, że jest taka naiwna. Teraz powinna myśleć tylko o jednym. Musi bezpiecznie i szybko dostać się do swoich krewnych. Będzie jeszcze czas, żeby poradzić sobie z tym bólem.

Rozdział 21

Gdzie ona jest? — Balfour zażądał wyjaśnień od trzęsącego się ze strachu strażnika. - Znowu ją wypuściłeś?

Duncan jęknął i przewrócił oczami. Rzucił jedno długie spojrzenie na złego Balfoura i szybko cofnął się o kilka kroków.

Nie wiem - wyjęczał, a potem odwrócił się i zaczął uciekać. - Nie widziałem jej.

Balfour zaklął i przeciągnął rękami po włosach. Biedny Duncan odmówi wkrótce stania na straży czegokolwiek.

Balfour nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego nigdzie nie może znaleźć Maldie.

Nie wiedział nawet, czy ma się martwić czy złościć. Wyglądało na to, że odeszła od niego kolejny raz, ale dlaczego?

Odwrócił się i odszedł w kierunku twierdzy. Musiał się zobaczyć z Nigelem. Bolało go to, ale wiedział, że Maldie nadal łatwiej jest rozmawiać o pewnych rzeczach z Nigelem, a teraz i z Erikiem niż z nim. Całą długą noc i prawie cały dzień zastanawiał się nad wszystkim, co mu powiedziała. Teraz był już gotowy z nią pomówić. Zaczął się jednak obawiać, że czekał zbyt długo. Być może Maldie zdecydowała, że nie chce już o tym rozmawiać. A może wyznanie prawdy i odejście od

początku było jej zamierzeniem?

Kiedy Balfour wszedł do komnaty Nigela, natychmiast się zorientował, że będzie musiał na kilka chwil odłożyć rozmowę o Maldie. Nigel leżał rozciągnięty na łóżku i cicho rozmawiał z Erikiem, który z kolei siedział na brzegu łóżka, w jego nogach, oparty o kolumnę. Ostrożne spojrzenia, jakie obaj na niego skierowali, sprawiły, że poczuł się w pewnym sensie zawstydzony. Uczucie zmieszania spotęgowało się, kiedy po pierwszym spojrzeniu Erie opuścił wzrok i zaczął przyglądać się na swoim dłoniom.

Balfour wiedział, że samolubnie pogrążony we własnym nieszczęściu nie poświęcił

chłopcu wystarczającej uwagi. Wszystko, w co Erie wierzył, na czym się opierał, zostało mu odebrane. Dobrze by było, aby wiedział, że jego pochodzenie nie miało znaczenia. Balfour czuł, że ten sztywny uścisk, jakim obdarzył chłopca, zanim wyruszył spod Dubhlinna do Doncoill po tym, jak Maldie powiedziała mu te wszystkie okropne rzeczy, to było stanowczo za mało. Chłopiec potrzebował

zapewnień i dowodów akceptacji.

Balfour podszedł do łóżka i objął Erica za szczupłe ramiona. Z żalem wyczuł pewną sztywność u chłopca, ale miał nadzieję, że uda mu się wszystko wyjaśnić.

- Wygląda na to, że nas obu los ukarał ojcami - powiedział Balfour.

- Twój ojciec przygarniał ludzi. Mój ich zabijał — odpowiedział Erie nieco bardziej rozluźniony.

- Chłopcze, każdy klan i każda rodzina ma swoje nieślubne dzieci. Wiesz dobrze, że większość Murrayów także je ma. Słyszałeś wszystkie te historie. Zdarza się, że coś lub ktoś zatruje komuś duszę i myśli, a wtedy człowiek staje się zły.

- Złe nasienie.

- Tak niektórzy o tym mówią. Być może istnieje coś takiego. Większość ludzi staje się jednak zła z czasem. Wszyscy wiemy, kto ukształtował Beatona.

- Jego ojciec - skrzywił się Erie. - A Beaton go za to zabił. Balfour był tak zszokowany, że się cofnął.

- Beaton zabił swojego ojca?

- Jestem pewien, że i ja, i Maldie mówiliśmy o tym - Erie wzruszył ramionami. —

Może nie przy tobie, już nie pamiętam.

- A może po prostu nie słyszałem. Mało do mnie docierało po tym, jak usłyszałem, że Maldie jest córką Beatona, a ty jego synem. - Zmarszczył czoło. - I że Maldie próbowała zabić swojego własnego ojca.

- Myślisz, że jaki ojciec, taka córka? Nie! Maldie to raczej dowód na to, że czasem ktoś albo coś człowieka skrzywi. W tym wypadku to była jej matka. Maldie nie jest taka jak Beaton - powiedział stanowczo Erie.

- Wiem to, chłopcze, i mógłbym jej to powiedzieć, gdybym tylko wiedział, gdzie ona jest. — Balfour zastygł, kiedy nagle Nigel i Erie odwrócili oczy. - Gdzie ona jest? — zażądał wyjaśnienia.

- Dlaczego przypuszczasz, że powinniśmy wiedzieć, gdzie ona jest? — spytał Nigel, splatając ręce za głową.

Balfour stanął przy łóżku i spojrzał spode łba na drażniącego się z nim Nigela.

- Gdzie ona jest?

- A ja mam do ciebie takie pytanie: dlaczego życzysz sobie ją znaleźć?

- Żeby z nią porozmawiać, oczywiście.

- Ach, oczywiście. Zajęło ci całą noc i cały dzień, żeby wymyślić, co masz jej do powiedzenia. Nie przypuszczałem, Balfourze, że twój umysł jest taki powolny.

- Nigelu — mruknął Erie, obserwując z napięciem dwóch starszych braci. — Nie powinieneś tak pogrywać.

- Chcesz mi popsuć zabawę, chłopcze? — spytał, uśmiechając się blado.

- Tak, tym razem tak.

- Uciekła z Donncoill, prawda? - powiedział Balfour, czując się nagle wyczerpany i pokonany.

- Tak - odpowiedział Nigel. - Odeszła dzisiaj rano. Poszła spotkać się ze swoim klanem, Kirkcaldymi.

- Alf zawsze mówiła, że oni jej nie chcą.

Tak mówiła jej matka, ale przecież jej po trzykroć przeklęta matka nie bardzo przejmowała się prawdą. Maldie zdecydowała się pójść do nich i dowiedzieć się, jaka ta prawda jest.

A więc wszystko skończone - szepnął Balfour. Pragnął w tym momencie zostać sam, ale wiedział, że nie może po prostu uciec. Pokazałby w ten sposób, jak gotące uczucia żywił do Maldie. Podejrzał, że obaj bracia doskonale wiedzieli, co czuje, ale nie zamierzał im tego demonstrować.

- Skończone? - Nigel usiadł wyprostowany, rozcierając nogę, gdyż nagły ruch sprawił, że przeszył go ostry ból. - Dziewczyna poszła poznać swoich krewnych i to sprawia, że wszystko skończone?

- A co twoim zdaniem znaczy?

- Ze nie mogła już dłużej czekać, aż zdecydujesz, czy podoba ci się to, co ci powiedziała, czy nie.
- Nikomu nie mogło się podobać to, co mi powiedziała. Nigel zaklął.
- Złe słowo. Czy zaakceptujesz, wybaczysz, zrozumiesz? Te lepiej ci pasują?
- Potrzebowałem czasu, żeby to przemyśleć. Dlaczego tak trudno to zrozumieć?
- Nam nie trzeba było więcej niż parę chwil. Jak twoim zdaniem odebrała fakt, że ty potrzebowałeś aż doby? Kochasz tę dziewczynę, ale niewiele o niej wiesz, prawda?
- A skąd mam wiedzieć więcej, skoro niczego nie chciała mi o sobie powiedzieć? A te kilka rzeczy, które powiedziała, były kłamstwem.
- Nie wszystkie - powiedział Erie, stając w obronie Maldie.

Balfour westchnął i potarł kark. Naprawdę nie chciał o tym mówić. Buzujące w nim uczucia sprawiały mu ból. Chciał odejść, schować się w swojej komacie jak skarcone dziecko i lizać rany.

- Dokonała wyboru. Jedna noc to nie tak długo, jeśliby naprawdę obchodziło ją, co czuję i myślę. Mogła przynajmniej przyjść i powiedzieć mi, że odchodzi, skoro tak bardzo interesowały ją moje uczucia. Nie zrobiła tego. Po prostu się wymknęła. -

Ruszył w kierunku drzwi. - Pytaliście, co mogło znaczyć dla niej moje długie milczenie. Więc? Jesteś mądrym człowiekiem, Nigelu, jak myślisz, co oznacza dla mnie jej odejście?

Erie zadrżał, kiedy Balfour zatrzasnął za sobą drzwi.

- Czy to już koniec?
- Nie - odpowiedział Nigel. - To znaczy, że potrzeba jeszcze kilku mądrych rozmów, zanim rzuci się za nią w pogoń.
- Myślisz, że Maldie na niego poczeka?
- Tak. - Nigel uśmiechnął się smutno. - Dłużej, niż by tego chciała.

- Cóż, mam nadzieję, że dobrze zgadliśmy, co do Kirkcaldych. Maldie potrzebuje ich akceptacji, ich przyjęcia, to jej ulży w bólu, kiedy będzie czekała, aż Balfour odzyska rozum.

Maldie trzymała kurczowo swój tobołek i rozglądała się po wielkiej sali w siedzibie klanu Kirkcaldych. Przejście przez wielką bramę rodzinnego domu jej matki było najtrudniejszą rzeczą, jaką w życiu zrobiła. Teraz stała przerażona, w obawie, że za kilka minut zostanie przez nie wyrzucona. W głębi serca wiedziała, że jej matka kłamała na temat swoich krewnych, podobnie jak w wielu innych sprawach.

Możliwe więc, że Maldie miała spaczony obraz tych ludzi. Ale mogło się też zdarzyć, że raz w życiu

Margaret była całkowicie szczeta. To właśnie sprawiło, że Maldie drżała teraz jak osika.

Człowiek przy bramie spojrzał na nią tak surowym wzrokiem, że zaczęła się denerwować. Nie wahał się jednak spełnić jej prośby, gdy powiedziała, że chce rozmawiać z jego panem. Było to trochę dziwne. Ktoś powinien ją przynajmniej zapytać, o czym chce z nim mówić. Zastanawiała się, czy łatwość, z jaką uzyskała pozwolenie, by wejść, wynikała stąd, że miała takie same zielone oczy i czarne włosy jak wielu ludzi wokół. Kiedy zobaczyła tyle podobieństw między sobą a strażnikami przy bramie, miała wrażenie, że wraca do domu. Szybko jednak odrzuciła tę myśl. Dopóki nie porozmawia z bratem swojej matki, nie chciała sobie niczego wyobrazić.

Do sali wszedł wysoki mężczyzna. Popatrzył na nią uważnie i zajął miejsce przy głównym stole. Miał ze sobą tylko jednego człowieka. Niższego i szczuplejszego, który cały czas trzymał dłoń zaciśniętą na rękojeści miecza. Jeszcze więcej zielonych oczu i czarnych włosów, pomyślała. Wyższy z mężczyzn wykonał gest w jej stronę i Maldie podeszła do stołu.

- Jesteś z klanu Kirkcaldych? - spytał.

- Jesteście, panie, dziedzicem? - Starła się stać prosto, żeby ukryć swój strach.

- Tak - odpowiedział, uśmiechając się blado. - Jestem Colin Kirkcaldy. Czy jestem tym, którego szukałaś?

- Tak - powiedziała pewnym tonem. - Jestem Maldie Kirkcaldy, nieślubna córka Margaret Kirkcaldy.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w nią z otwartymi ustami. Colin zbladł, rozejrzał się wokoło, a potem skupił całą uwagę na niej.

- Gdzie jest Margaret? - spytał.

- Umarła ostatniej zimy.

- Wyglądasz jak ona, jak Kirkcaldy.

- Wyglądam jak Kirkcaldy, ponieważ jestem jedną z was.

- A twój ojciec?

- Bearon z Dubhlnna, ale jego także nie zobaczycie. Zginął kilka dni temu z rąk Balfoura Murraya, pana na Donncoill.

Ku jej zaskoczeniu Colin zachichotał.

- Masz też ostry język Kirkcaldych. Usiądź tutaj, dziewczyno. Po mojej prawej.

Thomasie, przynieś nam wina - rozkazał towarzyszącemu mu mężczyźnie.

- Jesteś pewien? - spytał Thomas. - Zostaniesz sam.

- Myślę, że potrafię się obronić przed tym drobnym dzieckiem - powiedział, zaciągając Colina, a kiedy Thomas wyszedł, znów zaczął przyglądać się Maldie. —

Nie przyszedł, żeby mnie zabić, prawda?

- Nie, ale jeśli wszystko to, co opowiadała mi o was matka, jest prawdą, to może powinnam to rozważyć.

Rozparł się w swoim ogromnym zdobionym krześle i potarł brodę.

- A co takiego powiedziała ci o nas moja siostra?

Maldie wzięła głęboki wdech, a potem opowiedziała wszystko, co Margaret mówiła jej o swojej rodzinie. Wściekłość, jaka malowała się na twarzy jej wuja, sprawiła, że zaczęła się trochę niepokoić. Wyraz jego oczu dowodził jednak, że jej matka kolejny raz kłamała. Jej wuj nie wyglądał tylko na zezłoszczonego, ale też na dotkniętego i obrażonego. Kiedy Thomas wrócił z winem i zobaczył zmartwienie na twarzy Colina, spojrział na Maldie.

- Spokojnie, chłopie - powiedział Colin, popychając go delikatnie w stronę krzesła i nalał im wszystkim wina. Powtórzył wszystko, co opowiedziała Maldie. Thomas wyglądał na równie rozwścieczonego.

- Wygląda na to, że Margaret nie zmieniła się do końca swoich dni - mruknął Colin.

- Jeśli uwierzyłaś w to wszystko, to dlaczego tu jesteś?

Maldie wzięła duży łyk wina, żeby opanować emocje. Coś w głosie Colina, kiedy mówił o tym, że siostra nic się nie zmieniła, powiedziało jej, że i on musiał się kilkakrotnie nią rozczarować. To, co zamierzała mu jednak powiedzieć, nie było zwykłą wadą ani szaleństwem wybujałej dumy. Nie mogła nawet zgadnąć, jak zareaguje, a nawet czy jej uwierzy. Kusiło ją, żeby nic nie mówić, ale wiedziała, jaka jest cena za ukrywanie prawdy. Wzięła jeszcze jeden głęboki wdech i powiedziała im wszystko.

Sporo czasu upłynęło, zanim Colin się odezwał.

- Nie wiem, co wzbudza we mnie większy gniew. To, jak cię okłamała i potraktowała, czy to, że chciała, byś zabiła swojego ojca. Chyba jednak to ostatnie.

Maldie zadrżała.

- Nie zrobiłam tego.

- Próbowалаś.

- Tak, próbowałam - skrzywiła się. - Chociaż nie wiem, czy robiłam to dla niej.

Teraz to nie ma znaczenia. Ten człowiek nie żyje i zasługiwał na śmierć. Zginął nie z mojej ręki.

Odprawię pokutę za swój zamiar.

- Ten, który powinien odprawiać pokutę, jest niestety poza wszelką szansą zbawienia. Nigdy nie rozumiałem mojej siostry, nie rozumiałem, skąd wzięła się jej próżność. Była piękna i może zbyt dużo ludzi jej to powtarzało. Nie wiem.

- Pocieszam się tym, że czasami ludzie robią rzeczy, których nikt nigdy nie zrozumie. Pozwala mi to nie martwić się tym zbyt.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Jest jedna rzecz, którą musisz wiedzieć. Nigdy nie odmówilibyśmy ci schronienia.

Gdyby moja siostra zadała sobie trud, by poświęcić uwagę czemukolwiek innemu niż lustro, to zobaczyłaby, że nie brakuje u nas dzieci bez ojców, a kilku z nas jest też za to odpowiedzialnych. Z pewnością dzieci nie są winne.

- Tak, ale te dzieci nie mają Beatona za swojego ojca.

- Nie ma dla nas znaczenia, kim jest twój ojciec. On cię nie wychował. I niezależnie od tego, jak głupia była kobieta, która cię wychowała, to zdaje się, że wyrosłaś na rozsądną osobę.

Maldie się zaśmiała.

- Rozsądną? Spędziłam kilka miesięcy na planowaniu, jak wbić sztylet w serce swojego ojca.

- Cóż, wszyscy mamy małe chwile szaleństwa. Potrząsnęła głową.

- Miałam więcej niż kilka - mruknęła, myśląc o Balfourze.

- Teraz, kiedy wróciłaś tu, gdzie twoje miejsce, możesz mi wszystko o tym opowiedzieć.

- Jesteś pewien? Masz tylko moje słowo, że jestem córką Margaret.

- Wszystko, co mi powiedziałaś, ze smutkiem muszę to przyznać, przypomina mi moją siostrę. Historia o twoim poczuciu też zgadza się z tym, co na ten temat wiem.

Jest jeszcze ostatni dowód. Taki, który dają mi moje oczy. Jesteś córką Margaret.

Prawda, Thomasie?

Thomas pokiwał głową.

- Nie ma wątpliwości.

- W takim razie, witaj w domu, dziewczyno.

Maldie westchnęła i spojrzała pustym wzrokiem daleko ponad wysokie mury siedziby jej wuja.

Została w pełni zaakceptowana przez swoją nową rodzinę, i to z radością. Mimo jej przeszłości, mimo tego, co zrobiła czy też próbowała zrobić, klan Kirkcaldych był naprawdę szczęśliwy z jej obecności. Przebywała tutaj już od dwóch tygodni, otoczona wygodą i serdecznością. Powinna być szczęśliwa jak nigdy, ale nie była. Kiedy rozstawała się z rodziną, kiedy zostawała sam na sam ze swoimi myślami, smutniała. Cały ból, który tak bardzo starała się zignorować, nasilał się. Mimo to ciągle szukała samotności, co zupełnie nie miało sensu.

- Za kim tak tęsknisz, dziewczyno? — spytał wuj, opierając się o ścianę tuż obok niej.

A dlaczego przyszło ci do głowy, że za kimś tęsknię? Mam pięćdziesiąt trzy lata.

Widziałem już w życiu trochę tęsknot. Sam jej doznałem, oplakując swoją żonę, niech Bóg ma w opiece jej duszę. Tęsknisz. I gdybym lubił hazard, to założyłbym się, że tęsknisz za panem na Donncoill.

Mildie starała się nie pokazać, jak bardzo jest zdziwiona. Próbowała prześledzić w pamięci wszystko, co powiedziała wujowi, zastanawiając się, kiedy mogła się wydać, ale to było niemożliwe. Możliwe, że wydała się choćby przez to, w jaki sposób wypowiadała imię Balfour. Możliwe też, że wuj po prostu zgadywał.

Westchnęła raz jeszcze. Wiedział czy zgadywał, to bez znaczenia. Potrzebowała kogoś, kto by jej wysłuchał. Mimo że przez większą część życia była sama, sama też rozwiązywała swoje problemy i leczyła swoje rany, to z tym nie potrafiła sobie poradzić.

- Może to prawda - powiedziała w końcu. - Ale to bez znaczenia.

- Jesteś pewna? — spytał delikatnie.

- Nie ma go tutaj, czy się mylę?

- Nie, ale to nie świadczy o tym, czy to ważne. Jak wyglądały sprawy, kiedy wyjeżdżałaś?

- Nie najlepiej. Poklepał ją po ramieniu.

- Dlaczego nie opowiesz mi po prostu tego wszystkiego od początku? To pomoże rozjaśnić umysł. Mogę nawet zobaczyć coś, czego ty nie widzisz, bo serce ci na to nie pozwala.

Było w tym wystarczająco dużo racji, by skłonić Maldie do zwierzeń. Jeśli istniał

choćby cień szansy na to, że wuj mógłby jej pomóc, to zaryzykowałyby nawet jego dezaprobatę wobec tego, jak źle postąpiła.

Kiedy skończyła opowiadać, zobaczyła jednak na twarzy Colina wściekłość.

Zacząła się zastanawiać, czy nie przekreśliła właśnie tego serdecznego przyjęcia, jakim cieszyła się przez ostatnie dwa tygodnie.

- Obawiam się, że poszłam w ślady matki - wymamrotała. - Przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Nie, nie dlatego jestem zły. Zastanawiałem się tylko, jak szybko będę mógł dotrzeć do Donncoill, żeby zabić tego pana. - Przyjrzał się Maldie z bliska, widząc, że zbladła.

- Nie! - wykrzyknęła. - Nie możesz tego zrobić.

- Dlaczego nie? Zhańbił cię, prawda?

- Nie uznałabym tego za... hańbę — powiedziała. Jej głos zadrżał, kiedy wypowiadała to słowo. Wiedziała, że wszyscy inni tak to widzieli. - Myślałam po prostu, że mogłabym być...

- Kim? Mężczyzną? Myślałaś, że możesz zasmakować przyjemności, kiedy masz na to ochotę, i odejść? - Uśmiechnął się przekornie, biorąc kilka głębokich wdechów, by utrzymać kontrolę nad gniewem, jaki wzbudził w nim Balfour. - Masz mocniejszy kręgosłup moralny niż wielu znanych mi mężczyzn, ale nie jesteś mężczyzną. Sprawiedliwe to czy nie, kobieta nie może spać z każdym mężczyzną, który wzbudzi w niej gorące uczucia. Nie, jeśli chce zachować dobre imię. A jeśli nie jest w sercu dziwką, to nie może tego zrobić bez poniesienia pewnej ceny, bez szkody dla siebie. Czy tak było i w twoim przypadku?

- Cóż, tak... może trochę tak. - Spojrzała na niego zagniewana, kiedy zaczął się śmiać. — No już dobrze, to był wielki ból. Tak, myślałam, że mogę cieszyć się tą namiętnością, a potem odejść — zarumieniła się trochę. - To była olbrzymia namiętność, więc pomyślałam, dlaczego nie? Chciałam choć przez chwilę poczuć się dobrze.

Objął ją.

- Nikt nie zasługuje na to bardziej niż ty. Chciałbym tylko, żebyś więcej myślała o konsekwencjach.

- Myślałam o konsekwencjach, ale w tym czasie myślałam też o zabiciu Beatona.

Sądziłam wtedy, że nie przeżyję wypełnienia obietnicy danej matce, więc jakie znaczenie mogły mieć konsekwencje? To nie wina Balfoura, że czułam więcej niż namiętność - dodała cicho.

- Nie, ale to jego wina, że pozwolił ci jej zasmakować. Nie mogłaś poczuć jej sama.

On ją w tobie zobaczył, wiedział, że ją czujesz, i poczęstował się nią.

- Nie, to nie było tak. - Opowiedziała mu o obawach Balfoura, że postąpi jak jego lekkomyślny ojciec. - Był równie niepewny, co ja. Miałam nadzieję, że będzie z tego coś więcej i to była głupota. Balfour jest człowiekiem, który głęboko wierzy w prawdę, a ja niespecjalnie byłam szczerą podczas mojego pobytu w Donncoill.

- Brzmi to tak, jakbyś nie spodziewała się, że przyjedzie tu za tobą.

- Nie. Miałam tylko nadzieję, że powiesz mi coś, co pomoże mi ptez-stać na niego czekać.

Colin uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- To akurat musisz zrobić sama. Nie ma maści na złamane serce.

- Mówią, że czas leczy rany.

- Tak, ale zastanawiam się, czy ci, którzy tak mówią, cierpieli kiedykolwiek na tę chorobę.

Maldie się uśmiechnęła.

- Nie pomagasz mi.

- Przychodzą mi do głowy tylko dwie rzeczy, które mogę dla ciebie zrobić. Jedna to zabić łajdaka, a druga to iść po niego i zaciągnąć go tutaj, żeby się z tobą ożenił.

- To bolałoby mnie bardziej, niż gdyby został zabity, zwłaszcza gdyby został zabity przez mojego krewnego. Nie chcę żadnego mężczyzny, którego trzeba by zaciągać przed ołtarz siłą. Chcę tylko takiego, który pójdzie tam dobrowolnie.

Colin objął ją ramieniem i poprowadził schodami w dół, a potem za mury. Mogę pojechać i przemówić mu do rozsądku.

- To byłoby to samo, co przyciągnięcie go tu pod gtoźbą miecza.

- Przykro mi, moja droga.

- To nie twoja wina. Nie jest to też wina Balfoura. Los zdecydował, że oddam swoje serce człowiekowi, który nie akceptuje kłamstwa, podczas gdy w tym czasie pogrążona byłam w nim po uszy. Nie, muszę się pogodzić, że przegrałam tę grę.

Nawet jeśli dla mnie to była miłość, to dla niego pewnie tylko namiętność.

- W takim razie jest głupcem.

- Może wkrótce i ja tak pomyślę. Jestem pewna, że to mi pomoże przestać za nim tęsknić. Ciężko jest kochać kogoś, kto nie odwzajemnia uczucia. A jeszcze trudniej wtedy, kiedy jest się temu winnym.

- Twoje winy nie były aż tak wielkie, dziewczyno. Jeśli cię kocha, to wybaczy ci te drobne kłamstewka, które mu powiedziałaś. Jeśli nie wybaczy, to lepiej, że jesteś sama. Mimo że znam cię dopiero od dwóch tygodni, to mogę bez wahania powiedzieć, że on tu najwięcej traci.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję. Nie będę tracić życia, czekając, że po mnie przyjdzie. Nie martw się o to.

Moja matka mogła być kiepską matką, ale nauczyła mnie, jak przeżyć. Tę jedną rzecz potrafię robić bardzo dobrze i nawet Sir Balfour Murray, odważny i przystojny rycerz, mnie nie pokona. Może mi to

zabrać trochę czasu, ale wyrzucę go z serca i głowy.

- Jeśli poczekaasz jeszcze trochę, to ta kobieta wyleczy się z ciebie — powiedział

Nigel, siadając na brzegu łóżka Balfoura i obserwując, jak ten przemierza komnatę.

- A co każe ci wierzyć, że nadal mnie chce? - zapytał Balfour. Zatrzymał się i popatrzył na Nigela.

W ciągu ostatnich trzech tygodni bardzo starał się wyrzucić ją z serca i głowy, ale bezskutecznie. Co gorsza, wszyscy zdawali się widzieć, że tak było. Erie i Nigel przy każdej okazji namawiali go, by pojechał po Maldie. Nie podzielali jego obaw, że na pewno zostanie przez Maldie odepchnięty. Nawet James mruknął coś kilka razy. Balfour zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem oni wszyscy nie mają racji i czy nie jest w błędzie.

- A czemu myślisz, że nie? — spytał Nigel.

- Może ptzez fakt, że jej tu nie ma.

Nigel zaklął.

— Nie mogła czekać bez końca na to, co powiesz. Milczałeś przez tak długi czas, więc pewnie pomyślała, że nie masz jej do zakomunikowania nic dobrego. Ile razy trzeba ci to powtarzać, żebyś zrozumiał?

— Robisz z niej nieśmiałą dziewczynę, króra uciekłaby w obawie przed ostrym słowem. Maldie nie jest taka.

— Nie uciekła z obawy przed jakimś ostrym słowem, ale przed słowem, które ty mógłbyś jej powiedzieć. To powinno ci dać do myślenia. To, co mnie interesuje, to przed czym ty tak uciekasz.

Balfour westchnął i usiadł na skraju łóżka.

— Trudne pytanie.

— Ale może warto je sobie zadać. Może powinienem je był zadać wcześniej.

— Nie chciałem jechać tam z sercem na dłoni tylko po to, żeby dowiedzieć się, że wyjechała, bo miała mnie dość. Skrzywdziłem ją tyle razy swoimi oskarżeniami o zbrodnie, których nie popełniła, o zabicie ojca.

— Zamierzała zabić swojego ojca - prawie wykrzyczał Nigel, jakby walczył z potrzebą, żeby przywrócić Balfourowi zdrowy rozsądek.

— Tak, bo złożyła matce przysięgę. Cóż, pozbawiłem ją wszelkich szans na jej wypełnienie.

— I to akurat bardzo dobrze. Balfour pokiwał głową.

— Też tak myślę, ale ona?

— Myślę, że ona się też cieszy, ale będziesz ją musiał o to spytać.

— Nie dasz mi spokoju, co?

— Nie.

— Myślałem, że nie chciałbyś, żebyśmy z Maldie się pobrali - powiedział cicho Balfour, bacznie obserwując Nigela.

— Cóż, nie będę tańczył z uśmiechem na waszym weselu, ale chcę żebyście byli szczęśliwi. Nawet jeśli wolałbym, żeby to wszystko ułożyło się inaczej, to wiem, że tylko razem będziecie szczęśliwi. Wiedziałem to od dawna. Jesteście dla siebie stworzeni. Los wiedział, co robi, kiedy zesłał ci Maldie.

— Czy myślisz, że nadal jest u Kirkcaldych? — Zmarszczył brwi, kiedy Nigel zrobił

niewinną minę. - Miałaś od niej wieści, prawda?

— Tak, ja i Erie. Poprosiliśmy, żeby dała nam znać, i to z dwóch powodów. Gdyby poszło jej źle, to mieliśmy nadzieję, że powie nam, dokąd uda się dalej. Musieliśmy wiedzieć, gdzie jest, żebyśmy mogli wysłać cię w dobrym kierunku, kiedy w końcu pozwolisz sobie przemówić do rozsądku. Okazało się, że jej matka nie mówiła prawdy także o swoich krewnych.

— Przyjęli ją do siebie?

— Chętnie i serdecznie. Jej matka pozbawiła ją dużo przyjemniejszego dzieciństwa, niż sama jej zafundowała. Nie musiałyby walczyć o przetrwanie i patrzeć, jak jej matka staje się dziwką z Dundee. Kirkcaldy to ludzie, którzy mogli dać Maldie czułość i opiekę, do której jej matka nie była zdolna. Balfour zaklął i potarł kark.

- I dziewczyna dostała więcej niż swój przydział nieszczęścia i biedy, a ja nie zrobiłem wiele, żeby jej w tym ulżyć, co? A teraz, z tego, co mi mówisz, jeśli do niej pojedę, to będę musiał zmierzyć się także z nimi wszystkimi.

- Nie wykorzystuj tego jako wymówki, by zwlekać i użalać się nad sobą.

Balfour się roześmiał. Zastanawiał się, czy przez podjęcie decyzji o wyjeździe nie otrząsnął się z tej żaloby, jaką przywdział, gdy Maldie opuściła Donncoill. Nadal istniało ryzyko, że ją stracił, jednak myśl, że pojedzie i spróbuje ją odzyskać, zdobyć, przywracała mu utraconą nadzieję. Nie chciał dłużej cierpieć. Jeśli pojedzie po nią, to będzie mógł przynajmniej przestać się zamęczać pytaniami, co by było gdyby. Źle to czy dobrze, w końcu dostanie jakieś odpowiedzi na nutujące go pytania.

- Wyjadę jutro rano - ogłosił Balfour, ignorując przesadne westchnienie ulgi, jakie wydał Nigel.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył czy zabierzesz Jamesa?

- Pojadę sam.

- Sam?

- Tak, sam. Skoro Maldie mogła, to i ja mogę. Jeśli splunie mi w twarz i pośle mnie do diabła, to wolałbym ścierpieć to upokorzenie w samotności.

Rozdział 22

Balfour zaklął w duchu i pociągnął łyk cydru, którym go chłodno poczęstowano.

Miał za sobą długą i męczącą podróż, zanim dostał się do siedziby klanu Kirkcaldych i jedyne, czego pragnął, to znaleźć Maldie i zaciągnąć ją z powrotem do Donncoill. Zamiast tego siedział w czystej, udekorowanej ta-piseriami sali, wypełnionej tuzinami krewniaków Maldie. Sytuacja była bardziej niż niekomfortowa. Balfour czuł na sobie ich wzrok. Patrzyli na niego, jakby stanowił

dla niej zagrożenie, a wielu z nich miało te same świdrujące zielone oczy co Maldie.

Najbardziej imponującym wśród członków klanu był wuj Maldie, Colin. Był

wysoki, miał jasnozielone oczy i takie same czarne, kręcone włosy jak jego siostrzenica. Wyglądał, jakby chciał przebić mu serce mieczem, i Balfour zaczął się zastanawiać, ile Maldie mu powiedziała.

— Dziękuję wam za napitek — powiedział, odstawiając pusty puchar na gładki dębowy stół. - Splukał pył podróży z mojego gardła. A teraz, jeśli bylibyście tak uprzejmi i powiedzieli mi, gdzie mogę znaleźć Maldie, to chciałbym z nią pomówić.

— A o czym? - zażądał informacji Sir Colin Kirkcaldy, pocierając klatkę piersiową i nadal uważnie przyglądając się Balfourowi. — Miesiącami przetrzymywałeś ją w Donncoill. Myślę, że miałeś wystarczająco dużo czasu, żeby powiedzieć jej wszystko, co chciałeś. Tak, wystarczająco, by powiedzieć też to, czego nigdy nie powinieneś być mówić.

— Może, kiedy tam była, nie wiedziałem dokładnie, co chcę powiedzieć?

— A może teraz, kiedy już wróciła do swoich, nie będzie chciała już tego słuchać?

— Tak, to prawda. Ale jaka spotka ją krzywda, jeśli pozwolicie mi z nią pomówić?

Wierzę, że mała Maldie ma dość siły, żeby powiedzieć mi tak albo nie, albo też posłać mnie do diabła.

— Dziewczyna ma więcej siły niż niektórzy znani mi mężczyźni. - Colin zmarszczył

brwi, nadal patrząc na Balfoura, i zaczął bębnić swoim długimi pacami w blat stołu.

— Miała ciężkie życie i wątpię, by kiedyś powiedziała nam o wszystkim, co musiała znieść. Została odrzucona przez ojca, traktowana marnie przez matkę. Moja siostra miała więcej dumy niż rozumu.

Powinna była przywieźć to małeństwo z powrotem do domu, a nie ukrywać się przed nami. Myśleliśmy, że umarła. Jeszcze większą zbrodnią jest to, że wychowała to dziecko w przekonaniu, że życzyliśmy sobie takiego rozdzielenia.

— Nie, największą zbrodnią tej kobiety było to, że wychowała Maldie na swoje narzędzie zemsty. — Balfour uśmiechnął się chłodno, kiedy Colin i kilku innych Kirkcaldych spojrzęło na niego ze zdziwieniem.

- Wicek- o tym, prawda?

Colin nappełnił puchar Balfoura, nie spuszczać z niego wzroku.

- Chciałbym móc się pochwalić, że sam do tego doszedłem, że to mój rozum jest tak bystry, ale to nieprawda. Byłem zbyt zajęty Beatonem, przzerwaniem tych ciągłych zbrodni przeciwko moim ludziom i próbą odbicia mojego brata Erica.

- Brata Maldie.

- Tak, i mojego. Nie można odrzucić trzynastu lat wychowywania dziecka, nazywania go bratem i wiary w to, że nim jest, tylko dlatego, że jego krew okazuje się pochodzić z innego klanu.

Colin podrapał się po szpakowatej brodzie.

- Nie powiedziałaś tego, kiedy po raz pierwszy odkryto przed tobą tę rewelację.

Słyszałem, że w ogóle niewiele powiedziałaś.

Balfour rozparł się na krześle i poczuł, że powoli wraca mu pewność siebie. Colin Kirkcaldy chciał mu dać szansę, chciał go wysłuchać. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego Colin chciał usłyszeć o jego relacji z Erikiem. Uznał, że przyszłość Erica mogła interesować klan Kirkcaldych, bo chłopiec był związany z Maldie więzami krwi. To, jak Erie jest traktowany teraz, kiedy wszyscy wiedzieli, że jest synem Beatona, mogło świadczyć o wielu rzeczach. Mimo że Balfour mógł oznajmić, że to sprawa osobista, to jednak nie miał nic do ukrycia, a z pewnością, nie chciał, by tak myśłano.

- Podszedłem do Erica i Maldie pełen słodkiego smaku zwycięstwa. Zanim pozwolono mi cokolwiek powiedzieć, zostałem poinformowany, że nie tylko upragniona przeze mnie kobieta jest córką człowieka, którego przed chwilą zabiłem, ale i chłopiec, uznawany przeze mnie za brata przez trzynaście lat, to jego syn. Może nie jestem tak bystry jak inni i nie myślę tak szybko, ale te wieści odebrały mi i mowę, i zdolność myślenia. Zwłaszcza że powodem tej długiej i krwawej waśni był

fakt, że mój ojciec spał z żoną Beatona i spłodził z nią dziecko. Maldie powiedziała mi, że to wszystko nieprawda. Potem jeszcze powiększyła mój szok, mówiąc, że prawdziwą przyczyną, dla której udała się do Dubhlinna, była chęć zamordowania ojca. Na koniec dodała, że planowała wykorzystać mnie i moich ludzi do zrealizowania swojej zemsty. Potrzebowałem czasu, żeby przemyśleć to, co mi powiedziano, a ona nie dała mi żadnej szansy, uciekając z Donncoill.

- Minał już prawie miesiąc, mój przyjacielu. Czy aż tak długa była podróż z Donncoill?

- Mam wolne konie - zakupił Balfour, ale zaraz się zreflektował, kiedy zobaczył, że Colin nie zamierzał śmiać się z jego dowcipu. Zaledwie kilku mężczyzn pozwoliło sobie na cichy chichot. - Nie podała mi żadnego powodu, dlaczego opuszcza Donncoill. Po prostu odeszła. Żadnego ale, żadnych oczekiwań, nawet żadnego dziękuję, że pomogłem jej wymierzyć

zemstę, której tak pragnęła. Zostałem sam z pytaniami bez odpowiedzi. Żadna z odpowiedzi, które próbowałem sobie dać, nie świadczyła o tym, że chciałyby, żebym za nią poszedł. Zabiłem przecież jej ojca.

- Nie dbała o łajdaka.

- Tak mówiła. Każdy mi o tym przypominał. Ale nawet jeśli była to prawda, to znaczyło, że pozbawiłem jej możliwości zemsty, której od tak dawna pragnęła.

Złożyła przysięgę na życie umierającej matce, a ja pozbawiłem jej tej szansy.

- Gdyby ją to martwiło, szybko byś się o tym dowiedział. Nie wymknęłaby się cichaczem. Znam ją zaledwie od miesiąca, ale jestem pewny, że gdyby była zła, to wiedziałbyś o tym. - Colin skrzyżował ręce na piersiach. - Wiesz, co myślę?

Uważam, że uciekałeś. Czy naprawdę spodziewałeś się, że nasza mała Maldie będzie siedziała i czekała spokojnie na to, aż zdecydujesz, co sądzisz o tym wszystkim? Albo co sądzisz o niej?

- Czułem, że powinna mi dać dzień albo dwa, żebym mógł to wszystko przettawić, a było tego sporo. Moja kochanka była dzieckiem mojego wroga. Mój brat nie był

moim bratem, długa i kosztowna waśń oparta była na kłamstwie, przez które małe dziecko zostało nieomal brutalnie zamordowane i nadal może być pozbawione swoich praw z tego powodu. Kobieta, której zaufałem, przyznała, że od początku mnie okłamywała.

- Cały czas, jaki z tobą spędziła, jej nie ufałeś.

- Widzę, że ty zyskałeś jej zaufanie, panie - mruknął niechętnie Balfour, odrobinę zdziwiony, że Maldie powiedziała wujowi aż tyle. - Nie, nie ufałem i okazało się, że miałem rację. Miała wiele tajemnic i okłamała mnie. Nie zgadłem tylko, w jaką grę ze mną pogrywa. A teraz, chociaż rozumiem twoją troskę o siostrzenicę, to nasza rozmowa tylko oddala ode mnie rozmowę z nią. Powiedziałem wam wszystko, co mogłem. Reszta zostanie między mną a Maldie.

- Jest po wschodniej stronie jeziora.

Balfour starał się nie patrzeć na Colina, kiedy wstawał od stołu.

- Czy to wszystko? Żadnych więcej pytań? Nie chcesz wiedzieć, jakie są moje intencje?

Colin uśmiechnął się tylko.

- Muszą być honorowe, inaczej nie jechałbyś za nią. Nie usiadłbyś z nami i nie odpowiadał

cierpliwie na moje pytania, które po części były dość impertynenckie.

Jeśli zaś miałbyś zamiar okryć dziewczynę wstydem, to nie wyjedziesz z moich ziem żywy. A teraz idź, zobaczymy, czy uda ci się ją ściągnąć tu na wieczorny posiłek. Nie jadła ostatnio tak, jak powinna.

Balfour prawie się roześmiał, kiedy spojrzał się na Colina.

- Maldie może nie wychowała się wśród swoich krewnych, ale zaczynam rozumieć, co ludzie mają na myśli, kiedy mówią, że ktoś jest tej samej krwi. Słyszał śmiech Colina, jeszcze kiedy wychodził z wielkiej sali. Jak tylko dosiadł konia, musiał użyć całej swojej woli, żeby nie pogalopować z twierdzy wprost nad jezioro. Myśl, że Colin może zobaczyć albo usłyszeć, z jakim impetem rusza, i wybuchnąć na ten widok śmiechem, dała mu siłę, by działać, jakby w ogóle nigdzie mu się nie spieszyło. Zdawał sobie też sprawę, że gdyby zbliżał się do jeziora w pełnym galopie, to tętent kopyt ostrzegłby Maldie, dając jej czas na ukrycie się lub ucieczkę. Ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to tracić czas na ściganie jej po okolicy. Najwyższa pora, żeby przestała zgadywać jego myśli i uczucia i usiadła spokojnie, by posłuchać, co ma jej do powiedzenia.

Maldie westchnęła, nałożyła na wędkę przynętę i zarzuciła. Odkąd przybyła na ziemie swoich krewnych, spędziła wiele dni, leżąc w miękkiej trawie na brzegu jeziora i udając, że łowi ryby. Kilka razy faktycznie udało jej się coś złowić, ale tylko przypadkiem. Twierdziła, że wędkuje, żeby mieć pretekst do spędzania czasu w samotności. Jej wuj Colin był bardzo mądrym człowiekiem. Przypuszczała, że przejrzał jej grę, ale na szczęście udawał, że niczego się nie domyśla. Wiedziała, że jest obserwowana przez jednego ze swoich licznych krewnych, ale nie dbała o to.

Straże, jakie jej wuj rozstawił wokół niej, nigdy nie zakłócały jej samotności, nie miała więc powodu, by narzekać.

Nadal była zachwycona faktem, że znalazła rodzinę, która ją zaakceptowała i serdecznie przyjęła. Była jednak w niej jakaś mała część, z powodu której trudno było jej dostosować się do tak licznej rodziny. Przywykła do samotności, do tego, że nie miała się do kogo odezwać, za wyjątkiem matki, a i ona często milczała posępnie albo była zła i nie szczędziła Maldie złościwości. Teraz nagle otoczona była przez ludzi, którzy uwielbiali rozmawiać, hałaśliwych, ale przyjaznych. Bywało, że musiała uciekać nad jezioro, by pobyć w ciszy ze swoimi myślami.

- Tylko po co ich ciągle szukam, skoro nie są miłe, sama nie wiem - wymamrotała do swojego odbicia w czystej, spokojnej wodzie. - Powinnam uciekać od tych przeklętych rozmyślań.

Balfour nadal zajmował najważniejsze miejsce w jej sercu i to ją złościło. Minał już miesiąc, odkąd go nie widziała i jeszcze więcej, odkąd ją ostatni raz trzymał w ramionach i całował. Kochała go, ale bez wzajemności, przynajmniej nic o tym nie wiedziała. Od tygodni nie znajdowała potwierdzenia tego uczucia w jego słowie, geście ani obecności. Maldie nie mogła zrozumieć, dlaczego jej uparte serce tak bardzo było niechętnie temu, by pozwolić mu odejść.

To bolało, mogłaby go nawet za ten ból znienawidzić, tylko wiedziała, że to nie jego wina, a przynajmniej niezupełnie jego. Nie obiecywał jej niczego, nie mówił o niczym innym jak tylko o

namiętności, która ich łączyła. Próbowała przemówić sobie do rozumu, ale serce nie chciało jej słuchać. Zdecydowało, że pragnie Balfoura Murraya, i teraz nie chciało jej dać nawet chwili wytchnienia.

Cichy szelest w trawie odciągnął ją od chmurnych myśli. Obejrzała się za siebie i wpatrzyła w nadchodzącego mężczyznę. Poderwała się na równe nogi i zastanowiła, czy to serce czy umysł płata jej figle. Chciała uciekać, ale surowo upomniała sama siebie, że nie może być takim tchórzem. Maldie wyprostowała ramiona i próbowała uspokoić szybkie bicie serca.

- Co ty tu robisz? — spytała, przeklinając drzenie w głosie. Nie chciała, żeby Balfour usłyszał, jak bardzo jest wzburzona.

- Wyjechałaś bez pożegnania - powiedział, podchodząc bliżej, skutecznie zamykając jej drogę ucieczki.

Obserwował ją z bliska, ale poza cieniem w jego pięknych oczach nie mogła zobaczyć w nich żadnego wyrazu. Nie mogła też odgadnąć żadnych uczuć, jakby zupełnie się na nią zamknął. Zastanawiała się, gdzie i kiedy nabył tych umiejętności.

Przeszył ją chłodny dreszcz na myśl, że nie umie już wyczuwać jego emocji.

- Nikt nie lubi posłańca złych wieści - mruknęła. - Jak się ma Erie?

- Zdrowy. Wszystkie stłuczenia się wygoiły. Myślałaś, że co mu zrobię?

- Nic złego, naprawdę. — Przeczesła ręką włosy i się skrzywiła. - Po prostu martwiłam się o niego. Przeszedł mękę. Wszystko, o czym myślał, że jest prawdą, okazało się kłamstwem. Człowiek, którego nienawidziłam, który próbował go z okrucieństwem pozbawić życia, okazał się jego biologicznym ojcem. Powiedział

mi, że wszystko jest dobrze, ale zastanawiałam się, jaki ty i wszyscy inni macie do tego stosunek.

- Erie jest moim bratem - wzruszył ramionami. - Nie potrafię zmienić tego, co czułem i w co wierzyłem przez ryle lat tylko dlatego, że nie płynie w nas ta sama krew. Od kiedy Erie powiedział mi, w jaki sposób odkrył prawdę, zastanawiałem się, jak mogłaś być tak okrutna, żeby powiedzieć mu coś, o czym nie musiał

wiedzieć, coś, co mogło go tylko zranić. W końcu znamię, które wspólnie nosicie, nie jest czymś, co każdy z łatwością może zobaczyć. Trzeba je odkryć. Potem próbowałem tylko zrozumieć, dlaczego mnie okłamałaś i dlaczego zabrakło ci odwagi, żeby stanąć przede mną.

- Nie przypuszczałam, że będziesz chciał mnie jeszcze widzieć, po tym jak cię oszukałam.

Balfour wziął Maldie za rękę i przyciągnął do siebie.

- Nie przyszło ci chociaż raz do głowy, że chciałbym usłyszeć wyjaśnienia?

- Wyjaśniłam ci wszystko zaraz po bitwie. - Próbowała zachować sztywność, optzec się pokusie wtulenia się w jego ramiona, ale minęło za dużo czasu. Powoli oparła się na nim, obejmując jego szczupłą talię. - Powiedziałam ci wszystko.

- O, tak, i zaczęłaś' od najgorszych wieści, tych najbardziej szokujących. Po tym, jak powiedziałaś mi, że jesteś córką Beatona, że twoja własna matka kazała ci przysiąc, że przybędziesz do Dubhlinna i zabijesz swojego ojca, że mój brat nie jest moim prawdziwym bratem, nie możesz być zdziwiona, że nie słuchałem zbyt uważnie tego, co mówiłaś później.

Spojrzała na niego i próbowała przypomnieć sobie dzień bitwy. To było wyjątkowo trudne, bo jedyne, czego teraz pragnęła, to cieszyć się jego urodą i przewracać się z nim po miękkiej trawie w nagim, namiętym zatraceniu. Maldie odepchnęła od siebie te myśli i wróciła do chwili, kiedy powiedziała mu całą ohydną prawdę.

Myślała, że nieruchome, szeroko otwarte oczy świadczyły o gniewie, ale teraz zdała sobie sprawę, że był oszołomiony. To, co mu powiedziała, uderzyło weń jak strzała, mieszając mu zmysły, tak że nie był w stanie nic więcej słyszeć. Nie czuła nic z tego, co działo się w jego wnętrzu, nie była tego świadoma. Maldie zdała sobie sprawę, że zdecydowała za niego, co miał czuć, i nigdy nie poszła dalej. Była nazbyt pochłonięta swoimi własnymi emocjami, zdeterminowana, by utrzymać je w ryzach. Nawet trochę nie spróbować się wczuć w to, co musiał przechodzić.

- Cóż, tetaz nie ma znaczenia, jak to wszystko przyjąłeś, bo jedna rzecz się nie zmieniła - powiedziała, nie do końca mając to właśnie na myśli. To miało znaczenie, tylko nie wiedziała, czy chce znać jego stosunek. - Nadal jestem córką Beatona, potomkiem twojego największego i najdawniejszego wroga.

- Moim największym i najdawniejszym wrogiem są Anglicy. Balfour prawie zaśmiał się na widok dość głupiego wyrazu na jej twarzy.

Wielu ludzi wykorzystałoby przeciwko niej jej pochodzenie, ale on o to nie dbał.

Zdążył ją poznać, zanim dowiedział się, kim jest jej ojciec. Miał czas, żeby zobaczyć, że nie ma w sobie wad Beatona. Nie było łatwo ją o tym przekonać.

Nawet po miesiącu spędzonym z Kirkcaldymi Maldie nadal była mocno sfrustrowana tym, że w jej żyłach płynie krew Beatona.

Oprócz tego nie batdzo miał ochotę na rozmowę. Upłynęło tyle czasu, odkąd trzymał ją w ramionach, całował, tyle długich tygodni, odkąd ich ciała były jednym.

Pocałował ją w sam czubek głowy, wciągając głęboko w nozdrza jej zapach, i przesunął rękami po jej smukłych plecach. Zadygotała, poczuł, jak budzi się w niej pożądanie. To był znak, że może nadal podziela jego namiętność. Balfour wiedział, że mają sobie wiele do powiedzenia, ale kiedy obrócił jej twarz ku sobie, uznał, że rozmowa może poczekać. Maldie tylko przez moment rozważała możliwość odmówienia mu ust. Tyle było rzeczy, które powinni sobie wyjaśnić. Nie wiedziała nawet, po co po nią przyjechał. Musiał mieć znacznie więcej powodów niż ten, żeby powiedzieć, że

rozumie, dlaczego postąpiła tak, a nie inaczej. Wtedy dotknął ustami jej ust i poczuła, że nic z tego nie ma znaczenia. Jeśli przyszedł po kolejną porcję namiętności, to będzie ją to bolało, ale wątpiła, by mogła czuć większy ból niż ten, jaki towarzyszył jej od opuszczenia Donncoill. Będzie przynajmniej mogła tę ostatnią chwilę namiętności dodać do wspomnień o nim. Żywo odwzajemniła pocałunek, chciwie spijając z ust jego smak.

- Powinniśmy porozmawiać - powiedziała, podejmując ostatnią próbę pokierowania się rozsądkiem, mimo że odchyliła już do tyłu głowę, tak by łatwiej mu było całować jej szyję.

- Porozmawiamy - powiedział, odsznurowując wiązania jej sukni i kładąc ją na miękkiej trawie.

- Ale nie teraz? - zamruczała pełnym rozkoszy szeptem, kiedy nie przestając jej rozbierać, gładził jej ciało swymi dużymi dłońmi. Łaknęła jego dotyku i nie miała zamiaru tego ukrywać.

- Jestem chyba zbyt rozbity, by rozmawiać. — Opuścił stanik sukni na wąską talię i delikatnie zaczął drażnić jej stwardniałe sutki, wyraźnie przebijające przez cienką koszulę. Zadrżał, gdy jęknęła z rozkoszy. - Krótka chwila wytchnienia pozwoli mi rozjaśnić umysł.

- Tylko krótka? - Złapała go za jędrne pośladki i przycisnęła do siebie. Poczuła jego twardą męskość i wiedziała, że zaspokoi jej silną i nieokiełznaną żądzę.

- Obawiam się, że jestem zbyt wygłodniały, by na spokojnie delektować się tą nazbyt długo odkładaną uczcią.

- Nie obawiaj się, znam to uczucie aż nadto dobrze. Nie usłyszysz ode mnie już ani słowa, chyba że będę zmuszona cię pospieszyć.

- Nie, chyba nie, nie tym razem, ukochana.

Kiedy Balfour zdejmował w pośpiechu jej ubranie, Maldie równie niecierpliwie ściągała jego. Oboje krzyknęli z rozkoszy, gdy ich ciała złączyły się po raz pierwszy po tak długiej rozłące. Maldie ciągle nie miała dość jego silnego ciała, ciepła jego skóry pod swoimi rękami, dotyku jego ust, kiedy gorączkowo pokrywał jej ciało pocałunkami. Starła się odwzajemnić każdą pieszczotę, ale ich miłość stała się wkrótce tak dzika, a pottzeba siebie tak desperacka, że nie mogli już odwlekać kulminacji nieokiełznanego pożądania.

Kiedy w końcu złączyli się w jedno, Maldie przyłgnęła do niego z całych sił.

Chciała, by wchodził w nią jak najgłębiej, witając każde z jego mocnych ruchów z odwzajemnianą dzikością. Nawet gdy jej ciało przeszył konwulsyjny spazm orgazmu i wykrzyknęła jego imię, wyraźnie czuła, jak wzdragał się uwolnić nasienie, a jego krzyk pomieszał się z jej krzykiem. Zamknęła oczy i trzymała go mocno, próbując zatrzymać przyjemność, która ich przed momentem połączyła, tę ślepą rozkosz, która tak łatwo rozprasza wszelkie smutki i niepewności.

Cdy wróciły im zmysły, poczuli też chłód popołudniowego powietrza. Maldie zaczęła być też boleśnie świadoma swej nagości. Pospiesznie usiadła i naciągnęła na siebie koszulę. Po raz pierwszy, odkąd zostali kochankami, Maldie czuła zawstydzenie. Tym razem naprawdę pozwolili

namiętności zapanować nad sobą, podczas gdy było tyle niewypowiedzianych, niewyjaśnionych spraw, tyle nierozwiązanych problemów i pytań bez odpowiedzi. Przypomniała sobie, że nie powiedział jej nawet, po co przyjechał za nią aż tutaj. Teraz, gdy krew trochę ostygła, zaczęła się bać, że popełniła wielki błąd w ocenie sytuacji. Jednorazowe zakosztowanie namiętności nie wystarczy, by ulżyć jej w bólu i jeśli Balfour przyjechał tylko po to, by ją pojąć, to znów okazała się głupia.

- Myślisz o mnie najgorsze rzeczy, dziewczyno - powiedział Balfour, po czym wstał

i zaczął zawijać się w kilt. — Uwierz mi, kiedy mówię, że nie jechałbym taki szmat drogi tylko po to, by pofiglować w ttawie, niezależnie od tego, jak to było miłe.

- Przepraszam - mruknęła, obdarowując go bladym uśmiechem. - Jak zwykle zrobiłam to, czego pragnęłam. A gdy już rzuciłam się na złamanie karku w przepaść, zaczęłam się zastanawiać, czy postąpiłam dobrze czy źle. - Zaśmiała się z siebie samej. - Nigdy nie robię tego, co trzeba.

Balfour wziął ją w objęcia.

- O, tak, robisz.

- Zdradziłam cię - wyszeptała.

- Nie, choć ptzez chwilę tak to widziałem. Chciałbym znaleźć słowa, żeby ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro za ból, jaki ci sprawiłem brakiem zaufania, ale to, co zrobiłaś, to nie była zdrada. Nikomu nie zdradziłaś moich sekretów i nie zaszkodziłaś mi w żaden sposób. Nie zrobiłaś nic przeciwko mnie ani przeciwko mojemu klanowi w najdrobniejszej szczególności. Tylko kłamałaś.

Spojrzała na Balfoura ze zdziwieniem.

- Tylko kłamałam?

- Tak, i to z marnym skutkiem. Wysiłałaś się, starając się nie powiedzieć mi prawdy i za bardzo nie skłamać. Były to przeważnie półprawdy lub brak odpowiedzi. —

Próbował jakoś ułożyć jej włosy, wiedząc, że to bezcelowe, ale przyjemnie było mu dotykać jej grubych, miękkich loków. - Kiedy uspokoiłem się na tyle, żeby móc sięgnąć wzrokiem poza gniew i ból, rozpatrzyłem wszystko, co mi powiedziałaś.

Przemyślałem każdą naszą rozmowę i każdą odpowiedź, jakiej udzieliłaś na moje pytania. Kłamstwa miały tylko ukryć prawdę. Nie chciałaś, żebym wiedział, kto jest twoim ojcem. Miałaś rację, że ukrywałaś przede mną ten fakt. Nigdy wtedy bym ci nie zaufał, nigdy bym nie uwierzył, że mu nie pomożesz — potrząsnął głową. - To niesprawiedliwe, by obciążać dziecko winą za to, co zrobili jego matka, ojciec czy którykolwiek z krewnych. Dobrze to wiem. Jednak gdybym wiedział, że to Beaton cię spłodził, postąpiłbym dokładnie w ten sposób.

- Po wszystkim, co Beaton zrobił, nie możesz siebie za to winić. - Sięgnęła ręką do jego policzka i pogładziła go, nie znajdując słów, które wyraziłyby jej zachwyt wobec tego, że wybaczył jej

oszustwo, a nawet że zrozumiał, dlaczego musiała to zrobić. - Powiedziałam ci o sobie tak niewiele, że nie miałaś podstaw, by uznać, czy jestem winna czy nie. Uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała, że pragnę śmierci tego człowieka, że jestem tam po to, by wypełnić obietnicę zemsty?

Balfour się skrzywił.

- Nie. Trudno jest uwierzyć, że dziecko mogłoby zabić swojego ojca, nawet takiego łajdaka jak Beaton. Trudno byłoby też uwierzyć, że taka drobna kobieta jak ty mogłaby to zrobić.

- Prawie mi się udało - zaprotestowała, urażona, a potem westchnęła.

— Dobrze się stało, że jednak tego nie zrobiłam.

- Pomijając twoją przysięgę i fakt, że Beaton na to zasługiwał, to tak, dobrze, że ci się nie udało. Był ścierwem bez serca, ale jego śmierć nie była warta twojej nieśmiertelnej duszy. Przez moment nie wiedziałem, co przyjdzie ci trudniej mi wybaczyć, czy to, że pozbawiłam cię możliwości zemsty, czy że zabiłem twojego ojca. - Zwalczył pokusę, by odwzajemnić jej krótki pocałunek, wiedząc, że muszą porozmawiać, zanim pozwolą namiętności kolejny raz nad sobą zapanować. - Potem zacząłem mieć nadzieję, że nie będziesz mnie winić ani za jedno, ani za drugie.

- I tak było. - Wtuliła się w niego, rozkoszując się bliskością jego silnych ramion. -

Musiałam stawić czoła twardej, nieludzkiej prawdzie o mojej matce. Margaret nie dbała o mnie. Od kiedy się urodziłam, widziała dla mnie tylko jedno zadanie -

pomszczenie jej utraconego honoru. Tak, chciałyby pewnie, żebym została dziwką, żeby nie musiała tak ciężko pracować, ale przede wszystkim chciała, żebym zabiła dla niej Beatona. Myślę, że zawsze znałam prawdę, ale odpychałam ją od siebie, bo była zbyt bolesna. Nawet kiedy nie mogłam przed nią dłużej uciekać, to powstrzymywałam się przed myśleniem o niej. Nie chciałam uwolnić wszystkich okropnych uczuć, jakie we mnie budziła.

Balfour przytulił ją mocniej, wiedząc, że nie może powiedzieć ani zrobić nic, co by ulżyło jej w bólu.

- To oni, Margaret i Beaton, stracili najwięcej, Maldie. Pozbawili się radości, jaką mogło dać im dziecko, które by ich kochało. - Zaśmiał się, widząc, że się czerwieni.

Nawet koniuszki jej uszu zrobiły się bardziej różowe.

— Obawiam się, że nie możemy wybierać krewnych. To smutne, że zostałam skazana na tę bezduszną parę, ale wyrosłam na tym bagnie czysta i dobra, na duszy i ciele.

- Myślę, że musisz już skończyć z tymi miłymi słowami - powiedziała drżącym od emocji głosem. — To dziwne, ale jestem bliska płaczu.

Zaśmiał się i pocałował ją w policzek.

- Nie znam się na pochlebstwach i ładnych słówkach, ale i ty nie umiesz przyjmować komplementów. Dobrana z nas para. - Ujął ją pod brodę i obrócił jej twarz w swoją stronę. - A teraz przyszedł czas, żebym ci powiedział, czemu tu przyjechałem. Zwłaszcza że czuję, że zaraz odejdzie mnie chęć do rozmowy.

- No więc, dlaczego tu jesteś? - spytała, a serce biło jej tak mocno, że dudniło jej boleśnie w uszach. Jego miękkie spojrzenie miało w sobie tyle obietnic, że prawie bała się patrzeć mu w oczy.

- Po ciebie. Przyjechałem tu po ciebie. - Przyłożył jej palce do ust, kiedy zmarszczyła się i chciała coś powiedzieć. - Nie, pozwól mi dokończyć, a wtedy jedyne, co będziesz musiała powiedzieć, to tak albo nie. Nie będzie wątpliwości.

Chcę, żebyś wróciła ze mną do Donncoill. Odkąd wyjechałaś, życie opuściło to miejsce. Potrzebuję cię tam. Potrzebuję cię przy moim boku. Chcę, żebyś została moją żoną, panią na Donncoill.

Musiała się powstrzymać ze wszystkich sił, żeby nie krzyknąć natychmiast głośno

„Tak!”. Powiedział jej tyle, a jednak zbyt mało. Wiedziała, że większość kobiet uważałaby, że jest szalona, że nie powinna się wahać, ale ona potrzebowała więcej.

Mówił o małżeństwie, związaniu wobec prawa i Boga na całe życie. Ona jednak potrzebowała jego miłości.

Przez chwilę zastanawiała się, czy jest w stanie sprawić, by wypowiedział to, zanim ona będzie musiała się zdeklarować, ale uznała, że to zabrałoby zbyt wiele czasu.

Mężczyźni tak niechętnie obnażali swoje dusze przed kobietami, że nawet jeśli Balfour ją kochał, to mogła być jego żoną, kochanką, matką jego dzieci, a on dopiero wtedy przypadkiem wspomniałby o tym fakcie. Mimo że drżała na myśl, że ma obnażać przed nim swoje uczucia, czuła, że to jedyna droga. Balfour zasługuje na całą prawdę. Jeśli mieli być małżeństwem, to był to najlepszy sposób, by ten związek rozpocząć. Modliła się w duchu, żeby nie było to zbyt duże ryzyko. Gdy odkryje przed nim swoje uczucia, będzie mu łatwiej ją zniszczyć, nawet jeśli nie ma takiego zamiaru.

- Chcę cię poślubić - zaczęła, a kiedy zaczął ją obejmować, położyła rękę na jego piersiach i zdecydowanie utrzymywała między nimi dystans - jednak mogę jeszcze powiedzieć „nie”. Oboje wiemy, że łączy nas namiętność, ale możesz nie wiedzieć tego, co tak bardzo starałam się przed tobą ukryć. Kocham cię, Balfourze Murray. -

Nie mogła nic wywnioskować z jego ciemnych, szeroko otwartych oczu i nagłego zeszywnienia, więc postanowiła mówić dalej. — Kocham cię bardziej, niż można i potrzeba, niż to mądre i zdrowe, i tak było od początku. Może nie ma to dla ciebie większego sensu, ale nie mogę za ciebie wyjść, nie mogę związać się z tobą na całe życie, jeśli nie czujesz tego samego. - Krzyknęła ze zdumienia i trochę z bólu, kiedy uściskał ją z całych sił.

- Och, moja mała kochana dziewczynko, jesteś taka niemądra. A może oboje jesteśmy niemądrzy. Tak, będziesz mieć miłość, pewnie więcej, niż byś tego czasem chciała.

- Kochasz mnie? — szepnęła, próbując wyswobodzić się z jego ramion, aż w końcu poluzował uścisk na tyle, że mogła spojrzeć mu w oczy.

Serce waliło jej tak mocno i szybko, że prawie miała mdłości.

- Tak, kocham cię. Myślę, że pokochałem cię w chwili, kiedy po raz pierwszy na ciebie spojrzałem. - Chętnie odwzajemnił jej pocałunek, delikatnie popychając ją na trawę. - Czy w takim razie twoja odpowiedź brzmi „tak”? Wyjdiesz za mnie?

- Tak! — Zaczęła go znów całować, ale nagle zmarszczyła czoło na znajomy odgłos, który przeciął ciszę. - Czy to był róg myśliwski? - spytała, siadając i rozglądając się dookoła.

Balfour zaśmiał się, usiadł i sięgnął po ubrania.

- Tak, to był róg myśliwski. To twój wuj Colin oznajmia nam, że byliśmy sami przez wystarczająco długi czas i - podał jej suknię - jeśli nie staniemy przed nim wkrótce, to polowanie istotnie się zacznie. - Uśmiechnął się, kiedy zmarszczyła twarz. -

Zaufaj mi, dziewczyno. Jeśli się nie ubierzesz i szybko nie ruszysz w stronę twierdzy, to zostaniemy obłączeni przez twoich pękających ze śmiechu krewnych.

Maldie zmarszczyła czoło, ale się ubrała. Nie była już dłużej sama na świecie, nie mogła robić tego, na co miała ochotę, bez zważania na innych. Była tym zachwycona, czuła się chciana i potrzebna, po raz pierwszy w życiu, ale kiedy Balfour w drodze do twierdzy zatrzymał się tylko na jeden krótki pocałunek, pomyślała, że duża rodzina może stanowić jednak duży problem.

- Coś mi się wydaje, że dni do naszego ślubu będą nam się okropnie dłużyć -

mruknęła.

Nagle, zupełnie znikąd, pojawiło się wokół nich około tuzina uśmiechniętych Kirkcaldych. Balfour pokiwał głową w pełnej zgodzie.

- Bardzo, bardzo dłużyć.

Rozdział 23

Maldie zagryzła zęby i próbowała siedzieć spokojnie, kiedy Jennie męczyła się z rozczesywaniem jej splątanych włosów. Przeklinała, że nie zaplotła ich poprzedniej nocy, bo po niespokojnym śnie miała je w okropnym nieładzie. Potrzeba było dużo pracy, żeby wyglądały dobrze na ślubie.

Jej ślub, pomyślała i westchnęła. To dziwne, że żołądek może skręcać się ze strachu, podczas gdy serce pęka ze szczęścia. Minał dokładnie miesiąc, odkąd Balfour poprosił ją, żeby została jego żoną. Poza tym czasem, kiedy byli rozłączeni i Maldie myślała, że straciła go na zawsze, był to najdłuższy miesiąc w jej życiu. Widywali się coraz rzadziej, a z każdym dniem na ślub zjeżdżało coraz więcej członków klanu Kirkcaldych. Szybko stało się jasne, że jej wuj postanowił ich rozdzielić aż do nocy poślubnej. Przez wiele dni nie byli nawet w stanie skraść sobie choćby pocałunku.

Co gorsza, nie miała okazji, żeby wyciągnąć od Balfoura te dwa słodkie słowa, i zaczynała się właściwie zastanawiać, czy faktycznie słyszała, że ją kocha, czy tylko jej się śniło.

Usłyszała głośnie pukanie do drzwi i zanim zdążyła się odwrócić i wypowiedzieć przyzwolenie, do komnaty wszedł jej wuj. Zachmurzyła się, kiedy usiadł na jej łóżku. Był naprawdę postawnym mężczyzną, wysokim i silnym, dobra, wesoła natura malowała się na jego przystojnej twarzy. Maldie wciąż nie mogła się nadziwić, jak jej matka mogła pomyśleć, że ten człowiek wyrzuci ją i jej dziecko na mróz. To, że Margaret była w stanie pozbawić swoje dziecko bliskości z tak dobrym człowiekiem, było kolejną rzeczą, której nie mogła jej wybaczyć. Podobało jej się nawet podobieństwo między nimi, te same czarne, kręcone włosy i zielone oczy, to jej dawało poczucie przynależności. Nieustanna straż, jaką Colin trzymał nad nią i nad Balfourem, nie zbliżała ich teraz jednak do siebie.

- Nie ukrywam go pod poduszką - wycedziła. Colin się zaśmiał.

- Wiem, przed chwilą widziałem, jak przemierza tam i z powrotem swoją komnatę.

- Przemierza? To znaczy, że jest zatroskany. Czy myślisz, że zmienił zdanie? —

spytała, przeklinając swą niepewność. Wiedziała, że to nierozsądne, ale winiła za to wuja, bo jego wysiłki, żeby trzymać Balfoura z daleka od niej, sprawiły, że wszystkie jej wątpliwości i obawy nie znajdowały ukojenia w jego słodkich słowach miłości.

- Niemądre dziecko - skarcił ją Colin, ale jego spojrzenie pełne było czulego zrozumienia. - Przeżywa, jak wszyscy mężczyźni, gdy biorą sobie żonę. Nie mów mi, że i ty nie czujesz się zdenerwowana, bo nawet ci nie uwierzę.

Uśmiechnęła się słabo i wzruszyła ramionami.

- Jestem zdenerwowana, ale tego przecież chciałam.

- Tak, i to jest również coś, czego i on chce. Inaczej nie ścigałby cię aż tutaj. - Colin potrząsnął głową. - Tak to już jest. Tak samo jest z parami, które stają przed ołtarzem, ledwo znając swoje imiona. To bez różnicy. Składasz wielką przysięgę przed Bogiem i ludźmi. To niezwykle poważna sprawa i nikt nie powinien podchodzić do tego niepoważnie. - Wstał i podszedł do Maldie, kiedy Jennie pomagała jej przy sukni. - Idź i pomóż kobietom, dziewczyno - powiedział do służącej. - Mogę teraz pomóc mojej siostrzenicy - Po wyjściu Jennie zaczął

sznurować suknię Maldie. Przerwał tylko, by dotknąć znamienia w kształcie serca na jej plecach. - Bóg obdarzył cię dobrym znakiem.

- To znamię Beatonów - mruknęła. - Moja matka często wskazywała na nie jako na znak przeklętej kiwi, jaka płynie w moich żyłach.

Obrócił ją, żeby stanęła z nim twarzą twarz.

- Twoja matka była głupia, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Zgorzkniała i głupia.

Czy nie mieszkałaś przypadkiem z tym starym małżeństwem, w którego żyłach płynie krew Beatonów? Czy nie byli dobtzy i mili i nie żywili miłości do swojego pana? Czy nie byli jego przeciwieństwem?

- Tak, ale...

- Nie ma żadnego ale. Dziedzic Dubhlinna był łajdakiem bez honoru i serca. Nie znaczy to jednak, że wszyscy Beatonowie są tacy. Czy ten chłopiec, Erie, także nie jest Beatonem?

- Tak, właśnie ten znak, który on również nosi, odsłonił przed nim tę smutną prawdę, ale o tym wszystkim już wiesz.

- Poznałem chłopca. Będzie z niego dobry, honorowy człowiek. Beatonowie z Dubhlinna będą go błogosławić, jeśli uda mu się odzyskać prawo do swojego dziedzictwa. A ty, czy nie jesteś dumna z bycia Kirkcaldy?

- Oczywiście.

- Jak już mówiłem, nasz klan nie był wolny od grzeszników. Znaleźli się wśród nas zdrajcy, mordercy, złodzieje i ci, którzy nie wiedzieli, co to honor. Uwierz mi, i Murrayom trafi się od czasu do czasu złe nasienie. Nie można winić klanu za to, że chciałby takie rzeczy utrzymać w tajemnicy, ale jeśli potrząsniesz dowolnym rodzinnym drzewem, to zawsze spadną jakieś zgniłe owoce. Wyrosłaś na uczciwą kobietę, mimo swoich rodziców. Bądź z tego dumna.

Łzy ścisnęły ją za gardło i rumieniec zalał jej twarz, kiedy wpatrywała się w wuję, głęboko wdzięczna i wzruszona szczerym uczuciem, które widniało w jego oczach.

- Dziękuję, wuju - wyszeptała.

- Nieczęsto mówiono ci, ile jesteś warta, prawda? - potrząsnął głową.

- To nie ma znaczenia.

- Ależ ma. Dziecko potrzebuje, żeby mówić mu o tym, ile znaczy, jeśli ma wyrosnąć na zdrowego i silnego człowieka, na ciełe i ducha. To właśnie brak zasłużonych pochwał sprawia, że tak szybko nabierasz obaw, że twój wielki, brązowy mężczyzna zmieni zdanie i nie będzie cię chciał poślubić.

- Mój wielki, brązowy mężczyzna? - wymamrotała, dławiąc śmiech.

- Właśnie. Nigdy nie wiedziałem, żeby ktoś był aż tak brązowy. Brązowe włosy, oczy, skóra. Mam nadzieję, że nie włoży na siebie czegoś w tym kolorze, kiedy stanie przed księdzem, bo możemy go przez pomyłkę wziąć za kolumnę pod amboną.

- Ależ wuju - wykrzyknęła Maldie, śmiejąc się i trąciła go delikatnie w ramię. - Bądź

miły, proszę, to dobry człowiek.

Objął ją ramieniem i wyprowadził z komnaty.

- To ptawda. I wybrał sobie dobrą żonę. Jedną z najlepszych w Szkocji. - Mrugnął do niej. - I będziecie mieli dobre, brązowe potomstwo - zaśmiał się, kiedy oblała się rumieńcem. - Musimy się pospieszyć, bo inaczej twój wybranek pomyśli, że się rozmyśliłaś i uciekłaś w góry.

- Powinna już tu być - mruknął Balfour, spacerując nerwowo wzdłuż małego ołtarza, ustawionego na końcu wielkiej sali.

Nigel przewrócił oczami i oparł się o ścianę, krzyżując ręce na piersiach.

- Wuj po nią poszedł. Dobrze wie, co się tu wyprawiało między tobą a nią, nie pozwoli wam tak łatwo uciec sprzed ołtarza.

- Nie poszedłbym o zakład. Wystarczy, że się do człowieka uśmiechnie, a ten od razu pozwoli się zaprowadzić do samych bram piekła - uśmiechnął się słabo, kiedy Nigel wybuchnął śmiechem, ale zaraz spoważniał. - Za każdym razem, kiedy widzę, jak jej wuj na nią patrzy, to zastanawiam się, jak ta jej szalona matka mogła ją trzymać z dala od takiej rodziny. Przez ostatni miesiąc napatrzyłem się na nich wszystkich więcej, niżbym chciał, i nigdy nie widziałem, żeby którykolwiek okazał

Maldie chłód czy potępiał ją za to, że jest nieślubnym dzieckiem. Jak ta kobieta mogła tak mało wiedzieć o swoich krewnych, tak źle ich ocenić? Jak mogła woleć zostać dziwką i próbować to samo zrobić ze swoim dzieckiem? Dlaczego nie szukała pomocy u rodziny?

- Duma. Obezwładniająca duma z tego, co słyszałem o Margaret - powiedział Nigel.

- Wygląda na to, że wolała swoje mizerne życie niż powrót do domu w hańbie i wstydzie, z dzieckiem na ręku. Nie dała się lubić, nawet krewni nie żywili do niej wielkiej sympatii, to również mogło zaważyć. Gdybyś ty zachowywał się tak, jakbyś był lepszy od wszystkich wokół, to z pewnością nie chciałbyś im pokazać, że jednak tak nie jest. Zostaw to, bracie. Ani ty, ani nikt inny tego nie zrozumie. Maldie przeżyła dumę i głupotę

swojej matki i poradziła sobie z nią bardzo dobrze. A teraz poświęć trochę uwagi swojemu małżeństwu, bo oto nadchodzi twoja narzeczona.

Balfour spojrział na Maldie i zapało mu dech w piersiach. Miała na sobie delikatną, zieloną suknię, którą kazał dla niej uszyć. Pasowała idealnie do jej drobnej figury, a głęboki kolor podkreślał urodę dziewczyny. Grube loki z wplecionymi zielonymi wstążkami spadały jej na ramiona. Na jej policzkach widniał delikatny rumieniec.

Pomyślał, że nigdy nie wyglądała tak pięknie. Zastanawiając się po raz setny, w jaki sposób udało mu się zdobyć serce takiej kobiety, podszedł do niej i wziął jej rękę z ręki wuja.

- To ostatnia szansa, żebyś rozważyła swoją decyzję, Maldie — powiedział. —

Kiedy złożysz przysięgę, nie będzie ucieczki od brązowego rycerza.

Maldie uśmiechnęła się, przypominając sobie słowa wuja o Balfourze — wielkim, brązowym człowieku. W tych słowach Balfour wydawał się taki zwykły, a tymczasem jej Balfour stał tam w pięknej białej koszuli, w barwach swego klanu, wprost nieziemsko przystojny. Powiedział, że ją kocha. Ona jego również. Spędzi życie u jego boku. Będzie miała mnóstwo czasu, żeby nauczyć się wszystkiego, co mogłoby mu sprawić przyjemność.

- To również twoja ostatnia szansa — powiedziała, zaciskając dłoń na jego dłoni. —

Jeśli jednak spróbujesz uciec, to pamiętaj, że potrafię biegać bardzo szybko.

Zaśmiał się i pocałował ją, zanim oboje odwrócili się w kierunku młodego księdza.

Kiedy uklękli, Maldie rozejrzała się po tłumie zgromadzonym w wielkiej sali.

Kirkcaldy zmieszali się z Murrayami i Maldie czuła już, że nie tylko jej małżeństwo sprzymierzy te dwa klany. Erie stał obok jej wuja i uśmiechał się do niej szeroko.

Potem napotkała spojrzenie Ni-gela. Uśmiech, jaki jej posłał, był smutny i poczuła jego samotność. Nie mogła jednak niczego dla niego zrobić. Modliła się, żeby przezwyciężył tę nieszczęsną miłość, którą do niej żywił. Odwróciła się do księdza.

Balfour miał zaraz składać jej przysięgę przed Bogiem i swoim klanem i nie chciała uronić z niej choćby słowa.

Balfour nadal śmiał się z opowieści Colina, kiedy odwrócił się i zobaczył koło siebie Nigela. Jedno spojrzenie i wuj Maldie usunął się na bok. Bracia zostali sami wśród świętujących. Colin zgadywał, że nie wszystko układa się dobrze między nimi.

Balfour pomyślał, że spostrzegawczość tego człowieka może być czasem bardzo niewygodna. Na zastygłej twarzy Nigela malowała się powaga, która sprawiała, że poczuł się nieswojo. Miał nadzieję, że Nigel przezwycięży swoje uczucia do Maldie albo przynajmniej nauczy się z nimi żyć, ale teraz zaczął się zastanawiać, że było to tylko pobożne życzenie. Wiedział, że gdyby znalazł się na miejscu brata, to ta sytuacja wydawałaby mu się nieznośna.

- Gratulacje, mój bracie, i najlepsze życzenia - uśmiechnął się niezręcznie. —

Mówię szczerze.

- Dziękuję, ale to nie wszystko, co przyszedłeś mi powiedzieć, prawda?

- powiedział cicho Balfour. Nie wiedząc czemu, poczuł strach przed słowami, które Nigel miał za chwilę wypowiedzieć.

- Wyjeżdżam.

- Nie prosiłem cię o to.

- Wiem, ale muszę. Naprawdę się cieszę z twojego szczęścia. Nie czuję żalu do ciebie ani do Maldie. Żadne z was nie jest przyczyną moich kłopotów. To wszystko moje sprawy. Dla każdego, kto ma oczy na swoim miejscu, jest jasne, że ty kochasz ją, a ona kocha ciebie. Myślałem, że będę potrafił się z tym pogodzić, żyć z tym i że pokonam to uczucie. Wątpię, żeby mi się to udało, jeśli będę was codziennie oglądał.

Balfour położył rękę na ramieniu Nigela.

- Ostatnia rzecz, której bym pragnął, to żebyś musiał opuszczać swój dom przeze mnie.

- Nie robię tego przez ciebie — powiedział stanowczo Nigel. — Przysięgam. Po prostu usuwam się na jakiś czas. Łatwiej mi będzie wyleczyć się z tych niechcianych i nieproszonych uczuć, jeśli tej, która je we mnie budzi, nie będzie w pobliżu. Nie śmiałem nawet pocałować panny młodej. Boję się, do czego mogłaby doprowadzić mnie zazdrość. Nie pozwolę, by to nas poróżniło, żeby skrzywdził ciebie albo ją.

Oboje byliście bardziej tolerancyjni, niż na to zasługiwałem, nie chcę tego popsuć.

- Dokąd się udasz?

- Do Francji. Francuzi chcą zapłacić Szkotom, by walczyli z Anglikami.

— Uśmiechnął się na widok pochmurnej twarzy brata. - Odrzuć tę myśl, bracie. Nie idę na wojnę szukać śmierci. Mogę być zakochany w żonie mojego brata i jest to męka, ale siebie również kocham. Jadę zabijać Anglików i może to uczucie, które martwi nas obu. To wszystko.

- Zostaniesz na porannej uczcie?

- Nie, ruszę o świcie. Jest tu też kilku Kirkcaldych, którzy ruszają rano do Francji, pojedę z nimi. — Uścisnął Balfoura. — Nie znikam na zawsze. Nie jestem kompletnym głupcem, który całe życie będzie tęsknił za tym, czego nie może mieć.

Wróć - westchnął i rozejrzał się po tłumie. - A teraz muszę iść powiedzieć Ericowi.

Balfour patrzył, jak Nigel znika w tłumie. Kiedy Maldie stanęła obok i wzięła go za rękę, złapał ją mocno i zdał sobie sprawę, że ona nie wie jeszcze o Nigelu. Wiedział, jak łatwo odgaduje jego uczucia, więc zmusił się, by wypchnąć z głowy wszystkie myśli o bracie. Nie chciał stracić ani jednej radosnej chwili z ich ślubu, zdecydował

więc, że te smutne wieści przekaże jej później.

- Czy myślisz, że moglibyśmy wymknąć się teraz niezauważeni? - zapytał, obejmując ją czule.

- Wątpię - zaśmiała się delikatnie i potrząsnęła głową. - Tu jest za dużo ludzi.

Musiałabym odepchnąć kilku na bok w drodze do drzwi, więc wszelkie szanse na wyjście niezauważonym nie wchodzą w grę.

- Tak, masz rację — uśmiechnął się szeroko i wziął ją na ręce. - W takim razie zrobmy z tego wielkie przedstawienie.

Maldie zaśmiała się i chowała twarz na jego piersi, kiedy torował sobie przejście przez rozweselony tym widokiem tłum. Niektóre z uwag, które docierały do nich jeszcze po wyjściu z wielkiej sali, przyprawiały ją o rumieniec. Rozpoznała głos swojego wuja wykrzykującego sprośny komentarz i przysięgła sobie, że każe mu za to zapłacić. Wydostanie się z sali nie oznaczało jeszcze końca tych rubaszných żartów. Ludzie byli w całej twierdzy. Mijali radosnych gości na schodach i wzdłuż korytarza na piętrze. Maldie była nieomal zdziwiona, że nie zastali ich w swojej sypialni.

- Jedno z nas ma zbyt dużą rodzinę - powiedziała i zaśmiała się, kiedy z łoskotem zamknął i zaryglował drzwi, a potem popchnął ją na łóżko.

Balfour rozciągnął się nad nią i pocałował mocno.

- Było tu całkiem sporo miejsca, zanim Kirkcaldy zaczęli wlewać się drzwiami i oknami. Wyglądałaś naprawdę pięknie w tej sukni - mruknął i zaczął ją rozbierać.

- Wiem - uśmiechnęła się do niego. - Bardzo mi się podoba, więc proszę cię, bądź ostrożny. - Jej słowa zostały stłumione, bo Balfour postanowił zdjąć jej suknię przez głowę.

- Byłem ostrożny, nie zdarłem jej z ciebie, choć miałem na to olbrzymią ochotę.

Otoczyła jego szyję ramionami.

- To była bardzo długa rozłaka, prawda? - wyszeptała tuż przy jego ustach.

- Zbyt długa.

- Ale to nasza noc poślubna, powinniśmy przynajmniej próbować kontrolować nasze żądze. - Wyswobodziła się z jego objęć i przyklękła obok niego, uśmiechając się słodko na widok jego zmarszczonych brwi. Jej pożądanie było tak silne, że prawie ją osłabiało. Maldie postanowiła jednak odzyskać kontrolę nad swoją namiętnością. To była ich noc poślubna, jedyna taka w życiu, chciała, żeby była wyjątkowa. Ani ona, ani jej mąż nie mogą być ślepi, lubieżni i pospieszni.

Wiedziała, że była tak spragniona jego bliskości, że nie zdoła zaspokoić wszystkich swoich kaprysów, ale była zdecydowana, że spróbuje zrealizować choćby jeden czy dwa.

- Jestem pełen żądz, to prawda. - Przeklął cicho, kiedy sięgnął po nią, a ona delikatnie odepchnęła jego ręce.

- Ja również, ale jedno z nas musi wykazać chociaż trochę powściągliwości i już widzę, że to nie będziesz ty.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się myśl, że masz w sobie jakąś powściągliwość

- stwierdził, ale zaraz zaczął pomrukiwać z zadowolenia, kiedy tylko zaczęła powoli zdejmować z niego ubranie. Sposób, w jaki drżał pod jej dotykiem, rozbudzał jej namiętność i utrzymanie kontroli stawało się coraz trudniejsze. Kiedy był już nagi, obsypała jego ciało od stóp do głowy delikatnymi, niespiesznymi pocałunkami, unikając jego męskości, gdyż widziała, że jest już nabrzmiąta pożądaniem.

Dosiadła go, dopasowując do siebie oba ciała. Zawahała się tylko na moment, żeby złapać oddech, zadowolona, że Balfour oddycha równie ciężko, co ona.

Uśmiechnęła się czule do niego i powoli zdjęła koszulę. Krzyknęła ze zdziwienia, a potem jęknęła z rozkoszy, kiedy Balfour nagle usiadł, przytrzymał ją i zaczął

łakomie całować jej piersi. Kiedy przesunęła palcami po jego gęstych włosach, uznała, że była dość dzielna.

Jego miłość stawała się coraz dziksza i Maldie rozkoszowała się nią. Balfour złapał

ją za biodra. Na początku zaczął poruszać się wolno, a potem coraz szybciej.

Całował ją, energiczne ruchy jego języka były echem tego, jak jego ciało poruszało się w niej. Tak spleceni doszli do uwolnienia, którego tak bardzo było im trzeba. Ich krzyki zmieszały się w jeden, kiedy znaleźli wyzwolenie w idealnie zgranym szczytowaniu.

- Och, Maldie, moja dzika kusicielko - mruknął, kiedy rozdzielili swoje ciała i trzymali się w objęciach. - Miałem zamiar kochać się z tobą powoli, chciałem, żeby nasz pierwszy raz jako męża i żony był słodki i długi. Planowałem godzinami rozkoszować się naszą miłością.

Bezwiednie pocierała stopą o jego silną łydkę.

- Próbowałam, ale moje deklaracje o powściągliwości okazały się czczymi przechwałkami.

- Miałaś jej więcej niż ja.

- Możesz za to winić mojego wuja. To jego wina, że byliśmy rozdzieleni tak długo, że łaknęliśmy siebie tak, że nie mogliśmy się długo opierać spełnieniu. — Spojrzała na niego i czule pogładziła jego policzek. — Mogę poczekać na to długie i słodkie kochanie, mamy przed sobą całe życie.

- Tak - westchnął i przyjrzał jej się z bliska. - Jest kilka rzeczy, o których muszę ci powiedzieć. Powinienem był to zrobić wcześniej, kiedy poprosiłem cię, żebyś została moją żoną, ale obawiałem się, że możesz się tak pogniewać, że odmówisz.

Maldie zeszywniała. Przez chwilę bała się, że serce wyskoczy jej z piersi, ale po chwili się uspokoiła. Balfour był dobrym człowiekiem, zbyt dobrym, żeby mieć straszne sekrety. Wątpiła, czy mogły się równać tym, które ona tak długo przed nim ukrywała. Mimo że nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co to mogła być za tajemnica, czuła, że będzie jej łatwo wybaczyć i zapomnieć.

— Czy to, co zamierzasz mi powiedzieć, jest bardzo straszne? - zapytała.

— Nie, ale obawiam się, że nie pomyślisz sobie o mnie najlepiej.

— W takim razie wypłuj to z siebie szybko, bez dodatkowych wyjaśnień i zbędnych słów. To nie jest noc, którą możemy spędzić na złości, ale to też idealny czas na takie wyznania. - Wzięła głęboki wdech i po cichu obiecała sobie, że będzie rozsądna. - Powiedz.

— Pamiętasz pierwszy raz, kiedy wspólnie spędziliśmy noc?

— Głupie pytanie. Oczywiście, że pamiętam. Powiedziałeś, że nie możesz już dłużej grać i uwodzić, że tak bardzo mnie pragniesz, że nie zadowolisz się małym kęsem, że musisz mieć wszystko albo nic.

— Przysięgam, że to prawda. Ale nie była to cała prawda, nie był to jedyny powód, dla którego chciałem, żebyś była moją kochanką.

— Nie musiałeś zbyt mocno naciskać - mruknęła.

— Widziałem zainteresowanie, którym obdarzał cię Nigel - ciągnął dalej, ignorując jej delikatne wtrącenie. — Chciałem cię naznaczyć, właśnie tej nocy, Maldie.

Chciałem, żebyś była moja i niczyja więcej. Chciałem, żeby Nigel zobaczył, że jesteś moja, jak tylko mężczyzna to potrafi. Na miłość boską, chciałem, żebyś i ty to widziała. - Obserwował ją uważnie. Zdziwił się, kiedy nie zobaczył na jej twarzy żadnego gniewu. - Wykorzystałem twoją namiętność do mnie, żeby zaciągnąć cię do łóżka, zanim byłaś na to gotowa, bo chciałem, żeby Nigel wiedział, że nie jesteś już wolna.

— Czy to jest to twoje wielkie wyznanie? - spytała. — Od miesięcy się tego obawiałam. — Skrzyżowała ramiona za głową i walczyła z pokusą, by nie wybuchnąć śmiechem.

— To i jeszcze dwie inne rzeczy - powiedział, nie wiedząc, jak oceniać jej dziwny nastrój. Spodziewał się gniewu, ale ona wyglądała na rozbawioną.

— Powiedz mi wszystko.

— Wcale nie musiałem cię ściągać do Donncoill, ponieważ w owym czasie nie wiedziałem nic o zdradzieckich poczynaniach Grizel. Zobaczyłem cię, zapragnąłem i myślałem tylko, jak cię przy sobie zatrzymać. Miałem zuchwały zamiar cię uwieść.

— Wstydz się.

Balfour zmrużył oczy i przyglądał się jej uważnie. Sprawiała wrażenie, jakby coś przed nim ukrywała, ale nie wiedział co. Chociaż bał się mówić dalej, to wiedział, że musi. Nie mogli zaczynać swojego małżeństwa od tajemnic. Ona przyznała mu się do wszystkich oszustw. Uczciwie będzie tylko wtedy, kiedy i on zrobi to samo.

— Ostatnie...

— Jest tego więcej?

Ściągnął brwi i uparcie mówił dalej.

— Mówiłem ci już o czasie, kiedy podejrzewałem, że mnie zdradziłaś, ale nie mówiłem ci o wszystkich powodach, dla których tak myślałem. — Wziął głęboki wdech, żeby się uspokoić, wiedząc, że wyjdzie na kompletnego głupca i że ta głupota może ją obrazić. - Myślę, że rozumiesz teraz, że podejrzewałem cię, ponieważ zostałaś moją kochanką. - Pokiwała głową, zaciskając mocno usta. - Cóż, było tam coś więcej. Nie tylko wybrałaś mnie na swojego kochanka, ale też byłaś w rym bardzo dobra.

Jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe, wykrztusiła z siebie słowa „słodki Jezu”, odwróciła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce. Balfour był przerażony. Nie przewidział, że zareaguje na te wyznania płaczem. Niezgrabnie poklepał ją po plecach i gorączkowo myślał nad czymś, co mogłoby ją pocieszyć. Chwilę później ściągnął brwi, położył się i bezskutecznie próbował zobaczyć jej twarz. Nigdy nie widział, jak Maldie płacze, ale zaczynał nabierać pewności, że teraz tego nie robi.

Otworzył szeroko oczy, kiedy wsłuchał się w stłumione dźwięki, jakie wydobywały się spod pościeli.

— Maldie, czy ty się śmiejesz? — spytał niepewnie.

Odwróciła się na plecy, nadal dławiąc się ze śmiechu i zaczęła ocierać łzy rozbawienia.

— Tak. Cieszę się, że w końcu na to wpadłeś, bo byłam bliska zasmarkania tej przeklętej poduszki. Przepraszam, Balfourze, nie chciałam cię dotknąć. — Sięgnęła, by pogłaskać jego policzek. - Ale takie ciężkie grzechy przede mną wyznajesz.

— Teraz sobie za mnie żartujesz — mruknął i ułożył się w jej ramionach, rozluźniając się pierwszy raz, odkąd postanowił wyznać jej całą prawdę. - Jesteśmy teraz mężem i żoną. Chciałem, żeby nasze małżeństwo zaczęło się od prawdy.

— Bardzo chwalebny plan, ale, Balfourze, martwiłeś się niepotrzebnie. Tak, być może nie zachowałeś się honorowo, ale w porównaniu do tych wszystkich kłamstw, oszustw, które były moim udziałem, obawiam się, że twoje nie dają się po prostu zmierzyć — uśmiechnęła się, kiedy się zaśmiał.

— W takim razie ogłaszam cię zwycięzcą w zawodach, które między sobą rozegraliśmy.

— Dziękuję.

— Tak czy inaczej to nie było uczciwe z mojej strony, że starałem się tak bardzo cię uwieść.

— Uspokój się, mój dobry, ciemny chłopcze. Ja czasami też spiskowałam — pospiesznie odwzajemniła jego pocałunek. — Chciałam cię od samego początku.

— Zbyt łatwo wybaczasz mężczyźnie jego winy.

— Jeśli jego winą jest to, że mnie pragnie, pożąda i bardzo stara się mnie zdobyć, to nie jest to takie

trudne. Nawet ostatni twój grzech łatwo wybaczyć. Jaka kobieta czuje się dotknięta faktem, że mężczyzna, którego kocha, uważa, że jest dobrą kochanką? Prawdę mówiąc, żal mi tych kobiet, które sprawiły, że byłeś tak niepewny swojej wartości i uważałeś za dziwne, że ja mogę ciebie pragnąć.

- Kocham cię, Maldie Murray. - Uśmiechnął się słabo, kiedy się skrzywiła. — Co takiego znów powiedziałem?

- Maldie Murray — Potrząsnęła głową. — Nie przemyślałam tego zbyt dobrze. To brzmi jak jakaś melodia, którą posłużyłby się minstrel, gdyby zapomniał słów pieśni. - Zachichotała, gdy Balfour się roześmiał.

- To muzyka dla moich uszu. Nie przychodzi mi do głowy słodszy dźwięk niż twoje imię złożone z moim.

Owinęła ręce wokół jego szyi.

- Stajesz się coraz lepszy w pochlebstwach, mój mężu. - Przykryła jego dłoń swoją, kiedy zaczął pieścić jej piersi, powstrzymując jego dotyk. — Jest jeszcze jedna rzecz, którą musimy przedyskutować, zanim zatracimy się w rozkoszach naszej nocy poślubnej.

- Błagam, żadnych więcej zwierzeń.

- Nie mam więcej. Widziałam, jak rozmawiałeś z Nigelem, zanim wyszliśmy z wielkiej sali. Powaga na waszych twarzach powiedziała mi, że nie życzył ci szczęścia. Rozmawialiście o poważniejszych sprawach, prawda?

- Zdecydowała, że nie powie mu, że wyczuła między nimi głęboki smutek.

- Czy pojawił się jakiś problem, o którym mi nie powiedziałeś?

Balfour dotknął czołem jej czoła.

- I tak, i nie. Nie ma żadnego wroga, który próbuje zabić mnie, moich bliskich i zagarnąć moje ziemie. Problem jest w naszej rodzinie. Nigela nie będzie na porannej uczcie.

- Dlaczego? - spytała słabym głosem, bojąc się odpowiedzi.

- Wyjeżdża o świcie walczyć we Francji. Maldie usłyszała ból w jego głosie i przytuliła go.

- Tak mi przykro, Balfourze.

- To nie przez ciebie.

- Oczywiście, że przeze mnie. Wyjeżdża z mojego powodu, prawda?

- Nie, to dlatego, że cię kocha, jak kochałby cię każdy mężczyzna z oczami i sercem na swoim miejscu. Wie, że nie zrobiłaś nic, żeby go do tego zachęcić.

- Mogłam go może bardziej zniechęcić.

- Nie. — Odgarnął bezwiednie kilka kosmyków z jej twarzy. - Zostaliśmy kochankami na jego oczach i to nie zmieniło jego uczuć. Gdybyś powiedziała mu, że ma patrzeć w inną stronę, to z pewnością by go nie powstrzymało. Mnie też by nie mogło powstrzymać.

- Mnie także - powiedziała i westchnęła. - Kiedy byliśmy osobno i myślałam, że mnie nie chcesz, poczułam, jak ro boli kochać kogoś, kto nie odwzajemnia uczuć. Nie życzę tego żadnej kobiecie ani żadnemu mężczyźnie. Ja ptzynaj mniej miałam słodkie wspomnienia, do których mogłam wracać.

- Fakt, że Nigel ich nie ma, że nie został nigdy pocałowany przez tę, której pragnie, może być równie dobrze jego ratunkiem. Wierzy, że może się wyleczyć.

- Pomodłę się, żeby tak było, bo jego miejsce jest tu, z tobą i Erikiem. Należy do Donncoill. Nie zazna szczęścia, dopóki tu nie wróci. Może znajdzie to, czego szuka, we Francji.

- Tak jak ja znalazłem to, czego szukałem na drodze z Dubhlinna - powiedział i pocałował ją w usta.
- Nigdy bym nie zgadł, że moje przeznaczenie będzie stało tam z potarganymi włosami i ciętym językiem. Kocham cię, moja zielonooka kusicielko.

- Nie więcej niż ja ciebie.

- Wyzywasz mnie? - spytał, uśmiechając się i przytrzymał ją pod sobą.

- Tak, wyzywam. Jest w tobie wystarczająco dużo mężczyzny, by temu sprostać?

- Może nam to zająć dużo czasu, zanim zdecydujemy, kto wygrał.

- Mamy na to całe życie - wymruczała. - I nie wyobrażam sobie lepszego sposobu na spędzenie tych lat razem niż pokazywanie sobie, ile mamy dla siebie miłości.

- Ja również nie, Maldie Murray.

Ja również.